

TOM 3
ZABÓJCZYCH MASZYN
ZEKRANIZOWANYCH
PRZEZ TWÓRCÓW
WŁADCY PIERŚCIENI
I HOBBITA

PHILIP REEVE

CYNOWA

KSIĘGA

ŚWIATOWY BESTSELLER PRZETŁUMACZONY NA 30 JĘZYKÓW




AMBER

CYNOWA KSIĘGA

PHILIP REEVE

Przekład
Katarzyna Przybyś-Preiskorn



Korekta
Hanna Lachowska
Halina Lisińska

Ilustracja na okładce
© Ian McQue, 2018

Tytuł oryginału
Infernal Devices

The original edition is published and licensed by Scholastic
Ltd.

Text © Philip Reeve, 2005

Cover © Ian McQue, 2018

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2019 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-7053-1

Warszawa 2019. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

tel. 691962519

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

KARTA REDAKCYJNA

DEDYKACJA

CZĘŚĆ I

1. PRZEBUDZENIE

2. ANCHORAGE W WINLANDII

3. PAJĄKOMOBIL „AUTOLIK”

4. LEGENDA O CYNOWEJ KSIĘDZE

5. WIEŚCI ZZA MORZA

6. BUDOWNICZOWIE NOWEGO ŚWIATA

7. KIEDY DZIECKO ODCHODZI Z DOMU

8. PORWANA

9. KOMUNIKAT

10. RODZICE TO PUŁAPKA

11. CZWÓRKA PRZYJACIÓŁ PRZECIWKO GRIMSBY

12. BIZNES NA SZEROKICH WODACH

13. DOKTOR ZERO

14. SPRZEDANA!

15. DZIECI GŁĘBIN

16. PERŁA LŚNI, GDZIE OKO BYŁO

17. KAPLICA

18. „NAGLFAR”

19. ŚLUBNY WIANEK

CZĘŚĆ II

20. ŻYCIE NA FALACH OCEANU

21. LOT MEWY

22. MORDERSTWO W SIÓDMYM NIEBIE

23. OLŚNIEWAJĄCE BRIGHTON!

24. „ŻAŁOBNY WIR”

25. PIEPRZNICZKA

26. W OCZEKIWANIU NA KSIĘŻYC

27. NIEBEZPIECZNY SEJE

28. ATAK Z POWIETRZA

- 29. CHŁOPIEC NIEWYBUCH
- 30. WIĘŹNIOWIE BURZY
- 31. CHWIŁA RÓŻY
- 32. LOT „ARKTYCZNEJ RULETKI”
- 33. CZAS ODLOTÓW
- 34. ZNALEZIONE, NIEKRADZONE
- 35. PORZUCENI W PRZESTWORZACH
- 36. NIEZWYKŁE SPOTKANIA

Dla Sarah, jak zwykle.

*Dla moich wydawców Kirsten Stansfield i Holly Skeet z
podziękowaniami i dla Sama Reeve'a, Toma Skeeta i Edwarda
Stansfielda*



CZEŚĆ I

1. PRZEBUDZENIE

Na początku była nicość. Potem błysnęła iskra; rozległ się syczący dźwięk, który targnął postrzępioną siecią snów i wspomnień. Strzeliły kolejne iskry i z hukiem przewaliła się przez niego niebiesko-biała fala elektryczności, wdzierając się w wyschnięte zatoki mózgu jak przypływ, powracający do morskiej jaskini. Jego ciało napięło się tak mocno, że przez chwilę opierało się tylko na piętach i na opancerzonej potylicy. Krzyknął i obudził się we mgle statycznych wyładowań. Miał wrażenie, że gdzieś spada.

Przypomniwał sobie własną śmierć. Przypomniwał sobie też pokrytą bliznami twarz dziewczynki, która przyglądała mu się, gdy leżał w mokrej trawie. To był ktoś ważny; ktoś, na kim zależało mu bardziej niż jakimukolwiek Łowcy powinno zależeć na jakiegokolwiek istocie. Chciał jej coś powiedzieć, ale nie mógł. Po chwili w pamięci został mu tylko powidok jej zmasakrowanej twarzy.

Jak ona miała na imię? Wargi je pamiętały.

– H...

– Ożył! – odezwał się jakiś głos.

– HES...

– Jeszcze raz. Szybko.

– Włączam zasilanie

– HESTER...

– Odsunąć się!

Smagneło go kolejne wyładowanie elektryczne, wymazując nawet te ostatnie nitki wspomnień. Wiedział jedno: jest Łowcą Shrikiem. Jedno oko zaczęło funkcjonować. Zobaczył niewyraźne kształty poruszające się w śnieżnej zamieci interferencji. Obserwował, jak powoli zestalają się w ludzkie sylwetki, rysujące się na tle rozjaśnionego księżycem nieba, po którym pędziły czarne chmury. Deszcz padał nieprzerwanie.

Śmiertelnicy w goglach, mundurach i płaszczach nieprzemakalnych stali nad jego otwartą mogiłą. Kilku z nich trzymało kwarcowo-jodowe latarnie. Inni obsługiwali maszyny z mnóstwem migocących zaworów i błyszczących przycisków. Z maszyn wychodziły przewody podłączone do jego ciała. Wyczuł, że zdjęto mu stalową osłonę czaszki i otwarto pokrywę głowy, odsłaniając mózg.

– Panie Shrike? Czy pan mnie słyszy?

Patrzyła na niego jakaś bardzo młoda kobieta. Dokuczało mu ulotne wspomnienie dziewczęcej twarzy, więc zaczął się zastanawiać, czy to nie ona. Ale nie: twarz ze snów miała skazę, a ta była idealna: azjatyckie rysy o wysokich policzkach, blada skóra, czarne oczy w okularach o równie czarnych oprawkach i grubych szklach. Krótkie, ufarbowane na zielono włosy. Pod przezroczystą peleryną miała na sobie czarny mundur. Na wysokim, ciemnym kołnierzu wyszyto srebrną nicią skrzydlate czaszki.

Położyła dłoń na zardzewiałym metalu jego piersi i powiedziała:

– Proszę się nie obawiać, panie Shrike. Wiem, że czuje się pan zagubiony. Przez ponad osiemnaście lat był pan martwy.

– MARTWY – powtórzył.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Jej krzywe, białe zęby wydawały się za duże w tej niewielkiej buzi.

– Może raczej „uśpiony”. Przecież Łowcy z dawnych czasów nigdy nie umierają, panie Shrike...

Nagle rozległ się huk, zbyt głośny jak na grzmot. Po chmurach zaczęły przeskakiwać pulsujące, pomarańczowe błyski. Światło wydobyło z ciemności zarysy skał wznoszących się nad miejscem jego spoczynku. Kilku żołnierzy z niepokojem popatrzyło w niebo.

– Armaty długonosych – mruknął jeden z nich. – Przedarli się przez forty na bagnach. Za godzinę będą tu ich miasteczka-amfibie.

Kobieta spojrzała na niego przez ramię.

– Dziękuję, kapitanie – rzuciła i zajęła się znowu Shrikiem. Jej palce sprawnie pracowały wewnątrz jego czaszki.

– Odniósł pan duże uszkodzenia, więc się pan wyłączył. Ale ja pana naprawię. Nazywam się Oenone Zero, jestem lekarzem w Korpusie Rewitalizacji.

– NIC NIE PAMIĘTAM – powiedział.

– Pana pamięć także uległa zniszczeniu. Przykro mi, ale nie dam rady jej panu przywrócić.

Ogarnął go gniew i coś w rodzaju paniki. Miał poczucie, że ta kobieta coś mu ukradła, ale nie wiedział już co. Próbował wysunąć szpony, ale nie mógł się ruszyć. Kto wie, może był samym okiem, leżącym na mokrej ziemi.

– Proszę się nie przejmować – powiedziała doktor Zero. – Pana przeszłość nie ma znaczenia. Od dzisiaj będzie pan pracował dla Zielonej Burzy. Wkrótce zbierze pan nowe

wspomnienia.

Na niebie, będącym tłem dla jej uśmiechniętej twarzy, zaczęły bezgłośnie eksplodować smugi czerwonego i żółtego światła. Jeden z żołnierzy krzyknął:

– Nadchodzą! Dywizja generała Nagi kontratakuję, zrzucając bomby wirówki. Ale nie zatrzyma ich tym na długo...

Doktor Zero skinęła głową i wydostała się z mogiły, otrzepując z dłoni ziemię.

– Musimy natychmiast ewakuować pana Shrike’a.

Znowu spojrzała na niego z góry i uśmiechnęła się miło.

– Proszę się nie martwić, panie Shrike. Czeka na nas sterowiec. Zabierzemy pana do centrum produkcji Łowców w Batmunkh Tsaka. Wkrótce będzie pan znowu na chodzie.

Odsunęła się, przepuszczając dwie zwaliste postaci.

To byli Łowcy. Ich zbroje znaczyły zielone błyskawice – symbole, których Shrike nie rozpoznawał. Mieli puste, stalowe twarze, płaskie jak łyżka łopaty, bez żadnych rysów twarzy za wyjątkiem wąskich szparek na oczy. Lśniły one zielono, gdy podnosili Shrike’a z rozpadliny i kładli na nosze. Ludzie z maszynami pośpiesznie kroczyli obok, osłaniając milczących Łowców. Po chwili znaleźli się w obronnym porcie lotniczym, z którego startowały w mokre niebo niezliczone sterowce. Doktor Zero biegła przodem, wołając:

– Szybciej! Szybciej! Uważajcie! To antyczny artefakt.

Droga stawała się coraz bardziej stroma. Shrike doskonale wiedział, skąd ten pośpiech i niepokój. Między skałami lśniła wielka powierzchnia wody rozświetlana niezliczonymi smugami wystrzałów. Na wodzie, i dalej, na płaskim,

mrocznym brzegu, poruszały się gigantyczne kształty. Błyski kanonady ze sterowców, wiszących nad ich głowami gęsto jak gwiazdy, i blade, powoli opadające światło flar na spadochronach, pozwalały dostrzec opancerzone gąsienice, potężne szczęki i wielopiętrowe, osłonięte żelaznymi pancierzami forty i gniazda dział.

Ruchome miasta. Cała armia, powoli przedzierająca się przez mokradła. Ten widok obudził w jego umyśle na wpół zatarte wspomnienia. Przypominał sobie takie miasta. Albo raczej ich ogólne wyobrażenie. Nie pamiętał tylko, czy kiedyś był w takim mieście, i co tam robił.

Gdy pośpiesznie niesiono go do sterowca, przez ułamek sekundy zamajaczyła mu przed oczami okaleczona twarz dziewczynki, która wpatrywała się w niego ufnie, jakby czekała aż spełni to, co jej obiecał.

Ale kim była? I skąd ta twarz w jego myślach? Tego też nie potrafił sobie przypomnieć.

2. ANCHORAGE W WINLANDII

Kilka miesięcy później, na drugiej półkuli, Wren Natsworthy leżała w łóżku i patrzyła, jak smuga księżycowego światła wędruje powoli po suficie jej pokoju. Było już po północy. W ciszy słyszała tylko swoje własne ruchy i skrzypnięcia starego domu. Podejrzewała, że na całym świecie nie ma miejsca tak cichego i spokojnego, jak jej rodzinne miasteczko, Anchorage w Winlandii – uszkodzone lodowe miasto wbite w skalisty, południowy brzeg nieznannej wyspy na równie nieznanym jeziorze i na zapomnianym przez wszystkich skrawku Martwego Kontynentu.

Mimo tej ciszy nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, żeby się wygodnie ułożyć, ale tylko rozkopywała pościel, pod którą było jej coraz cieplej. Przy kolacji znowu pokłóciła się z mamą. Jak zwykle, zaczęło się od drobnej utarczki (tym razem Wren chciała bawić się na dworze z Tildy Smew i chłopakami Sastrugich, zamiast zmywać), która w jednej chwili zmieniła się w zacięty pojedynek ze łzami i wzajemnymi oskarżeniami. Obie zaczęły obrzucać się odwiecznymi pretensjami, jakby to były granaty, a biedny tato dreptał po obrzeżach pola bitwy, bezskutecznie upominając: „Wren, uspokój się” i „Hester, proszę przestań”.

Wren oczywiście przegrała. Pozmywała i poszła do łóżka, tupiąc najgłośniejszym jak mogła. Jej umysł pracował na

najwyższych obrotach, obmyślając zjadliwe riposty. Szkoda, że nie wpadła na nie wcześniej. Mama nie miała pojęcia, co czuje piętnastolatka. Była taka brzydka, że w wieku Wren na sto procent nie miała żadnych kolegów, a już na pewno nie takich jak Nate Sastrugi, za którym przepadały wszystkie dziewczyny w Anchorage, i który niedawno powiedział Tildy, że Wren na serio mu się podoba. Mama pewnie nie podobała się żadnemu chłopakowi, oczywiście z wyjątkiem taty. Tylko co ten tata w niej widział? To była jedna z wielkich, niezbadanych tajemnic Winlandii.

Przewróciła się z boku na bok, spróbowała powstrzymać rozpędzone myśli, poddała się i wstała. Może spacer ją otrzeźwi. W dodatku, jeżeli rodzice się obudzą i pomyślą że jej nie ma, to zaczną się martwić, że się utopiła albo uciekła. Wtedy mama będzie miała za swoje i pożałuje, że potraktowała Wren jak dziecko! Ubrała się, naciągnęła skarpetki i buty i po cichutku przekradła się na dół, w ciszy, którą mąciły tylko oddechy śpiących.

Rodzice wybrali sobie ten dom szesnaście lat temu, kiedy Anchorage jakimś cudem wpełzło na brzeg, a Wren była tylko małym ciałkiem pływającym w brzuchu mamy. Taka była historia jej rodziny. W dzieciństwie opowiadali ją Wren przed zaśnięciem, jak bajkę. Freya Rasmussen pozwoliła rodzicom wybrać sobie jedną z opustoszałych willi na górnym poziomie. Wybrali dom jakiegoś kupca na Skwerze Psiej Gwiazdy, z widokiem na port lotniczy. To był dobry dom, przytulny i solidny, z terakotą na podłogach i dużymi kanałami wentylacyjnymi. Ściany okrywały boazerie z drewna i brązu. Z czasem rodzice wypełnili go meblami przyniesionymi z innych

opustoszałych domów, ozdobili obrazami i rzeźbami z drewna, które przyniosło morze, i antykami, które tata wykopywał podczas wypraw w rejon Martwych Wzgórz.

Wren przeszła na paluszkach przez hall, zdjęła kurtkę z wieszaka przy drzwiach i ani jednym spojrzeniem nie zaszczyciła grafik i cennych fragmentów starożytnych mikserów i telefonów wyeksponowanych w szklanej gablotce. Wyrosła wśród tych gratów, które serdecznie ją nudziły. Przez cały ten rok dom wydawał jej się za ciasny, jakby z niego wyrosła. Znajome zapachy kurzu, politory i książek taty były miłe, ale zaczynały ją dusić. Miała piętnaście lat i życie uwierało ją jak za ciasny pantofel.

Zamknęła za sobą drzwi najciszej, jak potrafiła i przebiegła przez skwer. Martwe Wzgórze spowijała mgła; oddech Wren także przypominał małe obłoczki. Był dopiero początek września, ale w nocnym powietrzu czuć już było zimę.

Księżyc wisiał nisko nad horyzontem, ale gwiazdy lśniły jasno, podobnie jak migotliwa zorza nad jej głową. W sercu miasta wznosiły się zardzewiałe, porośnięte bluszczem wieże Pałacu Zimowego. Kiedyś rezydowali w nim władcy Anchorage, ale teraz mieszkała tam tylko panna Freya, ostatnia margrabina miasta, która pracowała jako nauczycielka. Od chwili gdy Wren ukończyła pięć lat, przez całą zimę musiała chodzić do szkoły, oczywiście z wyjątkiem weekendów. W sali mieszczącej się na parterze pałacu panna Freya opowiadała im o geografii, logarytmach, prawach miejskiego darwinizmu i innych rzeczach, które pewnie nigdy się Wren nie przydadzą. Wtedy wydawało jej się to nudne, ale teraz, kiedy jako piętnastolatka skończyła już naukę, okropnie

tęskniła za szkołą. Żałowała, że nigdy już nie zajmie miejsca w starej, przyjaznej klasie – chyba że spełni życzenie panny Freyi i zacznie pomagać przy uczeniu młodszych dzieci.

Panna Freya zaproponowała jej to kilka tygodni temu i pewnie trzeba jej będzie szybko odpowiedzieć, bo dzieci z Anchorage wrócą do nauki po żniwach. Tylko że Wren nie była pewna, czy chce zostać pomocnicą nauczycielki. Nie miała ochoty nawet o tym myśleć. A już na pewno nie tej nocy.

Klatka schodowa na końcu Skweru Psiej Gwiazdy prowadziła w dół, na poziom silnikowy. Wren hałaśliwie zeszła po metalowych schodach. Ogarnął ją aromat lata. Płatki rdzy spod jej stóp spadały na dół, na stogi siana. Kiedyś panował tu nieustanny hałas i ruch, gdy silniki popychały miasto po lodzie na kupieckie wyprawy. Ale te wędrówki skończyły się jeszcze przed urodzeniem Wren i poziom techniczny zmienił się w stodołę, gdzie składowano siano i warzywa korzeniowe, a zimą trzymano bydło. W promieniach księżyca wnikających przez świetliki i szpary w pokładzie widać było bele siana poutykane między pustymi zbiornikami paliwa.

Kiedy Wren była mała, opuszczone poziomy miasta były najlepszym placem zabaw dla wszystkich miejscowych dzieciaków. Teraz lubiła tu przychodzić, kiedy ogarniał ją smutek albo nuda. Próbowwała sobie wtedy wyobrazić życie w ruchomym mieście. Dorośli ciągle opowiadali o dawnych ciężkich czasach i o tym, jak straszne było życie w ciągłym zagrożeniu, że upoluje ich jakieś większe, szybsze miasto, ale Wren dużo by oddała, żeby zobaczyć potężne konstrukcje na gąsienicach, albo żeby latać z miasta do miasta sterowcem, jak mama i tata w latach młodości. Tata miał na biurku fotografię,

na której stali oboje na lądowisku w mieście zwanym San Juan De Los Motores, na tle ślicznego, czerwonego sterowca, który nazywał się „Jenny Haniver”. Szkoda, że nigdy nie opowiadali jej o swoich przygodach. Wiedziała tylko, że w końcu wylądowali w Anchorage i że ten łajdak, profesor Pennyroyal ukradł im sterowiec i odleciał, a oni osiedlili się w mieście, zadowoleni z życia w sennej, bezpiecznej Winlandii.

Jak pech, to pech, pomyślała Wren, wdychając ciepły, kwiatowy zapach siana. A tak fajnie byłoby być córką kupców-pilotów! Prowadziłaby barwne życie o wiele ciekawsze niż tu, na tej samotnej wyspie, między ludźmi, dla których szczytem emocji był wyścig wioślarski albo dobre zbiory jabłek.

Gdzieś w ciemnościach szcęknęły zamykane drzwi. Podskoczyła. Tak się przyzwyczaiła do ciszy i samotności, że niemal przeraziła ją myśl, że ktoś jeszcze tu się kręci. Nagle zorientowała się, gdzie jest. Tak się pogrążyła w myślach, że nogi same zaniósły ją do centrum, gdzie mieszkał samotnie Caul, główny inżynier Anchorage. Jego domem była stara szopa między dwoma filarami podpierającymi pokład. On jeden jedyny wolał zardzewiałe, cieniste dolne poziomy Anchorage. Wszyscy inni przenieśli się do ślicznych willi na nasłonecznionych górnych pokładach. Caul zawsze był ekscentryczny. Nie lubił słońca, bo wychował się w Grimsby, podwodnym gnieździe rabusiów. Nie lubił też towarzystwa. Kiedyś przyjaźnił się z wiekowym panem Scabousem, który pełnił funkcję inżyniera, a po jego śmierci tkwił samotnie w przepastnych poziomach technicznych miasta.

Tylko dlaczego o tej porze włączył się między silnikami? Zaintrygowana Wren wspięła się po drabinie na jedną z

galeryjek, z której miała dobry widok na bloki silników i szopę Caula. Rzeczywiście, stał przed drzwiami, z elektryczną latarką w ręku. Podniósł ją do góry, żeby przeczytać kartkę papieru, którą trzymał w dłoni. Po krótkiej chwili wsadził kartkę do kieszeni i ruszył do wyjścia.

Zemocjonowana Wren zeszła na dół i poszła za kręgiem światła. Kiedy była mała i entuzjastycznie czytała książki dla dzieci, których niewielki zapas znalazła w bibliotece margrabiny, najbardziej podobały jej się historie o pyzatyach uczennicach detektywach, które zawsze trafiały na ślad przemytników i demaskowały siatki szpiegowskie Antymobilistów. Strasznie wtedy żałowała, że w Winlandii nie ma żadnych przestępców. Tylko Caul był kiedyś włamywaczem. Może wrócił do dawnych nawyków?

Ale przecież w Anchorage nie było sensu niczego kraść, bo można było sobie wziąć, co się chciało z opuszczonych sklepów i domów. Gdy brnęła przez stosy na pół rozmontowanych maszyn za szopą Caula, próbowała wymyślić bardziej racjonalny powód jego nocnych wędrówek. Może nie mógł spać, tak jak ona. Może coś go martwiło. Tildy mówiła jej kiedyś, że dawno, dawno temu, kiedy Anchorage dopiero co dotarło do Winlandii, Caul kochał się w pannie Freyi i to z wzajemnością. Tylko że nic z tego nie wyszło, bo Caul był dziwakiem, nawet w tamtych czasach. Może co noc błądził po ulicach między silnikami, płacząc za utraconą miłością? A może zakochał się w kimś innym i właśnie szedł na randkę za miastem, w promieniach księżyca? Wren przyspieszyła kroku, zadowolona, że rano będzie miała nie lada historię do opowiedzenia przyjaciółce.

Kiedy Caul znalazł się na granicy miasta, wcale się nie zatrzymał, tylko pośpiesznie zszedł po schodach na ląd i ruszył na wzgórze, oświetlając sobie drogę latarnią. Wren odczekała chwilę i poszła za nim. Zeskoczyła na sprężyste wrzosowisko i zaczęła się skradać po poboczu drogi prowadzącej do budynku elektrowni wodnej. Z kamiennego budynku postawionego jeszcze przez pana Scabiousa, dochodził cichy pomruk turbin. Caul nie wszedł do środka, tylko ruszył dalej przez sady pełne jabłoni, górne pastwisko, prosto do lasu.

Na szczycie wzgórza, tonącym w aromacie sosnowej żywicy, gdzie z ziemi wychylały się ostre krawędzie ruin jak kolce na grzbiecie smoka, Caul zatrzymał się, zgasił latarnię i rozejrzał się wokół. Wren przypadła do ziemi jakieś piętnaście metrów za nim, kryjąc się wśród cieni. Lekki wiatr wicherzył jej włosy, a nad głową widziała korony drzew, jak dłonie na tle nieba.

Caul popatrzył w dół, na śpiące miasto wtulone w południowy brzeg wyspy. Potem odwrócił się, podniósł latarnię i zapalił ją trzy razy, z przerwami. Chyba zwariował, pomyślała. A potem zrozumiała, że on daje komuś sygnał, jak ten podły dyrektor szkoły w *Milly Crisp i tajemnicy dwunastego poziomu!*

I rzeczywiście: w pustej, skalistej zatoczce na północy błysnęła w odpowiedzi druga latarka.

Caul ruszył w tamtą stronę. Śledząca go Wren zeszła po stromym zboczu na północny, niewidoczny z miasta brzeg wyspy. Może umówił się tam z panną Freyą, bo obawiali się plotek? Na tę romantyczną myśl Wren uśmiechnęła się do siebie, wędrując stromą pasterską ścieżką, przez brzozowy zagajnik, na wąską plażę między dwoma cyplami.

Ale plaży nie było panny Freyi. Czekał tam za to ktoś inny. Na skraju wody stał jakiś mężczyzna, obserwując, jak Caul zsuwa się po stromym zboczu. Nawet z tej odległości, w słabym blasku zorzy widać było, że to ktoś obcy – ktoś, kogo Wren nigdy nie widziała na oczy.

Z początku nie mogła w to uwierzyć. W Winlandii przecież nie było obcych. Mieszkańcy przybyli na pokładzie Anchorage albo urodzili się później, więc znała tu wszystkich. Ale mężczyzna na plaży był obcy. Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał równie obco:

– Caul, stary kumplu z pokładu! Jak dobrze widzieć cię znowu!

– Gargle – odpowiedział Caul z rezerwą. Nie uścisnął dłoni, którą tamten wyciągnął do niego.

Zaczęli rozmowę, ale Wren nie przysłuchiwała się jej, zajęta rozmyślaniami o nieznanym. Kto to może być? Skąd się tu wziął? Czego chciał?

W końcu znalazła odpowiedź na te pytania, ale wcale jej się nie spodobała.

Zaginieni Chłopcy. Tak nazywał się gang, do którego należał kiedyś Caul. To oni włamali się do Anchorage, kiedy miasto jeszcze wędrowało po lodzie. Mieli jakieś dziwne, pająkowate pojazdy. Caul porzucił ich, żeby zostać z panną Freyą i panem Scabiousem. Ale czy na pewno? A może utrzymywał w tajemnicy kontakty z Zaginionymi Chłopcami, czekając, aż miasto rozwinie się i wzbogaci? A teraz wezwał ich, żeby wszystkich okraść?

Obcy nie był jednak chłopcem, ale dorosłym o długich, ciemnych włosach. Miał na sobie buty z cholewami, jak pirat z

książki, i kurtę sięgającą aż do kolan. Odrzucił w tył jej poły i zatknął kciuki za pas. U boku załśnił pistolet w kaburze.

Wren zrozumiała, że dzieje się coś, z czym sama się nie upora. Miała ochotę pobiec do domu i ostrzec rodziców przed niebezpieczeństwem. Tylko że obaj mężczyźni zbliżyli się do niej i pewnie zaraz by ją złapali, gdyby wybiegła z ukrycia. Ukryła się głębiej w krzakach janowca na skraju plaży, uważając, by poruszać się w takt szmeru fal bijących o brzeg.

Ten cały Gargle zaczął coś mówić niby żartobliwym tonem, ale Caul przerwał mu w pół słowa.

– Po co tu przyplłynąłeś, Gargle? Myślałem, że skończyłem z Zaginionymi Chłopcami. Byłem w szoku, kiedy znalazłem pod drzwiami wiadomość od ciebie. Od jak dawna zakradasz się do Anchorage?

– Od wczoraj – odpowiedział Gargle. – Wpadliśmy z krótką wizytą, bo byłem ciekaw, jak się miewasz, przyjacielu.

– To dlaczego nie wszedłeś do miasta otwarcie? Dlaczego nie spotkałeś się ze mną za dnia? Dlaczego podrzuciłeś ten liścik i wyciągnąłeś mnie na to odludzie w środku nocy?

– Caul, daję ci słowo honoru, że chciałem tak zrobić. Chciałem zakotwiczyć na redzie, otwarcie, bez ukrywania się pod wodą, ale najpierw oczywiście wysłałem parę samobieżnych krab-kamerek, tak dla pewności. I dobrze zrobiłem, co nie? Co się tu dzieje, Caul? Myślałem, że będziesz tu grał pierwsze skrzypce! Spójrz na siebie: zatłuszczony kombinezon, włosy w strąkach i tygodniowy zarost. Czy w tym sezonie w Anchorage jest w modzie stylówa na ciecia bez piątej klepki? Myślałem, że ożenisz się z tą ich margrabiną, tą Freyą, jak jej tam...

– Rasmussen – odpowiedział smętnie Caul i odwrócił się od tamtego. – Ja też tak myślałem. Ale nie wyszło, Gargle. To skomplikowane. Nie tak, jak się człowiekowi wydaje zza monitora samobieżnej krab-kamery. Nigdy się do nich nie dostosowałem.

– A ja myślałem, że Jelenie powitają cię z otwartymi ramionami – powiedział Gargle, wyraźnie zszokowany. – Przecież przywiozłeś im tę mapę, i w ogóle.

Caul wzruszył ramionami.

– Wszyscy byli bardzo mili. Ja do nich po prostu nie pasuję. Nie wiem, jak z nimi rozmawiać, a dla Jeleni rozmowy są bardzo ważne. Kiedy żył pan Scabious, wszystko jakoś się układało. Pracowaliśmy razem i nie potrzebowaliśmy gadania. Praca starczała nam za wszystkie rozmowy. Tylko że już go nie ma... Ale co słyhać u ciebie? Jak tam Wujek? Jak on się czuje?

– Pytasz, jakby cię to obchodziło!

– Obchodzi mnie. Często o nim myślę. Czy już...

– Staruszek jeszcze jest z nami, Caul – odpowiedział Gargle.

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, chciałeś się go pozbyć, przejąć władzę...

– I przejąłem – odpowiedział Gargle z uśmiechem, który Wren widziała jako białą plamę w ciemnościach. – Wujek nie jest już taki bystry jak kiedyś. Nie doszedł do siebie po tej sprawie z Gniazdem Szerszeni. Stracił zbyt wielu najlepszych chłopców, wszystko z własnej winy. Prawie go to zabiło. Teraz polega na mnie prawie we wszystkim. A chłopaki mnie szanują.

– Nie wątpię – odparł Caul. W jego słowach brzmiało coś jeszcze, czego Wren nie rozumiała. Jakby obaj nawiązywali do

jakiejś dawnej rozmowy, która toczyła się jeszcze przed jej urodzeniem.

– Napisałeś, że potrzebujesz mojej pomocy – mruknął Caul.

– Pomyślałem sobie, że może się zgodzisz. Przez pamięć dawnych czasów.

– Jaki masz plan?

– Nie mam żadnego. – W głosie Gargle’a zabrzmiała uraza. – Caul, ja tu nie przyjechałem kraść. Nie chcę obrabować twoich przemiłych Jeleni. Chodzi mi tylko o jedną małą rzecz. O drobiazg, którego nikt nawet nie zauważy. Szukałem go krab-kamerami, posłałem najlepszych włamywaczy, ale nigdzie go nie ma. Więc pomyślałem sobie: „potrzebujemy naszego człowieka”. I oto jesteś. Powiedziałem załodze, że na Caulu możemy polegać.

– No i się pomyliłeś – odpowiedział Caul drżącym głosem. – Może do nich nie pasuję, ale nie jestem też już Zaginionym Chłopcem. Te czasy minęły. Nie okradnę Freyi. Zjeżdżajcie stąd. Nie powiem nikomu o waszej wizycie, ale będę miał oczy i uszy otwarte. Jeśli zobaczę myszkującą kamerkę, albo zauważę, że czegoś brakuje, opowiem Jeleniom wszystko, co o was wiem. I upewnię się, że będą na was czekać, kiedy znowu zaczniecie węszyć w Anchorage.

Odwrócił się i ruszył przez plażę, a potem przedarł się przez krzaki janowca dosłownie pół metra od kryjówki Wren. Słyszała, jak się przewrócił, wspinając na urwisko i zaklął szpetnie. Potem jego kroki ucichły.

– Caul! – zawołał Gargle niezbyt głośno, jakby krzyczał i zarazem szeptał. W jego głosie brzmiały uraza i rozczarowanie. – Caul! – powtórzył, a potem dał spokój i

pogrzył się w zadumie, przeczesując palcami włosy.

Wren zaczęła się odsuwać, ostrożnie i chicho, czekając, aż mężczyzna się odwróci i będzie mogła przekraść się między drzewami. Ale Gargle tego nie zrobił, tylko uniósł głowę, spojrzał prosto na nią i powiedział:

– Mam lepszy wzrok i słuch niż Caul. Możesz już się pokazać, przyjacielu.

3. PAJĄKOMOBIL „AUTOLIK”

Wren rzuciła się do panicznej, niezgrabnej ucieczki, ale zanim zdążyła odbiec trzy kroki, z ciemności po jej lewej stronie wyskoczył ktoś jeszcze, chwycił ją i przewrócił na ziemię.

– Caul! – zaczęła krzyczeć, ale czyjaś zimna dłoń zamknęła jej usta. Napastnik spojrzał na nią. Miał taką samą bladą twarz jak ten pierwszy, ale zasłaniała ją grzywa czarnych włosów. Podbiegł do nich człowiek z plaży. Błysnęła latarka – cienki, niebieski promyk światła, który ją oślepił. Zamrugła.

– Delikatnie – powiedział ten, którego nazywano Garglem. – Nie szarp jej. To kobieta. Młoda kobieta. Tak, jak myślałem.

Skierował światło latarki na siebie, żeby mogła go zobaczyć. Spodziewała się, że będzie w wieku Caula, ale okazał się młodszy.

– Jak masz na imię, młoda damo?

– Wr-Wren – wyjąkała. – Wr-Wren N-N-N-N-Natsworthy.

Kiedy Gargle’owi udało się odsiać nadmiarowe głoski, jego uśmiech stał się jeszcze szerszy i cieplejszy.

– Natsworthy? Nie jesteś chyba dzieckiem Toma Natsworthy’ego?

– To pan zna tatę? – spytała Wren. W głowie miała mętlik. Przez chwilę myślała, że tata też spotykał się po kryjomu z Zaginionymi Chłopcami w tej zatoczce. Dopiero potem

zrozumiała, że Gargle znał go z dawnych czasów, przed jej urodzeniem.

– Dobrze go pamiętam – powiedział mężczyzna. – Przez pewien czas gościliśmy go na pokładzie „Dżdżownicy”. To dobry człowiek. Twoja mama to pewnie ta jego dziewczyna, ta z blizną. Jak ona miała na imię... No tak, Hester Shaw. Zawsze uważałem, że Tom musi być wyjątkowo porządny, skoro pokochał kogoś takiego jak ona. Nie dba o wygląd zewnętrzny. Patrzy głębiej. To rzadka cecha wśród Jeleni.

– Co z nią zrobimy, Gar? – spytał chłopiec, który ją schwytał. Miał dziwnie miękki głos. – Nakarmimy rybki?

– Zabierzmy ją na pokład – odpowiedział Gargle. – Chciałbym poznać córkę Toma Natsworthy’ego.

Wren, która zdążyła się nieco uspokoić, znowu wpadła w panikę.

– Muszę wracać do domu! – pisnęła i chciała się odsunąć, ale Gargle wziął ją pod rękę.

– Chodź do nas na chwilę – wyjaśnił z miłym uśmiechem. – Naprawdę chcę z tobą porozmawiać. Wytłumaczę ci, dlaczego ukrywam się w waszym jeziorze jak złodziej. Właściwie to jestem złodziejem, ale chciałbym, żebyś usłyszała, co mam do powiedzenia, zanim podejmiesz decyzję.

– Jaką decyzję?

– Czy powiesz rodzicom i kolegom o tym, co widziałaś dzisiaj w nocy.

Wren pomyślała, że chyba mu wierzy, ale nie do końca. Przedtem nigdy nie musiała się zastanawiać, czy komuś wierzy. Uśmiech Gargle’a zbijał ją z tropu. Spojrzała na plażę. Woda między cyplami lśniła błękitem, jakby rozjaśniało ją

potężne światło bijące od dna. Jakiś potężny kształt wynurzył się na powierzchnię kilkanaście metrów od brzegu,

Za szopą Caula na poziomie technicznym od lat rdzewiał pająkomobil, który przywiózł go do do Anchorage. Nazywał się „Śrubodźdzownica”. Często bawiła się z dziećmi w chowanego między jego pajęczymi nogami. Śmieszyły ją płaskie stopy urządzenia i dwa okienka z przodu, które przypominały wyłupiaste oczy. Wtedy nie wiedziała, jak płynnie potrafi się poruszać pająkomobil w wodzie, jaki elegancki jest zarys jego kadłuba, gdy kroczy przez wodę ku plaży, a rozjarzona księżycem woda spływa z jego pancerza.

Ten mobil był mniejszy od „Śrubodźdzownicy”, a jego spłaszczony kadłub bardziej przypominał kleszcza niż pająka. Chyba był pomalowany w ciemne plamy kamuflażu, ale w świetle księżycy nie mogła tego dokładnie dostrzec. Przez wypukłe okienka widać było małego chłopca, który sterował urządzeniem. Jego twarz zniekształcały strumienie wody spływające po szkle. Zatrzymał mobil na skraju wody. Zaszumiała hydraulika, z kadłuba wysunął się pomost i zazgrzytał o kamyki na plaży.

– Pająkomobil zwany „Autolikiem” – powiedział Gargle, zapraszając ją gestem na pokład. – Duma floty Zaginionych Chłopców. Wejdz, proszę. Obiecuję, że nie zanurzymy się pod wodę, zanim wyjdiesz na plażę.

– A jeśli zjawi się tu więcej Jeleni? – spytał drugi z Zaginionych Chłopców, który wcale nie był chłopcem, tylko śliczną dziewczyną o pochmurnej twarzy. – A jeśli Caul podniesie alarm?

– Caul dał słowo, i to mi wystarcza – odpowiedział Gargle.

Dziewczyna, wcale nieprzekonana, spojrzała na Wren. Pod rozchyloną czarną kamizelką widać było kaburę pistoletu. Nie mam wyboru, pomyślała Wren. Muszę zaufać Gargle'owi. Kiedy to zrozumiała, bez oporu ruszyła po pochylni do zimnego, niebieskiego brzucha pająkomobila. Gdyby Gargle chciał ją zabić, zrobiłby to już na plaży.

Zaproszono ją do pomieszczenia, które było chyba prywatną kabiną Gargle'a. Draperie zasłaniały stalowe belki, na stole leżały książki i jakieś drobiazgi. Aromat tłętego się kadzidełka maskował metaliczno-pleśniowy zapach pająkomobila, sprawiając, że myśli Wren powędrowały w stronę eleganckich ludzi i odległych miejsc. Usiadła na krześle, a Gargle usadowił się na koi. W progu stanęła tamta dziewczyna, mierząc ich gniewnym spojrzeniem. Chłopczyk, którego widziała przez okno, stanął za dziewczyną, przyglądając się Wren wielkimi, zdziwionymi oczami, dopóki Gargle go nie upomniał:

– Na posterunek, Pulpet.

– Ale...

– Jazda!

Chłopiec zniknął. Gargle posłał Wren kwaśny uśmiech.

– Przepraszam cię. Pulpet to nowicjusz. Ma dziesięć lat i dopiero co opuścił Kleptorium. Nigdy jeszcze nie widział Jelenia poza ekranami krab-kamer. A ty do tego jesteś bardzo ładna.

Wren zaczerwieniła się i wbiła wzrok w pokład. Błotnista woda z jej butów utworzyła dwie kałuże na isfahańskich dywanach Gargle'a. Kleptorium to złodziejska szkoła Zaginionych Chłopców, przypomniała sobie. Porywano ich z niższych pokładów pływających miast jako maluchy, które

niczego jeszcze nie pamiętają, i zabierano do zatopionego miasta Grimsby. Tam szkolili się na złodziejasków. A krabkamery były mechanicznymi kamerami, którymi szpiegowano ofiary kradzieży. Panna Freya kazała im kiedyś w szkole zrobić cały projekt o Zaginionych Chłopcach. Wren myślała wtedy, że to bez sensu.

Gargle odezwał się do stojącej w drzwiach dziewczyny:

– Remora, naszemu gościowi jest chyba zimno. Przynies jej trochę gorącej czekolady, dobrze?

– Nie wiedziałam, że są też Zaginione Dziewczynki – powiedziała Wren, kiedy tamta wyszła.

– W Grimsby zaszło dużo zmian od czasu ostatnich odwiedzin Caula – odpowiedział Gargle. – Mówiąc między nami, Wren, teraz to właściwie ja rządę tą starą dziurą. Udało mi się pozbyć najgorszych łobuzów, którzy zastraszaali młodszych i byli gwardią Wujka. Poza tym w pewnym sensie przekonałem go, żeby przyjmował też dziewczynki. Życie bez nich wcale nie było fajne. Mają na nas doby wpływ. Cywilizują nas.

Wren spojrzała na drzwi. W małej kuchence tuż za nimi Remora hałaśliwie przestawiała naczynia.

– To jest twoja żona? – spytała. A potem, czując, że brzmi to strasznie sztywno, dodała: – Albo dziewczyna, albo coś w tym rodzaju?

Remora przeszła ją gniewnym spojrzeniem. Gargle odpowiedział:

– Mora? Skądże! Okazało się, że dziewczynki są o wiele lepszymi złodziejami niż chłopcy. Remora jest jednym z naszych najlepszych włamywaczy. Tak jak młody Pulpet jest

jednym z najlepszych mechaników, choć taki z niego maluch. Na tę misję zabrałem ze sobą najlepszych, Wren. Widzisz, w Anchorage jest pewna rzecz, która jest mi strasznie potrzebna. Widziałem ją wiele lat temu, kiedy kotwiczyłem pod miastem na „Dźdźownicy” razem z Caulem, ale jej nie ukradłem, bo myślałem że jest nic niewarta.

– Co to takiego? – spytała Wren.

Gargle nie odpowiedział od razu. Odczekał chwilę, obserwując jej twarz, jakby sprawdzał, czy może jej zaufać. Spodobało jej się to. Nie traktował jej jak dziecko, w odróżnieniu od większości dorosłych. Mówił o niej „młoda kobieta” i rzeczywiście traktował ją w ten sposób.

– Nienawidzę robić takich rzeczy – powiedział, wpatrując się w nią z napięciem. – Uwierz mi, naprawdę. Wolałbym otwarcie wpłynąć na „Autoliku” do waszego portu i powiedzieć: „To my, wasi przyjaciele z Grimsby. Potrzebujemy pomocy”. Miałem nadzieję, że Caul stanie się tu kimś ważnym. Gdyby tak się stało, może bym tak postąpił. Ale jest inaczej. Czy ktoś by nam tu zaufał? Jesteśmy Zaginionymi Chłopcami. Włamywaczami. Nigdy w życiu nie uwierzą, że potrzebujemy tylko jednej jedynej książki, która kurzy się w bibliotece waszej margrabiny.

Remora wróciła do kabiny i podała Wren cynowy kubek gorącej, smakowitej czekolady.

– Dziękuję – szepnęła Wren, zadowolona z tego przerywnika, bo nie chciała, żeby Gargle zauważył, jak bardzo wstrząsnęły nią jego słowa. Biblioteka panny Freyi była jednym z jej ulubionych miejsc: skarbcem wypełnionym dziesiątkami tysięcy cudownych, starych ksiąg. Dawno temu mieściła się na

górnym piętach Pałacu Zimowego, ale teraz nikt tam nie mieszkał, więc panna Freya powiedziała, że szkoda marnować ciepło na ogrzewanie tych sal tylko ze względu na książki. Bibliotekę przeniesiono zatem na dół.

– A więc dlatego nie możecie znaleźć tego, co chcecie! – wykrzyknęła. – Książki są teraz zupełnie gdzie indziej niż przedtem!

Gargle skinął głową i obdarzył ją pełnym podziwu uśmiechem.

– Racja – powiedział. – Nasze krab-kamery potrzebowałyby długich tygodni, żeby odnaleźć właściwy tom, a my nie mamy czasu do stracenia. Więc moje pytanie brzmi: Panno Natsworthy, czy zechciałabyś nam pomóc?

Wren właśnie pociągnęła łyk czekolady. W Anchorage zapasy tego napoju skończyły się wiele lat temu. Zdążyła zapomnieć, jak cudownie smakuje, ale gdy Gargle zadał jej pytanie, o mało co się nie zakrztusiła.

– Ja? – wybełkotała. – Przecież ja nie jestem włamywaczką.

– Wcale nie proszę, żebyś nią została – odpowiedział Gargle. – Twój ojciec to mądry człowiek. O ile dobrze pamiętam, jest zaprzyjaźniony z margrabiną. Założę się, że potrafiłabyś od niego wyciągnąć, gdzie jest ta książka. Wtedy powiedziałaś mi o tym, a ja posłałbym Remorę, żeby zrobiła resztę. Chodzi o Cynową Księżę.

Wren już miała odmówić, ale zawahała się, bo nigdy dotąd nie słyszała o tej książce. Spodziewała się pytania o jeden z bibliotecznych skarbów: o wielki, iluminowany wolumen *Opowieści o Lodowych Bogach*, albo o dzieło *Historia Anchoragia Wormwolda*.

– Po co komu cała książka o cynie? – spytała z głupia frant.

Gargle wybuchnął śmiechem, jakby powiedziała dobry dowcip.

– Nie jest o cynie – wyjaśnił. – Cała jest z cyny. Ma metalowe stronice.

Wren potrząsnęła głową. Nigdy nie natrafiła na coś takiego.

– Do czego jej potrzebujecie? – spytała.

– Jesteśmy włamywaczami. Właśnie się dowiedziałem, że jest bardzo cenna – odpowiedział.

– Wyobrażam sobie! Skoro przyjechaliście po nią z tak daleka...

– Są na świecie ludzie, którzy kolekcjonują takie rzeczy: stare książki i przedmioty. Możemy za nią dostać dużo potrzebnych nam rzeczy. – Gargle zawahał się, nie spuszczając z niej wzroku, a potem poprosił:

– Wren, zapytaj o nią swojego ojca. Nic więcej. On ciągle kręci się po muzeach i bibliotekach. Od kiedy go znam. Może wie, gdzie jest ta Księga.

Wren zastanawiała się nad tym, dopijając czekoladę. Gdyby poprosił ją o iluminowane *Opowieści* albo o jakieś cenne klasyczne dzieło, od razu by odmówiła. Ale jakaś tam książka z metalu, o której nikt nie wspominał, nie może być bardzo ważna, prawda? Pewnie nawet nikt nie zauważy jej zniknięcia. A Gargle’owi bardzo na niej zależało.

– Zapytam – powiedziała z wahaniem.

– Dziękuję! – Gargle ujął jej dłonie w swoje. Były ciepłe, a jego oczy spoglądały serdecznie. Wren pomyślała, jak miło byłoby opowiedzieć Tildy o tym, że nad ranem siedziała i piła czekoladę w kabinie przystojnego podwodnego pirata, a potem

przypomniała sobie, że nigdy nie będzie mogła opowiadać o spotkaniu z Garglem i o „Autoliku”. Ani Tildy, ani nikomu innemu. W pewnym sensie było to jeszcze ciekawsze. Nigdy przedtem nie miała własnych tajemnic.

– Spotkamy się w zagajniku na wzgórzu jutro, około szóstej – powiedział Gargle. – Czy to dobra godzina? Uda ci się wymknąć?

– O szóstej jemy kolację. Będą mnie szukać. Moja mama...

– W takim razie w południe. Albo chwilę później.

– Dobrze...

– A teraz... powiedz, czy chcesz, żeby Remora odprowadziła cię do domu?

– Sama trafię – odpowiedziała Wren. – Często chodzę po ciemku.

– Byłaby z ciebie dobra Zaginiona Dziewczynka – powiedział Gargle i zaśmiał się na znak, że to tylko żart. Wstał. Ona też się podniosła i razem wyszli na korytarz, a potem po trapie na plażę. Nowicjusz Pulpet przyglądał im się ze sterówki.

Na dworze było zimno. Świecił księżyc, a fale lizały piasek, jakby nic się nie zdarzyło. Wren pomachała ręką, pożegnała się i szybko przeszła przez plażę ku zaroślom.

Gargle obserwował ją, aż zniknęła z widoku. Remora podeszła i stanęła obok. Wsunęła dłoń w jego rękę.

– Ufasz jej? – spytała.

– Nie wiem. Chyba jednak warto spróbować. Nie mamy czasu na długie poszukiwania, a w tej dziczy krab-kamery na niewiele się zdadzą. Ci Jelenie nas pamiętają. Kiedy usłyszą tupot magnetycznych nówek w szybach wentylacyjnych, od razu zorientują się, o co chodzi. Ale nie przejmuj się. Powiem

Pulpetowi, żeby śledził okolice domu Wren, więc będziemy wiedzieli, czy mała puści komuś farbę.

– A jeśli to zrobi?

– Wtedy zabijemy wszystkich – odparł Gargle. – Pozwolę ci osobiście załatwić Wren tym twoim ślicznym scyzorykiem.

Pocałował ją, odwrócili się i wrócili na pokład. A Wren, nieświadoma niczego, poszła do domu. Od nadmiaru myśli kręciło jej się w głowie. Nie wiedziała, czy to z poczucia winy, czy z zadowolenia. Miała wrażenie, że przez tych kilka godzin dorosła bardziej niż przez ostatnich piętnaście lat.

4. LEGENDA O CYNOWEJ KSIĘDZE

Następnego dnia od rana była ładna pogoda. Niebo nad jeziorem lśniło czystym błękitem, woda była gładka jak szkło; odbijały się w niej wszystkie wyspy Winlandii. Zmęczona po nocnej eskapadzie Wren spała do późna, ale Anchorage obudziło się o zwykłej porze. Z kominów podniósł się dym, a rybacy pozdrawiali się, schodząc w dół na portową plażę.

Na północnym brzegu jeziora wznosiła się pasiasta góra, o wiele wyższa niż Martwe Wzgórza na południu. Do pewnej wysokości porastały ją zarośla i sosnowe lasy, dalej rozpościerały się strome łąki pełne dzikich kwiatów, a na jednej z nich pasy się sarny. Na zielonym brzegu było mnóstwo zwierzyny. Niektóre stada przepłynęły nawet przez wodę i osiedliły się na dzikszych wyspach. Często zastanawiano się, skąd się w ogóle wzięły: czy przetrwały upadek dawnego Imperium Ameryki, czy przywędrowały z lodowatych krain północy, czy też z zieleńszych połaci lądu na zachodzie. Ale Hester Natsworthy, która właśnie naciągała cięciwę w swojej kryjówce na zawietrznej, obchodziło tylko, czy będzie z nich dość mięsa do jedzenia.

Cięciwa zaśpiewała miękko. Sarny podskoczyły i ruszyły biegiem pod górę, by skryć się w zagajniku. Wszystkie, z wyjątkiem największej, która padła martwa, ze strzałą Hester w sercu. Tylko cienkie nogi drgały jeszcze chwilę. Hester

podeszła do niej i wyciągnęła strzałę. Wytarła grot pękiem suchej trawy, a potem wsunęła strzałę do kołczana. W świetle słońca krew wydawała się jasnoczerwona. Hester zanurzyła w niej palec i pomazała sobie czoło, mrużąc modlitwę do Bogini Łowów, żeby duch sarny jej nie prześladował. Potem zarzuciła sobie łup na ramię i ruszyła w dół, do łodzi. Jej ziomkowie z Winlandii rzadko polowali. Twierdzili, że ptaki i ryby dostarczają dość mięsa. Hester podejrzewała, że w rzeczywistości za bardzo wzruszała ich lśniącą sierść i duże, ciemne oczy saren. Hester była nieskora do wzruszeń, za to świetnie radziła sobie na łowach. Lubiła samotność i ciszę lasów o poranku, a czasem chciała po prostu znaleźć się z dala od Wren.

Ze smutkiem przypomniawszy sobie małą, roześmianą dziewczynkę, która pluskała się w wodzie przy brzegu, albo siadała matce na kolanach, przytulała się i słuchała jej śpiewu. To wszystko już się skończyło. Kiedyś, gdy Wren patrzyła na mamę z miłością i tłustymi paluszkami głaskała starą bliznę, która przecinała jej twarz, Hester wydawało się, że w końcu pojawił się ktoś, kto kocha ją bezwarunkowo, nie zwracając uwagi na jej wygląd. Wprawdzie Tom zawsze powtarzał, że nie dba o bliznę, ale Hester nigdy nie pozbyła się ukrytej obawy, że gdzieś, w głębi duszy, pragnie ładniejszej kobiety.

Tylko że Wren zaczęła dorastać. Kiedy miała osiem albo dziewięć lat, zaczęła patrzeć na Hester tak samo jak inni. Nie trzeba było słów: Hester dobrze znała to litościwe, zakłopotane spojrzenie i wyczuwała skrępowanie córki, kiedy szły razem i spotykały jej znajomych.

Córka zaczęła się jej wstydzić.

– To minie – odpowiedział Tom, kiedy mu się poskarżyła. Tom uwielbiał Wren i zawsze brał jej stronę. Przynajmniej tak się wydawało Hester. – Wkrótce z tego wyrośnie. Wiesz przecież, jakie są dzieci.

Hester wcale nie wiedziała, jakie są dzieci. Jej własne dzieciństwo skończyło się, kiedy była malutka, w chwili kiedy jej matka i człowiek, którego uważała za ojca, zginęli z ręki mężczyzny, który okazał się jej prawdziwym ojcem. Nazywał się Thaddeus Valentine. Nie miała pojęcia, jak to jest być zwyczajną dziewczynką. W miarę jak Wren dorastała i stawała się coraz bardziej nieposłuszna, a jej długi, zakrzywiony nos jej dziadka coraz bardziej rzucał się w oczy – jak nóż, którym przedziurawiono czyjś portret – Hester coraz trudniej było zdobyć się na cierpliwość. Parę razy pożałowała nawet, że Wren w ogóle się urodziła i że nie mogą wędrować z Tomem we dwójkę po podniebnych szlakach, jak dawniej. Kiedy się na tym przyłapała, ogarnęło ją poczucie winy.

Gdy Wren w końcu się obudziła, słońce stało już wysoko. Przez otwarte okno dochodziły okrzyki rybaków na plaży, śmiech dzieci, miarowe uderzenia siekiery, którą tata rąbał drewno na podwórku. W ustach miała wciąż posmak czekolady. Przez chwilę leżała spokojnie, z satysfakcją myśląc, że nikt z tych ludzi, których słyhać za oknem, i w ogóle nikt w całej Winlandii nie wie tego co ona. Potem wygramoliła się z łóżka i pobiegła do łazienki, żeby się umyć. Z pokrytego plamkami lustra nad umywalką spojrzała jej własna twarz: wąska, podłużna i inteligentna. Nienawidziła swojego haczykowatego nosa i krostek wokół za małych ust, ale za to lubiła duże, szeroko rozstawione oczy o ciemnoszarych

tęczówkach. Ojciec kiedyś jej powiedział, że ma oczy marynarza. Spodobało jej się to, choć nie wiedziała, co to znaczy. Zaczesała do tyłu miedziane włosy i przypomniała sobie, jak Gargle powiedział, że jest ładna. Nigdy przedtem nie myślała tak o sobie, ale teraz zobaczyła, że miał rację.

Zbiegła na dół. W kuchni nie było nikogo. Białe koszule mamy suszyły się na sznurze za oknem. Mama szalenie dbała o swoje ubranie. To było aż dziwne. Ubierała się jak mężczyzna, w rzeczy, które brała ze sklepów w Galerii Arktycznej, ale strasznie często je prała, prasowała i zabezpieczała przed molami. Tak, jakby porządne ubrania mogły sprawić, że ludzie zapomną o jej okropnej, przekreślonej blizną twarzy. Kolejny dowód na to, jaka jest beznadziejna, pomyślała Wren, nalewając sobie szklankę mleka z dzbanka stojącego w chłodziarce. Posmarowała miodem wczorajszy podpłomyk. W sumie miała niełatwe życie z taką dziwnie wyglądającą matką, choć jakoś sobie z tym radziła. Tata Tildy, stary pan Smew, mierzył niecały metr, ale jego rodzina pochodziła z Anchorage, więc nikt nie zwracał uwagi na jego wzrost. Z mamą było inaczej. Była taka niemiła, że ludzie nie mogli zapomnieć o jej okropnym wyglądzie i o tym, że pochodzi spoza miasta. Przez to Wren też czasem czuła się obco.

Może to właśnie tak ją pociągało w Zaginionych Chłopcach. Może Gargle dostrzegł w niej tę obcość i dlatego jej zaufał.

Wyszła na podwórko, chrupiąc podpłomyk i uważając, żeby nie uwaląć miodem koszuli. Tata układał gałęzie na pieńku i przerąbywał je siekierą na pół. Założył stary, słomkowy kapelusz, bo jego ciemne włosy jakoś nie chciały już mu rosnąć

na czubku głowy, i łysina czasem przypiekała się na słońcu. Na jej widok przestał rąbać i usiadł, przykładając dłoń do serca. Pomyślała, że chyba się cieszy, że może przestać pracować, i że ta stara rana pewnie mu znowu dokucza. Ale zapytał tylko:

– Wstałaś wreszcie?

– Nie, lunatykuję sobie – odpowiedziała, odsunęła nogą kilka patyków z drogi, podeszła i usiadła obok niego. Pocałowała go w policzek i oparła głowę na jego ramieniu. Pszczoły, brzęcząc, kręciły się wokół uli na końcu podwórka. Przysłuchiwała się im i zastanawiała, jak poruszyć temat Cynowej Księgi z Anchorage. W końcu postanowiła zapytać o coś innego.

– Tato, przypominasz sobie Zaginionych Chłopców?

Zrobił niespokojną minę, jak zawsze, kiedy pytała go o dawne czasy, i zaczął się bawić szeroką ślubną bransoletką z czerwonego złota, na której splatały się inicjały jego i mamy.

– Zaginionych Chłopców? – powtórzył. – Nie sposób o nich zapomnieć.

– Zastanawia mnie jedna rzecz. Czy oni byli źli?

– Znasz przecież Caula – odpowiedział. – Nie jest zły, prawda?

– Nie, ale jest trochę dziwny.

– Może i tak, ale to dobry człowiek. Gdybyś miała jakieś kłopoty, zawsze możesz się do niego zwrócić. Wiesz przecież, że to dzięki niemu znaleźliśmy to miejsce. Gdyby nie uciekł z Grimsby i nie przywiózł nam mapy Snøri Ulvaeussona...

– Och, znam to na pamięć – przerwała. – Nie pytam o Caula, tylko o innych, tych z Grimsby. To byli źli ludzie, prawda?

Tom potrząsnął głową.

– Ich przywódca, Wujek, był raczej nieprzyjemny. Zmuszał

ich do robienia złych rzeczy. Ale mnie się zdaje, że sami Zaginieni Chłopcy to taka mieszanka złego i dobrego, jak wszędzie. Pamiętam, że był wśród nich taki maluch, Gargle. Uratował Caula, kiedy Wujek chciał go zabić, i dał Caulowi tę mapę dla nas.

– Był równie dzielny jak Caul?

– W pewnym sensie tak.

– Znałeś go? Ile miał lat?

– To był dzieciak, tak jak mówiłem – odpowiedział ojciec, wracając myślą do krótkiego, straszego pobytu wśród Zaginionych Chłopców. – Dziewięć albo dziesięć. A może był młodszy.

Wren się ucieszyła. Jeśli Gargle był dziewięciolatkiem w czasach, kiedy znał go tata, to teraz miał najwyżej dwadzieścia pięć lat, czyli nie był dużo starszy od niej. I był dobrym człowiekiem, który pomógł uratować Anchorage.

– Skąd ta nagła ciekawość? – spytał ojciec.

– Och, sama nie wiem – odpowiedziała niezobowiązująco. Dziwnie się czuła, kłamiąc tacie. Przecież kochała go najbardziej na świecie. Zawsze traktował ją jak przyjaciółkę, nie jak dziecko, a ona zawsze wszystko mu mówiła. Miała wielką ochotę opowiedzieć mu, co się jej przydarzyło na północnym brzegu, i spytać, co powinna zrobić. Ale przecież nie mogła. To byłoby nie fair wobec Gargle'a.

Tata dalej spoglądał pytająco, więc odpowiedziała:

– Myślałam o nich ostatnio, i tyle.

– Dlatego, że są chłopcami, czy dlatego, że zaginęli?

– Zgadnij. – Skończyła podpłomyk i wycisnęła lepki pocałunek na jego policzku. – Idę do Tildy. Pa!

Wyszła boczną furtką i przecięła Skwer Psiej Gwiazdy. Słońce rozjaśniało jej włosy, a Tom patrzył za nią, aż zniknęła za rogiem, dumny ze swojej wysokiej, pięknej córki. Minęło już tyle lat, a jego wciąż zdumiewało, że razem z Hester zrobili tę zupełnie nową osobę.

Bezprzewodowa krab-kamera ukryta w cieniu za stosem drewna podniosła na niego soczewkę. Jego obraz zamigotał na okrągłym, niebieskim monitorze zainstalowanym w podwodnej grocie na jednej z małych wysepek.

– Mało brakowało, a by nas wydała! – wykrzyknął chłopiec zwany Pulpetem. – Przecież on się domyśli!

Gargle poklepał go po ramieniu.

– Nie ma strachu. Natsworthy jest tak samo głupi jak oni wszyscy. Nic nie podejrzewa.

Wren dziarsko maszerowała w stronę domu Smewów, ale nie weszła w bramę. Doskonale wiedziała, że o tej porze roku Tilda z całą rodziną zbiera od rana jabłka w sadzie. Nawet obiecała, że im pomoże. Nie mogła przecież przewidzieć, że będzie miała coś ważniejszego do roboty, prawda?

Skróciła sobie drogę przez Arktyczną Galerię, spoglądając na swoje odbicie w zakurzonych sklepowych szybach, potem pobiegła aleją Rasmussenów i wspięła się na rampę prowadzącą do Pałacu Zimowego. Latem wielkie frontowe drzwi były zawsze otwarte.

Wbiegła do środka i zawołała:

– Panno Freyo?!

Ale odpowiedziało jej tylko echo jej własnego głosu,

odbijającego się od wysokich sufitów. Wyszła na zewnątrz i obeszła pałac zwirowaną ścieżką. Panna Freya była w ogrodzie. Zbierała fasolę do koszyka.

– Wren! – zawołała wesoło.

– Dzień dobry panno Freyo!

– Po prostu Freyo, dobrze? – poprawiła ją nauczycielka i postawiła koszyk na ziemi. Czasem można było odnieść wrażenie, że celem życia panny Freyi jest przekonanie wszystkich, żeby nazywali ją „po prostu Freyą”. Zupełnie jej się to nie udawało. Starsi mieszkańcy osady wciąż pamiętali, że jest ostatnią z rodu Rasmussenów i tytułowali ją „margrabiną”, „Waszą Promienistością” albo „Zorzą Śnieżnych Pól”. Młodszy widzieli w niej swoją nauczycielkę, więc zawsze była dla nich „panną Freyą”.

– Nie jesteś już uczennicą – powiedziała panna Freya z uśmiechem, ocierając pot z twarzy chusteczką. – Jak dobrze pójdzie, niedługo będziemy przecież koleżankami. Zastanowiłaś się już, czy chcesz mi pomagać i uczyć maluchy, kiedy skończą się zbiory jabłek?

Wren nie miała ochoty składać obietnic, ale przybrała wyraz twarzy, który mówił, że podoba jej się ten pomysł. Bała się, że jeśli zgodzi się pomagać w szkole, to skończy jak panna Freya – miła stara panna z nadwagą.

Szybko zmieniła temat.

– Mogę zajrzeć do biblioteki?

– Oczywiście! – odpowiedziała panna Freya zgodnie z jej przewidywaniami. – Nie musisz pytać! Szukasz czegoś konkretnego?

– Książki, o której kiedyś wspomniał mi tata. Cynowej Księgi.

Wren zarumieniła się przy tych słowach, bo nie przywykła do kłamstw, ale panna Freya nic nie zauważyła.

– Tej staroci? – spytała. – Właściwie to nie jest nawet książka, tylko kuriozum. Jedna z rzeczy przekazywanych z pokolenia na pokolenie w rodzinie Rasmussenów.

Poszły razem do biblioteki. Trudno się dziwić, że Zaginieni Chłopcy potrzebowali pomocy, pomyślała Wren. Olbrzymia sala była od podłóg do sufitu zastawiona półkami pełnymi książek, poustawianych według osobistego systemu katalogowego panny Freyi. Spłowiałe stare powieściidła Chung-Mai Spofforth i Rifki Boogie stały obok drewnianych pudełek zawierających cenne starożytne zwoje i grimoiry. Tytuły ksiąg wypisano na grzbietach drobnym, pozłacanym pismem, ale wiele z nich spłowiało albo się wytarło. Zresztą Zaginieni Chłopcy pewnie nie należeli do wprawnych czytelników. Biedni włamywacze, pewnie nie wiedzieli nawet od czego zacząć!

Panna Freya przysunęła schodki, żeby sięgnąć do jednej z najwyższych półek. Była o wiele za gruba, żeby wspinać się na te chwiejne drabinki, ale tylko ona wiedziała dokładnie, czego szuka. Zresztą, za chwilę była już na dole, zarumieniona z wysiłku. Trzymała w dłoniach pudełko z herbem Rasmussenów inkrustowanym kością narwala na grzbiecie.

– Zobacz – powiedziała, otwierając je kluczem, który zdjęła z haczyka wiszącego obok na ścianie.

Wewnątrz, na silikonowym jedwabiu, leżała opisana przez Gargle'a księga. Była mniej więcej dwadzieścia centymetrów długa i piętnaście szeroka i rzeczywiście składała się z dwudziestu arkuszy cyny połączonych zardzewiałym drutem.

Arkusze były grube, pokryte rdzą i pozaginane na krawędziach, żeby czytelnicy nie kaleczyli sobie palców o ich ostre brzegi. Na wierzchu ktoś wydrapał koło z orłem w środku. Koło otaczały jakieś litery. Pod spodem też coś napisano, ale znaki tak się wytarły, że Wren nie mogła ich odczytać. Pozostałe arkusze lepiej oparły się czasowi. Pokrywały je długie rzędy liter, cyfr i symboli, pracowicie wydrapane na powierzchni i wciąż jeszcze widoczne. Trudno było jednak powiedzieć, co oznaczają. Czytelna była jedynie wyblakła kartka papieru przyklejona do tylnej okładki, ostemplowana godłem Anchorage i słowami *Ex Libris Rasmussen*.

– Niezbyt porywająca, prawda? – spytała panna Freya. – Ale jest podobno bardzo stara. Według legendy, którą cytuje historyk Wormwold w dziele *Historia Anchoragia*, dawno temu, w tych strasznych czasach, które nastąpiły po wojnie sześćdziesięciminutowej, mieszkańcy Anchorage byli uciekinierami. Podróżowali flotyllą przeciekających łodzi po północnych morzach, szukając miejsca, gdzie mogliby odbudować swoje miasto. Kiedyś natrafili na opuszczony wrak łodzi podwodnej. Cała załoga umarła na zarazę albo chorobę popromienną, z wyjątkiem jednego konającego marynarza, który dał ten dokument mojej praprababce Dolly Rasmussen i kazał go chronić za wszelką cenę. Więc zachowała tę księgę, którą przekazywano potem z matki na córkę w naszej rodzinie, aż papier zaczął rozsypywać się w proch. Wtedy zrobiono kopię, ale ponieważ w owych czasach papier był rzadkością, spisano ją na starych cynowych puszkach, rozgniecionych na płask. Naturalnie, kopiści tyle rozumieli z

tego tekstu, co i my. Ale sam fakt, że pochodzi sprzed wojny, z bezpowrotnie utraconego świata, czyni ją świętością.

Wren przewracała metalowe karty, a drut, którymi były połączone, zgrzytał i skrzypiał do wtóru. Próbowwała wyobrazić sobie starożytnego skrybę, który pracowicie rył w metalu te symbole, pewnie przy świeczce z tłuszczu foki, w ciemnościach zimy, która trwała całe wieki. Kopiował kolumnę za kolumną, rozpaczliwie starając się zachować cząstkę świata, który zniszczyła wojna.

– Do czego to służy? – spytała. – Dlaczego tamten człowiek z łodzi podwodnej uważał, że to jest takie ważne?

– Nikt tego nie wie, Wren. Może umarł, zanim zdążył powiedzieć wszystko do końca, a może zostało to zapomniane. Cynowa Księga jest jedną z wielu tajemnic, jakie pozostały po Starożytnych. Wiemy tylko, że pośród liczb wielokrotnie występuje imię starożytnego boga Odyna. Więc może to być tekst religijny. Aha, a ten obrazek na początku to kopia pieczęci prezydenta Imperium Ameryki.

Wren przyjrzała się krytycznie sylwetce orła.

– Raczej przypomina jakiegoś ptaka.

Panna Freya wybuchnęła śmiechem. Była taka piękna, gdy stała w powodzi słonecznego światła, wpadającego przez okna biblioteki: potężna i złocista jak sama Bogini Ziemi. Wren ją kochała i było jej wstyd, że chce ją okraść. Zadała jeszcze kilka pytań na temat Księgi, ale odpowiedzi mało ją obchodziły. Oddała ją najszybciej, jak tylko mogła, i zostawiła pannę Freyę w ogrodzie, obiecując że niedługo wróci porozmawiać o nauczaniu.

Dzień mijał szybko, a cień Pałacu Zimowego przesuwał się po zardzewiałych pokładach miasta, gdy słońce wznosiło się coraz wyżej na niebo. Niedługo trzeba będzie ruszyć na spotkanie z Garglem. Wren ogarniało coraz większe zdenerwowanie. Choć był taki przystojny, odważny i szarmancki, choć miała ochotę pomóc Zaginionym Chłopcom, nie powinna okradać ludzi, których znała przez całe życie. Prędzej czy później zorientują się, że Cynowej Księgi nie ma w bibliotece, a wtedy panna Freya przypomni sobie, że Wren o nią wypytywała. Wtedy wszystko się wyda. Czym w ogóle była ta Cynowa Księga? Dlaczego Gargle tak bardzo chciał ją mieć? Wren nie była głupia. Wiedziała, że w starożytnych dokumentach można było czasem znaleźć bardzo niebezpieczne wskazówki. Tata kiedyś jej powiedział że Londyn, miasto w którym się urodził, zostało całkowicie zniszczone przez urządzenie, które nazywało się MEDUSA. A jeśli w Cynowej Księdze są wskazówki, jak zbudować inne takie urządzenie, a Gargle dowiedział się, jak je odczytać?

Dotarła do południowego skraju Anchorage i zeszła na plażę po wytartych od ciągłego używania rybackich schodkach. Usiadła w cieniu starego, zardzewiałego gąsienicowego ciągnika i zamyśliła się, nie wiedząc, co robić. Jej wielka tajemnica, która jeszcze niedawno była tak emocjonująca, zaczynała jej ciążyć. Chętnie by się z niej komuś zwierzyła. Ale komu? Na pewno nie tacie, mamie ani pannie Freyi. Przeraziliby się na myśl o tym, że do Winlandii zawitali Zaginieni Chłopcy. Tildy też pewnie wpadłaby w panikę. Ciekawe, co by zrobił Nate Sastrugi, gdyby opowiedziała mu to

wszystko i poprosiła o pomoc. Ale teraz, kiedy poznała Gargle'a, Nate Sastrugi nie wydawał jej się już tak przystojny. Był tylko chłopcem, dość powolnym i tępym. Nie znał się na niczym, oprócz rybołówstwa.

Nie zauważyła wiosłowej łódki zbliżającej się do plaży, dopóki nie wyskoczyła z niej matka, wołając:

– Wren? Co tu robisz? Chodź mi z tym pomóc.

„To” okazało się nieszczęsną sarenką, martwą, z dziurą w piersi. Mama wyciągnęła ją z łodzi i chciała zanieść aż na Skwer Psiej Gwiazdy, poćwiartować i zasolić na zimę. Wren wstała i ruszyła ku niej, ale nagle zauważyła, że słońce stoi już bardzo wysoko.

– Nie mogę! – zawołała.

– Co takiego?

– Muszę się z kimś zobaczyć.

Hester położyła sarnę na piasku i popatrzyła na Wren.

– Z kim? Pewnie z tym chłopakiem Sastrugich?

Wren wcale nie zamierzała zaczynać kolejnej kłótni, ale matka odezwała się takim tonem, że nie wytrzymała.

– A czemu nie? – spytała. – Czemu mam się z nim nie spotykać? Nie chcę być taka nieszczęśliwa jak ty. Nie jestem już dzieckiem. Może ty się nie podobałaś chłopcom, kiedy byłaś w moim wieku, ale...

– Nie uwierzysz, co ja widziałam, kiedy byłam w twoim wieku – przerwała jej mama cichym, groźnym głosem. – Przekonałam się, do czego ludzie są zdolni. Dlatego tata i ja tak się tobą opiekujemy i staramy się, żebyś była bezpieczna.

– Och, przecież jestem całkiem bezpieczna – odparła Wren z goryczą. – Co mi się może stać w Winlandii? Przecież tu się

nigdy nic nie dzieje. Zawsze mnie straszycie tymi okropnymi czasami i opowiadacie, jakie mam szczęście w porównaniu z wami, ale idę o zakład, że wasze życie było o wiele ciekawsze od tego! Tata też tak myśli, jestem tego pewna! Widziałem, jak patrzy na zdjęcie tego waszego starego sterowca. Kochał tamten świat, kochał latać. Założę się, że dalej by to robił, gdybyś go tu do siebie nie przykuła.

Wtedy mama ją uderzyła. To był błyskawiczny, mocny cios otwartą dłonią. Kiedy Wren obróciła głowę, ślubna bransoleta mamy drasnęła ją w policzek. Pierwszy raz w życiu ktoś ją tak uderzył, nie licząc klapsów w dzieciństwie. Twarz ją paliła, a kiedy dotknęła jej dłonią, zobaczyła na palcach kropelki krwi. Chciała coś powiedzieć, ale mogła tylko spazmatycznie chwytać powietrze.

– Już dobrze – powiedziała mama szorstko. Była tak samo wstrząśnięta jak Wren. Wyciągnęła dłoń, żeby dotknąć jej twarzy, tym razem delikatnie, ale Wren odwróciła się jak fryga i pomknęła plażą, w chłodny cień rzucany przez miasto, a potem na pastwiska. Słyszała za sobą gniewny głos matki krzyczącej: „Wren! Wracaj natychmiast!” Trzymała się lasu, żeby nie widzieli jej ludzie zbierający jabłka w sadach i biegła, wciąż dalej i dalej, nie myśląc nawet dokąd, aż zapłakana i zdyszana dotarła do gruzowiska na szczycie wyspy. Tam, gdzie czekał na nią Gargle.

5. WIEŚCI ZZA MORZA

Był bardzo miły i czuły. Posadził ją na porośłym mchem kamieniu, zdjął z szyi chustkę, żeby wytrzeć jej twarz i trzymał ją za rękę, aż uspokoiła się na tyle, by móc rozmawiać.

– Co się stało, Wren? Coś złego?

– Nic takiego. Naprawdę. Tylko mama... Nic poza tym. Nienawidzę jej.

– Tylko ci się tak wydaje. Ja to wiem. – Gargle ukląkł obok niej. Od kiedy ją zobaczył, nawet na chwilę nie odwrócił wzroku od jej twarzy, a jego oczy, za tymi ciemnymi, niebieskimi okularami, były przyjazne, pełne troski i niepokoju. – Masz szczęście, że jesteś z mamą – powiedział. – My wszyscy zostaliśmy porwani z domu, kiedy byliśmy bardzo mali. Żaden Zaginiony Chłopiec nie wie, kim są jego rodzice, chociaż czasami widzimy ich we snach i marzymy, żeby się z nimi spotkać. To byłoby cudowne. Myślę, że mama ostro cię traktuje tylko dlatego, że się o ciebie martwi.

– Nie znasz jej – odpowiedziała Wren i wstrzymała oddech, żeby pozbyć się czkawki. Potem powiedziała: – Widziałam tę książkę.

– Cynową Księgę? – Gargle był wyraźnie zaskoczony, jakby tak się zmartwił kłopotami Wren, że zupełnie zapomniał, po co w ogóle przypłynął do Winlandii. – Dziękuję! To, co tobie udało się w jedno przedpołudnie, naszej załodze zajęłoby tydzień

albo dłużej. Gdzie ona jest?

– Nie wiem – odpowiedziała. – To znaczy, nie wiem, czy powinnam ci to mówić. Najpierw ty mi powiedz, co to w ogóle jest. Poznałam jej historię, ale... Panna Freya opowiedziała mi jej historię, ale... Po co ktoś jej potrzebuje? Co z nią zrobi?

Gargle wstał, odszedł kawałek i zapatrzył się w niebo widoczne między sosnami. Wyglądał na rozgniewanego. Przestraszyła się, że go uraziła, ale kiedy znowu się do niej odwrócił, był tylko zasmucony.

– Mamy kłopoty, Wren – zaczął. – Słyszałaś o profesorze Pennyroyalu?

– Oczywiście – odpowiedziała. – To on postrzelił mojego tatę i mało brakowało, a wykończyłby całe Anchorage. A potem ukradł sterowiec mamie i tacie i odleciał nie wiadomo gdzie.

– Napisał nawet o tym książkę – odpowiedział Gargle. – Nazwał ją *Złoto drapieżcy*. Opisuje w niej „pasożytniczych piratów” – tak nas nazwał! Według niego przyplływamy pod lodem i włamujemy się do miast. W książce są same bzdury, ale rozeszła się jak świeże bułeczki w miastach, z których żyliśmy. Kupowali ją i w pływających miastach-tratwach na północnym Atlantyku, i w tych, które poruszają się po lodzie. Wszyscy zaczęli instalować alarmy antywłamaniowe starożytnych i każdego dnia sprawdzać, czy na kadłubach nie ma pasożytów. Nie sposób zakotwiczyć tam pająkomobila na dłużej.

Ach, ten profesor Pennyroyal. Wren całe życie słuchała opowiadań o jego podłości. Widziała długą bliznę w kształcie litery L na piersi taty. Zrobiła ją pani Scabious, żeby wyciągnąć kulę. A teraz okazuje się, że Zaginieni Chłopcy też są jego

ofiarami!

– Ale to nie tłumaczy, po co potrzebujecie Cynowej Księgi! – odpowiedziała.

– Musimy wysyłać pająkomobile coraz dalej na południe – wyjaśnił. – Na Morze Środkowe i Ocean Południowy, gdzie pływające miasta jeszcze się przed nami nie pilnują. W każdym razie, do niedawna. Od zeszłego lata zaczęliśmy tracić pająkomobile. Wypływały na południe i znikaly. Bez żadnej wiadomości, bez sygnału o zagrożeniu. Bez śladu. Myślę, że jedno z tych miast zdobyło jakieś urządzenie, które powiadamia je, że się zbliżamy i zatapia pająkomobile albo je przejmuje. Jeżeli bierze do niewoli chłopaków i ich torturuje, w końcu któryś się wygada i...

– Wtedy mogą zaatakować Grimsby?

– Właśnie. – Gargle spojrział na nią z namysłem, jakby cieszył się, że wybrał jako powiernicę taką mądrą, pojętną dziewczuszkę. Znowu ujął jej dłoń.

– Potrzebujemy czegoś, żeby Jelenie znowu zostały daleko za nami, Wren. Dlatego tak mi zależy na Cynowej Księdze.

– Ale w niej są same liczby – odpowiedziała. – Wzięli ją z jakiejś starej amerykańskiej łodzi podwodnej...

– I o to chodzi. Starożytni mieli łodzie podwodne o wiele bardziej zaawansowane niż wszystko, czym my dysponujemy. Łodzie wielkości miast, które mogły okrążyć cały świat bez wynurzenia się, żeby odświeżyć powietrze. Gdybyśmy uzyskali dostęp do takich rozwiązań, na zawsze przestalibyśmy się obawiać Jeleni. Wprawilibyśmy Grimsby w ruch i nigdy nas by nie znaleźli.

– Uważasz więc, że w Księdze są plany łodzi podwodnych?

– Niekoniecznie. Ale mogą tam być różne poszlaki, które naprowadzą nas na ich zasady działania. Proszę cię, Wren, zdradź mi, gdzie ona jest.

Wren potrząsnęła głową.

– Panna Freya i reszta mieszkańców wcale nie są tacy straszni jak mówisz. Chodź ze mną do miasta. Powiedz, kim jesteś. Pytałam tatę o ciebie. Powiedział, że pomogłeś uratować Winlandię. I że Pennyroyal skrzywdził cię tak samo jak nas. Podejrzewam, że panna Freya chętnie odda ci tę księgę w prezencie.

Gargle westchnął.

– Chętnie bym tak zrobił. To byłoby najlepsze. Ale to wszystko wymaga czasu. Musiałbym za dużo wyjaśniać i przełamać nieufność wszystkich mieszkańców. To potrwa, a w międzyczasie możemy stracić kolejne pająkomobile i ktoś może już namierzyć Grimsby. Przykro mi, Wren. Musimy zrobić to po swojemu. Powiedz mi, gdzie jest ta książka. Wykradniemy ją w nocy i znikniemy. A kiedy ją dostaniemy i Grimsby znów będzie bezpieczne, może uda mi się tu wrócić otwarcie, żeby zaprowadzić pokój i przyjaźń między naszymi miastami.

Wren odbiegła między drzewa, aż do miejsca, z którego było widać panoramę Anchorage. Nie uwierzyła w te bajki o powrocie. Chciał jej tym poprawić samopoczucie i tyle. Nigdy tu nie wróci. Po co miałyby przyplływać do takiej dziury, skoro cały świat stoi przed nim otworem? Świat pełen miast, które pływają, latają i pełzają po ziemi, pod szerokim niebem pełnym sterowców. Gargle będzie tam już wkrótce, a ona może tylko liczyć na to, że w przyszłości zostanie asystentką panny

Freyi i umrze z nudów i ze starości w tym samym Anchorage, gdzie się urodziła. Albo – jeśli mama się zgodzi – pewnego dnia zostanie żoną Nate’a Sastrugi i będzie miała całe stadko nudnych dzieciaków.

– Wren – odezwał się z tyłu.

– Nie – odpowiedziała. – Odwróciła się do niego, starając się ukryć drżenie głosu. – Nie powiem ci, gdzie jest książka. Sama ją ukradnę i przyniosę ci jeszcze tej nocy. A potem odpłynę z wami. – Zaśmiała się i szerokim gestem ręki objęła Anchorage, jeziora, wzgórza na horyzoncie i cały Martwy Kontynent.

– Nienawidzę tego miejsca. Stało się dla mnie za małe. Chcę wyruszyć z wami. Chcę zobaczyć Grimsby, Teren Polowań, mobilne miasta i ptasie szlaki. Taka jest moja cena. Przyniosę ci Cynową Księgę pod warunkiem, że weźmiecie mnie ze sobą.

6. BUDOWNICZOWIE NOWEGO ŚWIATA

Doktor Zero traktowała swoją pracę z powagą. Często siedziała nad nią do późna w noc, kiedy Fabryka Łowców pustoszała i cichła. Jej zręczne palce majstrowały wewnątrz klatki piersiowej Shrike'a albo przy jego otwartym mózgu. Pracując, rozmawiała z nim, żeby uaktualnić wiedzę, której brakowało mu po długich latach spoczynku w grobie. Opowiadała mu o tym, jak konserwatywna frakcja zwana Zieloną Burzą przejęła władzę wśród antymobilistycznych narodów dawnej Azji i Północy i o jej długiej wojnie z ruchomymi miastami. Opowiadała mu też o nieśmiertelnej przywódczyni, Łowczyni Fang.

– ŁOWCZYNI? – zapytał zdziwiony. Przywykł już do Łowców Zielonej Burzy: bezmyślnych istot bez twarzy, które nie potrafiły nawet naładować się same. Już po kilku dniach w akcji trzeba było wyjmować im akumulatory i zastępować je nowymi. Bardzo pracochłonna czynność. To przez nich nieumarli mieli taką złą opinię. Nie wyobrażał sobie, że jedna z tych istot mogłaby dowodzić armią.

– Och, Łowczyni Fang jest zupełnie inna – uspokoiła go doktor Zero. – Jest piękna i genialna. Ma mózg Starożytnych, taki sam jak twój, i mnóstwo wyjątkowych aplikacji. To wszystko w ciele Anny Fang, sławnej wojowniczkii naszej Ligi. Chodzi o to, żeby ludzie myśleli, że powróciła z martwych i

teraz dowodzi nami w szlachetnej walce z barbarzyńcami.

Myśl o wojnie obudziła w mózgu Łowcy Shrike'a głęboko ukryte instynkty. Napiął mięśnie dłoni, ale ku jego zdziwieniu nie wysunęły się ukryte szpony.

– Wymontowałam je – powiedziała doktor Zero.

– JAK MAM WALCZYĆ BEZ BRONI? – zapytał.

– Panie Shrike – odpowiedziała. – Gdybyśmy potrzebowali kolejnego zwalistego, bojowego Łowcy, sama bym go zbudowała. Nie brak nam martwych ciał do poddania rewitalizacji. Ale pan jest antykiem, o wiele bardziej skomplikowanym niż wszystko, co potrafimy skonstruować. Pan nie jest rzeczą, pan jest osobą.

Dotknęła jego bezbronnej dłoni.

– To była miła odmiana: praca nad Łowcą, który nie będzie po prostu kolejnym zwykłym żołnierzem.

Wylądował ich sterowiec, „Smutek Wszechrzeczy”, żeby zabrać Shrike'a do Kwatery Głównej.

Stał u boku doktor Zero na pokładzie gondoli obserwacyjnej, gdy lecieli na zachód nad wysokimi, ośnieżonymi szczytami, a potem nad równinami wschodnich Terenów Polowań, które obecnie stanowiły terytorium Zielonej Burzy. Tu i ówdzie widać było rdzewiejące w trawie wraki ruchomych miast.

– Opanowaliśmy te tereny w pierwszych tygodniach wojny, niemal czternaście lat temu – wyjaśniła doktor Zero, jak zwykle korzystając z okazji, by rozszerzyć wiedzę swego pacjenta. – Z początku barbarzyńcy zostali kompletnie zaskoczeni atakiem naszych napowietrznych oddziałów z

górkich baz. Spychaliśmy przerażone miasta na zachód, a te, które odważyły się zawrócić i walczyć, rozbijaliśmy w drobny mak. Ale miasta powoli zaczęły się łączyć w grupy dla obrony. Związek niemieckojęzycznych miast przemysłowych – *Traktionstadts-gesellschaft* – powstrzymał naszą ofensywę na zachód i zepchnął nas z powrotem na Rdzawe Bagna, a zbieranina słowiańskich mobilnych miast zaatakowała nasze osady na Kamczatce i w Altai Shan. Od tego czasu trwa pat. Czasem przesuwamy się na zachód i niszczymy kilka miast, czasem oni wdzierają się na wschód i niszczą nasze forty albo farmy.

Krajobraz pod nimi znowu się zmienił: ziemia była spalona i zryta po niedawnych walkach. Olbrzymie kraterki po wybuchach lśniły jak lusterka wszyte w błotnisty koc. Z tej wysokości olbrzymie ślady gąsienic wrogich miast wyglądały niemal identycznie jak sieć fortyfikacji i okopów Zielonej Burzy.

– Mówią, że na nowo odkrywamy świat zielenią – westchnęła doktor Zero. – Ale tak naprawdę obracamy go w błoto...

Okazało się, że Kwatera Główna to zdobyte ruchome miasto. Niewielka, czteropoziomowa konstrukcja tkwiła nieruchomo na zboczu wzgórza, blisko północnego krańca Rdzawych Bagien. Poskręcane, zdemontowane gąsienice leżały w błocie otaczającym osadę. Koła i niższe poziomy były wypalone i zrujnowane, ale na wyższych pokładach migotały przyćmione światła. Zmierzchało. Z prowizorycznych lądowisk startowały wojenne sterowce, w ich miejsce lądowały inne, a nad

zrujnowanymi dachami krążyły stada ptaków. Shrike podziwiał inteligencję, z jaką zmieniały tor lotu, unikając sterowców, do momentu kiedy „Smutek Wszechrzeczy” nie minął z bliska jednego z tych stworzeń. Przekonał się wtedy, że to nie zwierzęta, tylko latający Łowcy o oczach, w których płonęło takie same zielone światło jak w jego. Zamiast dziobów i szponów zamontowano im metalowe ostrza. W dole, na drogach wyrównanych buldożerami wśród bagien, maszerowali inni Łowcy. Niektórzy w ludzkiej postaci, inni przypominający krocionogie, opasłe pająki.

– ZIELONA BURZA MA DUŻO ŁOWCÓW – skomentował.

– Bo Zieloną Burzę czeka jeszcze wiele walk na drodze do zwycięstwa – odparła doktor Zero.

„Smutek Wszechrzeczy” wylądował na placu pod murem miejskiego ratusza. Czekał tam na nich nieduży, łysy staruszek w szatach podszytych futrem. Krzywił się nerwowo za każdym razem, gdy na bagnach na zachodzie rozlegały się wystrzały. Za to na widok Shrike’a schodzącego po trapie sterowca uśmiechnął się szeroko.

– Shrikuś! Jak to miło widzieć cię znów na chodzie! Przypominasz mnie sobie? Byłem jednym z asystentów Twixiego. Pomagałem staruszkowi cię badać, w dawnych dobrych czasach w Londynie.

Mózg Shrike’a, który niegdyś potrafił przechowywać wizerunki dziesięciu tysięcy twarzy śmiertelników, teraz pamiętał tylko doktor Zero i kilku techników z Fabryki Łowców. Przyjrzał się pożółkłym zębom starego człowieka, pomarszczonemu czołu z wytatuowanym czerwonym kołem, krzaczastym brwiom, a potem odwrócił się do doktor Zero jak

dziecko, szukające pewności u matki.

– To doktor Popjoy – powiedziała półgłosem. – Założyciel Korpusu Rewitalizacji i osobisty chirurg-mechanik naszej natchnionej przywódczyni.

Potem zwróciła się z wyjaśnieniami do swojego przełożonego:

– Doktorze Popjoy, obawiam się że Shrike zachował bardzo niewiele wspomnień ze swojego poprzedniego wcielenia. Przechowująca je część mózgu uległa poważnym zniszczeniom. Nie dałam rady ich odblokować.

– Jaka szkoda – odpowiedział z roztargnieniem. – Miło byłoby pogadać o dawnych, dobrych czasach. Ale może to i lepiej.

Dwukrotnie obszedł Łowcę dookoła, poklepał nowy, lśniący pancerz Shrike'a, a potem uszczypnął osłonę przewodów przy głowie.

– Znakomicie, kochaneczko! – zaśmiał się cicho. – Doskonała robota. Sam nie wymyśliłbym tego lepiej!

– Pragnę tylko zadowolić Łowczynię Fang – odparła gładko doktor Zero.

– Tak samo jak my wszyscy, kochaneczko. Chodźcie, musimy się zbierać.

Ruszyli długimi korytarzami, które oświetlały zwykłe lampy naftowe. Obok nich przebiegali śmiertelnicy w mundurach, wykrzykując rozkazy, wymachując plikami papierów, prowadząc głośne rozmowy przez telefony polowe. Wielu z nich ufarbowało sobie włosy na zielono, na znak lojalności wobec Burzy. Porozumiewali się wojskowym slangiem pełnym skrótów. Okazało się, że Shrike doskonale go rozumie – bez

wątpienia mógł to zawdzięczać doktor Zero. Idąc po szerokich schodach, w ślad za nią i doktorem Popjoyem, zastanawiał się, jakie inne zmiany wprowadziła w jego ciele.

Na szczycie schodów były zamknięte, podziurawione kulami drzwi z brązu.

– Korpus Rewitalizacji – przedstawił się Popjoy, gdy wartownicy stanęli na baczność. – Dostawa dla Jej Wysokości.

Skrzydła drzwi otworzyły się szeroko. W przestronnym pomieszczeniu panowała ciemność. Nowe oczy Shrike'a automatycznie przestawiły się na podczerwień i spostrzegł, że ściana naprzeciwko została wzmocniona stalowym pancerzem. Pozostawiono w niej tylko długie, nieoszlone wąskie okno, przypominające szparę w przyłbicy. Roztaczał się z niego widok na zachód. Postać, która przy nim stała, tylko w części przypominała człowieka.

– Wasza Wysokość – odezwał się Popjoy.

– Czekajcie – zabrzmiał głos z ciemności. Rozkazujący szept.

Popjoy czekał w milczeniu. Shrike wychwytywał w ciszy nerwowe bicie serca doktor Zero i ledwie słyszalne szczęknięcie jej zębów.

Nagle nad zachodnimi bagnami rozbłysło potężne światło, wypełniając salę pomarańczowym blaskiem. Migotało i promieniowało, gdy pierwszy błysk ognia podzielił się na niezliczone strzały i wybuchy pojedynczych dział, a potem białe igiełki fosforowych flar. Kwatera Główna zadygotała w posadach. Martwy metal jęknął pod stopami Shrike'a. W kilka sekund później dotarła do niego fala dźwiękowa – odległy huk i łomot, jakby ktoś przestawiał meble w odległym pokoju.

Skąpana w blasku swej wojny, Łowczyni Fang odwróciła się

od wizjera, by powitać gości. Miała na sobie długie, szare szaty, a jej twarz była odlaną z brązu pośmiertną maską kobiety.

– Nasza artyleria właśnie rozpoczęła bombardowanie najbliższych położonych miast *Traktionstadts-gesellschaft*. Wkrótce polecę tam sterowcem, by stanąć na czele szturm naziemnego – odpowiedziała.

– Jestem pewny, że odniesiesz kolejne wspaniałe zwycięstwo, Fang – odezwał się głos Popjoya gdzieś z okolicy kostek Shrike’a. Łowca zorientował się, że stary naukowiec i doktor Zero padli twarzą na gładką, drewnianą posadzkę.

– Jednak nie będzie to ostateczne zwycięstwo. – Głos Łowczyni szeleścił jak zimowy wiatr w zmarzniętym sitowiu. – Potrzebna nam potężniejsza broń, Popjoy.

– Wasza Wysokość wkrótce ją dostanie – obiecał. – Stale rozglądam się za starożytnymi gadżetami, które mogłyby nam się przydać. W międzyczasie chcemy przekazać ci drobny wyraz szacunku ze strony Korpusu Łowców.

Migdałowe oczy Fang zalśniły zielenią, gdy spojrzała na Shrike’a.

– Ty jesteś Łowca Shrike – powiedziała, przysuwając się płynnym ruchem. – Widziałam cię na zdjęciach. Powiedziano mi, że przestałeś funkcjonować.

– Został naprawiony, Wasza Wysokość – wyjaśnił Popjoy.

Łowczyni zatrzymała się o kilka kroków od Shrike’a i przyglądała mu się z uwagą.

– O co chodzi, Popjoy? – spytała.

– To prezent na urodziny, Wasza Wysokość! – Popjoy wstał, sapiąc z wysiłkiem. – Niespodzianka, którą wymyśliła doktor Zero. Na pewno pamiętasz Oenone Zero, córkę naszego

dawnego asa lotniczego Hiraku Zero. Przynosi zaszczyt swemu ojcu. Mimo młodego wieku jest już najlepszą chirurgiczką w Korpusie, naturalnie poza sługą Waszej Wysokości. Zatem nasza Oenone wpadła na pomysł, żeby odkopać starego Shrikusia i naprawić go, aby uczcić rocznicę Chwalebnej Rewitalizacji Waszej Wysokości!

Łowczyni Fang wpatrywała się w Shrike'a bez słowa.

Doktor Zero tak się trzęsła, że Shrike wyczuwał wibracje podłogi, jakie wzbudzało jej ciało.

– Nie mów mi, że zapomniałaś! – świergotał Popjoy. – To już siedemnaście lat od chwili, gdy przywróciłem cię do życia w fabryce w Gnieździe Szerszeni! Jesteś słodką siedemnastką, Fang. Sto lat!

Łowczyni Fang mierzyła Shrike'a obojętnym spojrzeniem zielonych oczu.

– Co ja mam z nim zrobić?

Doktor Zero podniosła wzrok.

– Ja... ja pomyślałam, że Wasza Wysokość zatrzyma go przy sobie – powiedziała. – Będzie dobrze s... służył. Gdy Wasza Wysokość oddaje się pracy nad zmieceniem z po...powierzchni ziemi mobilnych miast, tego raka, który toczy nasz świat, pan Shrike m... może strzec bezpieczeństwa Waszej Wysokości.

– Wła... właśnie – wtrącił Popjoy, naśladowując jej jąkanie. – B... będzie cię strzegł. Ochroniarz równie silny jak ty, o takich samych wyczulonych zmysłach...

– Wątpię, żeby był silniejszy ode mnie – odpowiedziała Łowczyni.

– Na pewno nie! – pośpieszył ją zapewnić Popjoy. – Jej Wysokość nie potrzebuje ochroniarzy, kochaniutka! Co ty

sobie wyobrażasz? – Zrobił krok w stronę Łowcy, który spokojnie czekał na swój los. – On ma być dla ciebie po prostu rozrywką, Fang.

Łowczyni Fang przechyliła głowę na bok, nie spuszczając wzroku ze Shrike'a.

– Dobrze. Ta jednostka robi wrażenie. Włączcie go do mojego sztabu.

Wysokie drzwi otworzyły się nagle. Stojący w nich adiutant w mundurze skłonił się i powiedział:

– Wasza Wysokość, sterowiec jest gotów do lotu na front.

Łowczyni odwróciła się od nich bez słowa i wyszła.

– Znakomicie! – wykrzyknął Popjoy po jej odejściu, a potem poklepał po pupie wstającą właśnie z klęczek doktor Zero, aż się zarumieniła.

– Dobra robota, kochaneczko. Ognisty Kwiat była zadowolona. Ludzie twierdzą, że nie sposób odgadnąć, co myśli, ale nie zapominaj, że to ja ją zmontowałem. Całkiem nieźle rozumiem, co dzieje się za tą maską.

Spojrzał na Shrike'a, ocierając chustką pot z łysej głowy.

– Zdradź nam, dzielny Shriker, co myślisz o naszej natchnionej przywódczyni?

– JEST POTĘŻNA – odpowiedział Shrike.

Popjoy przytaknął.

– Absolutnie. To moje największe dzieło. Zastosowałem niesamowite rozwiązania techniczne. Kawałki mózgu Łowcy, który był jeszcze starszy niż ty, urządzenia Starożytnych tak dziwne, że nawet ja sam nie wiem do końca, jak działają. Nigdy nie udało mi się tego powtórzyć. Ale zdaje mi się, że jeden taki Łowca wystarczy, co, Shrikuś?

Shrike spojrział na bitwę, toczącą się w oddali. Na niebie migotały świetliste smugi, jakby wydostały się z rozpękłej nagle ziemi. Wszędzie widać było sterowce. Pomyślał, że chętnie będzie służył tej Łowczyni. Dobrze będzie słuchać kogoś równie silnego jak on sam, zamiast wypełniać rozkazy tych kruchych, nietrwałych śmiertelników. Będzie wobec niej lojalny i może z czasem ta lojalność wypełni pustkę w jego mózgu i wygna dręczące go poczucie, że utracił coś cennego.

Tę twarz przeciętą blizną.

Zatrzepotała w jego wspomnieniach jak ćma, i zniknęła.

7. KIEDY DZIECKO ODCHODZI Z DOMU

Zapadła noc. Znad mgły otulającej Martwe Wzgórza podniósł się rąbek nowego księżyca. Wren leżała w swoim łóżku, kompletnie ubrana. Zza ściany dochodziły ją niewyraźne głosy rodziców, rozmawiających ze sobą w sypialni. Wkrótce ucichły. Oboje zasnęli. Odczekała jeszcze chwilę dla pewności. Życie, które prowadzili, było tak nudne, że czasem chciało jej się krzyczeć. Spali jak zabici o tej porze, w taką piękną, księżycową noc! Ale to było z korzyścią dla niej. Założyła buty i cicho zeszła po schodach. Torba z Cynową Księgą z Anchorage ciążyła jej na ramieniu.

Ukradła ją z taką łatwością, jakby to w ogóle nie była kradzież. Cały czas tłumaczyła sobie, że panna Freya wcale nie potrzebuje tej księgi, i pies z kulawą nogą się nie zainteresuje jej zniknięciem. Właściwie było tak, jakby wcale jej nie ukradła.

Mimo wszystko, kiedy zostawiła przy pojemniku na chleb kartkę, którą pisała przez całe popołudnie, i wymknęła się na wysrebrzoną blaskiem gwiazd ulicę, ogarnął ją smutek, że jej życie w Winlandii kończy się w taki sposób.

Po rozstaniu z Garglem zbiegła ze wzgórza prosto do Pałacu Zimowego. Panna Freya dalej pracowała w ogrodzie, gawędząc

z panią Scabious o przedstawieniu, jakie najmłodsze dzieci przygotowywały na festiwal w Święto Księżyca. Wren poszła do biblioteki, zdjęła z półki starą drewnianą skrzynkę, którą panna Freya pokazała jej rano. Potem wyjęła Cynową Księgę, zamknęła pudełko z powrotem na klucz i odstawiła je na miejsce. Przez otwarte okno słyszała głos panny Freyi: „Windolene, proszę cię, nazywaj mnie po prostu Freyą. Znamy się przecież tyle czasu...”

Wren wymknęła się z biblioteki, wyszła z pałacu i pobiegła do domu z Cynową Księgą ukrytą pod kurtką, starając się nie czuć jak złodziejka.

Księżyc przypominał porwane wiatrem piórko, które przyczepiło się do wież Pałacu Zimowego. W oknie Freyi Rasmussen paliło się światło. Gdy Wren przebiegała obok, szepnęła w myśli: Do widzenia, panno Freyo, i o mało się nie rozplakała. W domu było jeszcze gorzej. Przez cały wieczór była bliska łez na myśl o rozstaniu z tatą. Nawet mamy było jej żal. Ale przecież to nie będzie trwało wiecznie. Pewnego dnia wróci jako księżniczka Zaginionych Chłopców, i wszystko będzie dobrze. Zanim poszła spać, przytuliła się czule do taty. Zaskoczyła go tym. Pewnie pomyślał, że jest przygnębiona niedawnym spięciem z mamą.

Zeszła na poziom techniczny i szybko ruszyła ku wyjściu z miasta. W chwili gdy wynurzyła się z cienia, jaki rzucał górny pokład, i znalazła się na szerokiej ulicy między dwoma opuszczonymi magazynami, drogę zastąpił jej Caul.

Przycisnęła do siebie torbę i próbowała go ominąć, ale nie

pozwolił jej na to. Jego oczy lśniły spod strzechy włosów.

– O co chodzi? – spytała, starając się, by w jej głosie brzmiała irytacja, a nie strach.

– Nie możesz tam iść – powiedział.

– Dlaczego? Pójdę, gdzie zechcę. Poza tym nie masz pojęcia, o czym mówisz.

– O Gargle’u. Widziałem was w nocy. Obejrzałem się ze szczytu wzgórza i zobaczyłem, jak wychodzisz z mobila. Prosił cię o pomoc? Zgodziłaś się?

Wren nie odpowiedziała.

– Wren, nie ufaj Gargle’owi – ostrzegł ją Caul. – Był małym chłopcem, kiedy z nim pracowałem, ale już wtedy był chytry jak lis. Umie manipulować ludźmi. Potrafi ukryć swój prawdziwy cel. Nie wiem, o co cię prosił, ale nie rób tego.

– Jak zamierzasz mnie powstrzymać? – spytała.

– Powiem Tomowi i Hester.

– To może przy okazji powiedz też pannie Freyi – zadrwiła. – Na pewno bardzo chciałyby to wiedzieć. Tylko że ty nic nie zrobisz, prawda? Gdybyś naprawdę chciał powiedzieć prawdę moim rodzicom, zrobiłbyś to od razu, gdy tylko zobaczyłeś, jak wychodzę z „Autolika”. Ale nie zdradzisz przecież swoich ludzi.

– Nie masz pojęcia... – zaczął Caul, ale kiedy pracowicie szukał odpowiednich słów, Wren przemknęła obok niego i uciekła. Jej kroki zadzwoniły po metalowych schodach na końcu ulicy, a potem ucichły, gdy zeskoczyła na ziemię.

Torba objęła jej się po plecach. Serce uderzało jak młotem. Obejrzała się, by sprawdzić, czy Caul ją goni, ale wciąż stał tam, gdzie go zostawiła. Pomachała mu, a potem odwróciła się

i biegiem ruszyła na wzgórze.

Tej nocy Hester zasnęła od razu, za to Toma coś wytrąciło ze snu w chwili, gdy odpływał w sen. Później zrozumiał, że usłyszał dźwięk zamykanych drzwi od ulicy.

Leżał w ciemnościach i słuchał bicia swojego serca. Czasem wydawało mu się, że gubi rytm, a czasem czuł ból. Choć właściwie to nie był ból, tylko poczucie, że tam w środku coś jest nie tak – tam, gdzie wiele lat temu kula Pennyroyala przeszła jego ciało. Wysięk zawsze pogarszał sprawę. Nie powinien rano rąbać tego drewna. Ale trzeba było to zrobić. Gdyby je zostawił, musiałyby powiedzieć Hester o tym bólu w sercu. Zaczęłyby się martwić, kazałyby mu zobaczyć się z Windolene Scabious, która była miejscowym felczerem. Windolene chciałyby go zbadać, a on bał się wyniku tego badania. Lepiej było o tym nie myśleć, tylko po prostu dziękować bogom za te wszystkie dobre lata, jakie przeżył z Hester i z Wren. O przyszłość będzie się martwił, jak przyjdzie czas.

Tylko że przyszłość właśnie biegła ku niemu, przez aleję Rasmussenów, Galerię Arktyczną i Skwer Psiej Gwiazdy. Przemknęła przez furtkę, wbiegła po szerokich schodach i zaczęła walić pięścią w drzwi wejściowe.

– Wielki Quirke’u! – wykrzyknął zaskoczony Tom i usiadł na łóżku. Obok niego Hester mruknęła coś, przetoczyła się na bok i budziła się powoli. Tom odrzucił na bok kołdrę i zbiegł po schodach w nocnej koszuli. Postać, mająca przez szybki wejściowych drzwi przypominała ducha. Wciąż waliła pięścią

w drewno i wołała Toma po imieniu.

– Caul? – zdziwił się. – Jest otwarte.

Nie pierwszy raz Caul budził Toma, przynosząc złe wieści. Dawno temu, gdy Anchorage jeszcze wędrowało po lodzie, a Hester zabrała „Jenny” i odleciała w siną dal, Caul pojawił się w nocy, żeby powiedzieć mu, co się stało. Był wtedy małym chłopcem. Teraz, długowłosa i brodaty, spoglądał szeroko otwartymi, szalonymi oczyma jak jakiś maniacki prorok. Wpadł do hallu, przewracając stojak na kapelusze i zrzucając na podłogę kolekcję starożytnych etui na telefony komórkowe.

– Caul, uspokój się! – powiedział Tom. – Co się dzieje?

– Wren – wysapał były Zaginiony Chłopiec. – To Wren...

– Wren jest u siebie – odpowiedział Tom, ale nagle ogarnął go niepokój, bo przypominał sobie czuły uścisk Wren na dobranoc. I to zadrapanie na twarzy. Powiedziała, że to od jakiegoś ciernia. Zrozumiał, że dzieje się coś niedobrego.

– Wren?! – zawołał w stronę jej pokoju na górze.

– Odeszła! – krzyknął Caul.

– Odeszła? Dokąd?

Hester zeszła do połowy schodów, naciągając koszulę. Wróciła biegiem na górę. Tom słyszał, jak kopniakiem otwiera drzwi do pokoju ich córki.

– Na bogów i boginie! – wykrzyknęła i pojawiła się znowu na schodach. – Tom, on mówi prawdę. Zabrała torbę i kurtkę...

– Pewnie wybrała się z Tildy Smew na jakiś nocny wypad. Przecież jesteśmy w Winlandii. Co jej tu może zagrozić?

– Zaginieni Chłopcy – odpowiedział Caul. Chodził nerwowo po pokoju. Dłonie wbił głęboko w kieszenie starej, brudnej kurtki. Jego zwierzęcy zapach wypełniał cały przedpokój. –

Pamiętasz Gargle'a? Przesłał mi wiadomość. Prosił o pomoc. Chciał, żebym dla niego coś ukradł. Nie mam pojęcia co. Wren pewnie poszła za mną i złapali ją. Manipuluje nią. Uciekła do niego.

Hester weszła do kuchni i wróciła z kartką w rękę.

– Spójrz, Tom...

To był list od ich córki.

Kochani Rodzice!

Postanowiłam wyjechać z Winlandii. Przyplłynęło tu kilku Zaginionych Chłopców. Nie martwcie się, nie zrobią mi krzywdy. Zabiorą mnie ze sobą. Zobaczą pływające miasta, Teren Polowań i szeroki świat, będę miała przygody jak wy. Przepraszam, że się nie pożegnałam, ale nie pozwolilibyście mi odejść. Będę na siebie uważała, a kiedy wrócę, opowiem wam mnóstwo ciekawych rzeczy.

Całuję, Wren

Hester upadła na kolana i szarpnęła za dywan, leżący na podłodze. Pod nim był sejf, w którym dawny właściciel domu niegdyś przechowywał swoje precjoza. Teraz leżało w nim tylko kilka kartonowych pudełek z amunicją i rewolwer. Hester wyjęła go i odwinęła z brezentu.

– Gdzie oni są, Caul? – spytała.

– Het... – zaczął Tom.

– Powinienem wam o tym wcześniej powiedzieć – mruknął Caul. – Ale to jest Gargle. Kiedyś ocalił mi życie...

– Gdzie?

– W zatoczce na Północnym Brzegu. Tam, gdzie drzewa

schodzą prawie do samej wody. Proszę cię, nie rób im krzywdy.

– Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej – odpowiedziała Hester, sprawdzając mechanizm swojego rewolweru. Większość broni, którą odebrała myśliwym z Archangielska, poleciała za burtę miasta, gdy jeszcze unosiło się na morzu, ale tę sztukę zatrzymała dla siebie, na wszelki wypadek. Nie był taki ładny jak inne. Na kolbie nie wyrzeźbiono ściągniętego gniewnym grymasem wilczego pyska, lufy nie ozdobiono srebrem. Była to po prostu ciężka, czarna trzydziestka ósemka model *Schadenfreude*¹; brzydkie, ale niezawodne narzędzie do zabijania ludzi.

Załadowała naboje do sześciu komór i z trzaskiem zamknęła bęben, wsadziła pistolet za pas i mijając Toma, ruszyła ku drzwiom. Po drodze złapała kurtkę z wieszaka.

– Obudź wszystkich – poleciła i wybiegła w noc.

Ze szczytu wyspy Wren widziała „Autolika” przycupniętego jak krab w zatoczce, gdzie pierwszy raz spotkała się z Garglem. Niebieskie światło z otwartego luku kładło się na wodzie. Ruszyła w tamtym kierunku pasterską ścieżką, zsuwając się po piaszczystej ziemi, potykając o korzenie, czując, jak własny oddech chłodzi jej rozgrzane biegiem gardło. Mijała drzewa i zarośla, aż dotarła do ciemnej sylwetki pająkomobila.

Gargle stał na płyciźnie, przy trapie prowadzącym do wejścia. Obok czekała Remora. Kiedy Wren była już blisko, usłyszała, jak po trapie schodzi Pulpet.

– Wszystko gotowe? – spytał Gargle.

– Wystarczy nacisnąć guzik – zameldował chłopiec.

Silniki pająkomobila pracowały na luzie. Z zaworów rur wydechowych wydobywały się pióropusze dymu. Błysnął pancierz krab-kamery, która pośpiesznie gramoliła się do swego doku w kadłubie pojazdu. Inne kamery pełzły po plaży, tak podobne do pajaków, że Wren miała ochotę uciec. Powiedziała sobie twardo, że jeśli chce podróżować z Zagubionymi Chłopcami, musi się do tego wszystkiego przyzwyczaić i spokojnie ruszyła po kamykach pomiędzy urządzeniami.

– To ja – powiedziała cicho, gdy Gargle odwrócił się jak fryga na dźwięk jej kroków. – Mam Cynową Księżę.

Anchorage już się budziło, gniewne i wystraszone. Wspinając się w stronę lasu, Hester słyszała trzaskanie drzwi i okrzyki, gdy ludzie zwoływali się, by odeprzeć Zaginionych Chłopców. Najmłodszy niemal ją doganiali, gdy dotarła do szczytu wzgórza, ale zostawiła ich za sobą na zejściu; trzymali się zakoli ścieżki, a ona zbiegła wprost na dół, przez zarośla i urwiska, zsuwając się po drobnych kamykach. Była niemal zachwycona, że Wren w końcu jej potrzebuje. Ojciec nie uratuje jej przed Zaginionymi Chłopcami. Żaden z mieszkańców Winlandii się z nimi nie rozprawi. Tylko Hester ma na to dość siły. Kiedy ich pozabija, Wren oprzytomnieje, zrozumie, jakie niebezpieczeństwo jej groziło. Będzie wdzięczna za ratunek i znowu polubi Hester.

Zsunęła się w kępę wrzośców u stóp wzgórza i spojrzała za siebie. Ani śladu pozostałych. Wyciągnęła rewolwer zza pasa i

ruszyła w stronę zatoczki.

– Proszę – powiedziała Wren, zsuwając ciężką torbę z ramienia. Podąła ją Gargle'owi. – Jest w środku. Razem z moimi rzeczami.

– Lepiej powiedz jej od razu, Gar – odezwała się Remora. – Czas na nas.

Nie dbając o nie, Gargle kartkował Cynową Księgę.

– Płynę z wami, prawda? – zaczęła zaniepokojona Wren. Nie takiego powitania się spodziewała. – Macie mnie zabrać. Taka była umowa.

Słyszała dziecinną, żalostną nutę w swoim głosie i wiedziała, że nie brzmi jak odważna, dorosła, żadna przygód osoba, jaką chciała się wydać Gargle'owi. Nagle uświadomiła sobie, że jest dla niego niczym – tylko narzędziem, dzięki któremu zdobył Cynową Księgę.

– To ta – mruknął do siebie. Rzucił Wren torbę, a potem podał Księgę Pulpetowi, który wsadził ją do skórzanej sakwy przy pasie.

– Płynę z wami – przypomniała mu Wren. – Zabierzecie mnie ze sobą, prawda?

Gargle podszedł tuż do niej. W jego głosie zabrzmiała ironiczna nuta.

– Jest taka sprawa, mała. Zastanowiłem się nad tym i okazało się, że jednak nie mamy dość miejsca.

Wren szybko zamrugęła, żeby powstrzymać łzy. Rzuciła torbę na kamienie i krzyknęła:

– Przecież obiecałeś, że mnie zabierzesz!

Zauważyła, że Remora ją obserwuje i szepce coś do małego Pulpeta, który uśmiechnął się złośliwie. Pewnie oboje uważali ją za idiotkę.

– Chcę zobaczyć świat! – krzyczała. – Nie chcę tu zostać i wyjść za Nate’a Sastrugiego, zostać nauczycielką, zestarzeć się i umrzeć!

Jej krzyk zirytował Gargle’a.

– Wren – syknął i nagle z ciemności, jak echo, napłynął czyjś krzyk:

– Wren!

– Mama! – jęknęła dziewczyna.

– Cholera! – mruknęła Remora.

Gargle nie odezwał się ani słowem, tylko wyciągnął zza pasa gazowy pistolet i wystrzelił w stronę plaży. W błysku wystrzału Wren zobaczyła, jak jej matka pędziła wielkimi krokami ku wodzie. Ledwie się uchyliła, gdy kula świsnęła obok niej. W wyciągniętej ręce sztywno trzymała rewolwer. Rozległy się tępe, ciche strzały, jak trzask zamykanych książek. Pierwsza kula z brzękiem odbiła się od „Autolika”. Dwie następne świsnęły po powierzchni jeziora. Czwarta trafiła Gargle’a między oczy. Jakiś gęsty, ciepły płyn zbryzgał twarz i ubranie Wren.

– Gargle! – krzyknął rozpaczliwie Pulpet.

Gargle opadł na kolana, a potem przewrócił się w chichoczące cicho fale, tyłkiem do góry.

Pulpet ruszył po płyciźnie ku niemu, wchodząc w drogę Remorze, która też wyciągnęła broń.

– Pulpet, na pokład! – krzyknęła. – Wracaj do Grimsby!

Hester wpakowała w nią dwie kule. Impet strzałów odrzucił

ciało na głębszą wodę.

– Gargle! – zaskowyczał Pulpet.

Hester przeładowała swoją *Schadenfreude*. Puste łuski zabrzęczały na kamkach pod jej stopami.

– Wren, chodź tu! – wykrzyknęła.

Trzęsąc się ze strachu, Wren z radością ruszyła w jej stronę, ale w tym momencie Pulpet złapał ją w pasie i pociągnął do tyłu. Zimna lufa pistoletu Gargle'a ukłuła ją pod brodą.

– Rzuć broń! – krzyknął Pulpet. – Bo ja... bo ja ją zabiję. Zabiję ją!

– Mamo! – pisnęła Wren. Nie mogła oddychać. Miała dość wszystkich przygód, na całe życie. Chciała tylko jednego: bezpiecznie wrócić do domu.

– Mamo! Ratunku!

Hester powoli ruszyła w ich stronę. Wciąż trzymała rewolwer w dłoni, ale nie odważyła się nacisnąć spustu. Wszyscy wiedzieli dlaczego: bo mogłaby trafić Wren.

– Puść ją! – poleciała.

– Jasne, a ty mnie wtedy zastrzelisz – załkał Pulpet.

Przesunął Wren tak, że osłaniała go przed Hester i zaczął ciągnąć ją w górę, po trapie. Lufa wciąż kłuła ją w podbródek, zmuszając, by wysoko unosiła głowę. Czowała, jak dzieciak się trzęsie. Bez trudu dałaby sobie z nim radę, ale bała się to zrobić, bo mógłby ją zastrzelić. Wciągnął ją do wnętrza pająkomobila i łokciem dotknął przycisku podnoszącego rampę. Świsnął rykoszet. To Hester strzeliła w zawór hydrauliki i spudłowała.

– Mamo! – krzyknęła Wren po raz drugi. W szparze zamykającej się klapy przez moment widziała matkę, jak coś

do niej krzyczy. Potem Pulpet popchnął ją korytarzem do sterówki pełnej skomplikowanych urządzeń. Poczowała, jak mobil drży, gdy uruchamiał go jedną ręką. Drugą wciąż przystawiał jej do głowy pistolet.

– Proszę – powiedziała. Kabiną szarpnęło. Spostrzegła światła na zboczu nad plażą. – Pomocy! – krzyknęła.

Fale uderzyły o okna kabiny. Na moment zobaczyła przez wodę rozedrgany, nierealny sierp księżyca. Po chwili zniknął. Silniki zaśpiewały inaczej niż przedtem. Jesteśmy pod wodą, pomyślała. Teraz już nigdy nie wrócę do domu! Rozpacz ścisnęła jej żołądek i zemdlała.

Hester pędziła po plaży, strzelając do pająkomobila aż jego czarny kadłub zniknął w wodnej kipieli. Potem mogła już tylko bez przerwy wołać Wren po imieniu, zachrypniętym, bezużytecznym, samotnym głosem, rozbrzmiewającym bez końca na plaży, gdy kilwater „Autolika” zniknął wśród fal. Zapadła cisza.

Choć właściwie nie była to cisza. Do Hester powoli docierały inne dźwięki: szczekanie psów, krzyki ludzi. Na wzgórzu zabłysły światła latarni i pochodni. Przez krzewy wrzośca przedarł się pan Smew, wymachując starożytną flintą, dwa razy większą od niego

– Gdzie te podwodne diabły! Dawać je! – wykrzykiwał.

Za nim nadbiegli inni. Hester wyszła im naprzeciw, odpychając wyciągające się ku niej dłonie, zbywając milczeniem pytania.

– Wszystko w porządku, pani Natsworthy?

– Słyszeliśmy strzały!

– Czy to Zaginieni Chłopcy?

Ciała kołysały się łagodnie na płyciźnie, poruszane falami. Długie smugi czerwieni odpływały na głęboką wodę.

– Gargle – powiedział Caul cichym, zdziwionym głosem, klękając przy jednym z ciał.

W powietrzu pachniało prochem i spalinami.

Nadbiegł Tom, rozejrzał się wokół, ale zobaczył tylko spakowaną torbę swojej córki, porzuconą na kamienistej plaży.

– Gdzie jest Wren? – spytał. – Hester, co tu się stało?

Hester odwróciła się bez słowa. W końcu Freya Rasmussen podeszła do niego, wzięła go za rękę i powiedziała:

– Och, Tom... Odpłynęli, razem z Wren. Zabrali ją ze sobą.

8. PORWANA

Nato, mama ma taką dziwną twarz.

– Wiem.

– Dlaczego?

– Bo jeden zły człowiek ją pokaleczył, kiedy była małą dziewczynką.

– Bolało ją?

– Na pewno. Musiało ją bardzo boleć, i to przez długi czas. Ale teraz już wszystko jest dobrze.

– Czy ten zły człowiek tu przyjdzie?

– Nie, Wren. On nie żyje. Od dawna.

W Winlandii nie ma żadnych złych ludzi. Dlatego tu mieszkamy. Nikt o nas nie wie, nikt nam nie zrobi krzywdy. Nie przyjdą tu jakieś głodne miasta, żeby nas pożreć. Jesteśmy tu zupełnie sami, jesteśmy bezpieczni: mama, tata i Wren.

Głosy z dzieciństwa szeptały Wren do ucha, gdy powoli wracała jej przytomność. Leżała na podłodze maleńkiej kabiny, gdzie mieściły się tylko toaleta i umywalka. Toaleta cuchnęła chemią. W siatce nad jej głową mrugała niebieska lampa. Ściany lekko wibrowały. Słyszała pomruki i rytmiczne mielenie motorów „Autolika”, i jeszcze inny dźwięk – jakby szept i skrzypienie. Domyśliła się, że to woda wokół kadłuba.

Niestety, do Anchorage właśnie przybyli źli ludzie, uciekli z tym, po co przybyli, a ja im pomogłam. Pozostaje pytanie, co ze

mną teraz robią?

Tatę też kiedyś porwali Zaginieni Chłopcy. Mimo tego przeżył, wrócił do Anchorage i ożenił się z mamą. To znaczy, że Wren też ma jakąś szansę, prawda? Myśl o tacie przywiodła wspomnienie mamy i tego, co zrobiła na plaży. Ogarnęły ją mdłości i przerażenie. Usłyszała znowu odgłos kul, które trafiły w Gargle'a, i zrozumiała, że ten dźwięk nigdy jej nie opuści i będzie powracać jak echo.

Nie wiedziała, ile czasu leżała na tej podłodze, dygocąc i łkając, zbyt wstrząśnięta i nieszczęśliwa, żeby się choćby poruszyć. W końcu zrobiło jej się tak niewygodnie i twardo, że zmusiła się, by wstać. Weź się w garść, Wren, napomniała się surowo.

Lepka maź na jej ubraniu wyschła i zaczęła się kruszyć. Wyglądała teraz jak zaschnięty gulasz. Wlała trochę wody do metalowej miednicy i spróbowała wyczyścić ją gąbką. Potem umyła twarz i włosy, najlepiej jak się dało.

Po dłuższej chwili zazgrzytał klucz, drzwi otworzyły się i stanął w nich Pulpet. Popatrzył na nią, w ręku miał pistolet. W niebieskawym świetle jego twarz była blada i twarda, jak wyrzeźbiona z kości słoniowej.

– Przykro mi – powiedziała.

– Zamknij się – warknął głosem równie twardym jak jego twarz. – Powinienem cię zabić.

– Mnie? – Poruszyła się, jakby chciała zapaść się pod pokład.

– Przecież ja nic nie zrobiłam! Przyniosłam wam Cynową Księgę, tak jak chciał Gargle...

– A ta wiedźma, twoja matka, go zabiła! – wykrzyknął Pulpet. Pistolet zadygotał w jego dłoni, gdy ciałem targnęło łkanie.

Wren pomyślała, że zaraz ją zastrzeli, ale nie zrobił tego. Bała się go i była na niego wściekła, a jednocześnie w jakiś sposób czuła się za niego odpowiedzialna.

– Przykro mi – powtórzyła. – Również z powodu Remory.

Głośno pociągnął nosem.

– Była jego dziewczyną. Wszyscy wiedzieli, że się w niej kocha. Nawet przez chwilę nie myślał, żeby cię zabrać ze sobą. Słyszałem, jak rozmawiali o tobie i śmiali się, że jesteś taka głupia... – Znowu zaczął płakać. – Co zrobią Zaginieni Chłopcy bez Gargle'a? – zapytał. – Jemu to dobrze. Jest razem z Morą w Krainie Bez Słońca. A co z nami? Co ze mną?

Znowu popatrzył na Wren. Jego oczy wydawały się całkiem czarne w tym niesamowitym, podwodnym świetle; jak dwa otwory, za którymi była tylko pustka.

– Powinienem cię zabić, choćby po to, by twoja mama dowiedziała się, jak to jest, kiedy się komuś zabiera ukochaną osobę. Ale przez to stałbym się równie zły jak ona, prawda?

Cofnął się o krok, zatrzasnął drzwi i znowu zamknął je ze zgrzytem na klucz.

– Jadę jej szukać – powiedział Tom.

Jego słowa wywołały tylko uprzejme milczenie. Wszyscy uznali, że taka wyprawa jest niemożliwa, ale byli zbyt mili, żeby mu to powiedzieć. Myśleli, że jest w szoku i dlatego mówi takie głupstwa. Rzeczywiście był w szoku. Dosłownie oniemiał, kiedy mu powiedzieli, że zniknęła. Biegał po plaży, wołając ją po imieniu, jakby Zaginieni Chłopcy mogli go usłyszeć i zwrócić mu córkę. W końcu jego serce przeszył bolesny skurcz

i zaczęło tłuc się w piersi. Przestraszył się, że zaraz umrze na tej kamienistej plaży i nigdy już nie zobaczy Wren.

Ale nie umarł. Czyjeś życzliwe ręce poprowadziły go do łodzi i zawiozły z powrotem do Anchorage. Siedział teraz z Hester, Freyą i kilkoma innymi osobami w jednej z mniejszych sal Pałacu Zimowego.

– To wszystko moja wina, wiecie? – tłumaczył się. – Dziś rano pytała mnie o Zaginionych Chłopców. Powinienem skojarzyć, że to podejrzane.

– Jaka tam wina, Tom – powiedział Smew, mierząc gniewnym spojrzeniem zachmurzoną Hester, która siedziała obok męża. – Gdyby niektórzy nas nie wyprzedzili, i nie zaczęliby strzelaniny...

Kilkoro jego współobywateli mruknięto potakująco. Szanowali Hester za to, że uratowała ich przed Wilkami z Archangielska, ale nikt jej nie lubił. Doskonale pamiętali, jak zabiła Piotra Masgarda, choć nie było już po temu potrzeby, a potem siekła go mieczem, choć był już martwy. Nic dziwnego, że bogowie zesłali nieszczęście na kobietę, która ważyła się coś takiego zrobić. Wstyd tylko, że czekali z tym szesnaście lat, i że zemsta losu dotknęła też jej miłego męża i uroczą córkę.

Hester dobrze wiedziała, co myślą.

– Działałam w obronie własnej – powiedziała. – W obronie nas wszystkich. Dawno temu obiecałam Freyi, że będę bronić tej dziury i troszczyć się, żeby nikomu nic się nie stało. Właśnie to zrobiłam. Jeśli koniecznie chcecie kogoś obwiniać, to wybierzcie jego.

Wskazała na Caula, który niezgrabnie przysiadł w kącie. Ale jakoś nikomu nie przyszło do głowy, żeby mieć do niego

pretensję. Dawni kumple przyjechali prosić go o pomoc, a on odmówił. Przecież nie mógł ich zdradzić. To byli jego ludzie.

– Po co ci Chłopcy właściwie tu przyplłynęli? – spytał pan Aakiuq.

– Dziewczęta też – warknął Smew i znowu spojrzał wściekle na Hester. – Jedna z osób, które ona zabiła, to młoda dziewczyna.

– Ale czego szukali w Anchorage, po tych wszystkich latach? Wszyscy popatrzyli na Caula. Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nie pytajcie mnie. Pomyślałem sobie, że im mniej będę wiedział, tym lepiej.

– Och, na bogów i boginie! – wykrzyknęła nagle Freya i wybiegła z sali. Po chwili wróciła, niosąc pustą skrzynkę, w której jeszcze niedawno spoczywała Cynowa Księga z Anchorage.

– Wren pytała mnie o nią wczoraj rano – powiedziała. – Po to przyplłynęli.

– Ale dlaczego? – spytał Tom. – Przecież to nic nie. warta starość, prawda

Freya wzruszyła ramionami.

– Też mi się tak wydaje. Ale zniknęła. Pewnie poprosili Wren, żeby ją im zniosła i...

– Ta głupia smarkata... – zaczęła Hester.

– Cicho bądź, Het – warknął Tom.

Kiedy Wren była malutka i bała się grzmotów albo nocnych koszmarów, tulił ją mocno do siebie, aż się uspokoiła. Nie mógł znieść myśli, że jest teraz uwięziona w pająkomobilu, sama i przerażona i nie ma kto jej utulić do snu.

– Jadę jej szukać – powtórzył.

– W takim razie jadę z tobą – powiedziała, biorąc go za rękę. Kiedyś w życiu ich rozdzielono – kiedy Hester była więźniem w Gnieździe Szerszeni i potem poprzysięgli sobie, że nigdy już się nie rozstaną. – Popłyniemy razem – dodała.

– Ale jak? – spytała Freya.

– Pomogę – powiedział Caul i wstał. Zaczął spacerować po sali. Oczy mu błyszczały w świetle lampy.

– To moja wina – wyznał. – Pomyślałem, że jeśli im nie pomogę, to może zostawią nas w spokoju. Do głowy mi nie przyszło, że zwrócą się z tym do Wren. Zapomniałem, jaki Gargle potrafi... potrafił być sprytny.

Dotknął czerwonych blizn na gardle z czasów, gdy Wujek chciał go powiesić.

– Pamiętam, kiedy Wren się urodziła. Bawiłem się z nią, gdy była malutka. Pomogę. Popłyniemy „Śrubodżdżownicą”, nawet do Grimsby, jeśli będzie trzeba.

– Twoim wiekowym pająkomobilem? – W głosie Hester brzmiał gniew, jakby pomyślała, że Caul z nich drwi.

– Myślałem, że dawno się popsuł – zawtórował Tom. – Tego lata, kiedy z panem Scabiousem odkopaliście starą klapę portową...

– Naprawiłem go – odpowiedział. – Jak myślicie, co robiłem przez ten cały czas na poziomie technicznym? Dłubałem sobie w pępku? „Dżdżownica” nie jest stuprocentowo sprawna, ale nadaje się do żeglugi. Naturalnie, nie ma paliwa...

– Zdaje mi się, że w zbiornikach portu lotniczego znajdzie się parę kropel – powiedział pan Aakiuq. – A akumulatory można naładować w elektrowni wodnej.

– W takim razie może być gotowa za parę dni – odpowiedział

Caul. – Najdalej za tydzień.

– Wtedy Wren będzie już setki mil od nas! – wykrzyknęła Hester.

– Nie szkodzi – odpowiedział stanowczo Tom. Zwykle to Hester była stanowcza, a Tom się jej słuchał, ale tym razem był zupełnie pewny swego. Musiał odzyskać Wren. Jeśli ją straci, nie będzie miał po co żyć. Wziął Hester za rękę, pewny, że żona czuje to samo co on.

– Odnajdziemy ją – obiecał. – Mieliśmy w życiu do czynienia z gorszymi rzeczami niż Zaginieni Chłopcy. Odnajdziemy ją, nawet jeśli będziemy musieli dotrzeć aż do Grimsby.

9. KOMUNIKAT

Nutolik” zmierzał na południowy wschód, wykorzystując kręte rzeki i kanały Martwego Kontynentu. Pulpet znał powrotną drogę do morza, bo pomagał Gargle’owi sporządzić mapę podróży z Grimsby. Wystarczyło tylko popłynąć w przeciwną drogę tym samym kursem, którym „Autolik” dotarł przez Martwe Wzgórza do Winlandii. Tyle że przez całą drogę Pulpet myślał: kiedy mijaliśmy to jezioro, Gargle był tutaj, albo: przy tej wydmie Mora zażartowała, że...

Musiał coś zrobić. Ale co? Kochał Gargle’a, ale Gar odszedł i płacz nie sprowadzi go tu na nowo. Więc co miał zrobić? Nie wiadomo co.

Przez całe życie ktoś wydawał mu polecenia. Nigdy nie działał na własną rękę, niczego nie planował, za wyjątkiem tej jednej jedynej chwili paniki w Winlandii, kiedy złapał pistolet i wymierzył go we Wren, żeby mama Wren go nie zastrzeliła. Zresztą, nawet wtedy wszystko poszło źle, bo Wren została jego więźniem i nie miał pojęcia, co z nią zrobić.

Trzeciej nocy po strzelaninie w Winlandii wyłączył silniki pająkomobila i wyszedł na dach. Martwe wzgórza Ameryki bodły lśniące błękitem niebo. Pewny, że Pani Śmierć i wszyscy bogowie wojny i zemsty mają tę krainę pod opieką, wykrzyknął głośno, żeby go słyszeli:

– Pomszczę cię, Gargle! Pomszczę cię, Mora! Pewnego dnia

znajdę Hester Natsworthy i przyrzekam wam, że ją zabiję.

Następnego dnia pająkomobil dotarł do wybrzeża, przedarł się przez pas obrzydliwych solanek i z wdziękiem opadł w szare fale. Bezpieczny na głębinie, Pulpet wziął kurs do domu, a potem poszedł do swojego więźnia. Wren leżała zwinięta w kłębek na podłodze toalety. Patrząc na jej kruchą, wygładzoną snem twarz pożałował, że musiał ją pochwycić. To przecież nie była jego wina. Ale teraz było już za późno, by ją uwolnić.

Trącił ją nogą.

– Jesteśmy już na morzu – powiedział, kiedy się obudziła. – Nie musisz tu siedzieć. Nad nami jest pięćdziesiąt sążni zimnej wody, więc niech ci nie przyjdzie do głowy uciekać.

– Na morzu? – Wren wiedziała, że Anchorage jest bardzo daleko od otwartego morza. Zagryzła wargę, by się nie rozpłakać.

– Zawiozę cię do Grimsby – powiedział Pulpet. – Wujek albo jakiś starszy chłopak będą wiedzieli, co z tobą zrobić. Możesz się ogarnąć, jeśli chcesz. I wziąć sobie coś do ubrania z szafki Remory.

– Dziękuję – szepnęła.

– Nie robię tego ze względu na ciebie – powiedział szorstko, żeby nie pomyślała, że zmiękł. – Śmierdzisz, wiesz? Nie zamierzam oddychać czymś takim przez całą drogę do Grimsby.

Wren wyszła za drzwi. Przez cztery dni nie oglądała niczego poza ciasną toaletą, więc nawet wąskie korytarze „Autolika” wydawały jej się przestronne. Szafkę Remory zdobiły obrazki

powycinane ze skradzionych czasopism. Sama moda i fryzury. Między nimi były jej zdjęcia z Garglem – uśmiechali się i przytulali do siebie. W środku leżała kosmetyczka z przyborami do makijażu, pluszowy miś i sennik. Wren wyjęła rzeczy do przebrania, a potem zapatrzyła się w swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Właściwie nie było to lustro tylko wypolerowana metalowa płyta przykręcona do ściany. W bezkształtnych, czarnych ciuchach Remory wyglądała na starszą i szczuplejszą. Wren, Zaginiona Dziewczynka. Kiedy włożyła swoje stare, brudne ubrania do jednej z toreb przeznaczonych na łupy i związała ją mocno, jedynym wspomnieniem po Winlandii zostały buty.

Usiadła w ładowni, słuchając kroków Pulpeta na mostku. Burczało jej w brzuchu, ale nie dał jej nic do jedzenia, a ona bała się o coś poprosić. Trochę głupio się czuła jako więzień takiego dzieciaka, ale Pulpet był na skraju hysterii i obawiała się, że jednak ją zabije, jeśli go czymś rozdrażni. Lepiej było siedzieć cicho. Napila się obrzydliwej wody z kranu i zaczęła rozmyślać o ucieczce. Przychodziły jej na myśl śmiałe plany i wszystkie pękały jak bańki mydlane już po kilku sekundach. Nawet gdyby jakimś cudem obezwładniła tego smarkacza, który ją uwięził, nie potrafiłaby ustawić powrotnego kursu do Winlandii. Utkwiła tu na dobre, i to z własnej winy. Postąpiła nieprawdopodobnie głupio i wpakowała się w niebezpieczeństwo. Teraz doskonale to rozumiała i wstydziła się bardzo. Do tej pory uważała się za inteligentną osobę. Przecież panna Freya zawsze powtarzała, że Wren ma więcej rozumu niż cała młodzież Winlandii razem wzięta.

– No cóż, Wren – mruknęła obejmując się ramionami na

pociechę. – Jeśli chcesz przeżyć i wrócić do rodziców, musisz teraz zrobić z niego użytek.

„Autolik” był setki mil od brzegu, kiedy pierwszy raz odebrał sygnał. Z początku Pulpet myślał, że to wiadomość z innego pająkomobila, choć nie przypuszczał, żeby w tych stronach był jeszcze ktoś z Grimsby. Potem zauważył coś dziwnego. Sygnał nadawano jednocześnie na częstotliwości porozumiewania się z innymi mobilami, i na tej, która służyła do odbierania obrazów z krab-kamer.

Pstryknął przełącznikami i okrągłe ekrany nad pulpitem powoli zajaśniały blaskiem. Skulona na podłodze ładowni Wren usłyszała jakieś głosy. Podkradła się do drzwi sterówki i zajrzała do środka. Pulpet gapił się na ekrany. Na wszystkich sześciu było widać ten sam dziwny obraz: widziane z góry miasto, żeglujące po spokojnym morzu. Obraz był tak niewyraźny, że trudno je było rozpoznać, ale wyglądało bardzo ładnie. Pełno w nim było ozdobnych kopuł i wież, a na wietrze trzepotały długie proporce.

– Co to? – spytała

Pulpet odwrócił się do niej. Jeśli zdziwiła go jej obecność, nie okazał tego. Znowu spojrzął na ekrany.

– Nie wiem – odpowiedział. – Nigdy tego przedtem nie widziałem. Powtarza się w kółko. Zobacz.

Obraz się zmienił. Teraz na kanapie siedziała przyjaźnie wyglądająca para: mężczyzna i kobieta. Wydawało się, że patrzą wprost na Wren i Pulpeta. Byli cudzoziemcami i mieli na sobie bogate, mieszczańskie szaty i turbany, ale coś w ich

łagodnych i smutnych uśmiechach sprawiło, że Wren pomyślała o rodzicach i o tym, jak strasznie za nią tęsknią.

– Witajcie, dzieci morskich głębin – powiedział mężczyzna. – Mówimy do was w imieniu GORPD – Globalnej Organizacji Rodziców Porwanych Dzieci. Od pół wieku chłopcy, a ostatnio również i dziewczynki, znikają z pokładów miast przemierzających Atlantyk i Lodowe Pustkowia. Dopiero niedawno, dzięki badaczowi Nimrodowi Pennyroyalowi, dowiedzieliśmy się pasożytniczych piratach, którzy ukradkiem zakradają się o do naszych miast, żeby porywać dzieci, a następnie szkolić je na podobnych sobie złodziei i włamywaczy.

– Znów ten Pennyroyal! – zirytowała się Wren.

– Cicho! Słuchaj dalej – skarcił ją Pulpet.

Teraz mówiła kobieta, z uśmiechem, ale i ze łzami. Pochyliła się ku widzom:

– Na szczęście dobrzy ludzie z pływającego miasta-kurortu Brighton przybliżyli nas ku waszej siedzibie. Jeśli nastroicie radio na 680 kilocykli, odbierzecie sygnał, który doprowadzi was do Brighton. Wiemy, że raczej nie pamiętacie swoich mamus i tatusiów, którym was ukradziono, gdy byliście malutcy i którzy tak strasznie za wami tęsknili. Ale jeśli przyplyniecie do nas w swoich podwodnych statkach, jeśli spotkamy się w Brighton, na pewno wielu z was rozpozna swoje rodziny – a oni rozpoznają was. Nie chcemy was skrzywdzić, nie pozbawimy was przyjaciół ani waszego fascynującego podmorskiego życia. Chcemy tylko znowu zobaczyć naszych Zaginionych Chłopców... – mówiła coraz bardziej stłumionym głosem, aż w końcu wyciągnęła

chusteczkę i ukryła w niej twarz. Mąż poklepał ją po ramieniu i podjął opowieść.

– GORPD ma wielu członków – tłumaczył. Na ekranie pojawił się obraz tłumu, zgromadzonego na jednym z pomostów widokowych miasta. – Każde z nas straciło dziecko i tęskni, by je znowu zobaczyć, dowiedzieć się, co się z nim działo. Z nim, albo z nią. Och, dzieci głębin, jeśli słyszycie ten komunikat, błagamy was, przyplńcie do nas!

Kamera przez dłuższy czas pokazywała członków GORPD, którzy uśmiechali się, machali rękami do kamery, a morska bryza rozwiewała ich płaszcze, szaty i włosy. Potem pojawił się tytuł: „GORPD – Ekspedycja letnia, we współpracy z Burmistrzem i Radą Miasta Brighton”. Muzyka ucichła, ekran na moment pociemniał, a potem transmisja rozpoczęła się od nowa.

– Witajcie, dzieci morskich głębin...

– Widzisz? – spytał Pulpet. Zapomniał, że Wren jest jego więźniem, tak bardzo chciał się podzielić z kimś tym zdumiewającym komunikatem. Oczy mu błyszczały, a cała twarz promieniowała radością. Do Wren dotarło, że to jeszcze straszny dzieciak. Mały chłopczyk stęskniony za domem, miłością i wygodami.

– Jak myślisz, co mam zrobić? – zapytał. – Sprawdziłem ten sygnał. Brighton jest niedaleko. Pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt mil od nas. Nigdy nie słyszałem, żeby jakieś miasto zapędziło się tak blisko Martwego Kontynentu...

Wren miała wrażenie, że ciasną kabinę zaczyna przenikać atmosfera tęsknoty i smutku, gdy Pulpet wyobrażał sobie całe miasto pełne mamus i tatusiów, unoszące się na wodzie ledwie

pięćdziesiąt mil od nich. Może uda się go przekonać, żeby popłynęli do Brighton? Na pewno byłyby tam w lepszej sytuacji niż w Grimsby. Podobnie zresztą jak Pulpet, więc nie musiałyby nawet mieć wyrzutów sumienia.

Weszła do kabiny i usiadła obok niego na obrotowym fotelu.

– Może przyплыnęli tu w poszukiwaniu Zaginionych Chłopców – powiedziała. – Mogli całymi tygodniami przeszukiwać ocean, płynąc zakosami na północ i bez przerwy nadając ten komunikat. Gargle mówił mi, że ostatnio pająkomobile giną bez wieści. Uważał, że dzieje się z nimi coś złego, ale może do nich też dotarła ta wiadomość i popłynęli na spotkanie z rodzinami.

– Ale dlaczego nie skontaktowali się potem z Grimsby? – spytał Pulpet.

– Może są szczęśliwi – odpowiedziała. – Może boją się, że Gargle ich ukaże za to, że odwiedzili Brighton bez pozwolenia.

Pulpet popatrzył na ekrany.

– Ci ludzie są strasznie bogaci. A Zaginieni Chłopcy biorą tylko dzieci, o które nikt się nie upomni. Sieroty i uliczników z dolnych pokładów, których nikt nigdy nie chciał...

– Tak mówili Gargle i Wujek. Może to wcale nie jest prawda? Może porywali też dzieci z bogatych rodzin? Poza tym za sierotami też ktoś może tęsknić. Nawet ulicznicy mają rodziców, którzy mogą ich szukać i rozpaczać, że ich porwano.

Na policzki Pulpeta spłynęły dwie łzy i zabłysły jak perły w świetle ekranów.

– Wyślę ryborakietę z wiadomością do Grimsby i zapytam Wujka, co robić – postanowił.

– Słuchaj, on na pewno nie pozwoli ci tam popłynąć!

– Wujek wie wszystko najlepiej – odpowiedział Pulpet, ale w jego głosie nie było pewności.

– Poza tym zanim dostaniesz odpowiedź, Brighton może już być daleko. Nadchodzi jesień. To czas wysokiej wody i sztormów. Panna Freya zawsze uczyła nas, że pływające miasta jesienią odpływają na spokojne wody. Więc to może być twoja jedyna szansa...

– Ale to jest jedna z żelaznych zasad. Uczą nas ich w Kleptorium. Nie wolno ujawniać Jeleniom istnienia Zaginionych Chłopców. Tak mówił Gargle.

– Ale te Jelenie i tak już o was wiedzą – przypomniała mu Wren.

Pulpet potrząsnął głową i otarł dłonią łzy. Tresura, jaką przeszedł w Kleptorium, walczyła o lepsze z rosnącą nadzieją, że wśród tych uśmiechniętych twarzy na ekranie mogą być jego rodzice. Nie pamiętał ich, ale był pewny, że gdyby ich spotkał, rozpoznałby ich od razu.

– Dobra – powiedział w końcu. – Podpłyniemy bliżej. Przyjrzymy się temu całemu Brighton, wpuścimy im na pokład parę krab-kamer, jeśli się uda. Sprawdzimy, co to za ludzie, to całe GORPD...

Popatrzył na Wren i zrobiło mu się jej żal. Ona nie mogła liczyć na spotkanie z rodzicami na pokładzie miasta.

– Pewnie umierasz z głodu – powiedział.

– Trochę tak – przyznała.

Uśmiechnął się nieśmiało.

– Ja też. Gotowaniem zajmowała się Mora. Umiesz zrobić coś do jedzenia?

10. RODZICE TO PUŁAPKA

N tej porze roku pływające miasto-kurort Brighton zazwyczaj krążyło po Morzu Środkowym, kotwicząc od czasu do czasu przy brzegu, żeby goście z lądowych ruchomych miast przylatywali balonami i motolotniami bawić się w wesołych miasteczkach, zwiedzać oceanarium, wypoczywać na plażach i robić zakupy w butikach. Ale od kilku lat interesy szły kiepsko, więc Rada Miasta postanowiła wyruszyć na Północny Atlantyk w poszukiwaniu pasożytniczych piratów.

Ostatnio zaczęli tego żałować. Pierwsze trzy pająkomobile, wyłowione na wschód od Azorów, wywołały ogromną sensację. Tłumy gości z miast na Terenie Polowań przyleciały sterowcami, żeby zobaczyć te dziwadła. Ale to było dawno. Od tygodni nie znaleziono ani śladu Zaginionych Chłopców, a rozwieszane na dziobie długie proporce z napisami „Letnia Ekspedycja GORPD” i „Brighton Wita Piratów-Pasożytów” nieco się postrzępiły i wyglądały coraz bardziej żałośnie.

Pulpet podprowadził „Autolika” o milę od Brighton, pozostając na głębokości peryskopowej. Od chwili, gdy po raz pierwszy usłyszał komunikat GORPD, upłynęła zaledwie jedna noc. Poranne niebo mieniło się jak wnętrze muszli porcelanki, a po powierzchni morza przewalały się wielkie szare fale.

Kiedy Wren spozrzała przez peryskop, w ogóle nie mogła dostrzec Brighton. Widziała tylko te fale, a za nimi od czasu do czasu wielką wyspę na nawietrznej. Otaczały ją brudnobiałe skały, a wierzchołek tonął w chmurach.

Wtedy zrozumiała, że to nie żadna wyspa i nie skały, tylko rzędy białych budynków na kolejnych pokładach miasta, nad którym unosiła się para i gęste spaliny wyrzucane z kominów. Miała przed sobą pływające miasto o trzech pokładach, z dwiema dzielnicami – satelitami połączonymi z miastem wąskimi galeriami i z ogromnymi kołami napędowymi po bokach, obracającymi się w wodzie w chmurze morskiej piany.

– Och! – krzyknęła ze zdziwienia. Widziała takie miasta na obrazkach w książkach, ale nie uświadamiała sobie, że są takie ogromne. O wiele większe od Anchorage. Nad strzępiastą linią najwyższych wież, kopuł i dachów przelatywały sterowce, omijając owalny pokład unoszący się w powietrzu kilkaset metrów nad najwyższym poziomem, podtrzymywany przez olbrzymie zbiorniki z gazem. Przycumowano go do miasta grubymi, stalowymi linami.

Wren mogła dostrzec zielone drzewa na skraju pokładu, a wśród nich budynki o niesamowitych, cebulowatych kopułach.

– Co to takiego? – wykrztusiła.

– Tak zwane Siódme Niebo – odparł Pulpet, któremu udało się uzyskać obraz miasta z krab-kamery wysłanej na peryskop. Wziął do ręki wysłużony pokładowy egzemplarz *Almanachu Ruchomych Miast Cade'a (Wydanie morskie)* i porównywał rysunek Brighton z widokiem z ekranu.

– To coś w rodzaju napowietrznego parku. W tym wielkim budynku na środku mieszka burmistrz Brighton.

– Niesamowite! – szepnęła Wren. – Serio!

– Nie mają szczęć – dodał Pulpet, który właśnie upewnił się, czy Brighton nie dodało żadnych niebezpiecznych elementów od czasu wydania *Almanachu*.

Na obrotowych platformach na promenadach stało kilka działek obrony przeciwlotniczej, ale nie więcej niż w innych miastach. Czasy były niespokojne i wszyscy chcieli jakoś się zabezpieczyć.

– To naprawdę miasto-kurort.

Opuścił peryskop. Gdy wyłączył sygnał krab-kamery, na ekranach znowu pojawił się program z Brighton, tym razem wyraźny i jasny, bo byli już blisko.

– Chcemy tylko zobaczyć naszych kochanych zaginionych chłopców – mówiła kobieta z GORPD.

Pulpet poczuł, jak wzbiera w nim głupia, radosna nadzieja. A może to właśnie jest jego mama? Rodzice są jak pęta, jak łańcuch, jak kajdany i nie pozwalają chłopcom być sobą. Takiej maksy my nauczono go w Kleptorium. Teraz, gdy zaświtała mu nadzieja spotkania z rodzicami, zrozumiał, że nigdy w to nie wierzył. Przez całe życie tęsknił za mamą i tatą i nawet o tym nie wiedział, zanim nie usłyszał tego komunikatu.

Zanurzył „Autolika” głębiej, w cień kadłuba Brighton. W mętnej wodzie zamajaczyły kable i potężny, skomplikowany mechanizm sterowniczy. Przed czołowym reflektorem pająkomobila przesuwwały się zielone lasy wodorostów. Przy dziobie zwisała jakaś metaliczna kula. Pulpet pomyślał, że to nadajnik, z którego GORPD transmituje swój komunikat.

Nagle kabinę przeszył mechaniczny dźwięk. Wren pomyślała, że coś spadło w ładowni, ale dźwięk zaczął się

powtarzać w regularnym rytmie, jakby ktoś ostrożnie pukał młotkiem w kadłub.

– Na bogów! – wykrzyknął Pulpet.

– Co się dzieje? – spytała. – Co to za hałas?

Chłopiec gorączkowo manipulował sterem pająkomobila, by wydostać się spod miasta, na bardziej przejrzyste wody.

– Gargle mówił nam, że kiedyś natrafił na coś takiego, pod wielkim drapieżnym miastem. To rodzaj urządzenia nasłuchowego Starożytnych... Teraz rodzice już na pewno wiedzą że tu jesteśmy!

Nie był pewny, czy go to cieszy, czy przeraża.

Coś zabrzączało i mobil niezgrabnie przechylił się na bok, zbijając Wren z nóg. Z początku myślała, że to Pulpet coś zrobił.

– Mogłeś mnie ostrzec – poskarżyła się, rozcierając łokieć, którym uderzyła w przegrodę. Nagle dotarło do niej, że chłopiec jest równie zaskoczony jak ona.

– Co się dzieje? – szepnęła.

– Nie wiem, nic nie wiem!

Następne wydarzenia były już oczywiste. „Autolik” szybko wynurzał się z wody. Po chwili w obłokach piany znalazł się na powierzchni i kabinę zalał blask słońca, oślepiając ich po tylu dniach spędzonych w ciemności. Kiedy Wren odzyskała wzrok, pająkomobil wisiał wysoko nad falami i właśnie był przenoszony na szeroki, metalowy pokład, zainstalowany w pobliżu dzioba. Po pokładzie biegali ludzie. Nie byli to jednak roześmiani, eleganccy rodzice z komunikatu, ale jacyś brutale w gumowanych kombinezonach. Na ich widok Wren przeszły strach. Dopiero gdy spojrzała wyżej, uspokoiła się nieco, bo

nad pokładem wносиła się ozdobna galeria. Zgromadzeni na niej gapie wyglądali tak jak rodzice z GORPD; uśmiechali się radośnie i z podnieceniem wskazywali sobie pająkomobil, który właśnie spoczął na pokładzie.

Pulpet już był w połowie drabiny prowadzącej do kłapy w suficie. Gdy ją otworzył, wokół rozległy się radosne okrzyki. Ktoś mówił coś przez głośniki, ale echo tak zniekształcało słowa, że nie sposób było je zrozumieć.

Wren weszła za nim na drabinkę. Gdy wyjrzała na zewnątrz, Pulpet tkwił przy peryskopie i rozglądał się nerwowo, onieśmielony okrzykami i blaskiem słońca. Magnetyczny chwytak, który wyciągnął mobil z wody, został już odczepiony i wisiał nad nimi na dźwigu. Krople wody spadały im na głowy. Ludzie na galerii wiwatowali, krzyczeli i wymachiwali rękami. Wren dotknęła ramienia Pulpeta, żeby dodać mu pewności. Mężczyźni w kombinezonach otoczyli mobil i zbliżali się ostrożnie. Podejrzewała, że byli to jacyś robotnicy portowi albo rybacy, wynajęci, by wyciągnąć mobil na pokład. Uśmiechnęła się do nich, ale nie zareagowali na to. Wytężyła słuch, by zrozumieć słowa dobiegające z głośników.

– ...informacja dla tych, którzy dopiero co się do nas przyłączyli! – huczał głos przerywany piskiem sprzężenia zwrotnego. – Brighton właśnie pochwyciło czwartą piracką łódź podwodną. Oto załoga, która wyległa na pokład. Żałosna parka młodocianych rzezimieszków. Można się było tego spodziewać! Ale nie obawiajcie się, panie i panowie. Wkrótce świat na zawsze pozbędzie się tych pasożytów!

– To pułapka! – krzyknęła Wren. Pulpet, który nie zrozumiał ani słowa, zwrócił ku niej białą ze strachu twarz. – To

nieprawda! – krzyknęła, prostując się na całą wysokość. – Pulpet! To...

Dwóch mężczyzn podbiegło do burty i rozwinęło jakiś przedmiot. To była sieć! Zarzucili ją na Pulpeta, który kopał i wił się, rozpaczliwie czepiając się ręki Wren.

– To oni nie są naszymi rodzicami? – spytał piskliwym głosem na granicy płaczu. – Okłamałaś mnie!

Mocne ręce pochwyciły go z tyłu i oderwały od Wren. Mocne ręce w gumowych rękawicach, cuchnących rybami i naftą. Potem sieć zarzucono na nią. Choć walczyła, wywijając pięściami i kopiąc, mężczyzna zarzucił ją sobie na ramię, zniósł z kadłuba i rzucił na pokład. Usłyszała, jak łkanie Pulpeta zmienia się w przenikliwy krzyk i po chwili zrozumiała, dlaczego. Jakiś człowiek chwycił ją i wypalił na wierzchu jej dłoni rozpalonym żelazem piętno:

– Mamusiu! Mamusiu! – wył Pulpet, gdy ciągnęli go za sobą. Wciąż nie mógł uwierzyć, że GORPD i ci wszyscy uśmiechnięci rodzice to była tylko przynęta.

– Zostawcie go! – krzyknęła Wren, płacząc z bólu po oparzeniu. – Ma tylko dziesięć lat! Dlaczego jesteście tacy podli? Myślał, że jesteście jego rodzicami!

– Właśnie o to chodziło, chłopcze. – Zwalisty mężczyzna w przeciwdeszczowym płaszczu pochylił się nad nią. Buchając odorem, whisky zajrzał jej w twarz. – Chwilunia – powiedział. – Panno Weems, niech pani spojrzy. Ten tutaj to dziewczyna.

Piękna, nieprzystępna, ubrana na czarno kobieta odsunęła go na bok. Na dłoni miała takie samo piętno jak Wren, ale

wyraźnie starsze, prawie takiego samego koloru jak skóra.

– Ciekawe – powiedziała, przyglądając się Wren. – Słyszeliśmy plotki, że wśród pasożytów są dziewczęta, ale po raz pierwszy udało nam się schwytać jedną z nich.

– Nie jestem Zaginioną Dziewczynką! – wykrzyknęła Wren przez gęste oczka siatki. – Byłam więźniem na pokładzie „Autolika”. Pulpet porwał mnie z domu.

Kobieta uśmiechnęła się z pogardą.

– Mało mnie obchodzi, kim byłaś, dziewczyno. Jesteśmy handlarzami niewolników i dla nas jesteś teraz po prostu towarem.

– Ale ja... Nie możecie sprzedać mnie w niewolę!

– *Au contraire*², dziecko. Nasza umowa z burmistrzem Pennyroyalem mówi o tym zupełnie jasno. Wszyscy pasażerowie pasożytniczych statków, które uda nam się wyłowić, stają się własnością Korporacji Shkin.

– Burmistrzem Pennyroyalem?! – wykrzyknęła Wren. – Czyba nie mówi pani o Nimrodzie Pennyroyalu?

Kobieta wyraźnie zdziwiła się, że Zaginiona Dziewczynka zna to nazwisko.

– Owszem. Nimrod Pennyroyal jest burmistrzem Brighton od ponad dwunastu lat.

– To niemożliwe! Kto by chciał takiego drania na burmistrza? To oszust! Zdrajca! Złodziej sterowców!

Panna Weems zapisała coś w notatniku.

– Zabierz ją do więzienia dla niewolników – poleciła jednemu ze swoich ludzi. – Powiadom pana Shkina o połowie. Uważam, że to dobry znak. Może zbliżamy się do gniazda piratów.

11. CZWÓRKA PRZYJACIÓŁ PRZECIWKO GRIMSBY

Nano, w dniu wyjazdu, kiedy „Śrubodżdżownica” w końcu była gotowa i Hester z Tomem czekali tylko, aż Caul zakończy ostateczny przegląd silników, Freya Rasmussen zeszła na plażę rybacką i oświadczyła, że jedzie z nimi. Żadne nalegania nie mogły zmienić jej zdania.

– To będzie niebezpieczne.

– Ale wy się w to pakujecie.

– Jesteś tu potrzebna.

– Och, Anchorage doskonale sobie radzi beze mnie. Poza tym powiedziałam pani Aakiuq, że może pełnić rolę margrabiny podczas mojej nieobecności. Nie chcecie jej chyba rozczarować, prawda? Zrobiła sobie specjalny kapelusz i tak dalej...

Rozpromieniona Freya podeszła do trapu „Dżdżownicy” i wrzuciła do środka wypakowaną torbę podróżną.

– Nie rozumiesz tego, Królowo Śniegu? – zirytowała się Hester. – Nie płyniemy do Grimsby z wizytą towarzyską. Będziemy musieli odbić Wren. Będę strzelać do wszystkich Zaginionych Chłopców, którzy mi staną na drodze.

– Tylko pogorszysz sprawę – odparła kwaśno Freya. – Za dużo było już strzelania. Właśnie dlatego jestem wam potrzebna. Porozmawiam z tym całym Wujkiem i wszystko mu

wytłumaczę.

Hester jęknęła rozpaczliwie i popatrzyła na Caula, pewna, że nie będzie chciał mieć Freyi na pokładzie, ale on bez słowa zapatrzył się w migotliwą wodę.

W ten sposób decyzja zapadła i wyprawa zaczęła się jak wycieczka na piknik, bo Tom z Freyą machali z otwartych luków „Dżdżownicy” do wszystkich mieszkańców Anchorage, którzy wylegli na plażę i zegnali ich okrzykami.

Gdy miasto zniknęło za przylądkiem i „Dżdżownica” złożyła pająkowate nogi, przygotowując się do zanurzenia, Freya zeszła do kabiny, gdzie Caul pochylał się nad zardzewiałym pulpitem sterowniczym. Ale Tom został na pokładzie do ostatniej chwili, przyglądając się mijanym brzegom i zielonym zboczom wzgórz, odbijającym się w zmarszczonej wodzie. Wśród tataraków nawoływały się ptaki; w ich piosenkach powracały echem dźwięki alarmów samochodowych i dzwonekó telefonów, których niegdyś używali Starożytni; żywe muzyczne skamieliny pozostałe po świecie, który zniknął z powierzchni ziemi. Tom powędrował myślami do starożytnych osad, które zaczął odkopywać na Martwych Wzgórzach i pozostałości dawno zgasłego życia, które tam znalazł. Czy kiedyś wróci z Wren, by dokończyć tę pracę?

– Wrócimy – obiecał i wszedł do pająkomobila, do Hester. Nie odpowiedziała mu ani słowem. Miała przeczucie, że już nigdy nie zobaczy Anchorage.

Sterówka „Śrubodżdżownicy” była tak ciasna, że Caul nie mógł wykręcić się od rozmowy z Freyą Rasmussen. Ciekaw

był, czy był to jeden z powodów, dla których postanowiła popłynąć z nimi. Gdy bulaje sterówki znalazły się pod wodą, usiadła obok niego i rozłożyła na konsoli pilota wiekową mapę Snøri Ulvaeussona.

– Pamiętasz drogę powrotną do Grimsby? – spytała.

Skinął głową.

– Tak myślałam – odpowiedziała. – Dziwne, że nie popłynąłeś tam wcześniej.

– Do Grimsby? – Odwrócił się, żeby na nią popatrzeć. Jej łagodne, troskliwe spojrzenie sprawiło, że poczuł się nieswojo i na nowo wbił wzrok w pulpit.

– Dlaczego miałbym tam wracać? Zapomniałaś, co mi się tam przytrafiło ostatnim razem? Gdyby Gargle mnie nie odciął...

– Mimo to chciałeś tam wrócić – odpowiedziała spokojnie. – Z jakiego innego powodu naprawiałbyś „Dżdżownicę”?

Caul wbił wzrok w mętną ciemność przed dziobem pająkomobila, udając, że wypatruje podwodnych skał.

– Myślałem o tym – przyznał. – W tym jest cały kłopot. Nie potrafię przestać o tym myśleć. Nawet przez pierwsze tygodnie po przybyciu do Winlandii, kiedy było tyle do roboty, wszyscy byli tacy mili i serdeczni, a ty...

Spojrzał na nią z ukosa i odwrócił wzrok. W dalszym ciągu go obserwowała. Dlaczego zawsze była dla niego taka miła? Szesnaście lat temu ofiarowała mu swoją miłość, a on ją odrzucił. Nie miałby do niej pretensji, gdyby wtedy przegnała go z powrotem na morze.

– Właśnie dlatego mieszkam na dolnym pokładzie – przyznał. – Bo ta część Anchorage najbardziej przypomina mi Grimsby. Co noc we śnie słyszę głos Wujka, który mówi:

„Wracaj do Grimsby, Caul”. Popatrzył na nią niespokojnie. Nikomu o tym przedtem nie wspominał i teraz przestraszył się, że uzna go za wariata. Sam czasem tak o sobie myślał. – Wujek szepce do mnie tak, jak kiedyś szeptał przez głośniki na suficie Kleptorium, kiedy byłem mały. Nawet fale na plaży odzywają się jego głosem: „Grimsby to twój dom, Caul. Mój mały, nie pasujesz do tych Jeleni. Wracaj do domu, do Grimsby”.

Freya wyciągnęła rękę żeby go dotknąć, ale powstrzymała się jednak. Powiedziała tylko:

– Ale kiedy pojawił się Gargle i poprosił cię o pomoc, odmówiłeś. Mogłeś dać mu Cynową Księgę i wrócić z nim na „Autoliku”.

– Chciałem to zrobić – odpowiedział. – Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo.

– Ale nie zrobiłeś. Wybrałeś Anchorage, a nie Grimsby.

– Tylko dlatego, że się bałem – przyznał. – Bałem się, że kiedy tam wrócę, okaże się, że nie pasuję do Zaginionych Chłopców, tak samo jak do was. Może nie należę już ani tam, ani tu. Może stałem się nikim.

Wtedy Freya go dotknęła. Położyła mu dłoń na ramieniu i poczuła, jak się odsuwa, szybko i strachliwie, jak przerażone zwierzątko. Czasem miała wrażenie, że Caul jest dla niej taką samą tajemnicą jak szesnaście lat temu, kiedy przyплыł do niej zza morza. Byłby o wiele szczęśliwszy, gdyby wtedy pozwolił jej się kochać. Nic więcej. Ona też byłaby szczęśliwsza. Nie zrujnował jej życia, przydarzyło jej się wiele dobrych rzeczy, ale czasem ogarniał ją smutek, że nie miała ani męża, ani dzieci. Miała wrażenie, że niektórzy ludzie po prostu nie potrafią być szczęśliwi. Jak Caul albo jak Hester

Natsworthy.

A może jest w tym coś więcej? Pomyślała o tych falach na plaży, szepczących do Caula głosem Wujka, i poczuła się nieswojo. Jeśli Wujek przemawiał do niego w Winlandii, to co będzie, gdy dotrą do Grimsby? Jeśli zdarzy się najgorsze i dojdzie do walki, to po czyjej stronie stanie Caul?

12. BIZNES NA SZEROKICH WODACH

Doskonale, Wasza Ekscelencjo! Tak trzymać! Uśmiech!

Flesz wybuchnął z cichym sapnięciem i chmurka dymu uniosła się jak urodzinowy balonik nad skąpane w słońcu Siódme Niebo. Nimrod Pennyroyal, odkrywca, autor i burmistrz, miał właśnie robione kolejne zdjęcie do „Wieczornego Palimpsestu³ Brighton”. Tym razem pozował z Digby Slingbackiem i Sardoną Flysch, aktorami, którzy odgrywali zrozpaczonych rodziców z komunikatu GORPD nadawanego przez Brighton na wodach Atlantyku.

– Czy Wasza Ekscelencja mógłby przypomnieć czytelnikom, jak wpadł pan na pomysł tej wyprawy przeciwko pasożytniczym piratom? – spytał reporter „Palimpsestu”, gdy fotograf wkładał do aparatu nową płytę.

– Uważałem to za swój obowiązek – odpowiedział rozpromieniony Pennyroyal, poprawiając urzędowy łańcuch z herbem, który pięknie błyszczał w słońcu. – W końcu to ja pierwszy ostrzegłem świat przed tymi morskimi przestępcami. Może pan przeczytać o moich potyczkach z nimi w światowym bestsellerze *Złoto drapieżcy* (tylko dwadzieścia pięć brightońskich delfinów, dostępny we wszystkich dobrych księgarniach). W ostatnich latach docierało do nas coraz więcej wieści o ich napadach i włamaniach. Zaczęliśmy rozpracowywać sposób działania ich organizacji. Uznałem za

swój obowiązek popłynąć na północ i schwytać tyłu, ile się da.

– Naturalnie niektórzy krytycy Waszej Ekscelencji uważają, że to tylko sztuczka pod publikę, obliczona na ściągnięcie turystów do Brighton i zwiększenie sprzedaży pana książek...

Pennyroyal prychnął lekceważąco.

– Moje książki i bez tego dobrze się sprzedają. Czy to źle, że wieści o naszej misji pozbycia się tych pasożytów z oceanów świata ściągają do Brighton więcej turystów? Brighton jest przecież miastem turystycznym, a zadaniem burmistrza jest nakręcanie koniunktury. Chciałbym przy tym przypomnieć, że nasza rybacka wyprawa nie kosztuje podatników ani grosza. Dzięki spółce, którą zawiązałem, koszty wszystkich podwodnych urządzeń nasłuchowych i pułapek na pająkomobile pokrywa jeden z naszych najwybitniejszych biznesmenów, pan Nabisco Shkin. To on wpadł na pomysł fałszywej organizacji zrzeszającej rodziców tych piratów. Wiem, że niektórzy uważają to za okrutne, ale sam pan przyzna, że jest też niezwykle skuteczne. Shkin doskonale rozumie psychikę tych parszywych sierot. Jak pan wie, sam był sierotą, zwykłym ulicznikiem z dolnego pokładu. Można powiedzieć, że wyciągnął się z tego bagna za własne sznurowadła. Dlatego doskonale wie, jak do nich przemówić.

– Czy Wasza Ekscelencja sądzi, że wkrótce schwytamy jeszcze więcej piratów?

– Sami zobaczcie! – zaśmiał się Pennyroyal, odwracając się do kamery swoim lepszym profilem, bo fotograf był już gotów do następnego zdjęcia. – Chłopcy, których złapaliśmy poprzednio, byli twardzi i odmówili podania współrzędnych ich bazy. Dziś w nasze ręce wpadli o wiele młodszy dzieciak i

dziewczynka. Łatwiej będzie nam ich złamać. Jestem przekonany, że najbliższe dni przyniosą wielki sukces!

Jak się okazało, najbliższe dni przyniosły tylko zmianę pogody. Znad Martwego Kontynentu nadleciał sztorm i wzburzył ocean, formując olbrzymie, białe fale, które rzucały miastem tak gwałtownie, że nawet jego mieszkańcy czuli się nieswojo. Wielu turystów, którzy przylecieli z Terenu Polowań, żeby być świadkiem łowów na piratów, pośpiesznie powsiadało na swoje sterowce i powietrzne jachty i wróciło do domów. Mieszkańcy miasta (to znaczy ci, którzy nie leżeli złożeni chorobą morską) spoglądali w górę przez strugi deszczu na wiszące nad nimi Siódme Niebo i zastanawiali się, dlaczego pozwolili, by Pennyroyal wyprowadził miasto na te dzikie, nieprzyjazne, oceaniczne wody.

Daleko w dole pod widokowymi tarasami, na najniższym pokładzie Brighton, Wren leżała zwinięta w kłębek na podłodze wąskiej celi w zagrodzie niewolniczej Korporacji Shkin i żałowała, że wciąż jeszcze żyje. Nad jej głową kołysała się argonowa lampa, rzucając blask na metalowe ściany i rzędy klutek przygotowanych dla Zaginionych Chłopców, których Brighton zwabiało na pokład. W jednej z nich leżał Pulpet. W innych więziono załogantów pozostałych pająkomobili, którzy wcześniej wpadli w ręce handlarzy. Piętno na dłoni Wren bolało coraz bardziej. Wiedziała, że będzie widoczne przez resztę jej życia – choć może to wcale długo nie potrwać.

– Toniemy? – spytała, kiedy strażnik podszedł do jej celi i

błysnął latarką, żeby sprawdzić, czy nie umarła.

Zaśmiał się.

– Wygląda groźnie, prawda? Ale Brighton przetrwało gorsze sztormy niż ten. Nie martw się; wkrótce będziemy wyciągać z morza następnych twoich kumpli.

– To nie są żadni moi kumple – odpowiedziała z goryczą. Nie jestem Zaginiona...

– Zmień płytę, mała – padła znużona odpowiedź. – Słyszałem, jak wciskałaś Monice Weems tę samą opowiadkę, kiedy wasza łódź znalazła się na Rybackim Rynku. Odpowiedź też jest taka sama. Nieważne, kim byłaś. Teraz jesteś towarem. W Neo-Maja zapłacą za ciebie sporą kasę.

Wren przypomniała sobie dawne lekcje geografii: wielki globus w klasie w Pałacu Zimowym i pannę Freyę, która mówiła: „A tu jest Neo-Maja, niegdyś zwana Ameryką Południową. Wtedy jeszcze łączył ją z Ameryką Północną pas lądu, który został zniszczony przez bomby asteroidowe, podczas wojny sześćdziesięciminutowej”.

Ale przecież Neo-Maja jest odległa o tysiące mil stąd? Jeśli ją tam sprzedadzą, czy uda jej się kiedykolwiek odnaleźć drogę do domu?

Strażnik pochylił się nad klatką i spojrzał na nią drwiąco przez pręty.

– Nie myślisz chyba, że pan Shkin sprzeda bandę podstępnych piratów, żeby służyli w domach i pielęgowali chorych, co? Skończycie jako gladiatorzy na szczycie jakiegoś zigguratu w Neo-Maja. Robią tam fantastyczne widowiska. Na przykład napuszczają na siebie dwa oddziały niewolników, albo każą ludziom walczyć z podrasowanymi maszynami do

cięcia złomu albo z Łowcami Zielonej Burzy, których też wzięli do niewoli. Krew się leje strumieniami i wszędzie walają się flaki. Wszystko to na cześć tych ich śmiesznych nowomajskich bożków, więc w sumie z potrzeby duchowej.

Wren wcale się nie podobała taka perspektywa, choćby była nie wiadomo jak duchowa. Musiała znaleźć jakieś wyjście z tego koszmaru. Ale jej mózg, tak niegdyś wychwalany przez pannę Freyę, był zbyt oszołomiony kołysaniem fal, żeby mógł w ogóle pracować.

– Obyśmy zatonęli! – krzyknęła słabym głosem. – Mielibyście za swoje! Mam nadzieję że zatoniemy, zanim pochwycicie nowych, nieszczęsnych Zaginionych Chłopców!

Ale następnego dnia sztorm zelżał, fale opadły i jeszcze tego samego wieczoru do zagrody niewolników wepchnięto oszołomionych, zapłakanych chłopców z trzech kolejnych pająkomobili. W nocy rybacy wyciągnęli z morza jeszcze cztery pojazdy, a następnego dnia kolejne trzy. Jeden wyczuł pułapkę i uciekł z zasięgu magnetycznego chwytaka, ale Brighton ruszyło w pościg, rzucając miny głębinowe. W końcu z oceanu trysnął pióropusz wody, oblewając wiwatujących widzów na galeriach od zawietrznej. Na powierzchnię wypłynęły kawałki pająkomobila i ciało załogi.

– Wiadomości o tym, co się dzieje, na pewno dotarły już do Grimsby – powiedział Kryl, jeden z chłopców, których pojmano na samym początku. Pobladł z przerażenia, patrząc, jak kolejne cele zapełniają się więźniami. – Wujek na pewno znajdzie jakiś sposób. Uratuje nas stąd.

– Owszem, do Grimsby dotarły już wiadomości – odpowiedział jeden z nowo przybyłych. – Dlatego tu jesteśmy.

Odebraliśmy komunikat kilka dni temu. Wujek powiedział, że to pułapka, i żebyśmy ich nie słuchali, ale wymknęliśmy się po kryjomu z miasta. Naprawdę myśleliśmy, że spotkamy tu naszych rodziców...

Kryl spuścił głowę i rozplakał się bezradnie. Przeprowadził niejednen atak na statyczne miasta w Zachodnim Archipelagu, zamordował niejednego Jelenia, ale tutaj, w więzieniu Korporacji Shkin był zwykłym, zagubionym nastolatkiem.

Wren przez kraty pociągnęła Pulpeta za rękaw. Chłopiec leżał zwinięty w kłębek na podłodze sąsiedniej klatki. Nie odezwał się do niej ani słowem od chwili przybycia. Domyślała się, że winił ją za wszystko, co mu się przytrafiło. Może nawet miał rację. Szkoda, że tak bardzo namawiała go, żeby popłynąć do Brighton!

– Pulpet – spytała łagodnie. – Ilu jest Zaginionych Chłopców? W ogóle, nie tutaj.

Nawet na nią nie spojrzał, ale po chwili mruknął:

– Zdaje mi się, że około sześćdziesięciu. Nie licząc Wujka i maluchów za małych, żeby pływać w mobilach.

– Tu jest was około czterdziestu! – wykrzyknęła. – To znaczy, że Grimsby prawie całkiem opustoszało...

Zazgrzytały drzwi, wpuszczając kolejną grupę ludzi. Pewnie następnych więźniów, pomyślała i nawet nie podniosła wzroku. To wszystko było zbyt przygnębiające.

Ale odgłos kroków zatrzymał się przy jej klatce, więc jednak spojrzała na przybyszów. Nie byli to kolejni Zaginieni Chłopcy, ale dwóch strażników Korporacji Shkin i nienawistna panna Weems.

– Zabrać ją – poleciała.

Wren zdziwiła się. Czyżby panna Weems w końcu zrozumiała, że Wren nie jest Zaginioną Dziewczynką? A może ktoś w Korporacji doszedł do wniosku, że nie nada się nawet na nowomajską arenę i postanowił rzucić ją za burtę, bo po co marnować wodę i pożywienie na kogoś takiego?

– Nasz pan chce się z tobą widzieć – powiedziała panna Weems.

Zaginieni Chłopcy obserwowali zza krat ich odejście.

Za drzwiami było niewielkie pomieszczenie, ciasne jak kuchenna spiżarnia. Strażnicy weszli razem z Wren do środka. Dopiero gdy panna Weems pociągnęła dźwignię w ścianie, Wren zrozumiała że to winda. Windy w Anchorage popsuły się przed wielu laty. Ta działała bez zarzutu. Wznosiła się tak szybko, że żołądek Wren nie nadązał za resztą ciała.

Kiedy ją schwytali, tak szybko wtrącono ją do więzienia, że nie zorientowała się, gdzie się znajduje. Budynek Korporacji Shkin był wysoką wieżą, której podstawy sięgające najniższego poziomu mieściły kwatery dla niewolników. W jej środkowej części, na średnim pokładzie były magazyny luksusowych towarów i biura administracji. Najwyższe piętra, wznoszące się ponad ostatnim pokładem miasta, w modnej dzielnicy Queen's Park, przeznaczono na biuro i apartamenty właściciela Korporacji, pana Nabisco Shkina. Zachwycały elegancją, lśniły bielą lodowca i nikomu nie przychodziło do głowy, że dziewięć dziesiątych budynku ukrytych pod pokładem to czysty koszmar. Miejscowi przewalali wieżę Pieprzniczką.

Winda zatrzymała się na najwyższym piętrze. Drzwi się otworzyły i Wren znalazła się w ogromnej, okrągłej sali.

Zdobiły ją piękne meble, czarne aksamitne zasłony, czarne dywany i czarne obrazy w złotych ramach, wiszące na czarnych ścianach. Ale dopiero widok z okien zaparł jej dech w piersiach. Spoglądała ponad dachami Brighton; słońce świeciło, barwne flagi powiewały na wietrze, powietrzne jachty i pedałowe parolotnie startowały z portu lotniczego, a wokół kominów kołowały i nurkowały stada mew; wszystko to na tle roziskrzonego morza. Miasto tonęło w lekkiej mgiele z rozbryzgów pod kołami napędowymi. Rozwiewała ją łagodna bryza, a przefiltrowany przez ten opar blask słońca barwił ulice niezliczonymi, wędrującymi tęczkami.

Przez moment zapomniała o swoim cierpieniu, głodzie i bólu, jaki sprawiało piętno na dłoni. Wezbrała w niej radość. Była na pokładzie pływającego miasta – jednej z tych cudownych metropolii, o których zawsze marzyła. Okazało się o wiele piękniejsze, niż myślała.

– To ta dziewczyna, panie Shkin – przedstawiła ją panna Weems. Ku satysfakcji Wren, w głosie kobiety brzmiała nowa, służalcza nuta. Jeden ze strażników obrócił Wren w stronę mężczyzny, który obserwował ją z czarnego obrotowego fotela.

Nabisco Shkin siedział bez ruchu, założywszy nogę na nogę. Na skórzanym lakierku połyskiwało światło, gdy ledwie zauważalnie kołysał nim w górę i w dół. Szary garnitur, szare rękawiczki, siwizna we włosach, szare oczy, szara twarz i szary głos.

– Witam serdecznie, moja miła – powiedział, ale w jego głosie nie było serdeczności. W twarzy też nie. Wyglądał, jakby nigdy w życiu nie zaznał serdecznych uczuć.

– Podobno upierasz się, że przyплыnęłaś z Anchorage –

powiedział.

– Tak jest! – wykrzyknęła Wren, szczęśliwa, że ktoś wreszcie chce jej wysłuchać. – Mam na imię Wren Natsworthy i zostałam porwana...

– To niemożliwe. To miasto zatoneło wiele lat temu. Na zachód od Grenlandii – powiedział Shkin, wstał i obszedł ją naokoło.

– Wcale nie! – zaprzeczyła. – Ono...

Shkin uniósł palec i podszedł do biurka. Wrócił, trzymając coś w dłoniach. Była to książka, którą Wren wykradła panie Freyi. Kompletnie o niej zapomniała.

– Co to jest? – spytał.

– To Cynowa Księga – odpowiedziała. – Kuriozum z Mrocznych Wieków. To z jej powodu „Autolik” przypłynął do Anchorage. Prawdopodobnie traktuje o łodziach podwodnych. Pomogłam Zaginionym Chłopcom ją wykraść, ale wszystko poszło źle. Pulpet porwał mnie na swój statek. Gdyby mógł pan odwieźć mnie do domu, sir, moi rodzice i panna Freya sowicie by pana nagrodzili...

– Znów to Anchorage. – Shkin odłożył książkę i spojrzał na Wren z uwagą. – Czemu upierasz się przy tych bzdurach? W Anchorage mieszkają już tylko ryby. Wszyscy w Brighton o tym wiedzą. Nasz ukochany burmistrz Pennyroyal zarobił ogromne pieniądze na książce o ostatnich dniach tego miasta. W ostatniej scenie *Złota drapieżcy* Anchorage tonie, by spocząć w „morskiej mogile”, jak to określił nasz niezwykle oryginalny autor i burmistrz.

– Pennyroyal to kłamca! – odpowiedziała gniewnie. Pomyślała, że to niesprawiedliwe, że ten drań nie tylko

przeżył, ale jeszcze wzbogacił się na swoich wymysłach. – To tchórz i oszust. Postrzelił mojego tatę i ukradł rodzicom sterowiec, żeby uciec z Anchorage, bo myślał, że Archangielsk je zje. Skąd miałby wiedzieć, co się stało potem? Zmyślił wszystko, co napisał.

Nabisco Shkin uniósł szarą brew o kilka milimetrów, jak zwykle, kiedy chciał okazać zaskoczenie. W tym momencie Wren wpadła na pomysł. Była jedyną osobą w tym świecie, która знаła prawdę o Anchorage. To znaczy, że miała jakąś wartość. Takich ważnych osób nie sprzedaje się do walki na arenie jak zwykłego Zaginionego Chłopca!

Miała wrażenie, że gdzieś w oddali, po drugiej stronie olbrzymiego, mrocznego pomieszczenia otwierają się drzwi. Znalazła wyjście z sytuacji.

– Anchorage dotarło do zielonej oazy na Martwym Kontynencie – wyjaśniła. – Doskonale się tam rozwija, a ja jestem tego dowodem. Nie uważa pan, że Pennyroyal chciałby o tym wiedzieć?

Nabisco Shkin już miał ją uciszyć, ale gdy wypowiadała ostatnie zdanie, wyraźnie się zawahał, a jego brew podskoczyła jeszcze wyżej. Usiadł znowu w fotelu, nie spuszczać z niej wzroku.

– Wyjaśnij – rzucił.

– Chyba chciałby dowiedzieć się, co się stało z Anchorage, prawda? – zająknęła się Wren. – To znaczy, jeśli zarobił takie ogromne pieniądze na tym, że nas opisał, to niech pan tylko pomyśli, jak bardzo chciałby się dowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło. Mógłby napisać kolejny tom! Mógłby zorganizować ekspedycję i odwiedzić mnie do domu, i napisać o tym książkę!

Nawet gdyby nie mógł, to życie niewolnicy w tym napowietrznym pałacu na pewno będzie lepsze niż arena w Neo-Maja, pomyślała. Dodała więc z przekonaniem:

– Dałby każde pieniądze, żeby ze mną porozmawiać.

Shkin z namysłem skinął głową. W kąciku jego ust na moment pojawił się uśmiech, ale nie przetrwał długo. Zirykowało go, że Pennyroyal w najnowszym wywiadzie dla „Palimpsestu” opowiedział anegdotę o slumsach, przypominając wszystkim, że Shkin zaczął swoją karierę jako małaletni złodziejasek w smrodliwych zaułkach Mole’s Combe. Może ta dziewczyna była darem bogów i dzięki niej odegra się wreszcie na absurdalnym burmistrzu Brighton.

– Jeśli mówisz prawdę, to twoja opowieść rzeczywiście mogłaby zainteresować burmistrza Pennyroyala. Ale jak ją udowodnisz?

Wren wskazała Cynową Księgę.

– To jest dowód. Ta księga to słynny artefakt z biblioteki margrabiny...

– Nie przypominam sobie, żeby Pennyroyal wspominał o niej w nudnym, szczegółowym wykazie skarbów Anchorage – odparł Shkin. – Co będzie, jeśli jej nie rozpozna? Wtedy pozostaje tylko twoje słowo. A kto uwierzy słowu niewolnicy i Zaginionej Dziewczynki?

– Może mnie pytać o wszystko – odpowiedziała Wren desperacko. – O mamę, tatę, pana Scabiousa i pannę Freyę. O rzeczy, których nie opisał w książce. O rzeczy, które wie tylko ten, kto mieszkał w Anchorage.

– Interesujące. – Shkin znowu powoli skinął głową. – Monica – powiedział. – Przenieś tę dziewczynkę na drugie piętro. Od

dzisiaj ma być traktowana jak luksusowy towar.

– Nie zapominajcie o Pulpecie – wtrąciła Wren. – On też był w Anchorage.

– To prawda – mruknął Shkin i spojrzał na pannę Weems. – Przeprowadźcie tego chłopca do sali przesłuchań. Najwyższy czas zamienić z nim parę słów.

13. DOKTOR ZERO

Gdy sterowiec, na którym przyleciała z Batmunkh Tsaka, zaczął szukać sobie drogi w chmurze powietrznych statków unoszących się nad Tienjingiem, Oenone Zero spojrzała w dół przez okienko gondoli, podziwiając różnobarwne domki przyklejone do skał, ogrody maleńkie jak skrzynki balkonowe, słońce wysrebrzające kanały i kolorowe szaty mieszkańców, tłoczących się na pajęczych mostach i stromych jak drabiny uliczkach. To miasto, położone wysoko w centralnym masywie Shan Guo, było kolebką antymobilistów. Właśnie w nim lama Batmunkh założył Ligę Antymobilistów i od tej pory tu była jej stolica, która przetrwała tysiąc lat.

Ale Liga przeszła już do historii, Wysoka Rada została obalona i wszędzie w mieście było widać oznaki wojny, toczonej przez Zieloną Burzę. Gdy sterowiec zniżał się ku wojskowemu lądowiskom nieopodal Nefrytowej Pagody, coraz trudniej było zignorować ohydne, betonowe leża wyrzutni rakietowych, które szpeciły parki Tienjingu, i całe armie okropnych wiatraków klekocących na górskich zboczach, żeby dostarczać czystej energii potrzebnej do wysiłku wojennego. Od czternastu lat wszyscy pracowali tylko i wyłącznie na rzecz wysiłku wojennego, a cywilna część miasta stawała się coraz bardziej zaniedbana. Jak okiem sięgnąć, wszystkie budynki wymagały remontu, a cienie patrolujących powietrznych

pancerników przesuwwały się po zapadniętych ze starości dachach.

Nefrytowa Pagoda wcale nie była z nefrytu, ani też nie przypominała pagody. Nazwano ją tak na pamiątkę jakiegoś budynku znanego założycielom Tienjing, którzy znaleźli schronienie w tych górach. Może był to piękny letni pałac na nizinach, pożarty wieki temu przez głodne miasta. Na pewno nie przypominał ponurej, kamiennej fortecy, która wznosiła się nad sterowcem, z którego wysiadła Oenone. Na szpicach zewnętrznych bram wisiały przyprószone śniegiem głowy pacyfistów i mieszkańców, którzy nie przetwarzali odpadów domowych. Górskie powietrze wysuszyło je tak, że przypominały papierowe gniazda os. Na murach wypisano olbrzymimi literami hasła: ZAZIELENIMY ŚWIAT NA NOWO! JESZCZE JEDEN WYSIŁEK I PANGERMAŃSKI MOBILNY KLIN OBRÓCI SIĘ W PROCH!

Wewnętrznej bramy strzegli żołnierze elitarnego legionu lotniczego Łowczyńni Fang. Wartownicy zastąpili drogę, gdy Oenone zarzuciła na ramię plecak i ruszyła w górę po schodach prowadzących z lądowiska do fortecy.

– Dokumenty, młody człowieku – warknął podoficer na służbie. Oenone była przyzwyczajona do takich pomyłek. Na terenach Burzy całe nadliczbowe jedzenie szło na front, więc głód, który co roku pustoszył kraj jej dzieciństwa, sprawił, że miała płaską pierś i drobną sylwetkę jak nastolatek. Odczekała cierpliwie, aż sprawdził przepustkę. Twarz mu się zmieniła, kiedy zobaczył, z kim ma do czynienia.

– Przepuścić ją! Przepuścić natychmiast! – krzyknął, uderzając wartowników płazem szabli. Ukarał ich w nadziei,

że doktor Zero nie ukarze jego. – Przepuścić ją natychmiast! To doktor Zero, nowa chirurgiczka naszej Komendantki!

Oenone miała zaledwie cztery lata, kiedy Zielona Burza przejęła władzę. Słabo pamiętała przedwojenne czasy. Ojciec, który zginął w potyczce z piratami z Gniazda Szerszeni, był tylko twarzą z fotografii w domowym ołtarzyku.

Nieśmiała, inteligentna Oenone dorastała w odległej bazie lotniczej w Aleucji. Jej matka pracowała w tamtejszych zakładach jako mechanik. W szkole śpiewało się propagandowe pieśni, takie jak *Na wschodzie już zieleń*, i *Dzięki Łowczyńni dzieci się radują*. W domu słuchała do poduszki, jak jej brat Eno, pilot bojowy, opowiada o zwycięstwach na odległych polach bitew. Bawiła się zniszczonymi Łowcami, których zwożono z powrotem po walkach na Kamczatce i zrzucano na stos na tyłach bazy. Tak jej było ich żal, że zaczęła ich naprawiać, nie rozumiejąc, że i tak byli już martwi i najlepiej byłoby zostawić ich w spokoju. Poznała sekrety mechanizmów pod ich pancerzami i brajlowski alfabet ich mózgów. Tak jej to dobrze szło, że kiedy psuł się któryś z Łowców odkomenderowanych do bazy, komendant wolał wzywać do napraw tę małą Zero, zamiast korzystać z usług swoich własnych chirurgików. Zarabiała w ten sposób dodatkowe racje żywności dla siebie i dla matki. Kiedy skończyła szesnaście lat, Zielona Burza usłyszała o jej umiejętnościach i posłała ją na szkolenie, a potem do frontowej jednostki rewitalizacji w górach Altai Shan.

W podziemnym świecie okopów i ziemianek przeżyła długą,

morderczą zimę dwudziestego drugiego roku. Oddziały ratownicze ciągnęły zwłoki poległych po zamrzniętym błocie i zrzucały na betonowe płyty przed zakładem. Potem Oenone z kolegami przerabiali je na Łowców i wysyłali z powrotem na front.

Zdziwiła się, że tak szybko przestała odczuwać litość i przerażenie. Nauczyła się nie patrzeć na twarze osób, które rewitalizowała. Dzięki temu nie byli dla niej ludźmi, tylko popsutym sprzętem, który należało rozmontować i jak najszybciej naprawić. W sali rewitalizacji panowała atmosfera braterstwa, która bardzo jej odpowiadała. Starsi chirurdzy żartowali i dokuczali sobie przy pracy, ale Oenone była tak młoda, że zaczęli ją nazywać „siostrzyczką” i opiekować się nią. Podziwiali jej tempo pracy i dbałość o szczegóły, a także łatwość, z jaką rozwiązywała problemy, z którymi nie potrafili się uporać. Czasem słyszała, jak o niej mówią i nazywają ją „geniuszem”.

Czuła się dumna, że są z niej zadowoleni i że odgrywa rolę w walce o Dobrą Ziemię. Tej zimy wrogie miasta ciągle próbowały ofensywy, wdzierając się na zryte pociskami ziemie Piekła, oddzielającego Teren Polowań od terytorium Zielonej Burzy. Były tak liczne i ogromne, że czasem się bała, że ich atak się powiedzie. Ale działa i katapulty Zielonej Burzy zasypywały ich gąsienice pociskami, a bombowce zrzucały na nich z góry bomby-wirówki, bojowe sterowce rozbiły obronne formacje wroga, a bohaterские jednostki raketowe zakradały się między olbrzymie koła miast i wypalały w ich podwoziach dziury, przez które oddziały Łowców Zielonej Burzy wdzierały się na pokład. W końcu w miastach zawsze

zaczynało brakować obrońców. Wtedy rezygnowały i uciekały. Czasem, kiedy któreś z nich było zbyt zdemolowane, towarzysze broni zwracali się przeciw niemu i niszczyli je doszczętnie.

Oenone z początku bała się huku i wycia podczas wymiany ognia przeciwlotniczego, i świstu kul snajperów w zimnym powietrzu nad okopami. W miarę jak mijały kolejne tygodnie, a potem miesiące, przyzwyczała się, że stale towarzyszy jej strach. Zasada była taka sama jak przy rewitalizacji zwłok. Po pewnym czasie człowiek przestawał odczuwać cokolwiek. Nawet, kiedy z Aleucji przyszła wiadomość, że baza powietrzna, w której pracowała jej matka, została pożarta przez ziemnowodne drapieżne miasteczko.

Ale pewnego dnia, podczas wiosennej ofensywy dwudziestego trzeciego roku, rozpoznała jedno z ciał, rzuconych na stos przy jej stanowisku pracy przez jakąś drużynę odzysku. Na jego piersi był układ pieprzyków, który знаła równie dobrze jak konstelacje gwiazd, których uczył ją, gdy była mała. Jeszcze zanim odwinęła zakrwawioną szmatę, którą ktoś przykrył jego twarz, wiedziała, że to jej brat Eno. Listy, które do siebie pisali, były cenzurowane, więc nawet nie miała pojęcia, że walczy w jej sektorze.

Wpatrywała się w niego, mechanicznie naciągając gumowe rękawice. Nie chciała go rewitalizować, ale wiedziała, co się z nią stanie, jeśli tego odmówi. Czasem liniowi żołnierze próbowali przeszkodzić personelowi Korpusu w rewitalizacji towarzyszy broni. Wtedy Zielona Burza ogłaszała, że są kryptomobilistami i skazywała ich na rozstrzelanie, a następnie na rewitalizację. Razem z poległymi przyjaciółmi.

Oenone nie chciała zginąć pod kulami. Gdy zobaczyła Eno, powróciły jej uczucia. Znowu zaczęła bać się śmierci, tak strasznie, że ledwie mogła oddychać. Nie chciała skończyć tak jak Eno: martwa i bezradna na stole do rewitalizacji.

– Chirurgru? – spytał jeden z asystentów. – Złe się pani czuje?

Oenone zrobiło się niedobrze. Zbyła go machnięciem ręki i spróbowała wziąć się w garść. Nie wolno jej nawet myśleć o tym, że mogłaby odmówić rewitalizacji Eno. Wmawiała sobie, że powinna być szczęśliwa, bo dzięki niej ciało brata wróci na front i dalej będzie walczyć z barbarzyńcami. Nawet po śmierci. Ale jakoś daleko jej było do szczęścia.

Asystenci patrzyli na nią, więc powiedziała tylko:

– Skalpel. Piłka do kości. Rozwieracz do żeber.

Zabrała się do pracy. Otworzyła ciało Eno i wyjęła wnętrzności, zastępując je silnikami, akumulatorami i pompami zachowawczymi. Obcięła mu ręce i zamiast nich zamontowała stalowe kończyny Łowcy. Usunęła intymne narządy. Wyłuskała oczy. Zdjęła skórę, i wplotła w mięśnie skomplikowaną siatkę elektrod. Otworzyła czaszkę, i włożyła do mózgu urządzenie wielkości pestki brzoskwini, a potem patrzyła, jak ciało zaczyna drgać i wić się na stole, gdy urządzenie wsuwało cienkie rżęski z drutu w rdzeń kręgowy, podłączając się do układu nerwowego i mechanizmów, które zainstalowała wcześniej.

– To już nie jesteś ty – powiedziała do niego szeptem. Pracując, rozmawiała z nim po cichu: – Jesteś teraz w Krainie Bez Słońca, a ciało to tylko rzecz, która tu po tobie została. Możemy z niej skorzystać, tak samo jak byśmy utylizowali

butelkę albo skrzynkę. Przecież Zielona Burza każe nam wszystko utylizować, żeby wywalczyć Dobrą Ziemię. Prawda?

Kiedy skończyła, przekazała go młodszym chirurgikom, którzy dopasowali mu egzozkielet i szpony. Potem wyszła zapalić. Obserwowała płonące nad ziemią niczyją sterowce.

Po tym zdarzeniu zaczęła słyszeć głosy umarłych. Dziwiła się, że rozmawiali z nią wszyscy z wyjątkiem zmarłego brata. Znowu zaczęła zaglądać im w twarze i zawsze, kiedy to robiła, słyszała w myślach ich głosy. Wszyscy pytali ją o to samo: Kto położy temu kres? Kto położy kres niekończącej się wojnie?

– Ja – obiecała im Oenone Zero. Jej wąty głos ledwie przebijał się przez huk armat. – Ja to zrobię. A przynajmniej spróbuję.

– Kochasiu! – wykrzyknął radośnie Popjoy, kiedy w końcu dotarła do jego biura na jednym z najwyższych pięter Pagody. Właśnie się pakował. W wielkim, otwartym sakwojażu na blacie biurka były książki, segregatory, dokumenty, oprawny portret Łowczyni Fang i emaliowany kubek z logo Korpusu Rewitalizacji i sloganem. „Nie musisz być szalonym naukowcem, żeby u nas pracować – ale to pomaga!” Popjoy stał na krześle i właśnie zdejmował ze ściany zdjęcie bazy powietrznej Gniazdo Szerszeni. Otarł je z kurzu rękawem i włożył do sakwojaża. Potem przesłał doktor Zero pocałunek.

– Gratulacje! Właśnie widziałem się z Fang i mam oficjalne potwierdzenie! Twoja praca nad naszym Shrikusiem zrobiła na niej takie wrażenie, że w końcu zgodziła się, żebym odszedł na emeryturę! Wyjeżdżam na działkę w Batmunkh Gompa na

dobrze zasłużony odpoczynek. Będę wędkował i dłubał przy paru prywatnych projektach. Może nawet napiszę pamiętniki. A ty, kochasiu, zajmiesz moje miejsce.

Jakie to dziwne, pomyślała Oenone. Od chwili gdy zmarli przemówili do niej w okopach, awans na osobistą chirurgiczkę Łowczyni Fang stał się celem jej życia. Musiała opanować wrodzoną nieśmiałość i wywalczyć sobie przeniesienie do głównych zakładów produkcji Łowców. Po to znosiła odpychające poczucie humoru i dotyk lepkich łap doktora Popjoya. Po to spędziła długie lata, szukając mogiły słynnego Łowcy Shrike'a, i długie miesiące na jego naprawie, żeby wszystkim udowodnić, że jest równie dobra jak Popjoy. Teraz, gdy nadeszła ta chwila, nie potrafiła się nawet uśmiechnąć. Kolana ugięły się pod nią. Musiała przytrzymać się framugi, żeby nie upaść.

– Uśmiechnij się, kochasiu! – zaśmiał się jej były szef. – Przecież to dobra wiadomość! Władza! Pieniądze! A w zamian musisz tylko od czasu do czasu sprawdzać poziom oleju Jej Wysokości, ulepszać funkcjonowanie jej ciała i pilnować, żeby nie zardzewiała od deszczu. Jest w zasadzie niezniszczalna, więc nie spodziewaj się większych problemów. Jeśli coś cię zaniepokoi, zawsze możesz się ze mną skontaktować. Poza tym...

Poza tym mam wolną rękę, pomyślała Oenone Zero, wspinając się po schodach na najwyższe piętro Pagody, do apartamentu Łowczyni Fang. To wszystko było bez sensu. Gdyby na świecie istniała sprawiedliwość, taki człowiek jak Popjoy, który spowodował tyle zła i cierpienia, też zostałby skazany na cierpienia. Zamiast tego dożyje końca swoich dni w

luksusach – wędkując i dłubiąc przy paru prywatnych projektach. Ale przynajmniej jego przejście na emeryturę przyniosło Oenone Zero szansę spełnienia obietnicy, jaką dała zmarłym.

Gdy przechodziła, wartownicy trzaskali obcasami, stając przed nią na baczność. Lokaj ukłonił się nisko i otworzył drzwi do sali konferencyjnej Łowczyni. Urzędnicy i sztabowcy podnieśli wzrok znad wielkiej mapy Rdzawych Bagien. Nie pofatygowali się, by odpowiedzieć na jej niski ukłon. Fang również rzuciła jej ogniste spojrzenie zielonych oczu. Przed kilkoma godzinami wróciła z linii frontu. Jej pancerz pokrywały zaschnięte błoto i krew żołnierzy z miast.

– Moja nowa chirurgiczka – szepnęła.

– Do usług, Wasza Wysokość – odpowiedziała cicho Oenone i padła na kolana przed Łowczynią. Kiedy odważyła się unieść głowę, wszyscy zajęli się już mapami frontu. Jediną osobą, która na nią wciąż patrzyła, był pan Shrike.

Wszystko przebiegło zgodnie z planem. Dostała się do kwatery głównej. Była członkiem naczelnego dowództwa. Wkrótce puści w ruch plan, który wymyśliła na zawszonej pryczy na ałtajskim froncie. Zabije Łowczynię Fang.

14. SPRZEDANA!

Wiele lat później Wren czasem twierdziła, że wie, jak to jest być niewolnikiem, ale tak naprawdę wcale nie zaznała takiego życia. W owych czasach niewolnictwo kwitło. Obie strony konfliktu hurtowo sprzedawały jeńców wojennych handlarzom takim jak Shkin, którzy pakowali ich na przeciekające, niedogrzone sterowce transportowe i wywozili Ptasim Szlakiem do pracy na olbrzymich platformach przemysłowych albo w okopach i miastach-pułapkach Zielonej Burzy. Tu niewolnictwo oznaczało pracę ponad siły, oderwanie od rodzin, okrutne traktowanie i szybką śmierć. A najgorszą rzeczą, jaka spotkała Wren, były książki pióra Nimroda Pennyroyala.

Po tej pierwszej rozmowie ze Shkinem przeniesiono ją do wygodnej celi na środkowym poziomie Pieprzniczki. Dostała wygodne łóżko, umywalkę, trzy posiłki dziennie i nową płócienną sukienkę, w której było jej całkiem do twarzy. A do tego egzemplarz *Złota drapieży*, który przyniosła jej panna Weems „z pozdrowieniami od pana Shkina”.

Każdego dnia do pokoju wpadał promień słońca, odbity od reflektora, który wychwytywał go w sufitowym oknie pokładu i rozjaśniał jej celę. Kiedy ułożyła się na pryczy i otworzyła błyszczącą okładkę książki Pennyroyala, poczuła się prawie jak we własnej sypialni na Skwerze Psiej Gwiazdy. Gdzie

często siadywała przy oknie i czytała. Ale nigdy nie czytała czegoś takiego jak *Złoto drapieżcy*. Wszystkie historie, których słuchała od dziecka, były tak poprzekręcane, wszystkie miejsca tak pozmieniane, że aż dziwnie było o nich czytać!

Bała się, że kiedy zacznie czytać o rodzicach, dopadnie ją jeszcze większa tęsknota za domem, ale niepotrzebnie. Tata w ogóle nie pojawiał się w książce. Natomiast Hester Shaw – rudowłosa podniebna Amazonka, której boską urodę psuła jedynie straszliwa blizna, wyryta przez jakiegoś bandziora sztyletem na aksamitnie miękkim policzku – prawie w ogóle nie przypominała mamy.

Pewniej nocy, gdy Wren tak zirytowała lektura, że nie mogła zasnąć, przyszło jej do głowy, że popełniła straszny błąd. Myślała, że sprytnie postąpiła, przekonując Shkina, żeby zabrał ją do burmistrza. Spodziewała się, że w książce opisał wszystko tak, jak było naprawdę. Nie wyobrażała sobie, jak kłamliwie opisał swój pobyt w Anchorage. Jeśli Wren zacznie to prostować, może mu zniszczyć reputację i karierę. Owszem, Pennyroyal może zechce ją kupić, ale nie po to, żeby napisać kolejne książki. Będzie ją chciał uciszyć, szybko i skutecznie.

Zdesperowana Wren ukryła twarz w poduszce i załkała ze strachu. Co ona narobiła? I jak to teraz odkręcić? Zeskoczyła z pryczy i podbiegła do drzwi, żeby zawołać strażnika. Powie Shkinowi że nakłamała mu o Anchorage; była tylko Zaginioną Dziewczynką i profesor Pennyroyal wcale nie będzie się nią interesować. Tylko że wtedy wyląduje tam, skąd się właśnie wydostała, albo gorzej. Shkin może uznać, że stracił na nią cenny czas. Domyślała się, że człowiek jego pokroju może mieć różne niemile sposoby wyrównywania rachunków z tymi,

którzy marnują jego czas.

– Myśl, Wren, myśl! – szepnęła

Przez cały ten czas potężne silniki Mitchell & Nixon napędzające Brighton huczały i sapały, konsekwentnie popychając miasto na północ.

Po rozmowie z Wren Shkin przesłuchał Pulpeta. Maluch okazał się bardzo chętny do współpracy. Był zmęczony, przestraszony i bardzo pragnął mieć nowego pana, który będzie o niego dbał i wydawał mu polecenia. Wystarczyło kilka miłych słów, a potwierdził opowieść Wren o Anchorage. Po kilku kolejnych ujawnił handlarzowi niewolników, gdzie leży Grimsby.

Ludzie Shkina przekazali tę informację burmistrzowi i Radzie. Brighton skorygowało kurs i wkrótce starożytnie instrumenty na mostku wykryły w głębinach wieże zatopionego miasta. Brighton krążyło nad nimi przez chwilę, nadając swój zdradziecki komunikat i po chwili przyciągnęło kilka ostatnich pająkomobili. Kiedy połów się skończył i nie było nowych, Pennyroyal uznał, że to koniec ekspedycji.

Początkowo planowano wysłać na dół ludzi w przechwyconych mobilach i zbadać gniazdo piratów. Ale podróż na północ zajęła dłużej, niż się spodziewano. Sprzyjający okres na morzu minął, zapowiadano kolejne sztormy, a mieszkańcy Brighton, którzy mieli okres koncentracji krótszy od komarów, zaczęli odczuwać znudzenie. Zrzucano bomby głębinowe, wywołując kilka spektakularnych podwodnych eksplozji. Na powierzchnię

wypłynęło mnóstwo śmiecia, które zebrali sieciami miejscy sklepikarze, żeby potem je sprzedać jako pamiątki po Grimsby.

Pennyroyal wygłosił przemowę, obwieszczając, że Północny Atlantyk jest znowu bezpieczny dla uczciwych pływających miast i Brighton zawróciło na północ, kierując się na ciepłe wody Morza Środkowego, gdzie miało umówione spotkanie z grupą naziemnych ruchomych miast podczas obchodów Festiwalu Księżycowego.

Następnego dnia po południu w otwartych drzwiach celi Wren stanęła grupa czarno odzianych strażników. Gdy weszli do środka, pojawił się w niej też sam Nabisco Shkin.

– Jak tam, moja miła? – spytał, spoglądając na leżący na pryczy egzemplarz *Złota drapieżcy*. – Wciągnęły cię przygody naszego burmistrza? Zauważyłaś jakieś niezgodności w jego opowieści?

Wren nie wiedziała od czego zacząć.

– To wszystko bzdury! – wykrzyknęła z urazą. – Mieszkańcy Anchorage wcale nie zmusili go, by ich prowadził przez Lodowy Płaskowyż. Mianowali go Honorowym Głównym Nawigatorem, co było wielkim zaszczytem, a on sprowadził ich na manowce. I to wcale nie on walczył z Wilczym Stadem, tylko moja mama. Poza tym mama żyje, Masgard jej wcale nie zabił, tak jak w książce. I nigdy by nie sprzedała władcom Archangielska informacji, dokąd zmierza Anchorage. Cała ta scena, kiedy umiera i mówi Pennyroyalowi: „Weź mój sterowiec i ratuj się stąd”, to jedna wielka bujda. Pennyroyal sam ukradł ich sterowiec i postrzelił tatę, żeby móc nim odlecieć. Oczywiście, o tacie nie ma tam nawet wzmianki. A co do tego fragmentu o panie Freyi, na stronie osiemdziesiąt

jeden....

Przerwała, przypominając sobie o kabale, w jaką się wpakowała. Shkin obserwował ją z chłodną uwagą, jak zwykle. Może dał jej tę książkę, żeby ją sprawdzić, żeby przekonać się, czy będzie się trzymała swojej opowieści o Anchorage w obliczu wszystkich kłamstw Pennyroyala.

– Ciekawe – powiedział i strzelił palcami. Na ten sygnał jeden ze strażników wystąpił z szeregu i zamknął na przegubach dłoni Wren eleganckie, srebrne kajdanki. – Zawsze podejrzewałem, że opowieści Jego Ekscelencji są z lekka podkoloryzowane. Czas, żebyś się z nim spotkała.

Zeszli na parter, do garażu, gdzie czekał elegancki, czarny kabriolet.

– A Pulpet? – spytała Wren, kiedy ludzie Shkina wepchnęli ją do środka. – Co zrobiliście z tym nieszczęsnym maluchem?

– Zostaje w Pieprzniczce. – Shkin usiadł z tyłu obok niej i spojrzał na zegarek. – Siódme Niebo – rzucił kierowcy i kabriolet potoczył się przez zaułki Laines, dzielnicy antykwariatów i tanich hoteli, które zajmowały prawie cały środkowy poziom Brighton.

W innych okolicznościach Wren byłaby zafascynowana wystawami mijanych sklepów, pełnymi starożytnych urządzeń i kuriozalnych przedmiotów, a także dziwacznie poukładanymi mieszkańcami i plakatami beznadziejnych awangardowych teatrów, które oblepiały filary podtrzymujące wyższy pokład. Tym razem zastanawiała się tylko, czy przetrwa to spotkanie. Jeśli nie zawiedzie jej inteligencja i nerwy, może uda jej się

wyrwać z łap Shkina i sprawić, żeby Pennyroyal nie zorientował się, kim naprawdę jest...

Limuzyna wspięła po długim podejździe na wyższy poziom. Trąbiąc, by usunąć sobie z drogi turystów, przemknęła Bulwarem Oceanicznym – owalną promenadą, która otaczała zabudowania Górnego Brighton. Mijała hotele, restauracje, palmy, pola golfowe, wesołe miasteczka, kwiatowe zegary i salony gry w bingo. Przejechała przez most nad wąskim zakolem Morskiego Basenu, jeziora z oczyszczoną, przefiltrowaną morską wodą, otoczonego sztucznymi plażami. W końcu dotarła na Old Steine, okrągły plac, gdzie zamocowano grube stalowe liny utrzymujące Siódme Niebo nad Brighton.

Napowietrzny pokład unosił się około sześćdziesiąt metrów nad głową Wren. Kiedy spojrzała w górę, dostrzegła przeszkloną sterówkę, przyczepioną do jego spodniej powierzchni. Wyglądała jak ozdobna, odwrócona do góry nogami szklarnia. W środku pracowali ludzie, obsługując dźwignie z mosiądzu, żeby utrzymać Siódme Niebo na odpowiedniej wysokości i nie dopuścić do przechyłu. Na całej długości pokładu zamontowano niewielkie silniki. Wren podejrzewała, że przy złej pogodzie używa się ich, by utrzymać Siódme Niebo na odpowiedniej pozycji nad miastem. W to bezwietrzne popołudnie tylko kilka z nich pracowało jako wentylatory, żeby dymy z rur wydechowych Brighton nie leciały w stronę pałacu burmistrza.

Na środku Old Steine, gdzie liny cumownicze Siódmego Nieba były zamocowane na olbrzymich, zardzewiałych polerach, czekała staromodna żółta napowietrzna taksówka,

by zabrać gości do Pawilonu. Gdy czarna limuzyna Shkina zahamowała z piskiem i zaparkowała obok niej, kilku żołnierzy w czerwonych uniformach przybiegło sprawdzić dokumenty Shkina i jego ludzi i przeskanować ich ubrania starożytnymi wykrywaczami metalu.

– Jeszcze niedawno każdy mógł swobodnie wejść na górę i odpoczywać w ogrodach Pawilonu – powiedział Shkin. – Po wybuchu wojny wszystko się zmieniło. Naturalnie, w naszej części świata nie toczy się wojna – afrykańskim antymobilistom ani się śni wyruszyć na krucjatę Zielonej Burzy – ale mimo to Pennyroyal boi się, że postrzelą go sabotażyści albo terroryści.

Właśnie wtedy Wren po raz pierwszy usłyszała o wojnie Zielonej Burzy z ruchomymi miastami. To wyjaśniało, dlaczego na bulwarach miasta zamontowano te wielkie, brzydkie baterie dział przeciwlotniczych i dlaczego podejmowano takie środki ostrożności.

– Cel pańskiego przybycia do Siódmego Nieba, panie Shkin? – spytał dowódca.

– Mam towar, który może zainteresować burmistrza.

– Nie jestem pewny, czy Jego Ekscelencja aktualnie potrzebuje niewolników, sir.

– Och, jestem przekonany, że chętnie skorzysta z możliwości włączenia tej dziewczynki do swojego zespołu. Radzę, żeby pan nas wpuścił bez zbędnej zwłoki, chyba że chciałby pan zmienić zawód, przenieść się na trzeci poziom, i przez resztę życia wydłubywać włosy łonowe z filtrów Morskiego Basenu...

To położyło kres wszelkim dyskusjom. Shkina wraz z obstawą pośpiesznie wprowadzono do taksówki, wagonik

zadygotał i już po chwili Wren mogła oglądać z wysoka panoramę Brighton.

– Jejku, patrzcie – szepnęła, oszołomiona, ale wszyscy poza nią widzieli to już nieraz.

Nagle ogłuszyło ich wycie turbodoładowanych silników i po szybie przemknęły szare cienie. Za linami cumowniczymi Siódmego Nieba przeleciało stado groźnych kształtów o ostrych dziobach. Wren krzyknęła przenikliwie, myśląc że na górze coś wybuchło i fragmenty platformy spadają na miasto, ale kształty ułożyły się w formację i pomknęły nad dachami, rzucając cienie na ruchliwe ulice.

– Przecież one nie mają szkieletu! – wykrzyknęła Wren. – Ani komór z gazem! Jakim cudem utrzymują się w górze? Nic, co jest cięższe od powietrza nie może przecież latać!

Kilku ludzi Shkina wybuchnęło śmiechem. Nawet sam handlarz niewolników wyglądał na zadowolonego, jakby jej niedowierzanie uprawdopodobniało jego opowieść.

– Owszem, może – odpowiedział. – Tajemnica lotów pojazdami cięższymi od powietrza, została odkryta na nowo zaledwie przed kilku laty przez miasta, które szukały obrony przed nalotami Zielonej Burzy. Dla postępu technologicznego nie ma nic lepszego niż czternaście lat wojny...

Musiał podnieść głos, bo latające maszyny powróciły, napełniając niebo rykiem silników i piskiem hamulców.

– Ten oddział to Skrzydlate Fretki. Najemniczki, wynajęte przez naszego szacownego burmistrza do ochrony jego pałacu.

Wren znowu spojrzała w okno, bo maszyny powróciły. Były to kruche konstrukcje z kartonu i drewna balsy powiązanego sznurkami. Kokpity zredukowano do samych siedzisk i pulpitu

z dźwigniami sterowniczymi. Niektóre miały dwa nietoperzopodobne skrzydła, inne trzy, cztery a nawet dziesięć. Inne wyposażono w czarne, skrzypiące czasze, przypominające połamane parasolki. Na potężnych silnikach wymalowano jastrzębie, rekiny, gołe kobiety i zawadiackie nazwy: „Precz z Ciężeniem!”, „Rozczochniec”, „Zawartość pod Ciśnieniem” i „Żadnego Jutra, Chcę Wszystko Dziś!” Pilotka w goglach pomachała do Wren z kokpitu „Bojowego Wombata”. Wren machnęła ręką w odpowiedzi, ale eskadra była już daleko, ledwie widoczna jako kilka ciemnych punkcików nad morzem.

Wren cała się trzęsła, gdy wagonik wjechał do szybu w pokładzie Siódmego Nieba a potem zatrzymał się na przystanku w ogrodach Pawilonu. Do tej pory była przekonana, że tata i panna Freya wiedzą wszystko o świecie poza Anchorage, ale wyglądało na to, że ten świat bardzo się zmienił w ciągu szesnastu lat, które upłynęły od przeprawy przez lód. Nie mieli pojęcia o tej strasznej wojnie, która wybuchła wkrótce po urodzeniu Wren. Wątpiła, czy potrafiliby sobie wyobrazić te dziwaczne latające maszyny, które przed chwilą widziała. Miała poczucie, że jeszcze bardziej się od nich oddaliła.

Ból wywołany tęsknotą za domem minął, gdy strażnicy wyprowadzili ją z wagonika i powiedli zwirowanymi ścieżkami ku środkowi Siódmego Nieba, gdzie wznosiły się słodkie, różowe minarety i bezowe kopuły pałacu Pennyroyala, otoczone palmami, cyprysami, dekoracyjnymi altanami i fontannami. Nad głowami krążyły stada barwnych papużek, a nad głową lśniły w słońcu przezroczyste komory

gazowe, jak ogromne bańki mydlane.

– W jakiej sprawie? – spytał domowy niewolnik, zastępując drogę Shkinowi.

– Nabisco Shkin – odpowiedział handlarz niewolników i to wystarczyło; lokaj skłonił się, wyjąkał coś na powitanie i gestem dłoni zaprosił ich, by weszli po szerokich, białych schodach na przestronny taras. Na środku tarasu, w basenie, na wygodnym dmuchanym materacu, relaksowała się postać w kostiumie pływackim ze złotej lamy, trzymając w jednej dłoni kieliszek z drinkiem, a w drugiej książkę. Nie czytała jednak, bo twarz miała skierowaną ku słońcu. Był to Nimrod Pennyroyal.

Wren obliczyła, że powinien mieć co najmniej sześćdziesiąt pięć lat, więc spodziewała się zobaczyć kruchego starszego pana. Ale Pennyroyal postarzał się zdumiewająco dobrze. Owszem, stracił na wadze i wyłysiał, ale poza tym wyglądał niemal tak samo jak na zdjęciach, które zrobiono podczas jego krótkiej, fatalnej kariery głównego nawigatora Anchorage.

Wokół materaca kręcił się rój atrakcyjnych niewolnic czekających w gotowości z tacą pełną drinków, zakładką, talerzykami ciastek i słodczy, i innymi drobiazgami, których może potrzebować zapracowany burmistrz. Chłopiec w wieku Wren, szczupły i czarnoskóry jak nocny mrok stał na brzegu basenu i wachlował swojego pana pękiem strusich piór.

– Widzę, że żołnierz Zielonej Burzy, którego panu odsprzedałem, całkiem nieźle się zadomowił – powiedział Shkin.

– Hę? Och! – Pennyroyal otworzył oczy i usiadł. – Aha! Dobry wieczór, Shkin. – Przewrócił się na bok, żeby spojrzeć na

chłopca.

– Owszem. Pani Pennyroyal jest nim zachwycona. Świetnie sobie radzi z wachlarzem. Doskonała płynność manewru. Dobrze komponuje się z tapetą w stołowym.

Znów spojrział na Shkina. Wren miała wrażenie, że niezbyt się cieszy ze spotkania z handlarzem.

– No jak tam Nabisco? Czemu zawdzięczam twoją... no wiesz...

Shkin skłonił się lekko.

– W zeszłym tygodniu wyciągnęliśmy tę dziewczynę z wyłowionego pająkomobila. Pomyślałem sobie, że zechce pan ją kupić do Pawilonu.

Wskazał gestem Wren i jego pomocnicy podprowadzili ją na obrzeże basenu, żeby burmistrz mógł jej się lepiej przyjrzeć.

Pennyroyal rzucił na nią okiem.

– Zaginiona Dziewczynka, co? Muszę przyznać, że niezgorzej wygląda. Ale o ile sobie przypominam, ustalaliśmy, że nikt z tej bandy nie zostanie w Brighton. Planowałeś ich wszystkich sprzedać do Neo-Maja, prawda?

– Nie boisz się, że ktoś z nich może rozpowszechnić niewygodne rzeczy na temat twojej przeszłości, Pennyroyal? – spytał Shkin.

– Hę? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ta mała właśnie przyплыnęła z Martwego Kontynentu – oświadczył Shkin. – Z miasta, które od dawna uważano za zniszczone. W rzeczywistości rozkwitło na tamtejszych pustkowiach. O ile mi wiadomo, Jego Ekscelencja ciepło wspomina to miasto w swoich książkach.

Shkin wyciągnął rękę, wziął podany przez jednego ze swoich

sługusów przedmiot i rzucił go na materac. To była Cynowa Księga.

Pennyroyal wziął ją do ręki i ze zdziwioną miną przyjrzał się okładce. Potem spojrział na papierowy ekslibris na ostatniej stronie.

– Bogowie! – sapnął, wylewając drinka do basenu. – Anchorage!

– Ta dziewczynka – dobił go Shkin – jest córką Hester Shaw, pańskiej towarzyszką podróży z dawnych lat.

– Cholera jasna! – jęknął Pennyroyal, szarpnął się spazmatycznie, wyrócił materac i wylądował w wodzie.

– Zaniepokoiłem się, gdy okazało się, że są pewne rozbieżności między jej opowieścią a historią, którą Wasza Ekscelencja przekazuje w globalnym bestsellerze *Złoto drapieży* – wyjaśnił Nabisco Shkin. Z miną, nie wyrażającą nawet cienia niepokoju, stał na brzegu basenu, wsparty na czarnej stalowej laseczce i przyglądał się, jak Pennyroyal kotłuje się w wodzie, rozchlapując ją na wszystkie strony. – Uznałem więc, że najlepiej będzie, jeśli dam Waszej Ekscelencji szansę kupna tej dziewczynki, zanim jej rewelacje rozejdą się szerzej i... zbiją z tropu licznych czytelników Waszej Ekscelencji. Naturalnie cena nie jest niska. Powiedzmy, tysiąc sztuk złota.

– Nic z tego! – wypluł Pennyroyal, stając na nogi w płytszym końcu basenu, z całą godnością, na jaką mógł się zdobyć starszy pan w kostiumie ze złotej lamy. – Jesteś zwykłym gangsterem, Shkin! Nie zastraszysz mnie dziecinną próbą... no... ten... To przecież nieprawda, co? To nie może być prawda! Hester Shaw nie miała córki... A poza tym no...

Anchorage przecież zatoneło, co nie? Razem ze wszystkimi...

– Niech pan ją sam zapyta – powiedział Shkin pogodnie, wskazując Wren końcem laski. – Proszę spytać pannę Natsworthy.

Pennyroyal łypnął na Wren z takim przerażeniem w oczach, że na chwilę zrobiło jej się go szkoda.

– No, dziewczynko? – spytał. – Co powiesz, mała? Naprawdę jesteś z Anchorage?

Wren wzięła głęboki oddech i zacisnęła pięści. Teraz, gdy już stała twarzą w twarz z owianym legendą zdrajcą i łajdakiem, była coraz mniej pewna powodzenia swojego planu.

– Nie – odpowiedziała.

Shkin spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Oczywiście, że to nieprawda – dodała, zmuszając się do lekkiego uśmiešku. – Anchorage zatoneło na arktycznych wodach wiele lat temu, profesorze. Wiedzą o tym wszyscy, którzy czytali pańską wspaniałą książkę. Jestem tylko biedną Zaginioną Dziewczynką z Grimsby.

Po drodze z Pieprzniczki Wren obracała w myślach swoją opowieść, ale nie znalazła w niej żadnych słabych punktów. Oczywiście, gdyby spytano pozostałych Zaginionych Chłopców, zaprzeczyliby, że Wren należała do ich bandy. Poza tym Pulpet wiedział, kim ona naprawdę jest. Ale dlaczego Pennyroyal miałby bardziej uwierzyć im niż Wren? Zawsze mogła powiedzieć, że Shkin ich przekupił.

– Nigdy w życiu nie byłam w Anchorage – potwierdziła twardo.

Nozdrza Shkina poruszyły się gniewnie.

– Świetnie. Jak zatem wyjaśnisz tę książkę? Cynową Książkę, z

pieczęcią władców Anchorage?

Wren miała na to gotową odpowiedź:

– Przywiozłam ją ze sobą z Grimsby – powiedziała. – W prezencie dla Jego Ekscelencji. Zaginieni Chłopcy ukradli ją wiele, wiele lat temu, tak samo jak mnóstwo innych zabytków z innych miast. Anchorage to wrak, spoczywający na dnie morza. Nikt tam nie mieszka.

– Przecież sama mi mówiła, że jest córką Hester Shaw! – zirytował się Shkin. – Dlaczego miałyby kłamać?

– To wszystko z powodu pana cudownych ksiązek, Wasza Ekscelencjo – wyjaśniła Wren, spoglądając na burmistrza z największym uwielbieniem, jakie zdołała z siebie wykrzesać. – Przeczytałam wszystkie. Kiedy mój pająkomobil przyczepiał się pod jakimś nowym miastem, zawsze najpierw włamywałam się do księgarń, w nadziei, że znajdę nowy tom Nimroda Pennyroyala. Powiedziałam panu Shkinowi, że jestem z Anchorage tylko dlatego, żeby zabrał mnie na spotkanie z panem.

We wzroku Pennyroyala błysnęła nadzieja. Tak bardzo chciał jej uwierzyć...

– Ale twoje nazwisko – powiedział. – Natsworthy...

– Och, naprawdę nazywam się zupełnie inaczej – odparła natychmiast Wren. – Przeczytałam o Hester Shaw w zapiskach Wujka. Według nich podróżował często z kimś o takim nazwisku.

– Naprawdę? – Pennyroyal próbował ukryć ulgę. – Nigdy o nim nie słyszałem.

Wren uśmiechnęła się, zadowolona, że kłamstwo przychodzi jej tak łatwo i tak dobrze skutkuje. Jej opowieść była niezbyt

logiczna, ale ludzie chcą wierzyć w to, co jest im na rękę usłyszeć. Nauczyła się tego od GORPD.

– Panie profesorze, postanowiłam udawać ich dziecko w nadziei, że weźmie mnie pan do siebie. Nawet, jeśli da mi pan najgorszą pracę, będę szczęśliwa, bo znajdę się w pobliżu autora *Złota drapieży* i... tych wszystkich innych książek. – Skromnie spuściła oczy. – Ale kiedy pana zobaczyłam, zrozumiałam, że nie nabierze się pan na żadne z moich kłamstw, więc postanowiłam wyznać prawdę.

– Bardzo słusznie – pochwalił ją Pennyroyal. – Miałaś absolutną rację. Przejrzałem cię w jednej chwili. Choć o dziwo, jesteś trochę podobna do nieszczęsnej Hester. Dlatego z początku zaskoczył mnie twój widok. Tamta młoda dama była mi bardzo, bardzo droga i do końca życia będę żałował, że nie udało mi się jej uratować.

Och, ty śmierdzący kłamco! pomyślała Wren, ale powiedziała tylko:

– Obawiam się, że muszę już iść, sir. Przecież pan Shkin musi na mnie zarobić. Ale odejdę szczęśliwa, bo udało mi się porozmawiać z największym autorem naszej epoki.

– W żadnym razie! – Pennyroyal wyszedł z basenu i stał, ociekając wodą. Odesłał gestem dziewczęta, które już biegły ku niemu z ręcznikami, ubraniami i przenośną przebieralnią.

– Nie chcę nawet o tym słyszeć, Shkin! Ta urocza, inteligentna młoda osoba wykazała się inicjatywą i doskonałym smakiem literackim. Zabraniam ci smagać ją jak zwykłą niewolnicę.

– Obawiam się, że muszę zarabiać. Firma sama się nie utrzyma, Wasza Ekscelencjo.

Shkin pobladł ze złości. Z trudem panował nad sobą.

– W takim razie ja sam ją kupię – powiedział Pennyroyal. Nie był sentymentalny, ale nie podobało mu się, że ta inteligentna dziewczynka ma ponieść karę za swoją miłość do książek. Poza tym domowych niewolników można było sobie odliczyć od podatku.

– Żonie zawsze przyda się nowa podręczna – wyjaśnił. – Szczególnie teraz, gdy przygotowujemy się do balu w czasie Festiwalu Księżycowego. Słuchaj, dam ci za to dwadzieścia delfinów. To aż za dużo.

– Dwadzieścia? – parsknął Shkin, jakby suma była zbyt mała, by w ogóle brać ją pod uwagę.

– Sprzedana! – wykrzyknął pośpiesznie Pennyroyal. – Moi ludzie ci zapłacą. A następnym razem, mój drogi, nie bądź aż tak łatwowierny. Jak mogłeś uwierzyć, że ta mała przybyła z Ameryki? Przecież to absurd!

Shkin skłonił się lekko.

– Wedle uznania Waszej Ekscelencji. – Wyciągnął rękę. – Poproszę Cynową Księżę.

Pennyroyal, który właśnie kartkował tom, zamknął go z trzaskiem i przycisnął do piersi.

– Nic z tego, Shkin. Przecież powiedziała, że to prezent dla mnie.

– To moja własność!

– W żadnym razie. Twój kontrakt z Radą stanowi tylko, że należą do ciebie wszyscy Zaginieni Chłopcy, których wyłowisz. A to, jakkolwiek by patrzeć, nie jest żaden Zaginiony Chłopiec. Mamy do czynienia z jakimś kodem Starożytnych, który jest prawdopodobnie dość cenny. Jako burmistrz Brighton mam

obowiązek zatrzymać ten przedmiot do... eee... do dalszych badań.

Shkin spoglądał przez dłuższą chwilę na burmistrza, a potem na Wren. Ułożył twarz w grymas uśmiechu.

– Na pewno spotkamy się znowu – powiedział uprzejmie i odwrócił się, strzelając palcami na swoją obstawę. Potem energicznie ruszył do wyjścia.

Dziewczęta otoczyły Pennyroyala, rozpinając wokół niego namiot, by mógł się przebrać. Wren na moment została sama. Uśmiechnęła się, upojona własnym sprytem. Wprawdzie wciąż była niewolnicą, ale za to luksusową, w domostwie samego burmistrza! Dostanie dobre jedzenie, piękne stroje i zamiast ciężarów dźwigać będzie talerzyki z ciasteczkami. Będzie spotykać przeróżnych ciekawych ludzi. Na przykład jakiegoś przystojnego pilota, którego namówi, by poleciał z nią do domu, do Winlandii.

Żałowała tylko, że nie udało jej się zabrać ze sobą Pulpeta. Czowała się za niego odpowiedzialna i miała nadzieję, że handlarz niewolników nie wyładuje na nim swojego gniewu. Miała nadzieję, że pewnego dnia ucieknie, znajdzie jakiś sposób, żeby pomóc Pulpetowi i wszystko będzie dobrze.

Nabisco Shkin nie należał do ludzi, którzy okazują emocje. Opanował gniew i zanim żółty wagonik dowiózł go na pokład Brighton, był już spokojny. W Pieprzniczce powitał pannę Weems ze zwykłym chłodnym spokojem i polecił:

– Przeprowadź mi tego małego Zaginionego.

Już po krótkiej chwili siedział spokojnie w swoim gabinecie,

patrząc jak Pulpet pałaszuje drugą porcję czekoladowych lodów i słuchając ponownie jego opowieści o rejsie „Autolika” do Winlandii.

Mały mówił prawdę, to było pewne. Ale nie da się go wykorzystać, by podważyć wiarygodność burmistrza. Gdyby nawet doszło do procesu, prawnicy Pennyroyala zrobiliby z niego mamałygę. Shkin zamyślił się i przymknął oczy, próbując wyobrazić sobie Winlandię.

– Czy jesteś pewny, że odnalazłbyś to miejsce ponownie, chłopcze?

– Oczywiście, panie Shkin – odpowiedział Pulpet z pełnymi ustami.

Shkin uśmiechnął się do niego znad stykających się palcami dłoni.

– To doskonale – odpowiedział. – Posłuchaj, chłopcze. Od czasu do czasu trafia mi się niewolnik zbyt cenny, żeby się z nim rozstać. Na przykład panna Weems. Mam nadzieję, że ciebie też do nich zaliczę.

Pulpet odpowiedział nerwowym uśmiechem.

– To znaczy, że nie sprzeda mnie pan tym nowomajskim diabłom, sir?

– Skądże znowu – zapewnił go Shkin, zaprzeczając ruchem głowy. – Zostaniesz u mnie, Pulpet. Wyszkolimy cię na pomocnika. A latem, jak tylko pogoda się poprawi, wyruszymy na wyprawę. Zaprowadzisz nas do Anchorage, do Winlandii. Myślę, że za tych Winlandczyków, Anchorytów, czy jak tam oni siebie zwa, dostanę dobrą cenę na rynku niewolników.

Pulpet słuchał, otwierając szeroko oczy, a potem uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Tak, panie Shkin! Dziękuję, panie Shkin!

Shkin rozsiadł się wygodnie w fotelu. Powrócił mu dobry humor. Zemści się na Pennyroyalu, pokazując całemu światu, że Anchorage wciąż istnieje. A ta mała, zdradziecka suka Wren dostanie nauczkę, kiedy Korporacja Shkin weźmie do niewoli całą jej rodzinę i wszystkich przyjaciół.

15. DZIECI GŁĘBIN

Pająkomobil „Śrubodźdzownicę” skonstruowano dużo wcześniej, zanim Zaginieni Chłopcy zaczęli się posługiwać zdalnie sterowanymi krab-kamerami. Nawet jej radio przestało działać wiele lat temu, więc załoga nie mogła odbierać komunikatów z Brighton. Z tego powodu Hester, Tom i Freya nigdy się nie dowiedzieli, czy tęsknota Caula za rodzicami byłaby silniejsza od jego lojalności wobec przyjaciół. Głucha na zaproszenia GORPD, „Śrubodźdzownica” płynęła na północ przez zimne, głębokie wody Rowu Grenlandzkiego. Tego samego popołudnia gdy Wren po raz pierwszy stanęła naprzeciw Pennyroyala, pasażerowie mobila ujrzeli Grimsby.

Tom był już przedtem w podwodnym mieście, ale Hester i Freya znały je tylko z jego opisów. Wpatrywały się w bulaj, gdy zbliżali się coraz bardziej.

Grimsby było niegdyś olbrzymim przemysłowym obiektem – teraz pozostał po nim tylko zatopiony wrak spoczywający na zboczu podwodnej góry. Wodorosty, przywry i rdza robiły co mogły, żeby go okryć kamuflażem, zacierając zarysy budynków i koła napędowe. Trudno było powiedzieć, gdzie kończy się Grimsby, a zaczyna góra.

– Gdzie są światła? – spytał Tom. Najbardziej wryło mu się w pamięć wspomnienie surrealistycznego blasku lamp w oknach zatopionego miejskiego ratusza. Teraz całe miasto tonęło w

ciemnościach.

– Stało się coś niedobrego – powiedział Caul.

Coś uderzyło w kadłub „Śrubodżdżownicy”. W blasku latarni dziobowej wirowały kawałki roztrzaskanych desek i podartego plastiku. Przepływali przez pas dryfujących odpadów.

– To miejsce jest kompletnie martwe – powiedziała Hester i nagle przerwała, bo jeśli to było prawdą, to Wren też prawdopodobnie nie żyła.

– Spójrzcie na Kleptorium! – szepnął wstrząśnięty Caul. Po stronie sterburty przesunął się wielki budynek, ciemny i rozerwany wybuchem. Wokół ogromnych dziur wyrwanych w ścianie wirowały śmieci. Ciało martwego chłopca obracało się powoli w kilwaterze „Dżdżownicy”. Kilkanaście innych zalegało w zalanym tunelu z elastoszkła, który kiedyś łączył Kleptorium z ratuszem.

– Elektrownia też leży w gruzach – dodał, gdy mijali przykryty kopułą budynek, roztrzaskany jak skorupka jajka. W jego głosie brzmiało napięcie. – Ratusz jest chyba niezniszczony. Chyba nikogo tam nie ma. Zobaczę, czy uda mi się wpłynąć do środka.

Caul opuścił miasto przed szesnastu laty, ale od tego czasu tysiące razy przepływał do hangaru pająkomobili – we snach. Skierował „Dżdżownicę” ku drzwiom śluzy umieszczonej u podstawy ratusza. Były otwarte. Przepływały przez nie ławice srebrzystych rybek.

– Wciąż nikogo – mruknął. – Powinny być zamknięte. Już powinny się pojawić gondole kontrolne, żeby nas sprawdzić.

– Może próbują nas wywołać przez radio i nie domyślają się, że nie słyszymy? – zasugerował Tom z nadzieją.

– Co robimy? – spytała Freya.

– Wpływamy do środka, to oczywiste – odpowiedziała Hester. Sprawdziła broń za pasem i nóż w cholewie buta. Jeśli gdzieś zostali jeszcze jacyś Zaginieni Chłopcy, zamierzała im pokazać, z jakiej gliny ulepiono córkę Valentine’a.

„Śrubodźdzownica” wsunęła się do tunelu. Automatyczne drzwi otworzyły się, a potem zamknęły za nimi.

– Awaryjne zasilanie działa – stwierdził Caul. – To już coś...

– Może to pułapka – powiedziała Hester. – Może już na nas czekają.

Ale nikt nie czekał na „Dźdzownicę” kiedy wynurzyła się w jednej z komór powietrznych w hangarze dla pająkomobili, a jej pasażerowie wygramolili się na powietrze – zimne i stęchłe. Ciemność rozpraszało tylko kilka mętnych awaryjnych lamp. Pompy powietrzne charczały astmatycznie. Wielka hala, która za pamięci Toma była zatłoczona pająkomobilami i ich załogami, teraz stała kompletnie pusta. Dźwigi portowe pochylały się żałośnie nad pustymi komorami powietrznymi w dnie hangaru, jak szkielety dinozaurów w opuszczonym muzeum. Opasała towarowa łódź podwodna z otwartymi lukami kołysała się w doku pod ścianą. Na pół zmontowany pająkomobil leżał na placu remontowym, ale nie było ani śladu mechaników, którzy go naprawiali.

Tom wziął latarkę elektryczną z ładowni „Dźdzownicy” i ruszył przed siebie w nadziei, że za chwilę nadbiegnie Wren, cała i zdrowa i rzuci mu się na szyję.

Blask wydobył z cienia zakamarki pod dźwigami. Raz czy dwa wydało mu się, że dostrzegł krab-kamerę uciekającą przed światłem. Poza tym nic się nie ruszało.

– Gdzie są wszyscy? – szepnął.

– Jeden jest tutaj – odpowiedziała Hester.

Wielkie drzwi na drugim końcu hangaru były półprzymknięte, bo na progu leżał zwinięty w kłębek chłopiec w wieku Wren. Patrzył w ciemność niewidzącymi, martwymi oczami. Hester wyprzedziła Toma i przekroczyła przez zwłoki. W korytarzu na zewnątrz leżało ich więcej. Niektórzy zginęli od ciosów mieczy, inni od metalowych harpunów z kusz.

– Zdaje się, że Zaginieni Chłopcy pobili się między sobą – powiedziała. – To miło z ich strony, oszczędzili nam roboty.

Tom ostrożnie przestąpił przez ciało martwego chłopca i spojrzał w górę. Poczuł na twarzy zimne krople wody.

– To miasto przecieka jak dziurawa puszka po konserwach – mruknął.

– Wujek będzie wiedział, jak to naprawić – odpowiedział Caul. Wszyscy spojrzeli na niego, zdziwieni pewnością w jego głosie. Sam był nią zaskoczony.

– To Wujek zbudował Grimsby – przypominał im. – Uszczelnił kilka pierwszych sal i zbudował pierwszy pająkomobil, zupełnie sam. Nikt mu nie pomagał.

Pochylił głowę i pomacał się po szyi. Blizny po sznurze były tam w dalszym ciągu, twarde i wyraźne. Przypomniały mu, jak bardzo nienawidził Wujka i jak się go bał pod sam koniec. Ale przedtem kochał go, przez długi czas. Teraz, gdy wrócił do Grimsby, Kleptorium było w ruinie, a Zaginieni Chłopcy zniknęli, poczuł, że strach i nienawiść także go opuściły i została tylko miłość. Przypomniał sobie, jaki czuł się bezpieczny, kiedy kulił się na łóżku, a głos Wujka szeptał do niego przez głośniki w suficie przez długie godziny nocnej

zmiany. Świat był wtedy taki prosty, a on był taki szczęśliwy.

– Wujek wie wszystko najlepiej – mruknął.

Nagle coś poruszyło się w głębi ciemnego korytarza. Hester poderwała broń. Freya złapała ją za rękę, zanim zdążyła strzelić, a Tom krzyknął:

– Het, nie! – Echa jego głosu rozbiegły się korytarzami i klatkami schodowymi. Buzia, którą blask jego latarni na moment wyłowił z cienia, zniknęła, kiedy jej właściciel umknął w mrok.

– Nie bójcie się – powiedziała Freya i wysforowała się przed Hester, wyciągając przed siebie nieuzbrojone ręce. – Nie zrobimy wam nic złego.

Ciemność wypełniła się nagle cichymi krokami i szelestem. W świetle latarki błyskały oczy. Dzieci Grimsby zaczęły wypęłzać ze swoich kryjówek. Brudne twarzyczki białe jak płatki kwiatów. Same maluchy, za młode, żeby zająć miejsce w szeregach Zaginionych Chłopców. Kilkoro starszych mogło mieć po dziewięć albo dziesięć lat, ale reszta była dużo młodsza. Patrzyły na nowo przybyłych szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Jedna z dziewczynek, odważniejsza od reszty, podeszła do Freyi i spytała:

– Czy to wy jesteście naszymi rodzicami?

Freya uklękła, by zrównać się z dziećmi.

– Nie – odpowiedziała. – Przykro mi, ale nie.

– Ale nasi rodzice zaraz tu będą, prawda? – szepnęło inne dziecko.

– Wysłali wiadomość...

– Mówili, że już są blisko – powiedział jakiś chłopczyk, ujmując dłoń Caula i spoglądając szczerym wzrokiem w jego

twarz. – Mówili, że mamy do nich iść. No i prawie wszyscy duzi chłopcy chcieli tak zrobić, chociaż Wujek im zabraniał...

– A kiedy reszta chciała ich powstrzymać, zaczęli się bić i zatłukli ich na śmierć!

– A potem i tak odpłynęli. Zabrali wszystkie mobile.

– Chcieliśmy popłynąć z nimi, ale powiedzieli nam, że nie ma miejsca, i że jesteśmy maluchy...

– A potem wszystko wybuchło! – krzyknęła jakaś dziewczynka.

– Nie, to było później, głupia – poprawiła ją inna. – To były bomby głębinowe.

– Bum! – krzyknął najmłodszy chłopiec, wymachując rękami. – Bum!

– No i wtedy zgasło światło, i chyba woda dostała się do środka...

Wszystkie dzieci zaczęły mówić naraz, tłocząc się wokół nich, w kręgu światła latarki Toma. Hester wyciągnęła rękę do jednego z nich, ale dzieciak cofnął się i przytulił do Freyi.

– Czy jest tu Wren? – spytała Hester. – Szukamy naszej córki, Wren.

– Zaginęła – wyjaśnił Tom. – Odpłynęła na „Autoliku”.

Dziecięce buzie, które spoglądały na niego, były puste jak niezapisane kartki. Jedna ze starszych dziewczynek powiedziała:

– „Autolik” nie wrócił. Żaden pająkomobil tu nie wrócił, od trzech tygodni.

– Więc gdzie jest Wren?! – krzyknął Tom. Bał się, że zobaczy ją martwą. Ale to, że jej nigdzie nie było, przeraziło go niemal tak samo. Przesunął wzrokiem po przestraszonych buziach.

– Co tu się stało, na Quirke’a?

Przestraszone dzieci zaczęły się od niego odsuwać.

– Gdzie jest Wujek? – spytał Caul. Freya uśmiechnęła się do niego, przekazując dzieciom, że to przyjaciel i że powinny mu odpowiedzieć.

– Może też odpłynął – mruknęła Hester.

Caul pokręcił głową.

– Nie bądź głupia. Wujek nigdy w życiu nie zostawiłby Grimsby.

– On chyba jest na górze – powiedział jeden z chłopców.

– Jest strasznie stary – dodał drugi z powątpiewaniem.

– Wcale nie wychodzi ze swojego pokoju – potwierdził trzeci.

Caul skinął głową.

– Dobrze. W takim razie pójdziemy z nim porozmawiać. On nam powie, co tu się stało i gdzie szukać Wren.

Wyczuł, że jego towarzysze patrzą na niego ze zdziwieniem. Odwrócił się do nich i uśmiechnął.

– Wszystko będzie dobrze. Zobaczycie. Wujek wie wszystko najlepiej.

16. PERŁA LŚNI, GDZIE OKO BYŁO

Uformowali dziwaczny pochód, który pomaszerował po wąskich schodach Grimsby, nie dbając o wodę, która kapiała z cieniutkich pęknięć w kopule i spływała kroplami ze stopnia na stopień. Na półpiętrze leżały następne martwe ciała, jak tamy, za którymi tworzyły się brudne kałuże. Krab-kamery czepiały się przewodów i poręczy i od czasu do czasu lustrowały przybyszów cyklopimi oczami.

Hester szła pierwsza, za nią Tom, Caul i Freya, otoczeni dziećmi. Małe rączki czepiały się ich dłoni i stale dotykały ich ubrania, żeby się upewnić, że ci przybysze z suchego świata są prawdziwi. Freya przyciągała je najbardziej. Opowiadały jej swoje sekrety cichym, zgorszonym szeptem.

– A Białas dłubie w nosie.

– Wcale nie!

– Mam na imię Esbjørn, ale duzi chłopcy z Kleptorium powiedzieli, że teraz nazywam się Tuńczyk. Tylko że Tuńczyk to strasznie głupie imię. Mogę używać dawnego teraz, kiedy oni poumierali na śmierć i uciekli?

– Wsadza tam cały palec. A potem zjada gile.

– Wcale nie!

– Dzieci – spytała Freya. – Wiecie, kto wysadził Kleptorium w powietrze? I kiedy to było?

Nie potrafiły jej na to odpowiedzieć. Niektóre mówiły, że

kilka dni temu, inne – że tydzień. Po chwili wszystkie ucichły, bo byli już na najwyższych piętrach. Zajrzeli do ogromnej komnaty, której tu nie było podczas pobytu Toma i Caula. Żeby ją zbudować, wyburzono ściany działowe między kilkunastoma pokojami. Pełno tu było eleganckich mebli i zdobyczy, które niegdyś zdobiły ratusze i domy notabli. Na ścianach wisiały wielkie lustra, a kolosalne łóżko miało zasłony ze sztuk jedwabiu i aksamitu. Na podłodze wały się ubrania i poduszki. Z pęków przewodów na suficie zwisały mobile zrobione z morskich kamyków z dziurkami i starożytnych koralików.

– To był pokój Gargle’a. On stąd rządził – tłumaczyły dzieci.

– A te mobile zrobiła Remora – dodała jakaś mała dziewczynka. – Jest śliczna, mądra i Gargle lubi ją najbardziej.

– Ja bym chciał, żeby Gargle już wrócił – powiedział jakiś chłopczyk. – On by wiedział, co zrobić.

– Gargle nie żyje – odpowiedziała mu Hester.

Potem słyhać było już tylko odgłos ich kroków na mokrych dywanach i ledwie słyszalny głos gdzieś nad głową, przerywany trzaskami, jakby dochodził z głośnika. „Chcemy tylko znowu zobaczyć nasze kochane, zaginione dzieci...”

Wreszcie dotarli na górę schodów, do sali pełnej ekranów, z której założyciel Grimsby nadzorował swoje podwodne królestwo. Kiedy Tom był tu przed wielu laty, sali strzegli wartownicy. Tym razem nie było nikogo, nawet drzwi nie zamknięto na klucz. Hester otworzyła je kopniakiem i weszła do środka z dobytym pistoletem.

Reszta stłoczyła się z tyłu. Przestronną, wysoką salę rozjaśniał niesamowity, błękitny odblask ekranów na

ścianach. Były wszelkich kształtów i rozmiarów, od gigantycznych publicznym monitorów aż po małe wyświetlacze wyrwane ze starożytnego wyposażenia szpitali. Wszystkie połączono imponującą plątaniną kabli i przewodów. Wysoko w górze, w mrocznej kopule, wisiała mobilna stacja podglądu: niewielki balon towarowy z podwieszoną kulą ekranów i głośników. Każdy ekran pokazywał tę samą scenę: tłum ludzi na owianym bryzą tarasie obserwacyjnym pływającego miasta. – „Dzieci głębin” – błagał głos z głośników. – „Jeśli nas słyszycie, błagamy, przybądźcie do nas!”

– Czemu dali się na to nabrać? Dlaczego tam popłynęli? Dlaczego woleli bandę starych Jeleni ode mnie?

Na środku sali stał stary człowiek, odwrócony plecami do drzwi. Krzyczał do nagrania na ekranach. W rękę trzymał pilota. Podniósł go i przycisnął. Wszystkie ekrany w jednej chwili ściemniały i zamilkły. Odwrócił się do Hester i jej towarzyszy.

– Kim jesteście? – spytał nieprzyjaźnie. – Gdzie jest Gargle?

– Gargle już nie wróci – powiedział Tom, najłagodniej jak potrafił. Źle wspominał Wujka, ale teraz było mu tylko żal przygarbionego starca, który szedł ku nim, szurając nogami w wytartych kapciach-króliczkach. W pomarszczonej jak u żółwia głowie, wychylającej się z kilku warstw zapleśniałych ubrań, mrugały krótkowzroczne oczy, przyćmione wiekiem. Tom spostrzegł, że do wielu ekranów przyczepiono szkła powiększające. Wujek chyba prawie całkiem stracił wzrok. Nic dziwnego, że tak uzależnił się od Gargle’a.

– Gargle nie żyje – dodał.

– Jak to? – Wujek podszedł, by spojrzeć na niego z bliska. –

Nie żyje? Mój mały Gargle, który tak się nadymał i wywyższał?
– Na jego twarzy odmalowały się kolejno żal, ulga i gniew. –
Mówiłem mu! Ostrzegałem, żeby nie szukał tej głupiej książki.
Przecież on się w ogóle nie nadawał na włamywacza. Za to
umiał planować, ten mój Gargle. Mądry był z niego chłopak.

– Wiemy – odezwała się Hester. – Poznaliśmy ich.

Wujek otrząsnął się, słysząc jej głos.

– Kobieta? Grimsby jest zamknięte dla kobiet. Zawsze tego
ściśle przestrzegałem. I Gargle też mnie popierał. Żadnych
dziewuch. Przynoszą pecha, i tyle. Nie można im wierzyć.

– Ale Wujku... – odezwała się łagodnie Freya.

– Fuj, jeszcze jedna! Wszędzie rozpleniły się kobiety!

– Wujku? – wtrącił Caul.

Starzec obrócił się i spochmurniał, jakby dźwięk głosu Caula
włączył w jego głowie jakiś zardzewiały przycisk.

– Caul, chłopcze! – wykrzyknął, a potem warknął: – To
wszystko twoja robota, prawda? Przyłożyłeś do tego rękę, co?
Powiedziałeś Jeleniom, gdzie nas znaleźć! Jesteś sam, czy kogoś
tu sprowadziłeś?

Pokuśtykał do pulpitu i dziobał w niego palcem tak długo, aż
na ekranach pojawiły się obrazy Grimsby. Przycisnął suchą jak
pergamin twarz prawie do samego szkła i obserwował puste
korytarze i pokoje, opustoszały hangar pająkomobili i zalane
wodą, zrujnowane sale Kleptorium.

– Jest nas tylko czworo, Wujku – uspokoił go Caul. – Nie
mamy pojęcia, co tu się stało. To nie nasza wina.

– Nie? – Wujek popatrzył na niego i zaczął cienko chichotać.
– Bogowie, aleście sobie wybrali moment na odwiedziny!

– Przyjechaliśmy po córkę Toma i Hester – wyjaśnił

spokojnie Caul. – Ma na imię Wren. Ten dzieciak, który popłynął z Garglem na „Autoliku” porwał ją z Winlandii.

– Pulpet? On się nazywał Pulpet... – Wujek zwiesił głowę. Kiedy się znowu odezwał, był bliski łez. – „Autolik” nie wrócił. Nikt z nich nie wrócił, Caulu. Mój drogi chłopcze... do tych durni dotarł komunikat, że mamusie i tatusiowie na nich czekają. Wszyscy popłynęli do nich, do Brighton.

– Do Brighton? – Tom słyszał o tym mieście. Brighton było kurortem, całkiem porządnym, choć trochę trącącym cyganerią. Jeśli Wren tam trafiła, może nie było z nią tak źle.

– Dlaczego Brighton ich tam ściąga? – spytała podejrzliwie Hester.

Wujek wzruszył ramionami, rozłożył ręce i zrobił kilka grymasów mających wyrazić, że nie ma pojęcia.

– Tłumaczyłem moim chłopcom, że to pułapka. Mówiłem im. Ale nie chcieli mnie słuchać. Może gdyby Gargle tu był... Jego się słuchali. Za nic mieli starego, schorowanego Wujka, który pracował dla nich przez całe lata jak niewolnik, martwił się o nich... – Po twarzy starca zaczęły spływać łzy żalu nad sobą. Wytarł nos w rękaw. Niespokojnie popatrzył na Toma, potem na Hester, aż w końcu jego wzrok znowu spoczął na Freyi. – Bogowie, Caul, uciekłeś do Anchorage dla tego tłustego wieloryba? Ależ się zapuściła! Zresztą, jak się dobrze zastanowić, ty też nie najlepiej wyglądasz. Lubię, jak chłopcy dobrze się prezentują, a ty... No cóż, zdiadziałeś! Taka jest prawda. Gargle mówił mi, że pojechałeś do tych Jeleni, żeby coś osiągnąć.

Caul poczuł się jak nowicjusz, który dostaje burę za to, że pogubił wytrychy.

– Przykro mi, Wujku – wymamrotał.

Freya podeszła do niego i wzięła go za rękę.

– Caul bardzo dużo osiągnął. – powiedziała. – Bez jego pomocy Anchorage nie rozkwitłoby tak w Winlandii. Chętnie panu o wszystkim opowiem, ale najpierw wszyscy musimy opuścić to miejsce.

– Opuścić? – Wujek spojrzał na nią, jakby nigdy w życiu nie słyszał tego słowa. – Ja nie mogę go opuścić. Dlaczego niby miałbym to zrobić?

– Proszę pana, to miejsce już się rozpada. Nie można tu trzymać dzieci...

Wybuchnął śmiechem.

– Dzieciaki nigdzie się stąd nie ruszą – odpowiedział. – Przecież one są przyszłością Grimsby.

Dzieci przywarły do Freyi. Puściła dłoń Caula, żeby je pogłaskać po głowach. Wszyscy słyszeli ciche skrzypienie naprężonego metalu na niższych poziomach i odległy chłupot wody, która wlewała się do środka.

– Panie Kael... – zaczęła Freya. Przypomniała sobie, co kiedyś powiedział jej Caul. Zanim Wujek został Wujkiem, nazywał się Stilton Kael i był bogatym młodym mieszkańcem Archangielska. Miała nadzieję, że gdy nazwie go dawnym imieniem, obudzi w nim uczucia, ale tylko zmierzył ją gniewnym spojrzeniem. Mimo to mówiła dalej.

– Panie Kael, to miasto przecieka. Woda zalała je już do połowy, a w powietrzu czuć stęchliznę. Nie wiem zbyt dużo o podwodnych bazach, ale moim zdaniem Grimsby ma przed sobą niewiele czasu.

Hester odbezpieczyła swoją *Schadenfreude* i wymierzyła ją w

Wujka.

– Jeśli nie chce pan iść z nami – powiedziała – to nie ma obowiązku.

Wujek spojrzał najpierw na nią, a potem w górę, na rozkołysaną kulę ekranów, na których jej twarz była o wiele wyraźniejsza niż obraz, jakim służyły jego wiekowe, schorowane oczy.

– Nic nie rozumiecie – powiedział. – Nigdzie się stąd nie ruszam. Wy też nie. Odbudujemy to miejsce. Uszczelnimy je na nowo. Będzie lepsze niż przedtem. Zmontujemy nowe pająkomobile. Bardziej nowoczesne. Nikt stąd nie wyjedzie. Powiedz im to, Caul.

Caul skrzywił się. Nie wiedział, co robić. Nie chciał zdradzić przyjaciół, ale nie chciał też zawieść Wujka. Głos starca budził w nim dreszcz miłości i żalu.

Popatrzył na Freyę.

– Przepraszam – wymamrotał.

Potem nagłym, błyskawicznym ruchem wyrwał Hester pistolet z dłoni i wymierzył najpierw w nią, a potem w Toma.

– Caul! – krzyknął Tom.

Wujek znowu wybuchnął starczym śmiechem.

– Dobra robota, chłopcze! Wiedziałem, że się w końcu ockniesz! Cieszę się, że jednak cię nie powiesiłem. Szkoda, że wszyscy się rozjechali, zanim zdążyli cię poznać, Caul. Będziesz moją lekcją pogładową. Powrót syna marnotrawnego. Minęło tyle lat, a ty wciąż jesteś lojalny wobec starego, drogiego Wujka.

Wyciągnął z kieszeni klucz i podał Caulowi.

– Zabierz ich stąd. Zamknij ich w pokojach Gargle'a, przyjdź

do mnie i porozmawiamy sobie od serca.

Caul wciąż mierzył w Toma z pistoletu, bo wiedział, że Hester bardziej zależy na bezpieczeństwie męża niż na własnym. Wyciągnął nóż zza jej cholewy, potem wziął klucz i zaczął wszystkich zaganiać w stronę otwartych drzwi.

– Słuchaj, Caul – zaczęła Freya.

– Daj spokój – przerwała jej Hester. – Wiedziałam, że ufając mu, popełniliśmy błąd. Podejrzewam, że zgodził się nas tu przywieźć tylko dlatego, żeby znowu zobaczyć się ze swoim ukochanym Wujkiem.

– Nic złego wam się nie stanie – obiecał Caul. – Wszystko się jakoś ułoży.

Nie miał jeszcze żadnego planu. Wiedział tylko, że dobrze jest znowu być Zaginionym Chłopcem.

– Wujek wie najlepiej – powiedział. Zmusił swoich więźniów, by ruszyli po schodach do apartamentu Gargle'a i zamknął ich tam na klucz. – Wszystko będzie dobrze. Wujek wie najlepiej.

17. KAPLICA

W Tienjing zapadła noc. Nad miastem wznosiły się wielkie, bezbarwne góry. Zimne szczyty zdobiła otoczka śniegu, jak puder. Nad górami migotały jeszcze zimniejsze gwiazdy i rzeczy, które nie były gwiazdami – martwe satelity i orbitalne platformy Starożytnych, wykonujące w niebiosach odwieczny, powolny taniec.

Łowca Shrike patrolował milczące korytarze Nefrytowej Pagody, lustrując w podczerwieni mroczne zakamarki, wychwytyjąc rozmowy prowadzone w odległych pokojach, wybuch śmiechu w strażnicy, pracowite skrobanie korników w ściennej boazerii. Błądził po galeriach ozdobionych starożytnymi płaskorzeźbami potworów i górskich demonów, z których żaden nie był straszniejszy od niego samego.

Radując się wdziękiem i mocą swojego nowego ciała, sprawdzał wyczulonymi zmysłami, czy gdzieś nie pojawi się chemiczna sygnatura ukrytych środków wybuchowych, albo lśnienie nie zdradzi ukrywającego się zabójcy. Miał nadzieję, że już niedługo jakiś naiwny śmiertelnik zaatakuje jego panią. Nie mógł się doczekać, kiedy kogoś zabije.

Poczuł zimny powiew; nieznaczna zmiana ciśnienia atmosferycznego powiedziała mu, że ktoś otworzył i zamknął zewnętrzne drzwi, cztery piętra niżej. Pośpiesznie podszedł do okna i spojrział w dół. Rozdwojona na końcu plama

zwierzęcego ciepła przesuwiała się przez cienie zalegające na dziedzińcu ku wartowni na bramie. Shrike porównał jej wysokość i parametry kroków z danymi, które zebrał przez okres pracy jako ochroniarz i rozpoznał doktor Zero.

Dokąd się wybierała w tę zimną noc, ledwie czterdzieści minut przed godziną policyjną? Shrike zaczął zastanawiać się nad jej motywami. Może miała kochanka w dolnym mieście. Ale do tej pory nie wykazywała zainteresowania miłością. Poza tym nie po raz pierwszy przyłapał ją na niestandardowych zachowaniach. Zauważył, że jej serce zawsze bije szybciej w bliskości Łowczyni Fang i czasami wyczuwał bijący od niej ostry zapach, kiedy Fang na nią patrzyła. Dziwiło go, że jego pani nie zauważała takich rzeczy. Wiedział jednak, że Fang, w odróżnieniu od niego nie interesuje się śmiertelnikami i ich sprawami. Może nie zdawała sobie sprawy, że jej osobista chirurgiczka się jej boi, albo jej to nie obchodziło.

Shrike włączył maksymalne zbliżenie wizji i obserwował, jak doktor Zero legitymuje się wartownikowi, a potem odchodzi. W końcu stracił ją z oczu między barakami i flagami Tienjing. Dlaczego była taka przerażona? Czego się bała? Po co tam poszła? Jakie były jej zamiary? Zawdzięczał jej wszystko, ale wiedział też, jakie są jego obowiązki.

Oenone Zero schodziła pośpiesznie w dół stromymi schodami. Okrywał ją silikono-jedwabny płaszcz. Naciągnęła kaptur i spuściła głowę. Niebo nad miastem rozświetlały reflektory transportowców i myśliwców startujących z

wojskowego lotniska. Niosły kolejnych młodych ludzi na zachód, gdzie na Rdzawym Klinie czekała na nich śmierć.

Wezbrało w niej poczucie winy, ale zdążyła się już do niego przyzwyczaić. Co rano pielęgnowała stawy i pancerz Łowczyni Fang i przykładała swoje instrumenty do jej stalowej piersi, by kontrolować dziwne, starożytne źródło energii zamontowane tam, gdzie niegdyś było serce Anny Fang. I co rano mówiła sobie, że to już, że zaraz to zrobi.

Nie byłaby pierwszą, która tego próbowała. Wszelkiego rodzaju fanatyczni pacyfiści – beatnicy i ortodoksi dawnej Ligi – dokonywali zamachów na Łowczynię, tylko po to, by patrzeć, jak ich noże pękają w zetknięciu z jej pancerzem albo jak wychodzi nietknięta ze zrujnowanych wybuchami bomb sal i wraków sterowców. Ale Oenone Zero była naukowcem i skorzystała ze swoich naukowych umiejętności, by stworzyć broń, która była w stanie zniszczyć nawet Łowczynię Fang.

Problem w tym, że brakowało jej odwagi, by jej użyć. Co będzie, jeśli się nie powiedzie? A co będzie, jeśli się powiedzie? Oenone była pewna, że bez Łowczyni u steru władzy reżim Zielonej Burzy upadnie. Pytanie tylko, czy upadnie tak szybko, by stronnicy Łowczyni nie zdążyli rozprawić się z jej zabójczynią. Słyszała plotki o tym, co dzieje się ze zdrajcami.

Zatopiona w myślach, nie spostrzegła, że ktoś ją śledzi. Przeszła przez Most Podwójnej Tęczy i skręciła w ulicę Dziesięciu Tysięcy Bóstw.

Przez długie wieki antymobiliści uciekali z Europy i Azji i ukrywali się w tych górach. Przywieźli ze sobą swoich bogów. W mroku wydawało się, że stłoczone jedna przy drugiej świątynie rozpychają się łokciami. Oenone precisnęła się

przez dwa ślubne orszaki i pogrzeb, minęła kilka kapliczek oblepionych banknotami na szczęście i strzelających fajerwerkami. Przeszła obok Świątyni Bogów Nieba i Złotej Pagody Bogów Gór. Minęła Poskittarium i święty gaj Bogini Jabłoni. Przemknęła się obok milczącego domu Bogini Śmierci. Na końcu ulicy, przytłoczona potężnymi sanktuariami popularniejszych religii, stała maleńka chrześcijańska kaplica.

Zanim weszła do środka, sprawdziła, czy nikt jej nie widzi, ale nie przyszło jej do głowy spojrzeć na zbocze góry.

Znalazła to miejsce przypadkiem i sama nie wiedziała, dlaczego ją przyciągnęło. Nie była chrześcijanką. Mało kto był, za wyjątkiem mieszkańców Afryki i kilku wysp na zachodnich rubieżach. O chrześcijanach wiedziała tylko, że czcili boga przybitego do krzyża. Co mógł być wart bóg, który pozwala, żeby go przybijali do różnych rzeczy? Nic dziwnego, że kaplica chyliła się ku upadkowi. Dachy już nie było, a między próchniejącymi ławkami wyrosły chwasty. W noce takie jak ta, kiedy czuła, że musi się wyrwać z Nefrytowej Pagody, zanim zwariuje, Oenone przychodziła tu, żeby się uspokoić.

Płatki śniegu spadały jej na głowę przez nierówną kratownicę belek i osiadały na zielonych włosach, wyglądających spod zsuniętego na szyję kaptura. Przesunęła dłońmi po ścianach, żeby odczytać dotykiem tekst wyryty na wiekowych kamieniach. Był w większości nieczytelny z wyjątkiem fragmentu, który szczególnie polubiła. To był jakiś stary cytat, jeszcze sprzed wojny sześćdziesięciminutowej. Nie miała pewności, co oznacza, ale był dziwnie pocieszający.

Umieramy z umierającymi:

*Spójrz, już odchodzą, my idziemy z nimi.
Przychodzimy na świat ze zmarłymi:
Spójrz, powracają, niosą nas w ramionach.
Chwila róży i chwila cisu
Trwają tak samo długo⁴.*

Oenone uklękła przed pustym kamiennym ołtarzem i skłoniła głowę. Nie wierzyła w tego starożytnego boga, ale musiała z kimś porozmawiać.

– Pomóż mi – szepnęła. – Jeśli w ogóle istniejesz, daj mi siłę. Daj mi odwagę. Jestem tak blisko niej. Gdybym miała dość odwagi, mogłabym uderzyć już teraz. Mam przecież broń. Jeśli zabija się kogoś, kto jest już martwy to przecież nie jest morderstwo, prawda? To tak, jakbym zniszczyła maszynę...

Mówiła bardzo cicho, ledwie poruszając ustami. Nie usłyszałoby jej żadne ludzkie ucho. Ale jej modlitwa i tak została podsłuchana. Przycupnięty jak gargulec na zrujnowanej świątynnej wieży, Łowca Shrike uważnie chwycił każde słowo.

– Czy mam prawo to zrobić? Przedtem wszystko wydawało się takie proste, ale teraz widzę ją na własne oczy. Jest taka mądra i silna... Może to jednak byłoby morderstwo. A może po prostu szukam wymówek? Szukam powodów, żeby tego nie robić, żeby przeżyć? Przyślij mi jakiś znak, Boże, jeśli tam jesteś. Pokaż mi, co powinnam zrobić...

Czekała, a Shrike czekał razem z nią, ale nie pojawił się żaden znak. Hałaśliwi, popularni bogowie z sąsiedztwa rozdawali rady na prawo i lewo i lali miód na serca jak dobre ciotki, ale bóg tego miejsca był mniej komunikatywny. Może

akurat spał, a może już nie żył. Może zajmował się akurat jakimś innym światem, gdzieś daleko na krańcach uniwersum. Oenone Zero pokiwała głową nad własną głupotą i wstała, szykując się do wyjścia.

Shrike pośpiesznie zsunął się z muru i ukrył we wnęce przy wyjściu, w której być może kiedyś wisiała rzeźba tego boga przybitego do krzyża. Jego podejrzenia się sprawdziły. Doktor Zero była zdrajczynią, i choć nawet ją trochę polubił, na ile Łowca może kogoś lubić, wiedział, że musi ją wyeliminować, zanim zrobi krzywdę jego pani. Obwody w jego głowie szumiały i nuciły na myśl o zabójstwie. Pozbawiła go szponów, ale wciąż był silny i bezwzględny. Żeby ją usunąć, wystarczy jeden cios pięści.

Na progu rozległy się kroki. Właśnie wychodziła z kaplicy, naciągając kaptur, żeby osłonić się od zimnego wiatru. Nie zauważyła go. Przeszła obok i pośpiesznie ruszyła ulicą Dziesięciu Tysięcy Bóstw, żeby zdążyć do swojej kwatery w pagodzie, zanim dzwony obwieszczą początek godziny policyjnej.

Shrike opuścił pięść, zdziwiony i nieco ogłupiały. Co mu się stało? Był przecież Łowcą, maszyną do zabijania. A jednak, choć krucha jak skorupka jajka czaszka ofiary była w jego zasięgu, nie był w stanie uderzyć.

Muszę ostrzec tajniaków Zielonej Burzy, pomyślał. Wyskoczył z wnęki i pośpiesznie ruszył za Oenone przez zatłoczone ulice. Niech śmiertelnicy sami ją załatwią, niech ją zabiorą do wykładanej białą terakotą izby tortur w podziemiach Nefrytowej Pagody. Ale zatrzymał się już po kilku krokach. Po prostu nie był w stanie zdradzić Oenone Zero.

To ona mi to zrobiła, przebiegło mu przez głowę. Przypomnił sobie długie nocne sesje w Fabryce Łowców. Ta młoda chirurgiczka jakimś cudem zamontowała w jego umyśle blokadę, która nie pozwalała mu jej skrzywdzić ani zdradzić nikomu jej planów. Zrozumiał, że był częścią tych planów. Bo Oenone przemyciła do sztabu Łowczyni Fang ochroniarza, który nie był w stanie jej strzec.

Powinien znienawidzić doktor Zero za to, że go w ten sposób wykorzystała, ale nie było w nim nienawiści do niej. Przedarł się przez świąteczną procesję pod świątynią Jomo i zaczął wspinać się ku Pagodzie przez mroczne, pokryte śniegiem uliczki. Nie zamierzał być marionetką Oenone Zero. Nie był w stanie zrobić jej krzywdy, ale mógł obronić swoją panią przed jej zakusami. Postanowił dowiedzieć się na czym polega jej plan i położyć mu kres.

18. „NAGLFAR”

Gdy tylko Caul zamknął swoich przyjaciół w apartamencie Gargle’a, popędził po schodach do sali z monitorami. Lekko dygotał i z trudem powstrzymywał się, by nie wrócić i nie otworzyć drzwi z klucza. Powtarzał sobie, że wcale nie wybrał Wujka, zdradzając przyjaciół. Znajdzie sposób, by dochować wierności obu stronom.

– Przede wszystkim musimy się pozbyć tych kobiet – stwierdził Wujek, gdy Caul wszedł do sali. – Bo będą nam przynosić pecha. Zobaczysz. – Wywołał na monitorach obraz jeńców zamkniętych na dole: wielkie, ziarniste wizerunki Hester i Freyi. – Oczywiście, wyglądają ładnie i pewnie uważasz, że są miłe, ale przekonasz się, że kiedyś zwrócą się przeciwko tobie i zdradzą, jak moja Anna wiele lat temu. Dlatego wprowadziłem zasadę, że dziewczęta nie mają wstępu do Grimsby.

Caul odłożył rewolwer Hester. Głupio się czuł, kiedy miał go w ręce.

– A ta dziewczyna, która przypląnęła na „Autoliku” z Gargle’em?

– Remora? – Wujek złapał rewolwer i wetknął go w kieszeń brudnych spodni. – Wiem, kogo masz na myśli. Tego chłopaka o dziwnym wyglądzie. Wysoki głos. Długie włosy. Przesadny makijaż. Miałem do niego zastrzeżenia, kiedy Gargle mi go

pokazał, ale zapewnił mnie, że to chłopak. Doskonały włamywacz. Żał mi Remory. Pewnie też zginął?

– Wujku, wśród tych biednych dzieciaków, które znaleźliśmy na dole, jest sporo dziewczynek.

– Dziewczynek? Jesteś tego pewny? – Wujek zaczął manipulować przy pulpicie, żeby obejrzeć zbliżenia twarzy dzieci.

Caul zobaczył na monitorach, jak jego przyjaciele nerwowo spoglądają na sufit, po którym zaczęły biegać krab-kamery, podzwaniając mobilami Remory. Zamiast twarzy, Wujek widział tylko szare, rozmazane plamy.

– Może porywacze Gargle’a rzeczywiście zgarnęli parę dziewczynek przez pomyłkę – zamruczał z urazą. – Ich też będziemy musieli się pozbyć, jeśli chcemy zacząć wszystko od nowa. Bo naprawdę zaczniemy wszystko od nowa, chłopcze. Odbudujemy Grimsby, silniejsze i lepsze niż przedtem. Ty będziesz moją prawą ręką. Możesz się wprowadzić do pokojów Gargle’a i zarządzać wszystkim zamiast niego.

Grupa ekranów tuż za Wujkiem nagle pociemniała. W sali zrobiło się jeszcze ciemniej. Zapachniało paloną izolacją, a kiedy Caul poszedł sprawdzić, co się dzieje, zobaczył, że po monitorach spływają strumienie wody, tworząc na pokładzie kałużę. Musnął ją palcem i włożył go do ust. Był słony. Wujek wie wszystko najlepiej, powtórzył w myśli. Bardzo chciał w to wierzyć, bo nade wszystko pragnął, by wróciły dawne czasy, kiedy wszystko było takie proste. Każdy musi mieć coś, co jest większe i lepsze od niego samego. Tom i Freya mieli swoich bogów, Hester miała Toma, a Caul Wujka.

Obiecał sobie, że nigdy więcej nie zawiedzie Wujka, choć jest

stary, ślepy i w głowie mu się miesza. Nawet jeśli w żaden sposób nie uda się uratować Grimsby przed zatonięciem.

Ale nie pozwoli, żeby jego przyjaciele poszli na dno wraz z nim.

– Chyba jesteś zmęczony, Wujku – powiedział łagodnie. Rzeczywiście tak było. Od jak dawna starzec siedział sam w tej sali, wpatrując się w ekrany ze zdradzieckim komunikatem z Brighton? Caul dotknął jego ręki. – Możesz już odpocząć, ja będę miał wszystko na oku.

Wujek poderwał głowę i spojrzał na niego z cieniem dawnej chytryści w oku.

– Chcesz mnie oszukać, Caulu? Mówisz to samo co Gargle. „Prześpij się trochę, kochany Wujku”, powtarzał. „Czas się zdrzemnąć, Wujku”. A kiedy się budziłem, zauważałem, że brakuje moich rzeczy, albo że chłopiec, do którego miałem zaufanie, nie żyje. Gargle zawsze twierdził, że to wypadki...

– Dlaczego się na to zgadzałeś? – spytał Caul.

Starzec wzruszył ramionami.

– Bo się go bałem. I byłem z niego dumny. Ależ on był bystry, ten Gargle. To ja go tak wychowałem. Był dla mnie jak syn. Lubię czasem myśleć, że gdybyśmy z Anną mieli synów, gdyby mnie nie wykiwała i nie odleciała tym swoim sterowcem samoróbką, to byliby tacy sprytni jak Gargle. Ale cieszę się, że go już nie ma, chłopcze. Cieszę się, że to właśnie ty ze mną jesteś.

Mamrocąc cicho do siebie, dał się Caulowi poprowadzić po stromych schodach do swojej sypialni. Małe silniki starego towarowego balonu wyły i klekotały, holując za nimi kulę ekranów. Wisiała tuż nad ich głowami, żeby Wujek mógł na

nie łatwo patrzeć. Nerwowo mrugał niedowidzącymi oczami, przenosząc wzrok z monitora na monitor. Drzwi do sypialni podwyższono i poszerzono, żeby kula mogła się w nie zmieścić.

– Muszę ich wszystkich pilnować, Caul – mruknął. – Nigdy nie wiadomo, co zmalują, jeśli się ich spuści z oka. Trzeba obserwować wszystkich. Wszędzie. I zawsze.

Pokój był niegdyś bogato urządzone, bo Zaginieni Chłopcy ściągali tu swoje wszystkie najpiękniejsze zdobycze, w hołdzie dla Wujka. Ale w miarę upływu lat Gargle przenosił co cenniejsze rzeczy do siebie, sztuka po sztuce. Zostało w nim tylko łóżko z wytartą kołdrą, stosy zapleśniałych książek i odwrócona do góry dnem skrzynka w roli nocnej szafki. Stała na niej argonowa lampa i wyblakłe zdjęcie pięknej, młodej kobiety w mundurze niewolnika z Archangielska.

– Zachowałem je, żeby nie zapomnieć o niczym – tłumaczył się Wujek, gdy spostrzegł, że Caul przygląda się zdjęciu. Pośpiesznie położył je odwrotną stroną do góry. – To moja Anna Fang. Ładna, co nie? Zrobili z niej teraz Łowczynię i mianowali dowódcą Zielonej Burzy. Rządzi połową świata, ma pod komendą sterowce i całe armie. Śledzę jej karierę. Gdzieś mam album z wycinkami. Gargle chciał robić z nią interesy, ale ja wiedziałem swoje. Przewidziałem, że będą z tego tylko kłopoty...

– Jakie interesy? – spytał Caul. Słyszał kiedyś o utraconej miłości Wujka, ale po raz pierwszy dowiadywał się, że Zaginieni Chłopcy próbowali handlować z kimś z zewnątrz.

– Czy to dlatego Gargle przyplłynął do Anchorage? Po to była mu potrzebna ta Cynowa Księga?

Wujek usiadł na łóżku. Kula ekranów zjechała w dół i zawisała mu nisko nad głową.

– Gargle przewidział, że będziemy mieli kłopoty. Kiedy zaginęły te pierwsze trzy pająkomobile powiedział: „Obawiam się, że mamy kłopoty”. Miał rację, co nie? Ale chyba nie spodziewał się, że wszystko pójdzie tak szybko. Myślał, że jeśli zdobędzie Cynową Księgę, odda ją Zielonej Burzy i w zamian poprosi o ochronę, żeby zniszczyli to miasto, które na nas poluje.

– Ale dlaczego szukali akurat tej Księgi?

– Kto wie? – Wujek wzruszył ramionami. – Kilka lat temu wysłali ekspedycję na poszukiwanie wraku Anchorage. Oczywiście nic nie znaleźli. Ale Gargle przeszmułował im na pokład krab-kamerę i dowiedział się, czego dokładnie szukali.

– Cynowej Księgi?

Wujek przytaknął.

– W dodatku to nie byli zwykli żołnierze Zielonej Burzy, tylko agenci specjalni, podlegający bezpośrednio Łowczyni. Więc Gargle pomyślał, że jeżeli jest gotowa wysłać statki pełne swoich fagasów na drugą półkulę, w środku wojny, tylko po to, żeby odnaleźć ten gadżet, to musi jej na nim bardzo zależeć. Potem przypomniał sobie, że widział coś w tym stylu, kiedy dawno temu obrabiał Anchorage, tylko że wtedy nie zwrócił na to szczególnej uwagi. – Pokręcił głową. – Mówiłem mu, że to się nie uda. Kazałem mu zostać tutaj. Ale młody Gargle już taki jest: jak coś sobie wbije do głowy, to nie sposób go powstrzymać. Pojechał, dał się zabić a potem to podstępne miasto wykradło mi wszystkich chłopców.

– Co to w końcu jest ta Cynowa Księga? – spytał Caul. –

Dlaczego jest taka cenna?

Wujek, który popłakiwał z żalu, wytarł nos w chusteczkę w kropki i spojrzał z ukosa na Caula.

– Nie wiem. Nigdy się nie dowiedzieliśmy. Gargle twierdził, że zawiera plany budowy jakiejś ogromnej łodzi podwodnej Starożytnych, która będzie dla nas ratunkiem, ale zdaje mi się, że to zmyślił. Po co moja nieszczęsna Anna chciałaby mieć łódź podwodną? Bez sensu. Moim zdaniem, to jakaś broń. I to potężna.

Schował chusteczkę i ziewnął.

– Dobrze, chłopcze. Dość gadania o przeszłości. Teraz trzeba się zająć przyszłością. Tworzyć plany. Zaczynać odbudowę. Trzeba będzie podwędzić sporo rzeczy. Całe szczęście, że przywiozłeś mi „Śrubodźdzownicę”, bo bardzo nam się tu przyda. I wciąż mam jeszcze starego „Naglfara”. Pamiętasz tę wiekową łajbę?

– Widziałem go w hangarze, kiedy przyplłynęliśmy – odpowiedział Caul.

Zauważył, że Wujek robi się śpiący. Pomógł mu się położyć i przykrył go podartą kołdrą pod brodę.

– Prześpij się, Wujku – powiedział. – Zaśnij, a kiedy się obudzisz, zabierzemy się do pracy.

Wujek uśmiechnął się do niego i zamknął oczy. Kula ekranów wisiała tuż nad jego poduszką. W katodowym blasku obrazów z kamer jego stara twarz wydawała się emanować jasnością, jak papierowa maska oświetlana od środka migotliwym światłem jego snów.

W kwaterze Gargle'a część dzieci też zapadła w sen. Reszta siedziała cicho, wpatrując się szeroko otwartymi, ufnymi oczami w Toma, który opowiadał im bajkę. Tę samą historyjkę zawsze opowiadał malutkiej Wren, kiedy budziła się w nocy ze strachu. Dzieci nie bały się jęków i dygotu umierającego miasta ani strumyczków wody spływających po ścianach. Przerazało je to, kiedy były same, ale teraz, kiedy przyszli do nich ci mili dorośli, wiedziały, że wszystko skończy się dobrze.

Hester nerwowo chodziła po pokoju, bez powodzenia szukając czegoś, co mogłaby wykorzystać jako broń albo do wyważenia solidnych zamków w drzwiach. Była tym coraz bardziej zirytowana.

– Nawet jeśli się stąd wydostaniesz, nie będziesz miała pojęcia, co robić dalej – napomniała ją cicho Freya. – Usiądź. Wystraszysz dzieci.

Hester spojrzała na nią gniewnie.

– Jak to nie będę miała pojęcia? Zejdę w dół, do hangaru i odpłyniemy na „Dżdżownicy”.

– Nie zmieścimy się do niej wszyscy. Nawet gdyby udało nam się stłoczyć dzieci w ładowni, nie starczyłoby nam ani powietrza, ani paliwa, żeby dopłynąć do Anchorage.

– Kto powiedział, że zabierzemy te dzieciaki? – spytała Hester. – Przyjechałam tu po Wren, a nie po tych małych dzikusów. Wren tu nie ma, więc popłyniemy do Brighton i tam będziemy jej szukać.

– Ale dzieci!... – wykrzyknęła Freya i szybko przerwała, żeby maluchy nie usłyszały jej słów i nie domyśliły się, co planuje Hester.

– Hester, jak mogłaś nawet pomyśleć coś takiego! Przecież

sama masz dziecko!

– Właśnie – odparła Hester. – Gdybyś też miała, wiedziałabyś, że z dziećmi są same kłopoty. A to nie są nawet normalne dzieci. Odgrywasz tu kochającą mamuszkę, ale to są Zaginieni Chłopcy. Nie możesz ich przecież zabrać do Anchorage. Co zamierzasz z nimi zrobić?

– Kochać je, oczywiście – odpowiedziała Freya.

– Och, tak samo jak Caula? To ci się udało, prawda? Te smarkacze najpierw was okradną, a potem pewnie pomordują. W głowie ci się poprzestawiało, Królowo Śniegu. Kiedyś poprosiłaś mnie, żebym pomogła ci bronić Anchorage. No cóż, będę go bronić i teraz. Postaram się, żebyś nie przywiozła do domu bandy złodziejasków w charakterze pamiątki z Grimsby.

Freya cofnęła się o krok, jakby nie mogła znieść bliskości Hester.

– Obawiam się, że Anchorage nie potrzebuje już tego rodzaju ochrony – odpowiedziała. – Kiedyś cieszyłam się z twojej obecności. Miałam nadzieję, że te wszystkie lata pokoju przyniosą wewnętrzny spokój również i tobie. Ale ty się wcale nie zmieniłaś.

Hester już miała jej odpowiedzieć, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł Caul. Wyładowała się na nim.

– Przyszedłeś naśmiewać się ze swoich więźniów?

Caul umknął spojrzeniem w bok.

– Nie jesteście więźniami – odpowiedział. – Po prostu nie chciałem, żeby komuś stała się krzywda. Nie chciałem też, żebyście zabrali stąd Wujka. On jest już stary. Umrze, jeśli będzie musiał opuścić Grimsby.

– Umrze, jeśli tu zostanie – odpowiedziała Hester. – Chyba, że jest naprawdę dobrym pływakiem.

Caul zbył ją milczeniem, zwracając się do Freyi i Toma.

– Właśnie zasnął. Jak dobrze pójdzie, będzie spał przez kilka godzin. Macie czas, żeby stąd odpłynąć.

– A ty? – spytała Freya.

Caul potrząsnął głową.

– Muszę tu zostać. Jestem dla niego wszystkim.

– On sobie na to nie zasłużył – mruknął Tom z urazą. – Wiesz przecież, że nie da rady odbudować tego miasta, prawda?

– Nic nie rozumiesz – odparł Caul. – Kiedy go zobaczyłem w takim stanie – starego, obłąkanego i takiego nieszczęśliwego... Dobrze wiem, że Grimsby wkrótce zatonie. Ale do niego to nie dociera. Jestem ostatnim z jego chłopców, Tom. Muszę z nim zostać do samego końca.

Freya już miała zacząć z nim dyskutować, kiedy wtrąciła się Hester:

– Świetnie. Tylko powiedz, jak my się mamy stąd zabrać?

Caul uśmiechnął się do niej, zadowolony, że wreszcie ktoś zapytał o konkrety.

– Na pokładzie „Naglfara”. To towarowa łódź podwodna, którą widzieliśmy w hangarze po przyjeździe. Jest stara, ale godna zaufania. Bez problemu dopłyniecie nią do Anchorage.

– To znaczy, że płyniesz z nami! – wykrzyknęła z ulgą Freya.
– Ja nie potrafię prowadzić łodzi podwodnej... to znaczy sterować nią, czy jak tam się mówi.

– Tom z Hester ci pomogą.

– Tom z Hester wezmą „Śrubodźdzownicę” i popłyną do Brighton – poprawiła go Hester.

– Nie – sprostował Caul. – Musicie popłynąć z Freyą. Ja muszę zostać z Wujkiem. Pomogę wam zatankować i zaprowiantować „Naglfara”. Zawieziecie ją do Anchorage a potem, kiedy ona i dzieci będą bezpieczni, popłyniecie do Brighton, żeby odnaleźć Wren.

I tak, po raz ostatni w historii Grimsby, w hangarze pająkomobili zawrzała praca przy wyposażeniu łodzi podwodnej do rejsu. „Naglfar” był zardzewiałą, pociętą starą wanną, ale Caul zapewnił ich, że się nada, i że wszystkie dzieci zmieszczą się w jego obszernej ładowni. Nie podzielił się natomiast innymi informacjami na jego temat. Wujek ukradł tę łódź podwodną wiele lat temu padliniarzom z lodowych połaci i tylko dzięki niej zbudował swoje podwodne imperium. Nie powiedział też, skąd się wzięła jej nazwa. W legendach Północy „Naglfar” był statkiem zbudowanym z paznokci nieboszczyków, na którym bogowie mieli popłynąć na bój w dniu końca świata. Nie chciał straszyć dzieci.

Tom z Caulem skupili się na sprawdzaniu wiekowych silników, Hester zajęła się tankowaniem, a Freya zabrała starsze dzieci, żeby zaprowadziły ją do magazynów żywności. Wrócili stamtąd, niosąc naręcza jedzenia na podróż do Winlandii.

Ze wszystkim trzeba było się spieszyć. Jęki i zgrzyty naprężonego metalu rozlegały się echem w korytarzach budynku, bo płyty kadłuba nadwyrężone głębinowymi bombami Brighton powoli przemieszczały się, ulegając ciśnieniu morskiej wody. Drzwi przegród zamykały się

automatycznie, odcinając zalane wodą sekcje.

Wszyscy pamiętali, że Wujek w dalszym ciągu śni swoje szalone wizje w sali na górze. Chyba spał głęboko, przynajmniej w tej chwili. Kiedy Tom otworzył luki „Naglfara” i spojrzął na tonący w cieniu dach hangaru, nie dostrzegł tam żadnych poruszających się kamer.

Na moment oparł się o pokrywę luku, zadowolony, że jest taka zimna, bo w maszynowni łodzi zrobiło mu się gorąco i duszno. Zbyt ciężko pracował i zamartwiał się o Wren, więc stara rana odezwała się znowu. Ostre, przenikliwe ukłucia sprawiały wrażenie, jakby w sercu miał pełno szkła. Ciekaw był, czy to zapowiedź śmierci. Nie obawiał się jej, ale bał się, że odejdzie, zanim odnajdzie Wren.

Wziął się w garść i zaczął się martwić o Caula zamiast o siebie.

Wysiadł z łodzi i natknął się na Hester stojącą przy doku.

– Co zrobimy z Caulem? – spytał szeptem, odciągając ją na bok. – W dalszym ciągu upiera się, że tu zostanie. Zapomniał, że kiedyś Wujek chciał się go pozbyć?

Hester potrząsnęła głową.

– Nie zapomniał – odpowiedziała. – Moim zdaniem, nie chodzi o to, że on chce tu zostać. On po prostu kocha Wujka.

– Ale Wujek o mało co go nie zabił!

– To nic nie zmienia – odparła. – Wujek jest dla Caula najbliższym odpowiednikiem matki albo ojca. Przecież każdy kocha swoich rodziców. Może nie zawsze zdaje sobie z tego sprawę, może jednocześnie ich nienawidzić, ale z tą nienawiścią zawsze jest przemieszana odrobina miłości, która... strasznie wszystko komplikuje.

Zamilkła, niezdolna to lepiej wytłumaczyć. Pomyślała o swoim trudnym uczuciu do zmarłego ojca i zaginionego dziecka. Przykro jej się zrobiło, że Wren nie kocha jej tak jak Caul Wujka.

– Freya powiedziała mi, że Caul każdej nocy śni o tym miejscu – dodał Tom. – Słyszysz we śnie głos Wujka, który szepce do niego tak jak niegdyś w dzieciństwie. Dlaczego Wujek do nich mówił przez te głośniki, nawet kiedy spali?

– Może to była jakaś technika prania mózgow – zasugerowała Hester.

– Też mi się tak wydaje – zgodził się Tom. – Zakładał jakiś hak w ich umysłach, żeby zawsze móc ściągnąć ich do Grimsby, choćby nie wiem jak daleko uciekli i pragnęli o nim zapomnieć.

– Rzucimy się na Caula, znokautujemy go i zabierzemy ze sobą. Na morzu odzyska rozum.

– Może i tak – odpowiedział Tom. – Może, kiedy tego miejsca już nie będzie, a Wujek zginie, Caul będzie mógł wreszcie o nim zapomnieć.

Z kiosku⁵ „Naglfara” rozległ się przenikliwy dziecięcy pisk.

– Kamery! – wykrzyknął chłopiec zwany Węgorzem, którego Freya postawiła na warcie, bo był za mały do innych prac. – Kamery się ruszyły!

Tom i Hester podnieśli wzrok. Nad nimi krab-kamery przebiegały pajęczym truchtem po zardzewiałych ramionach portowych żurawi, przepychając się, by wycelować obiektywy w komorę, w której kołysał się „Naglfar”.

– Staruszek się obudził – stwierdził Caul, wychylając się z przedniego luku łodzi podwodnej. Zszedł na nabrzeże. Freya

trzymała się tuż za nim.

– No i co z tego? – spytała Hester. – Nie da rady przeszkodzić nam w odjeździe.

– Kto tu mówi o odjeździe? – spytał chropowaty głos Wujka.
– Nikt stąd nie odjedzie.

Kuśtykał ku nim między pustymi powietrznymi komorami. Rewolwer Hester wydawał się ogromny w jego suchej jak pergamin, dygocącej dłoni. Nad jego głową wisiał podniszczony balon jak zapleśniały dymek z komiksu, a kula ekranów poniżej migotała obrazami z krab-kamer.

Z trudem uniósł rewolwer i pociągnął za spust. Kula z brzękiem odbiła się od kiosku „Naglfara”. Dźwięk obudził echo między szarymi dźwigami portowymi. Jakby w odpowiedzi przeciążona przegroda na górnym piętrze wydała długie stęknienie jak wielkie zwierzę, konające długo i boleśnie z powodu niestrawności.

Wujek nie zwrócił na to żadnej uwagi.

– Wujek zawsze wie najlepiej! – wykrzyknął przenikliwie. – Zostańcie ze mną, pomóżcie odbudować Grimsby, a sownie was nagrodzę. Spróbujcie ucieczki, a przepłyniecie przez miejską służę jako pokarm dla rybek.

Dzieci krzyknęły ze strachu. Hester zasłoniła sobą Toma. Caul podbiegł do starca.

– Wujku, obawiam się, że Grimsby jest zniszczone bardziej, niż myśleliśmy.

– I co z tego? – odparł Wujek, spoglądając na jego powiększony obraz na jednym ze swoich monitorów. – Co z tego? Kiedy zaczynałem, było w jeszcze gorszym stanie.

– Panie Kael – wtrąciła cicho Freya. – Stilton?

Podeszła ku nim. Krab-kamery gorączkowo przesuwały się po dźwigach nad jej głową, przesyłając na ekrany zbliżenie jej twarzy. Caul próbował ją zatrzymać, ale odsunęła go i wyciągnęła rękę do Wujka.

– Caul ma rację – powiedziała. – To już koniec Grimsby. Wspaniałego, odważnego projektu. Cieszę się, że miałam okazję je obejrzeć, ale musimy je opuścić. Możesz jechać z nami, do Anchorage. Nie chciałbyś znowu poodychać świeżym powietrzem i zobaczyć słońce?

– Słońce? – zapytał Wujek, a jego oczy niespodziewanie zaszyły łzami. Od bardzo dawna nikt nie był dla niego miły. Od bardzo dawna nikt nie nazywał go „Stilton”. Freya wyciągnęła do niego rękę. Spojrzał na rozkołysaną kulę ekranów, na jej dobre, białe dłonie wzniesione nad jego głową jak skrzydła.

– Miałbym zostawić Grimsby? – zapytał miękko, jakby się zastanawiał. Krab-kamery zatrzeszczały, robiąc zbliżenia. Po chwili na każdym ekranie była Freya albo fragment jej twarzy, oczu, ust, miękka krzywizna policzka, albo dłonie: nadnaturalnej wielkości, jak części zestawu do samodzielnego montażu, z którego można zrobić sobie własną boginię. Wujek zapragnął ująć te dobre ręce, odejść z nią w świat i przed śmiercią znowu zobaczyć słońce. Postąpił pół kroku w jej stronę. Ale wtedy przypomniał sobie Annę Fang i jej zdradę.

– Nie! – krzyknął. – Odmawiam! To podstęp!

Wymierzył w nią rewolwer i pociągnął za spust. Od huków zatrzęsły się ściany hangaru, a wszystkie dzieci zaczęły krzyczeć ze strachu i zatykać sobie uszy. Kula przeszła uśmiechniętą twarz Freyi, która rozprysnęła się na kawałki. Za nią była ciemność i iskry. Kiedy obsypał go deszcz okruchów

szkła, do Wujka zaczęło docierać, że nie zastrzelił Freyi, tylko jej obraz na największym monitorze. Zaczął się rozglądać za prawdziwą, ale Caul odciągnął ją na bok i zasłonił sobą, a Wujek nie chciał zabić Caula.

Gdzieś z góry rozległo się długie, niepokojące westchnienie. Ciężki rewolwer wypadł mu z dłoni. Spojrzał do góry. Podobnie jak wszyscy, nawet przerażone dzieci. Westchnienie stawało się coraz głośniejsze i Wujek zrozumiał, że strzelając, przebił balon utrzymujący pod sklepieniem księżyc złożony z monitorów. Patrzył z przerażeniem, jak otwór błyskawicznie zmienia się w długie pęknięcie, przypominające rozwartą paszczę.

– Wujku! – krzyknął Caul.

– Caul! – zawtórowała Freya, i z całej siły chwyciła Caula, odciągając go w tył.

– Anno... wyszeptał Wujek.

I wtedy kula ekranów spadła na niego jak but rozgniatający pająka. Monitory eksplodowały, strzelając niebiesko-białymi iskrami. Rozbite szkło rozprysnęło się po pokładzie. Balon opadł i przykrył zniszczenia jak całun. Kiedy dym ze zniszczonych urządzeń dotarł do sufitu, włączył się system spryskiwaczy, zalewając hangar pająkomobili zimnym, słonym deszczem.

Tom podbiegł do Freyi i objął jej drżące ramiona, pytając:

– Wszystko w porządku?

– Chyba tak – odpowiedziała. Skinęła głową, przemoczona doszczętnie i kichnęła od dymu.

– Czy Wujek...

Caul przeskoczył stos dymiących, strzelających iskrami

ekranów. Spod stosu złomu sterczały tylko stopy Wujka w brudnych kapciach z króliczkami. Zadrzały kilka razy i znieruchomiały.

– Caul? – spytała Freya.

– Nic mi nie jest – odpowiedział. Mówił prawdę, choć nie wiedzieć czemu nie mógł powstrzymać łez. Zasłonił kapcie kawałkiem płachty pozostałej po balonie i odwrócił się do pozostałych.

– Do roboty – powiedział. – Trzeba uruchomić „Naglfara” zanim to miejsce się w końcu rozpadnie. „Dżdżownicę”, też. Będzie potrzebna Tomowi i Hester, jeśli chcą wyruszyć na poszukiwanie Wren.

Teraz praca potoczyła się sprawnie. Grimsby bez przerwy skrzypiało i stękało. Od czasu do czasu woda w komorach próżniowych marszczyła się złowroźnie, jakby to niesamowite miasto jakimś cudem zrozumiało, że jego twórca nie żyje, i umierało razem z nim.

Szybko zakończyli tankowanie, załadowali akumulatory, wtoczyli baryłki z wodą do ładowni „Dżdżownicy” i „Naglfara”. Hester przeszukała częściowo zalany skarbiec i zabrała kilka garści złotych monet, bo uznała że w Brighton pieniądze mogą im się bardzo przydać. A kiedy nikt nie patrzył, pogrzebała między monitorami i wyciągnęła swoją *Schadenfreude*, którą Wujek wciąż zaciskał w martwej dłoni. Była pewna, że broń jej się przyda.

Na pomoście Tom objął Freyę.

– Powodzenia – powiedział.

– Tobie też – odpowiedziała z uśmiechem, ujmując jego twarz w dłonie. Zarumieniła się i zawahała. Chciała w jakiś sposób ostrzec Toma przed jego własną żoną. Nawet się nie domyślała, jaka Hester potrafi być bezwzględna. Freya wiedziała, że Hester go kocha, ale nikt poza Tomem się dla niej nie liczy. Obawiała się, że z powodu tej bezwzględności oboje mogą mieć kiedyś kłopoty.

– Tom – szepnęła w końcu. – Uważaj na Hester, dobrze?

Nie zrozumiał, o co jej chodzi.

– Oboje będziemy na siebie uważać, jak zawsze – odpowiedział.

Poddała się i pocałowała go.

– Znajdziecie Wren. Jestem tego pewna.

Skinął głową.

– Ja też. Odnajdę też Cynową Księgę, jeśli tylko się da. Jeśli Wujek powiedział Caulowi prawdę, jeśli Zielona Burza wydała wojnę miastom... Poznałem ich dobrze, gdy byłem w Gnieździe Szerszeni, Freyo. Jeżeli ta książka jest kluczem do jakiegoś zagrożenia, nie może wpaść w ich łapy.

– Nie wiemy tego na pewno – przypomniała mu spokojnie. – Oczywiście, że lepiej byłoby ją odzyskać, choćby dla naszego spokoju. Ale najważniejsza jest Wren. Znajdź ją, Tom. I wróćcie bezpiecznie do Winlandii.

Po tym pożegnaniu Tom z Hester wsiedli do „Śrubodźdzownicy”, a Freya machała im, patrząc, jak pająkomobil się zanurza. Stali z Caulem na skraju komory powietrznej, aż zniknęły ostatnie zmarszczki na wodzie. Wszystkie dzieci były już w ładowni „Naglfara”; z otwartych luków dochodziły ich cienkie, zdenerwowane głosiki.

- Kiedy ruszamy?
 - Jak daleko jest Anchorage?
 - Naprawdę będziemy tam mieli własne pokoje, wszystkie rzeczy i w ogóle?
 - Czy Wujek naprawdę zmarł?
 - Niedobrze mi!
- Freya wzięła Caula za rękę.
- I co teraz? – spytała.
 - Chodź – odpowiedział. – Wracajmy do domu.

Odpłynęli, i Grimsby wreszcie opustoszało. Po kilku dniach zgasło nawet mętne światło w oknach. Pompy powietrza przestały działać. Pęknięcia i szpary, których nikt nie łątał, coraz bardziej się powiększały, cierpliwe morze powoli wnikało do środka, a w salach Zaginionych Chłopców zamieszkały ryby.

Tomowi brakowało towarzystwa Freyi, a nawet Caula. Za to Hester odczuwała wielką ulgę, gdy została z nim sama. Szczerze mówiąc, tylko w jego towarzystwie czuła się odprężona, poza Wren, kiedy była jeszcze mała. Patrzyła z zachwytem, jak manewrował dziwacznymi urządzeniami na pulpicie sterowniczym i w skupieniu marszczył brwi, przypominając sobie, czego uczył go Caul. Tej nocy, gdy pająkomobil spokojnie płynął na południowy zachód, ku wodom uczęszczanym przez Brighton, a woda śpiewała, ocierając się o kadłub, ułożyła się przy nim na koi, otoczyła go długimi nogami i pocałowała, przypominając sobie czasy, kiedy byli młodzi i godzinami całowali się na pokładzie „Jenny

Haniver”, gdy byli sami. Ale Tom za bardzo martwił się o Wren, żeby namiętnie odpowiadać na pocałunki żony. Kiedy cmoknął ją zdawkowo i zachrapał, długo leżała, nie mogąc zasnąć. Kocha ją bardziej niż mnie, myślała z goryczą.

19. ŚLUBNY WIANEK

Pierwszy przymrozek dotarł do Winlandii na długo przed „Naglfarem”. Silniki wiekowej łodzi podwodnej, przeciążonej ilością pasażerów, narzekały przez całą drogę. Potrzebowała kilku tygodni, by dotrzeć do Martwego Kontynentu i dopłynąć do jeziora siecią krętych rzek, którymi przedtem „Śrubodźdżownica” dotarła na ocean. Ale Caul jakimś cudem przekonał ją, by dowiozła ich do Anchorage i w końcu wynurzyła się przy rybackiej plaży, rozbijając cienką powłokę lodu. Freya wychyliła się z luku, machając ręką, i o mało co znowu nie zginęła od strzału – tym razem z ręki pana Smew, który uznał, że to inwazja Zaginionych Chłopców.

W pewnym sensie miał rację. Anchorage zmieniło się nie do poznania, od kiedy zamieszkały tam łobuzerskie, niewychowane dzieci – niektóre z poważnymi problemami. Freya otworzyła dla nich nieużywane, górne piętra Pałacu Zimowego. Stary budynek zatętnił życiem i hałasem, gdy dzieci wprowadziły się do swoich pokoi. Niektórym trudno było zrozumieć, że nie wolno kraść, inne miały koszmary senne i wołały w nocy Wujka i Gargle’a, ale Freya była przekonana, że cierpliwością i miłością pomoże im zapomnieć o życiu na dnie morza, i że wyrosną na zdrowych, szczęśliwych Winlandczyków.

Przecież w końcu udało jej się to osiągnąć z Caulem. Nikomu

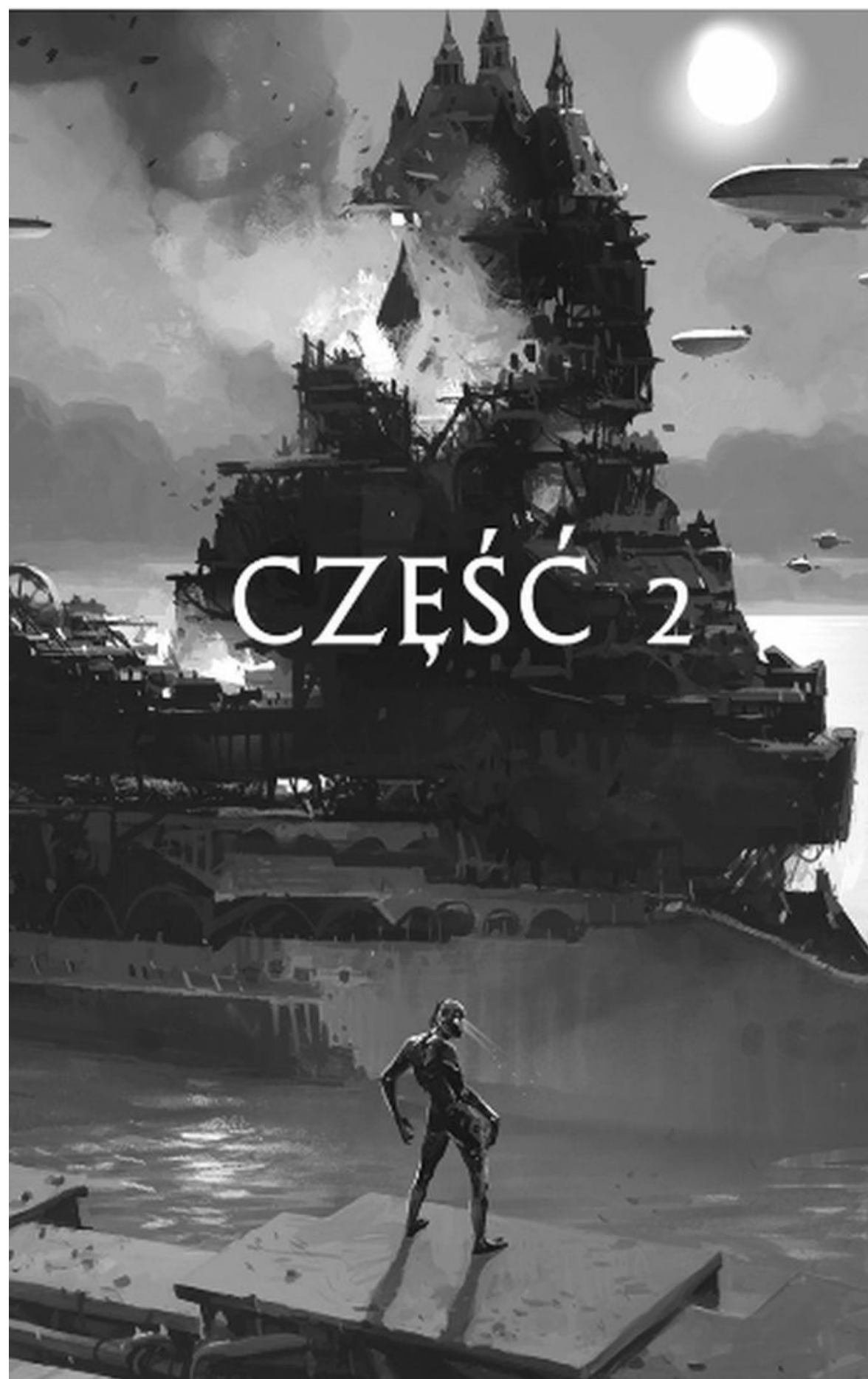
się nie przyznała, co zaszło między nimi podczas powrotnej podróży, ale dawny Zaginiony Chłopiec nigdy już nie wrócił na poziom techniczny. A na początku listopada, kiedy zwieziono już zbiory i spędzono bydło z pastwisk, a miasto było gotowe na przyjęcie zimy, odbył się jego ślub z margrabiną.

Następnego dnia po ślubie Freya obudziła się wcześnie rano o piątej, tak jak w czasach, gdy była młoda. Ostrożnie wstała z łóżka, żeby nie budzić Caula i podeszła do okna komnaty, czując pod stopami chłód podłogi. We włosach wciąż miała resztki ślubnego wianka.

Kiedy odsunęła zasłony, zobaczyła, że jezioro pokryło się grubym lodem, a w nocy przysypał je śnieg. Ucieszyła się, że jej miasto na następne pół roku powróciło pod władanie Bogów Lodu. Owszem, bogowie lata, polowania i jeziora byli dobrzy dla jej ludzi, a bogowie morza i bogini miłości obdarzyli ją szczególną łaską, ale Bogom Lodu oddawała cześć przez całe dzieciństwo i młodość, więc ufała im bardziej niż pozostałym. Chuchnęła na okno, narysowała na osiadłej tam mgiele symbol płatka śniegu i szepnęła:

– Strzeżcie Toma. Hester także, choć na to nie zasługuje. Doprowadźcie ich do Wren, gdziekolwiek jest. I niech wszyscy wrócą do nas, do domu, bezpiecznie i szczęśliwie.

Nawet jeśli Bogowie Lodu usłyszeli jej modlitwę, nie zesłali żadnego znaku. Jedyłą odpowiedzią było wycie wiatru między wieżami Pałacu Zimowego i cichy, senny głos jej męża, który wołał ją z powrotem do łóżka.



CZĘŚĆ 2

20. ŻYCIE NA FALACH OCEANU

Pennyroyal, kochanie?

– Mmmmm?

Był poranek. Burmistrz z burmistrzową siedzieli w Pawilonie po przeciwnych końcach długiego stołu w pokoju śniadaniowym. Muślinowe firanki chroniły ich od słonecznego gorąca. Za krzesłem burmistrzowej afrykański niewolnik powoli poruszał wachlarzem ze strusich piór. Powiew chłodził ją mile i szeleścił stronami gazety, którą jej mąż próbował czytać.

– Pennyroyal, mówiłam do ciebie.

Nimrod Pennyroyal westchnął i odłożył gazetę.

– Tak, Boo-Boo? Czego sobie życzysz, skarbie?

Jest prawdą powszechnie znaną, że fałszywemu a bogatemu odkrywcy brak do szczęścia tylko żony⁶, więc Pennyroyal wziął sobie na głowę niejaką Boo-Boo Heckmondwyke. Piętnaście lat temu, gdy *Złoto drapieży* znajdowało się na szczycie list bestsellerów wszystkich miast na Terenie Polowań, wydawała mu się dobrą partią. Jej rodzina pochodziła ze starej, lecz zubożalej brightońskiej arystokracji, a Pennyroyal był jedynie łowcą przygód, ale za to miał pieniądze. Związek ten pozwolił Heckmondwykem odbudować rodowe fortuny, a Pennyroyalowi dał status społeczny potrzebny do wyboru na burmistrza. Boo-Boo była idealną

żoną dla ambitnego męża. Świetnie potrafiła prowadzić salonową konwersację i układać kwiaty, z wojskową precyzją planowała prozowane kolacje i mistrzowsko pełniła swoją rolę na uroczystych otwarciach, galach i w małych szpitalikach.

A jednak Pennyroyal z czasem zaczął żałować tego małżeństwa. Boo-Boo była tak dużą, mocną, rozbuchaną kobietą, że już samo przebywanie z nią w jednym pokoju go męczyło. W dodatku miała pasję – amatorski śpiew operowy, a szczególnie zachwycały ją opery Kultury Błękitnego Metalu, które trwały całymi dniami, były przeciwieństwem muzyki wpadającej w ucho i w ostatnim akcie wszystkie postaci padały w nich trupem. Kiedy Pennyroyal zirytował ją pytaniami o cenę sukni, którą właśnie kupiła, albo gdy przy kolacji zbyt otwarcie flirtował z jakąś żoną radnego, zaczynała ćwiczyć gamy, aż szyby w oknach dzwoniły, albo podkręcała gramofon na pełną moc i uszczęśliwiała domowników sześciusetwersową *Arią Harpunnika z Diany, Księżniczki Wielorybów*.

– Masz słuchać, kiedy do ciebie mówię, Pennyroyal – upomniała go przed chwilą, ze złowróżbną miną odkładając croissanta na talerz.

– Naturalnie, kochanie. Czytałem właśnie najnowsze doniesienia wojenne w „Palimpseście”. Bardzo dobre wieści z frontu. Można być dumnym z przynależności do Ligi Mobilistów, prawda?

– Pennyroyal!

– Tak, najdroższa?

– Przeglądałam zaproszenia na bal, który wydajemy z okazji Festiwalu Księżycowego, i od razu rzuciło mi się w oczy, że

zaprosiłeś Skrzydlate Fretki.

Pennyroyal wzruszył – ale nie ramionami, tylko całym ciałem.

– Nie jestem przekonana, czy powinniśmy przyjmować najemników, Nimrodzie.

– Ale ja już zaprosiłem ich komendantkę, Orłę Twombley – zaprotestował Pennyroyal. – Zdaje się, że powiedziałem, że może zabrać parę koleżanek, jeśli chce. Nie chciałbym, żeby się czuła nieswojo, rozumiesz... To sławna pilotka. Jej sterowiec „Bojowy Wombat” stracił trzy myśliwce w bitwie nad Zatoką Bengalską.

Przy tych słowach w umyśle Pennyroyala pojawiła się wizja kobiety lotniczego asa, szczupłej i niezmiernie pociągającej, odzianej w kombinezon z różowej skóry. Zawsze chlubił się swoją popularnością wśród dam (tu od razu przychodziły mu na myśl Minty Bapsnack, Peaches Zanzibar i cała damska drużyna krokieta z Traktiongradu Smolensk). Miał nadzieję, że na tej liście znajdzie się wkrótce oszałamiająca Orla Twombley.

– Ładna jest, prawda? – spytała lodowato Boo-Boo.

Speszony Pennyroyal poprawił się na krześle.

– Trudno mi powiedzieć. Nie przyglądałem się jej... – mamrotał. Nienawidził takich scen. Gniewne, podejrzliwe spojrzenie Boo-Boo każdemu odebrałoby apetyt, pomyślał. Na szczęście przed dalszym śledztwem uratował go jeden z domowych niewolników, który otworzył drzwi i zaanonsował:

– Pan Ploverzy chce się widzieć z Waszą Ekscelencją.

– Doskonale! – wykrzyknął Pennyroyal i z wdzięcznością skoczył ku swemu zbawcy, by go powitać. – Ploverzy! Drogi

przyjacielu! Jak miło cię widzieć!

Walter Plover, handlarz antyków mający sklepik w jednym z podlegszych kwartałów dzielnicy Laines, był doradcą burmistrza w sprawach artefaktów i pomógł Pennyroyalowi uzyskać sporą fortunę z potajemnej sprzedaży eksponatów z brightońskiego muzeum. Twarz tego niewysokiego, nerwowego człowieczka sprawiała wrażenie, jakby ktoś ją ulepił z ciasta i zapomniał wsadzić do pieca. Wylewne powitanie Pennyroyala wyraźnie go zaskoczyło. Ludzie rzadko cieszyli się z jego widoku. Z drugiej strony rzecz biorąc, rzadko ich odwiedzał w chwili, gdy burmistrzowa Pennyroyal dręczyła ich pytaniami o urocze pilotki.

– Przeprowadziłem poszukiwania dotyczące przedmiotu, który Wasza Ekscelencja mi ostatnio pokazywał – powiedział, przysuwając się do Pennyroyala. Spojrzał niepewnie na Boo-Boo. – Czy Wasza Ekscelencja sobie przypomina?

– Och, dyskrecja jest zbędna, Plover – odparł Pennyroyal. – Boo-Boo wszystko wie. Nieprawdaż, mój ty przewrócony torciku? Mówimy o tej metalowej księdze, którą wycygałem od naszego Shkina w zeszłym tygodniu. Kazałem Ploveremu, żeby jej się przyjrzał, i powiedział, co myśli.

Boo-Boo uśmiechnęła się niewyraźnie i sięgnęła po gazetę, otwierając ją na rubryce towarzyskiej.

– Proszę o wybaczenie, panie Plover. – Te wszystkie rozmowy o artefaktach tak strasznie mnie nudzą...

Plover skinął głową w jej stronę i z powrotem zwrócił się do Pennyroyala.

– Czy Wasza Ekscelencja wciąż ma ten przedmiot?

– Wsadziłem go do sejfów w biurze – odpowiedział

Pennyroyal. – Czemu pan pyta? Czy ta rzecz jest coś warta?

– Bardzo możliwe – odparł ostrożnie Plover.

– Zaginionej Dziewczynie, która z nią tu przyjechała, zdaje się, że to ma coś wspólnego z łodziami podwodnymi.

Pan Plover zaśmiał się układnie.

– Skądże znowu, Wasza Ekscelencjo. Ta mała z pewnością nie ma pojęcia o językach maszynowych Starożytnych.

– O językach maszynowych?

– To kody używane przez naszych przodków do porozumiewania się z ich komputerowymi mózgami. Nigdzie w archiwach nie mogłem natrafić na wzorzec tego konkretnego języka. Przypomina jednak niektóre zachowane fragmenty amerykańskiego kodu wojskowego.

– Amerykańskiego, tak? – powtórzył Pennyroyal. – Wojskowego... – dodał z jeszcze większym namysłem.

To powinno być warte niezły grosz. Wojna ciągnęła się od czternastu lat. Ludzie byli zdesperowani. Ośrodki badawczo-rozwojowe wielkich miast zapłacą fortunę nawet za poszlakę prowadzącą do superbroni.

Twarz Plover'ego z lekka poróżowiała, gdy wyobraził sobie swój procent od sprzedaży takiej fortuny.

– Czy Wasza Ekscelencja chciałby, żebym zajął się sprzedażą? Mam kontakty w Wolnych Mobilnych Miastach...

Pennyroyal pokręcił głową.

– Nie, Plover, sam się tym zajmę. Nie ma sensu za nic się brać przed końcem Festiwalu Księżycowego. Wsadzę tę księgę z powrotem do sejfu, niech tam poczeka, aż skończy się święto. Potem skontaktuję się z paroma osobami. Znam pewną archeolożkę, uroczą młodą damę imieniem Cruwys Morchard;

często zatrzymuje się w Brighton jesienią i zawsze rozgląda się za niezwykłymi urządzeniami z czasów starożytnych. Nie będę cię fatygował, Plover, chyba samemu uda mi się sprzedać tę rzecz.

Odesłał rozczarowanego handlarza za drzwi i usiadł, by dokończyć śniadanie – ale zamiast tego zobaczył przed nosem stronicę z „Palimpsesta”, którą podsuwała mu żona. Na pierwszej stronie rubryki towarzyskiej było wielkie zdjęcie jego samego, jak wchodzi do kasyna w Laines, wspierając się na ramieniu Orli Twombley, która wyglądała jak prawdziwa bogini. O wiele lepiej, niż mu się wtedy wydawało.

– No cóż... – bąknął. – Ja tam nie nazwałbym jej ładną...

– Biedna Boo-Boo! – powiedziała Wren, stojąc niezauważona na galerii wysoko nad pokojem śniadaniowym w towarzystwie swojej nowej przyjaciółki Cynthii Twite. Z wysoka nie udało jej się podsłuchać rozmowy Pennyroyala z Ploverem, ale dotarło do niej kaździutkie słowo wymiany zdań na temat Orli Twombley.

– Nie wiem, jak ona to wytrzymuje...

– Co takiego? – spytała niewinnie Cynthia.

– Nie słyszałaś? Boo-Boo podejrzewa, że on ma romansik z Orlą Twombley!

– Co to jest romansik? Jakieś zwierzątko? – spytała Cynthia, marszcząc brwi.

Wren westchnęła. Cynthia była bardzo słodka, bardzo śliczna i równie głupia. Służyła w Pawilonie od kilku lat. Po przybyciu Wren pani Pennyroyal kazała jej zaprzyjaźnić się z

nową niewolnicą i zaznajomić ją ze wszystkim. Wren cieszyła się z jej towarzystwa, ale miała wrażenie, że po kilku dniach więcej wiedziała o życiu w Pawilonie, niż Cynthia dowie się przez całe życie.

– Boo-Boo myśli, że Pennyroyal podkocha się w pannie Twombley – wyjaśniła cierpliwie.

– Och! – Cynthia była zgorzona. – Biedna nasza pani! Jak mężczyzna w jego wieku może narzucać się takim zmysłowym pilotkom!

– Mogłabym ci o nim opowiedzieć o wiele grosze rzeczy – szepnęła Wren, ale zaraz przerwała, bo przypomniała sobie, że nie wolno jej tego robić.

Wszyscy w Siódmym Niebie myśleli, że Wren jest Zaginioną Dziewczynką, która wie o Pennyroyalu tylko to, co napisał w tych swoich głupich książkach.

– Jakie? – spytała zaintrygowana Cynthia. – Na przykład co?

– Powiem ci innym razem – obiecała Wren, spokojna, że Cynthia zaraz o tym zapomni. Żeby zmienić temat, spytała:

– Kim jest ten chłopiec za krzesłem Boo-Boo? Ten z wachlarzem. Zawsze jest taki smutny.

– To nowy, tak jak ty – odpowiedziała Cynthia z ożywieniem. – Jest tu od paru tygodni. Nazywa się Theo Ngoni i był pilotem Zielonej Burzy! Złapali go po wielkiej bitwie gdzieś tam, a potem Pennyroyal kupił go Boo-Boo w prezencie urodzinowym. Podobno niewolnicy z Ligi Antymobilistów są strasznie w modzie, ale moim zdaniem to niebezpiecznie. Przecież on może nas wszystkich pomordować we śnie! Spójrz tylko na niego! Wygląda podejrzanie, prawda?

Wren przyjrzała mu się uważnie, ale nie wydał jej się

podejrzany. Był mniej więcej w jej wieku, o wiele za młody na żołnierza. To musi być dla niego straszne, że go wzięli do niewoli, i cały dzień musi wachlować Pennyroyalów, zamiast wrócić do domu! Nic dziwnego, że jest taki smutny. Wren zrobiło się go żal i po chwili rozżaliła się też nad samą sobą. A potem przypomniała sobie, że musi szukać jakiegoś sposobu ucieczki.

Przez kilka pierwszych dni Pennyroyal szczególnie interesował się Wren, nazywając ją „moją wierną czytelniczką z morskich głębin”. Pożyczył jej nawet swoją najnowszą książkę – historię wojny z Zieloną Burzą. Ale wkrótce o niej zapomniał. Stała się wtedy jedną z wielu niewolnic jego żony.

To nowe życie było proste. Wstawała codziennie o siódmej, jadła śniadanie i wraz z pozostałymi dziewczętami szła do sypialni pani Pennyroyal, żeby ją obudzić, pomóc jej się ubrać i spędzić długie godziny nad jej wymyślną, kosztowną fryzurą, która nieraz bywała niemal na metr wysoka. Kiedy burmistrz rano wychodził do ratusza, jego żona zażywała długich, leniwych kąpielei w basenie. Po południu, gdy Pennyroyal wracał do domu zawiany z czegoś, co określał jako „biznesowy lunch”, Boo-Boo czasem zjeżdżała kolejką do Brighton i składała wizyty znajomym albo uświetniała otwarcie różnych instytucji. Ale nie zabierała wtedy ze sobą żadnej z ładnych podręcznych, tylko kilku niewolników do noszenia zakupów.

O ósmej wieczór podawano kolację, na którą zwykle zapraszano licznych gości. Wren i inne niewolnice uwijały się, podając pieczone łabędzie, steki z rekina, zapiekanki z

owocami morza i ogromne desery z galaretką. Potem należało pomóc pani Pennyroyal przy kąpeli i przebrać ją do snu. Kiedy się położyła, niewolnice mogły wreszcie pójść do swoich własnych łóżek w sypialni na parterze.

Czasem praca była ciężka, ale kiedy Wren nie musiała zajmować się burmistrzową, mogła robić wszystko, co jej się spodobało. Przez pierwsze tygodnie najbardziej podobało jej się zwiedzanie Pawilonu i jego otoczenia z Cynthią Twite.

Pałac Pennyroyala był istnym skarbcem pełnym cudów. Uwielbiała spacerować po cienistych ścieżkach ogrodów, odwiedzać altany, skomplikowany labirynt z misternie strzyżonego żywopłotu, zagajniki cyprysów i kapliczki starożytnych bogów. Czasami, gdy Brighton dotarło na południowe wody i kąpało się w złocistym, jesiennym blasku słońca, stawała przy balustradzie na skraju ogrodu i spoglądała w dół, na białe miasto poniżej, na lśniące morze, mewy krążące dokoła, na sterowce i chorągwie powiewające na wietrze. Wydawało jej się wtedy, że warto było cierpieć porwanie i niewolnictwo, żeby móc oglądać coś tak pięknego.

Jednak, w miarę upływu tygodni coraz bardziej tęskniła za rodzicami. Wiedziała, że musi uciec z Siódmego Nieba. Ale jak? Na powietrznej platformie nie lądowały żadne sterowce. Na zewnątrz można było się wydostać tylko kolejką linową, która była pilnie strzeżona przez gwardię w czerwonych kurtkach. Zresztą, nawet gdyby się wydostała na dół, co by jej to dało? Nosila piętno Korporacji Shkin, więc gdyby próbowała wsiąść na jakikolwiek statek powietrzny, zostałaby zatrzymana jako uciekinierka i trafiłaby prosto w łapy Shkina.

Przez cały czas odpływała coraz dalej i dalej od domu.

Brighton zdążyło na południe wzdłuż długiego wybrzeża Terenu Polowań, a zakurzone, dwupoziomowe ruchome miasta dotrzymywały mu kroku, przemieszczając się po lądzie. Wszyscy mówili tylko o Festiwalu Księżycowym.

Boo-Boo setny raz przepisywała listę gości na bal w ratuszu, kucharze w Pawilonie pracowali w nadgodzinach, piekąc księżycowe ciastka i srebrne, księżycowe słodycze. Większość popularnych religii uznawała pierwszą pełnię jesieni za święty dzień. W całym Brighton urządzano przyjęcia i procesje. Na całym świecie palono tego dnia ogniska – w ruchomych i statycznych ludzkich siedzibach, bez różnicy. Nawet na Martwym Kontynencie płonęło samotne ognisko, bo Festiwal Księżycowy był w Anchorage największym wydarzeniem towarzyskim roku.

Wren wyobrażała sobie, jak jej przyjaciele układają na łące za miastem stos z drewna wyrzuconego przez morze i ze starych mebli. Może przy tym zastanawiali się, co się z nią dzieje i czy jest bezpieczna. Ile by oddała, żeby znaleźć się tam z nimi! Nie mogła uwierzyć, że kiedyś uważała ich życie za nudne, nie pojmowała, dlaczego tak się kłóciła z mamą. Co noc, leżąc w łóżku w pomieszczeniach dla niewolników, obejmowała się rękami i szeptem śpiewała piosenki swojego dzieciństwa, udając, że skrzypienie lin, którymi przymocowano gazowe balony do Siódmego Nieba to pomruk fal bijących o brzegi Winlandii.

Wren prawie zapomniała o Nabisco Shkinie i szczerze mówiąc, on też o niej zapomniał. Prawie. Czasami, kiedy szedł

ze spotkania na spotkanie, spoglądał na Siódme Niebo i odczuwał niejaką przyjemność na myśl, że się zemści na tej dziewczynie, która go oszukała. Jego plany ekspedycji do Winlandii były dopiero w zątku. Miał ważniejsze sprawy na głowie.

Dziś na przykład, otrzymał bardzo interesującą wiadomość od niejakiego Ploverego.

Zjechał na środkowy poziom Pieprzniczki, wyszedł bocznym wyjściem i pośpiesznie zagłębił się w labirynt Laines. Wąskie uliczki oświetlone jedynie migotliwym blaskiem argonowych kul i promieniami słońca dochodzącymi z wyższego poziomu przez świetliki i otwory wentylacyjne, były schronieniem żebraków, złodziei i nieudaczników. Ale Shkin był tam tak znaną postacią, że nie potrzebował ochrony. Nawet najgłupsze szumowiny tego miasta doskonale wiedziały, co by się z nimi stało, gdyby dotknęły Nabisco Shkina choćby jednym palcem. Ludzie schodzili mu z drogi i oglądali się za nim. Przyjaciele odsuwali pod ściany pijanych lotników. Dilerzy narkotyków i dziewczyny z półświatka odwracali wzrok, jakby jego spojrzenie paliło ogniem. Tylko jeden żałosny żebrak obrośnięty dreadami, z psem na smyczy, odważył się zaskamlać:

– Ma szanowny pan parę groszy na zbyciu? Żebym sobie kupił coś do jedzenia?

– Zjedz tego psa – mruknął Shkin i zakarbował sobie w pamięci, żeby po Festiwalu Księżycowym wysłać do tej dzielnicy oddziały łowców niewolników. Oczyszczając ulice z tych wyrzutków, robi miastu przysługę, a sam nieźle zarobi na jesiennych targach.

Wszedł w wąską uliczkę za straganem ze smażonymi rybami, zasłaniając nos chusteczką, by nie wachać smrodu uryny i oleju. Na wystawie obskurnego sklepiku na końcu zaułka piętrzyły się stosy popsutych przedmiotów i artefaktów.

PLOVERY, głosił szyld nad jego głową. Gdy Shkin wchodził do środka, brzęk dzwonka na drzwiach przywołał antykwariusza z zaplecza.

– Chciałeś się ze mną widzieć?

– Tak, proszę pana. Tak właśnie. – Rozpromieniony Plover skłonił się nisko i splótł ze sobą białe, chude palce. Zirytowany, że Pennyroyal sam poszuka kupca na Cynową Księgę, postanowił prehandlować wszystko, co o niej wiedział, innemu bogatemu klientowi.

Jego notatkę oddano Shkinowi ledwie godzinę temu. Szybkość, z jaką handlarz niewolników znalazł się w jego sklepiku, trochę mu pochlebiła, a trochę postraszyła. Lekko drżącym głosem opowiedział mu wszystko, czego się dowiedział.

– Wojskowy, tak? – powiedział Shkin, tak samo jak Pennyroyal kilka godzin temu. – Broń Starożytnych?

– Tylko kod, proszę pana – przestrzegł go Plover. – Możliwe jednak, że ktoś, kto ma wiedzę i zna się na rzeczy, będzie potrafił na jego podstawie odtworzyć urządzenie, dla którego ten kod został napisany. To może być wartościowa informacja, sir. A ponieważ Pennyroyal powiedział mi, że dostał tę księgę od pana: „Wycygałem za darmo od tego łobuza Shkina w zeszłym tygodniu” – za pozwoleniem, ale tak właśnie się wyraził, sir, więc pomyślałem sobie, że może pan będzie nią zainteresowany.

– Już podjąłem kroki, żeby się odplącić Jego Ekscelencji za ten drobny epizod – odparł Shkin, zirytowany, że ten nędznik usłyszał, jak Pennyroyal go oszukał. Zaintrygowała go jednak ta opowieść.

– Naturalnie zrobiłeś kopię tej książki?

– Nie, sir. Pennyroyal nie spuszczał jej z oka. Jest w jego sejfie w Pawilonie. Ale gdybym znalazł nabywcę, proszę pana, może udałoby mi się ją zdobyć. Często tam przecież bywam.

Shkin uniósł brew. Owszem, był zainteresowany, ale na razie nie aż tak bardzo, by wyłożyć kwotę, jakiej ewidentnie spodziewał się Plover.

– Handluję niewolnikami, nie artefaktami.

– Naturalnie, proszę pana. Tylko że to może być jakaś starożytna broń, która przeważy szalę i zakończy wojnę. A wojna doskonale nakręca koniunkturę, nieprawdaż?

Shkin zastanawiał się nad tym przez chwilę. Potem skinął głową.

– Bardzo dobrze. Ta książka i tak prawnie należy do mnie. Prawo znalazcy, sam pan rozumie. Nie chciałbym, żeby to Pennyroyal na niej zarobił. Rozumiem, że zna pan szyfr do sejfu?

– 22-09-957 – odpowiedział Plover. – Dwudziesty drugi września dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku naszej ery. To data urodzin Jego Ekscelencji.

Shkin uśmiechnął się.

– Świetnie, Plover. Dostarcz mi zatem Cynową Księgę.

21. LOT MEWY

Tego wieczoru, kiedy posprzątano po podwieczorku i jeszcze nie zaczęto przygotowań do kolacji, Wren przeszła spacerkiem przez ogród kuchenny i skierowała się do parku za Pawilonem, żeby popatrzeć jak Skrzydlate Fretki startują na patrol. Fretki urządziły sobie prowizoryczne lotnisko w rzadko używanej części ogrodów na tyłach pałacu. Wren rozpoznawała już większość ich dziwnych maszyn na pierwszy rzut oka, gdy kołowały z hangarów: „Kawałek Tyłka na Widoku”, „Gołąb Wirówka”, „Srogi Herbatnik” i „Multiplikator Prędkości na Zakręcie”. Obsługa naziemna umieszczała je w sprężynowych katapultach z płóciennymi łożami. Siła odrzutu wysyłała je w powietrze nad platformą, a wtedy pilotki odpalały silniki i modliły się, żeby skrzydła natrafiły na sprzyjający ruch powietrza, zanim maszyna spadnie w brudne morze za rufą Brighton.

Wren obserwowała zza barierki na skraju ogrodu, jak jedna Fretka za drugą wyrównywała lot nurkowy i śmigła nad dachami domów, wykonując szalone akrobacje i wypuszczając chmury zielono-fioletowego dymu. Zawsze podobał jej się ten widok, ale dziś jeszcze bardziej pogłębił jej tęsknotę za domem. Jakże chętnie opowiedziałaby tacie o maszynach Fretek.

Za lotniskiem tkwiła opasła jak wieloryb kopuła z miedzi,

zasłonięta cyprysami. Wren zauważyła ją już wcześniej, ale nigdy nie podchodziła bliżej, bo uznała, że to jedna z awangardowych rzeźb zaśmiecających trawniki Siódmego Nieba. Pennyroyal kupował je hurtowo, by zjednać sobie przychylność mieszkańców Dzielnicy Artystów. Tym razem nie miała nic specjalnego do roboty, więc podeszła bliżej. Zorientowała się wtedy, że to budynek o ogromnych, łukowatych drzwiach z jednej strony i fartuchem w kształcie wachlarza rozpościerającym się przed tą bramą. Miedziane krzywizny ścian i dachu ozdobiono metalowymi kolcami, wskutek czego konstrukcja wyglądała jak gigantyczna rybanajeżka wynurzająca się z trawy. Z boku przymocowano lekkie schodki, więc Wren wspięła się na nie, żeby zajrzeć do środka przez wysoko umieszczone okno.

W panującym wewnątrz półmroku ujrzała powietrzny jacht tak delikatny i elegancki, że nawet ona, niemająca pojęcia o sterowcach, od razu zrozumiała, że musi być potwornie drogi.

– To „Czajka” – odpowiedział życzliwy głosik za jej plecami. U podnóża schodów stała Cynthia. – Wszędzie cię szukam, Wren – dodała. – Wybieram się do tutejszej kaplicy. Koniecznie potrzebuję złożyć ofiarę Bogini Piękności. Zależy mi, żeby stracić parę kilku przed Festiwalem. Chodź ze mną! Mogłabyś poprosić, żeby zrobiła coś z twoimi krostami.

Wren bardziej interesowała ją jachty niż krosty. Znowu spojrzała w okno.

– Ta „Czajka” ... – należy do Pennyroyala, prawda?

– Oczywiście. – Cynthia wspięła się do połowy schodów. – Tak naprawdę nazywa się Serapis Moonshadow, Typ IV. Niesamowita nazwa, co? Ale burmistrz już prawie nią nie lata.

Dbą o nią i pilnuje, żeby była zawsze zatankowana do startu, ale właściwie tylko Boo-Boo z niej korzysta, kiedy leci na zakupy do innego miasta.

– To burmistrz nie wystartuje na niej w Księżycowych Regatach? – spytała Wren.

– Nie. Ma w Brighton historyczny sterowiec. Poleci na nim z tą całą Orlą Twombley jako drugim pilotem. Na czele Powietrznej Parady Historycznych Sterowców. Potem odegrają też powietrzną bitwę, używając prawdziwych rakiet. Taką samą jak w jego książkach. Nie spodziewałabyś się tego po nim, ale przeżył niesamowite przygody na Ptasich Szlakach.

Wren znowu spojrzała na jacht, myśląc o sterowcu, który Pennyroyal ukradł dawno temu jej rodzicom. Ciekawe, czy udałoby jej się zakraść tutaj w nocy, otworzyć drzwi hangaru i odlecieć „Czajką” do domu? To dopiero byłoby wyrównanie rachunków!

Serce zabiło jej nadzieją. Ogarnęła ją fala radości, gdy Cynthia wzięła ją za rękę i prowadziła do kapliczki niewolników i służby za pałacową kuchnią. Prawie nie słyszała wesołego świergotu koleżanki o makijażu i uczesaniach. W wyobraźni już pilotowała „Czajkę” na zachód. Przelatywała nad Martwymi Wzgórzami, widziała w dole niebieskie lusterka jezior Winlandii, i biegnących na powitanie rodziców, gdy wylądowała na polu przy Anchorage.

Był tylko jeden problem: nie miała pojęcia, jak się pilotuje Serapis Moonshadow. Nie wspominając o innych sterowcach. Za to znała kogoś, kto to potrafił.

Boo-Boo Pennyroyal nie lubiła, gdy mężczyźni i kobiety w jej służbie kontaktowali się ze sobą. W operach, które uwielbiała, spotkania młodych ludzi w tragicznych okolicznościach zawsze kończyły się miłością i rzucaniem się razem z różnych rzeczy – przeważnie ze skał, ale czasami też z murów zamkowych, z dachów albo do kraterów wulkanicznych. Boo-Boo lubiła swoich niewolników i byłoby jej przykro, gdyby zaczęli spadać parami z brzegu Siódmego Nieba, więc twardo uciniała wszelkie miłostki w zarodku, zabraniając rozmów pomiędzy dziewczętami i chłopcami. Oczywiście ponieważ młodzi ludzie są nieprzewidywalni, czasem dziewczęta zakochiwały się w dziewczętach a chłopcy w chłopcach, ale takich rzeczy nie pokazuje się w operach, więc i Boo-Boo niczego nie zauważała. Pozostali lekceważyli sobie jej zakazy i zakradali się do swoich pokoi, co sprawiało wielki ból ich pani. Ale przynajmniej Theo Ngoni nie przysparzał jej żadnych zmartwień. Theo Ngoni nigdy się do nikogo nie odzywał.

Natomiast Wren uparła się, żeby z nim porozmawiać. Okazja po temu trafiła jej się w kilka dni po odkryciu hangaru na uboczu. Boo-Boo pojechała na dół, do Brighton, a Pennyroyal wybrał Wren z Cynthią na nosicielki ręczników podczas jego kąpieli w basenie. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Theo również był na służbie przy basenie. Trzymał na srebrnej tacy zapasowe okulary do pływania. Gdy Pennyroyal zdrzemnął się na swym pływającym łożu, Wren przysunęła się bliżej do chłopaka i szepnęła:

– Cześć!

Spojrzał na nią kątem oka i nie odezwał się ani słowem. Wren nie wiedziała, co robić dalej. Nigdy przedtem nie była

tak blisko Theo. Był bardzo przystojny. Ona sama była wysoka, ale on ją przerastał, więc nagle poczuła się mała i głupia, stojąc u jego boku.

– Jestem Wren – powiedziała.

Znowu zapatrzył się w dal, ponad parkiem i błękitnym morzem, w odległą mgiełkę na horyzoncie, która – jak jej mówiono – była Afryką. Może tęsknił za domem.

– To stamtąd pochodzisz? – spytała.

Theo Ngoni potrząsnął głową.

– Mój dom był w Zagwie. To statyczne miasteczko w górach, daleko na południu.

– Aha? – rzuciła zachęcająco, a potem spytała: – Dobrze ci tam było?

Chłopiec zamilkł na dobre. Koniecznie chciała podtrzymać rozmowę, więc powiedziała:

– Nie wiedziałam, że Zielona Burza ma bazy w Afryce. Profesor Pennyroyal napisał w swojej książce, że afrykańskie statyczne miasta nie poparły wojny.

– To prawda. – Theo odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć, ale w jego wzroku był chłód. – Uciekłem z domu, żeby dostać się do Shan Guo i wstąpić do młodzieżowej drużyny Zielonej Burzy. Uważałem, że zdobędę chwałę, walcząc z barbarzyńskimi miastami i ścierając je z powierzchni ziemi.

– Racja – zgodziła się Wren. – Ja też należę do antymobilistów, wiesz?

Theo popatrzył na nią.

– Myślałem, że jesteś Zaginioną Dziewczynką. Z tego podwodnego miasta.

– Oczywiście – przytaknęła pośpiesznie, zła na siebie samą. –

Ale Grimsby się nie poruszało, więc należę do tych zardzewiałych statyków. Jak najbardziej. Brałeś udział w wielu bitwach?

– Tylko w jednej – odpowiedział, znowu odwracając wzrok.

– Dostałeś się do niewoli za pierwszym razem? Co za pech!

Wren starała się wykrzesać z siebie współczucie, ale ten ponury milczek coraz bardziej ją irytował. Może to wszystko, co jej mówiono o Burzy i jej żołnierzach, było jednak prawdą; wszyscy byli fanatykami po praniu mózgów. Ale przecież ten chłopak na pewno chce uciec z Siódmego Nieba, może nawet bardziej niż ona. Na pewno nie zdradzi jej zamiarów zniechęconym mobilistom. Postanowiła więc zaryzykować i ujawnić mu swój plan.

Rozejrzała się. Pennyroyal już zasnął. Pozostali niewolnicy też drzemali albo rozmawiali szeptem po przeciwnej stronie basenu. Cynthia, która stała najbliżej nich, oglądała z wielką uwagą swoje świeżo polakierowane paznokcie. Wren przysunęła się do Theo jeszcze bliżej i szepnęła:

– Wiem, jak moglibyśmy uciec.

Theo nie odpowiedział, tylko trochę zeszywniał. Uznała, że to dobry znak.

– Wiem, skąd możemy wziąć sterowiec – powiedziała. – Cynthia Twite powiedziała mi, że byłeś pilotem.

Mało brakowało, a by się uśmiechnął.

– Cynthia Twite jest głupia i nic nie rozumie.

– Fakt. Ale jeśli umiesz pilotować sterowiec...

– Nie latałem na sterowcach, tylko na wirówkach.

– Na wirówkach? – zdziwiła się Wren. – Co to takiego? Są podobne do sterowców? Bo jeśli są, i jeśli znasz podstawy...

Ale Theo znowu zamknął się w sobie, zmrużył oczy i zapatrzył się w horyzont.

– Och, daj spokój! – ponagliła go niecierpliwie. – Podoba ci się służba u Pennyroyala? Nie chcesz stąd zwać? Myślałam, że nie możesz się doczekać, żeby wrócić w szeregi Zielonej Burzy...

– Za nic bym nie wrócił do Zielonej Burzy! – odezwał się gniewnie i o mało co nie upuścił jaśnie oświeconych okularów do wody, kiedy się do niej odwrócił. – To jedno wielkie kłamstwo: cała ta wielka wojna, całe to zazielenianie świata na nowo. Mój ojciec miał rację. To wszystko kłamstwa!

– Och... to może chcesz wrócić do domu? Na pewno marzysz o powrocie do Zagwy – odpowiedziała.

Theo znowu zapatrzył się w horyzont. Nie obserwował ani nieba, ani morza, ani nawet odległego brzegu Afryki. Nawet tu, w skąpanym w luksusie słonecznego blasku Siódmym Niebie, wciąż widział tę ostatnią, rozpaczliwą walkę nad Rdzawymi Mokradłami. Eksplozje pocisków i rakiet, blaski płonących sterowców odbijające się w sieci krętych rzek i strumieni, gdy spadał. Skazane na zagładę miasteczko rozpaczliwie ryczało syrenami alarmowymi, wzywając pomocy zza mokradeł. W słuchawkach trzeszczały podniecone głosy towarzyszy broni, którzy wykrzykiwali, spadając: „Zazielenimy świat na nowo! Śmierć pangermańskiemu mobilnemu klinowi!” Pomyślał, że to będą ostatnie słowa, które usłyszy w życiu. A jednak stał tu, żywy, w wiele miesięcy później, oddalony o pół świata. Bogowie wojny ocalili go po to, żeby tkwił nad tym basenem i słuchał głupiej, chudej, białej dziewczyny, która uważała się za wielką mądralę.

– Nigdy nie będę mógł wrócić do domu – powiedział w końcu. – Słyszysz? Sprzeciwiłem się ojcu. Uciekłem. Dla mnie nie ma powrotu.

Wren wzruszyła ramionami.

– Jak sobie życzysz – odpowiedziała i odsunęła się w sam czas, żeby nie dać się Pennyroyalowi przyłapać na rozmowie. Jeszcze pokaże temu całemu Theo Ngoni! Sama ukradnie jacht burmistrza, sama wróci nim do Winlandii. W końcu to tylko głupi sterowiec. To nie może być trudne!

Nad Brighton zapadł zmierzch. Wzdłuż promenad na skraju trzech poziomów miasta pozapalano barwne latarnie. W wesołych miasteczkach i na molach mrugały i wirowały kolorowe światełka. Na szczycie obu kabin wirujących wokół potężnego Koła z Faros, zamontowanego przy samym dziobie zapalono potężne reflektory. Koło to pełniło podwójną funkcję: atrakcji dla turystów i morskiej latarni, która nocą prowadziła sterowce do Brighton.

Miasto zmieniło kurs na wschód. Wkrótce miało przedostać się przez wąską cieśninę oddzielającą Afrykę od Wielkiego Terenu Polowań i dumnie wpłynąć na Morze Środkowe. Miejscy przedsiębiorcy mieli nadzieję na duże zyski, gdy miasto zakotwiczy na czas Festiwalu Księżycowego. Wzdłuż Ptasich Szlaków na pewno rozniosły się już wieści o kampanii Brighton przeciwko Zaginionym Chłopcom, a zdobyte pająkomobile, dumnie wystawione na pokaz w brightońskim oceanarium, będą cennym edukacyjnym akcentem, uzupełniającym zwykle atrakcje Festiwalu Księżycowego.

Turyści napływali już z mniejszych miasteczek, których światła widać było wzdłuż brzegu.

Wysoko nad lądującymi i startującymi balonami cienie wieczoru kładły się między cyprysowymi zagajnikami Siódmego Nieba. Pawilon mienił się złotem i różem od barwnych świateł. Krążyło nad nim kilka sterowców z wycieczkowiczami z Brighton. Nagłośnione opowieści pilotów, wskazujących zabytki i ciekawostki, ledwie było słyhać w parku, bo nowe środki bezpieczeństwa nie pozwalały wycieczkowcom schodzić za nisko. Nikt z turystów nie zauważył, jak w jednej z kopuł Pawilonu otwiera się maleńkie okienko i wylatuje z niego ptak, przedostaje się przez sieć cum utrzymujących balony z gazem i dołącza do stada mew, lecących śladem miasta jak duchy.

Ptak był wprawdzie biały jak mewa i latał podobnie jak ona, ale nie był mewą. W każdym razie już nie był. Jego dziób zastąpiono ostrzem, a w czaszce migotały przyćmione zielone diody. Po chwili wzniósł się nad krążącym stadem i odleciał w gęstniejący mrok.

Niestrudzenie bił skrzydłami, kiedy od wschodu wychodziły mu na spotkanie kolejne dni i noce. Przeleciał nad zrytym miejskimi gąsienicami włoskim butem, a potem ominął aktywne wulkany w Azji Mniejszej. Wylądował w lotniczej bazie Zielonej Burzy, żeby Komendantka mogła przeczytać wiadomość, którą niósł w komorze zamontowanej zamiast klatki piersiowej. Zakłęła pod nosem, gdy zobaczyła, kto jest adresatem kilku zakodowanych linijek tekstu i natychmiast wezwała sennego chirurgra, żeby doładował akumulatory mewy.

Potem ptak ruszył w dalszą drogę, przelatując przez chmurę dymu nad Rdzawymi Bagnami, gdzie armaty toczyły ze sobą pojedynki wśród huku donośnego jak jesienna burza. Szwadron potężnych ruchomych miast parł na wschód, próbując odepchnąć kontratak Zielonej Burzy. Zamiast budynków na dolnych poziomach ziały paszcze dział. Pociągi dowoziły z wnętrza miast ogromne superpociski, a działa ostrzeliwały nimi bagniste Rubieże, pełne Łowców i ruchomych wyrzutni rakietowych. Atakowana z przelatujących sterowców, przelatując przez przypominający chmurki z dmuchawca ostrzał działek przeciwlotniczych, mewa zanurkowała w aerodynamiczny cień prowadzącego atak miasta, szybowała w nim przez chwilę a potem wzniosła się ponad pole bitwy i skierowała ku białym górcom wznoszącym się na krańcu świata.

Powietrze stało się zimniejsze, a ziemia podniosła się wyżej. Mewa przeleciała przez strefę białej, mroźnej ciszy, a potem nad rejonem, gdzie gromadziły się oddziały Burzy. Z tej wysokości wzgórze wyglądały jak ruchliwe, pokryte owadami mrowiska. W końcu, pewnej śnieżnej, jasnej od gwiazd nocy, w tydzień po odlocie z Brighton, mewa wylądowała na parapecie Nefrytowej Pagody i zastukała dziobem w oszronioną szybę.

Okno otworzyło się. Łowczyni Fang delikatnie wzięła mewę w stalowe dłonie i otworzyła jej pierś, wydając wiadomość podpisaną przez Agentą 28. Jej zielone oczy rozjarzyły się lekko. Podarła wiadomość na drobne kawałeczki i posłała po generała Nagę, komendanta elitarnego legionu powietrznego.

– Ogłosić alarm bojowy dla jednostki desantowej – poleciała. – I przygotować mój statek do bitwy. O świcie ruszamy na

Brighton.

22. MORDERSTWO W SIÓDMYM NIEBIE

Październik dobiegał już końca. W Winlandii, pomyślała Wren, trawa jest już rano biała i sztywna od przymrozków, aż do południa. Nad jeziorem unosi się mgła. Może nawet spadł już pierwszy śnieg. Ale tu, na Morzu Środkowym było wciąż ciepło jak w środku lata, a po niebie wędrowały tylko małe, puszyste, białe chmurki, które wyglądały, jakby ktoś je puszczał dla ozdoby.

Brighton przez kilka tygodni z wolna przesuwało się wzdłuż południowych brzegów Terenów Polowań. Potem, gdy zbliżał się już termin Festiwalu, ruszyło na południe, na umówione miejsce spotkania z innymi miastami. Gdy ląd znalazł się w zasięgu wzroku, Boo-Boo ze swoimi podręcznymi wyszła na taras widokowy na skraju Siódmego Nieba

– Patrzcie dziewczynki! Patrzcie! – wykrzykiwała radośnie, wskazując ląd teatralnym, zamaszystym gestem. – Afryka!

Wren, stojąc u jej boku z ogromnym parasolem, starała się tym przejąć, ale bez skutku. Widziała tylko pasmo niskich, czerwonych urwisk wyrastających z krajobrazu w kolorze herbatników, i parę wysokich, strzelistych gór w tle. Z opowiadań ojca i panny Freyi wiedziała, że Afryka była i kolebką ludzkości, i jej schronieniem w czasach po wybuchu wojny sześćdziesięciminutowej, ale cywilizacje, które niegdyś rozkwitały na tych brzegach, zniknęły już bez śladu. Albo

raczej wszelkie ich ślady zostały dawno pożarte przez głodne drapieżne miasta.

Jedno z tych głodnych miast pojawiło się na widoku w chwilę później. Niewielka, trypoziomowa konstrukcja toczyła się po piasku na szerokich, baryłkowatych pustynnych gąsienicach, otulona tumanem kurzu jak płaszczem, którego poły poruszały się na wietrze. Wren spojrzała na nie obojętne. Dziwnie się czuła na myśl o tym, że dwa tygodnie temu opuściła swoje miejsce podczas ceremoniału czesania pani Pennyroyal, żeby gapić się z podziwem na malutkie miasteczko, które pracowicie parło w stronę brzegu. Od tej pory widziała tyle miasteczek i miast, że zaczęły wydawać jej się czymś normalnym, a nie baśniowymi budowlami, jakie wyobrażała sobie, mieszkając w Winlandii.

A potem spojrzała tam jeszcze raz i poczuła się tak samo głupio jak wiele tygodni temu, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Brighton przez peryskop „Autolika” i myślała, że to wyspa. Te góry na horyzoncie wcale nie były na horyzoncie. Ani też nie były górami. To były mobilne miasta, tak ogromne, że jej mózg z początku nie uwierzył oczom. Wszystkie parły ku wybrzeżu. Przez chmury kurzu i spalin spostrzegła, że każde z nich ma po dziewięć poziomów, najeżonych kominami i wieżami.

– To po lewej to Kom Ombo – wyjaśniła dziewczętom burmistrzowa. – Obok widzicie Bengazi. Burmistrz Pennyroyal umówił się tu z nimi na spotkanie, żeby ich mieszkańcy mogli zakosztować atrakcji Brighton w czasie Festiwalu. Biedacy, polowali na piaskowe miasta w głębi pustyni, więc możecie sobie wyobrazić, jak pragną dobrego jedzenia, doskonałej rozrywki i odświeżającej kąpieli w Morskim Basenie.

Z początku zbliżające się miasta wydawały się Wren takie same jak na ilustracjach z *Dziecięcego Przewodnika po Miejskim Darwinizmie*, który czytywała w Anchorage. Dopiero gdy się zbliżyły, zaczęła dostrzegać różnice. Te miasta były uzbrojone. Budynki na skraju platform osłonięto stalowymi płytami i siatkami antyrakietowymi. Ale choć teren wokół ich gąsienic roił się od małych, szybszych miast i miasteczek, te giganty nawet nie próbowały ich pożreć.

– Festiwal Księżycowy to święty czas – wyjaśniła burmistrzowa, kiedy Wren zwróciła na to uwagę. – Zgodnie z tradycją miasta nie mogą wtedy na siebie polować.

– Aha... – mruknęła rozczarowana Wren. Miała straszną ochotę popatrzeć na polowanie w dobrym, starym stylu.

– Naturalnie, teraz, w czasach wojny, gdy jest tak mało zwierzyny, nie każdy burmistrz przestrzega tej tradycji – dodała Boo-Boo. – Ale gdyby któreś z tych miast ruszyło do ataku, panna Twombley z koleżankami dałaby mu nauczkę. Najwyższy czas, żeby ta latawica do czegoś się wreszcie przydała.

Jakby na sygnał, Skrzydlate Fretki śmignęły po niebie w stronę miast, kręcąc akrobacje i strzelając kolorowymi rakietami, żeby pokazać, z jaką łatwością uporają się z każdym drapieżnikiem, który naruszy festiwalowy post. Jedna z nich wyrwała się z szyku, by napisać na niebie fioletowym dymem slogan WITAMY W BRIGHTON. Gdy poleciały dalej, rycząc silnikami, Wren usłyszała szcęk ciężkich łańcuchów o burtę miasta. Brighton rzuciło kotwice.

– Czuję, że to będzie wspaniały festiwal! – wykrzyknęła radośnie pani Pennyroyal, gdy jej dziewczęta krzyczały z

zachwytu i biły brawo śmiałym pilotkom. – Chodźmy już. Chcę, żeby wam zrobili zdjęcie w kostiumach przygotowanych na bal.

Ruszyła w stronę Pawilonu. Wren rzuciła ostatnie spojrzenie olbrzymim miastom i pośpieszyła za nią. Jej koleżanki rozprawiły między sobą o jutrzejszym balu i ślicznych strojach, w jakie będą ubrane. Słuchając ich podnieconej gadaniny, niemal pożałowała, że ominie ją ta przyjemność. Ale tak musiało być. Tej nocy, gdy wszyscy zasną, planowała zakraść się do hangaru i porwać „Czajkę”. Zanim wzejdzie święty księżyc, Wren znajdzie się bardzo daleko od Brighton.

W Pawilonie rozbrzmiewały hałaśliwe odgłosy przygotowań do Festiwalu. W sali balowej pod główną kopułą pałacu pilnie pracowali malarze i dekoratorzy, muzycy ćwiczyli nowe utwory, elektrycy pokrywali sufit siecią światełek. Kolejną linową dowożono skrzynki wina i kosze pełne jedzenia, a gwardia ćwiczyła w parku, przygotowując się do parady.

Wszystko to kosztowało Pennyroyala fortunę. Uważał, że to niesprawiedliwe, ale mieszkańcy Brighton na pewno spodziewali się, że ich burmistrz zapewni w czasie Festiwalu godziwe rozrywki. Szkoda tylko, że spodziewali się po nim, że opłaci wszystko z własnej kieszeni. Nie miał więc najmniejszych wyrzutów sumienia, zapraszając Waltera Plovera na nieformalną kolacyjkę, którą zamierzał wydać tej nocy.

Między deserem a kawą, kiedy pozostali goście rozmawiali o swoich festiwalowych planach i najnowszych skandalach w

Dzielnicy Artystów, Pennyroyal zaprosił antykwariusza na pokoje, żeby spojrzął na kilka cennych antyków ze zbiorów Pawilonu. Spacerowali po pałacu, oglądając mózgi Łowców, maskownice samochodów lądowych, fragmenty obwodów scalonych przypominających koronki, spłaszczone puszki po napojach i starożytne zbroje. Wynotowali przedmioty, za które znajomi kolekcjonerzy Ploverzy'ego z Bengazi byliby gotowi zapłacić niezłą sumkę, i których zniknięcia z Pawilonu nikt by nie zauważył.

Przy kawie pan Ploverzy podliczył w myśli swoją prowizję z tych sprzedaży i uznał, że jest zadowolająca. Objedzony smakołykami ze stołu Pennyroyala i zauroczony miłym towarzystwem eleganckich gości, antykwariusz pożałował, że zobowiązał się wykraść dla Shkina Cynową Księgę. Ale pan Shkin obiecał mu za nią bardzo dużą sumę, a Ploverzy potrzebował pieniędzy, bo jego wiekowa matka mieszkała w luksusowym domu opieki. Kiedy spotkanie dobiegło końca i pozostali goście hałaśliwie ruszyli do kolejki linowej, skręcił w boczną alejkę i ukrył się w jednej z licznych kolumnad Pawilonu.

Nocne powietrze było tak zimne, że Wren zadygotała w szlafroku ze srebrnej lamy, gdy wyszła tylnymi drzwiami do ogrodu. W dole słychać było szum morza i pijaka, który wyśpiewywał wniebogłosy na ulicach Brighton. Ściskając torbę z jedzeniem wykradzionym z kuchni, pobiegła przez mokry trawnik w stronę hangaru i świeteł na lotnisku Fretek.

Drzwi do hangaru zawsze były otwarte. Choć spore,

poruszały się gładko po dobrze naoliwionych rolkach. Wystarczyło się o nie oprzeć.

Kształtna komora gazowa „Czajki” lśniła zapraszająco, gdy Wren podkraśniała się do gondoli. Zorientowała się, że do tej pory wstrzymywała oddech. Zupełnie bez sensu, bo przecież w pobliżu nie było nikogo. Na lotnisku gramofon grał popularną piosenkę. Dotknęła drzwiczek i przekonała się, że też nie są zamknięte. Wsiadła do środka i przyświecając sobie elektryczną latarką skradzioną dozorczy, zaczęła przyglądać się przyciskom na chromowanym panelu sterowniczym, przypominając sobie rysunki w książce z biblioteki Pawilonu, zatytułowanej *Praktyczne podstawy żeglugi powietrznej dla amatorów i zawodowców*.

Komory gazowe były pełne, tak jak mówiła Cynthia. Za to w zbiorniku brakowało paliwa, ale Wren znalazła na to sposób. Zdjęła szlafrok i schowała go za pulpitem. Pod nim miała codzienne ubranie. Odmówiła szybką modlitwę do bogów Winlandii, wysiadła i żwawo pomaszerowała przez pas startowy i kępy drzew, zmierzając w stronę bazy Fretek.

W starym letnim pawilonie, gdzie zakwaterowano najemniczki, Orla Twombly z kilkoma pilotkami grały w karty. Gdy Wren zastukała do drzwi, popatrzyły na nią podejrzliwie.

– Kto tam?

– Wygląda jak jedna z dziewczyn Boo-Boo.

Pilotka wstała leniwie i otworzyła drzwi.

– Czego?

– Przyszłam z poleceniem od pani Pennyroyal – odpowiedziała Wren. Głos jej się trochę załamał, ale pilotka

chyba tego nie zauważyła. Była trochę speszona. Może myślała, że Boo-Boo przysłała Wren, żeby ją skarcić za flirtowanie z burmistrzem. Wren nabrała pewności siebie.

– Pani Pennyroyal chce, żebyście natychmiast zatankowały „Czajkę”. Musi wcześniej rano polecieć do Bengazi. Bardzo rano, bo chce skorzystać z okazji na bazarze. Czy wasza obsługa naziemna byłaby tak miła i zrobiła jej tę przysługę?

Orla Twombley zmarszczyła brwi.

– Dlaczego nasza? Czy to przypadkiem nie ludzie burmistrza powinni tankować tę starą gazową torbę?

– To prawda – odpowiedziała Wren. – Jego Ekscelencja miał im to polecić po południu, ale zapomniał, a teraz już nie pracują. Więc, gdyby pani zechciała to zrobić, pani Pennyroyal byłaby pani niezmiernie zobowiązana.

Pilotka zamilkła na chwilę. Nie miała ochoty narażać się burmistrzowej. Boo-Boo miała potężnych krewnych, którzy mogliby zmusić Pennyroyala, by zrezygnował z usług Skrzydlatych Fretek i skorzystał z usług innych lotniczych najemników. Orla Twombley doskonale wiedziała, że Anioły ze Szrotu i Latający Cyrk Richarda D’Astartleya bardzo chętnie podpisałiby kontrakt z Brighton

Skinęła głową i zwróciła się do swoich mechaników.

– Algy? Ginger? Słyszaliście, o co prosiła ta młoda dama?

Niechętne, lecz zdyscyplinowane pilotki odłożyły karty, odsunęły kubki z kakao i wyszły za Wren w noc, narzekając na niepotrzebną stratę dobrego paliwa i zastanawiając się, dlaczego ludzie jeszcze sobie zawracają głowę sterowcami, skoro przyszłość należy do statków cięższych od powietrza. Wren szła za nimi w pewnej odległości, obserwując, jak

wyciągały przewody paliwowe z wielkich zbiorników za pasem startowym i podłączały je do otworów w dolnej części burty „Czajki”.

– Zajmie nam to co najmniej dziesięć minut – powiedziała jedna z nich, życzliwie puszczając oczko do Wren. – Nie musisz tu marznąć z nami, mała.

Wren podziękowała im i pobiegła do Pawilonu. Dziesięć minut powinno jej wystarczyć, żeby sprowadzić Cynthię.

Od początku zdecydowała, że nic jej nie powie o swoim planie. Jej przyjaciółka była zbyt rozchichotana i roztargniona i pewnie od razu by się wygadała przed panią Pennyroyal. Ale Wren nie zamierzała jej zostawić w niewoli. Kiedy tankowano, pobiegła do sypialni dziewcząt, żeby po cichu obudzić Cynthię i zabrać ją do hangaru, akurat w chwili, gdy jacht będzie już gotowy do startu.

Pan Ploverzy wyciągnął nowy wytrych, który ludzie Shkina zabrali jednemu z Zaginionych Chłopców, i otworzył drzwi gabinetu burmistrza. Gabinet mieścił się w wieży, a jego wysokie okna sięgały tonącego w półmroku sufitu. Żaluzje były odsłonięte i pokój rozjaśniał blask księżyca, w którym antykwariusz widział niemożliwie zagracone biurko Pennyroyala i szkic Walmarta Strange’a, za którym skrywał się prywatny sejf burmistrza.

Przechodząc przez pokój, Ploverzy wyczuł jakiś ruch wysoko pod sufitem. Miał dziwne wrażenie, że ktoś go obserwuje. Przeniknął go zimny dreszcz strachu. A jeśli Pennyroyal zdobył jedną z tych nowoczesnych krab-kamer i zainstalował

ją tu, by obserwować swój sejf?

Mało brakowało, a zrezygnowałby i uciekł, ale pomyślał o matce i to go powstrzymało. Jeśli dostanie od Shkina pieniądze obiecane za Cynową Księgę, będzie mógł przenieść mamę do jednego z luksusowych apartamentów na najwyższych piętrach jej domu, z widokiem na parki na rufie miasta. Zmusił się, by zachować spokój. Pennyroyal był za głupi, żeby zainstalować tu krab-kamerę. Zresztą, nawet gdyby to zrobił, pochwaliby się nowym nabytkiem przy kolacji.

Zdjął obraz ze ściany i troskliwie oparł go o fotel burmistrza. Stał na wprost okrągłych drzwiczek sejfu. Wyciągnął rękę i przekręcił rączkę na prawo, potem na lewo i znowu na prawo. Przy okazji wcześniejszych wizyt w Pawilonie często widywał, jak Pennyroyal otwiera sejf i rozpracował kombinację liczbową, słuchając ilości kliknięć tarczy. Dwa-dwa-zero-dziewięć-dziewięć-pięć siedem... Spokojnie, uważnie wybrał odpowiednią sekwencję i ciężkie drzwi stanęły otworem.

W sejfie leżała niewielka skórzana teczka, a w niej Cynowa Księga z Anchorage. Plover wyjął ją z szacunkiem, bo antyki były jego miłością, nie tylko sposobem zarobkowania. Jest coś pięknego w tym, że dzieła ludzkich rąk potrafią przeżyć swoich twórców przez długie, długie lata, pomyślał.

Podnosząc rękę, by zamknąć sejf, wyczuł za sobą ruch, odwrócił się i...

Wren była w połowie drogi do sypialni, kiedy usłyszała ten straszny, przenikliwy krzyk. Pisnęła ze strachu i znieruchomiała, a potem skoczyła za najbliższą rzeźbę. Krzyk

przeszedł w rżenie i wkrótce nawet echa ucichły. Wtedy w Pawilonie rozległo się trzaskanie otwieranych drzwi i krzyki ludzi. Zapłonęły lampy. Spoglądając w okno, spostrzegła, że ogrody również są zalane światłem. Rozbłysły wielkie reflektory ochroniarzy, a strażnicy biegali z migotliwymi ręcznymi latarniami.

To by było tyle, pomyślała. Teraz nie mam już żadnych szans na ucieczkę. Zawstydziała się natychmiast, że użala się nad sobą, zamiast niepokoić się osobą, która tak strasznie krzyczała.

Wyszła ze swej kryjówki i popędziła w stronę sypialni. Kiedy skręciła w boczny korytarz, wpadła na Theo Ngoniego, który biegł od strony kuchni.

– Och! Co ty tu robisz?! – wykrzyknęła.

– Słyszałem czyjś krzyk – odpowiedział.

– Ja też...

– Cały dom słyszał te krzyki, moi drodzy. – Pani Pennyroyal szła ku nim w rozwianym szlafroku jak statek pod pełnymi żaglami. Wren odskoczyła od Theo, obawiając się, że ich ukarze za to, że rozmawiali ze sobą, ale ona tylko spojrzała na nich życzliwie i powiedziała: – Zdaje mi się, że ten krzyk dochodził z apartamentów mojego męża. Chodźmy zobaczyć, co się stało.

Wren i Theo posłusznie ruszyli za nią, gdy pośpiesznie zdążyła do drugiego skrzydła pałacu. Wren pomyślała w duchu, że to był rodzaj krzyku, od którego raczej należy uciekać, niż ku niemu biec, ale pani Pennyroyal była wyraźnie zdecydowana, by odkryć przyczynę nocnych hałasów. Może miała nadzieję, że jej mąż oparzył się termoforem albo wypadł

z balkonu i chciała mieć satysfakcję obejrzenia tej sceny na własne oczy.

Weszli na górę kręconych schodów za salą balową i przez niewielkie drzwi i schodki dostali się do sterowni Siódmego Nieba. Była otwarta, a zaniepokojona załoga wyglądała z niej na zewnątrz. W gabinecie burmistrza paliły się lampy. Gdy byli już blisko, Wren usłyszała głos Pennyroyala, przenikliwy i drżący ze strachu.

– Ale napastnik wciąż jest na wolności! – mówił.

Gwardziści i niewolnicy tłoczyli się przy otwartych drzwiach, ale wszyscy odsunęli się z szacunkiem, robiąc przejście dla żony burmistrza.

Pennyroyal stał przy biurku razem z dwoma gwardzistami. Spojrzał na żonę i jej mały orszak.

– Boo-Boo! Nie patrz...

Boo-Boo spojrzała i sapnęła głośno. Wren też spojrzała i zaraz tego pożałowała. Theo spojrzał i chyba nie zrobiło to na nim wrażenia, ale przecież był kiedyś na froncie i widział już niejedno

Walter Plover leżał na podłodze przed otwartym sejfem. Przyciskał do siebie Cynową Księgę z Anchorage, która częściowo zasłaniała jego twarz. Ze sposobu, w jaki ją trzymał, Wren domyśliła się, że musiał się nią przed czymś zasłaniać, ale bez powodzenia. Jego wyjściowe ubranie było przebite jakimś ostrym narzędziem na wysokości piersi. Zapach krwi przypomniał Wren o ostatnich chwilach w Anchorage i o śmierci Gargle'a i Remory.

– To musiał być nóż – bąknął jeden z gwardzistów. – A może nawet włócznia...

– Włócznia? – ryknął Pennyroyal. – W moim Pawilonie? W wigilię Festiwalu Księżycowego?

Gwardziści popatrzyli na siebie z głupimi minami. W szeregi brightońskiej gwardii zaciągano się głównie ze względu na uniformy ze szkarłatnymi numerami, różowymi wypustkami i mnóstwem złotych frędzli. Nikt z funkcjonariuszy nie spodziewał się, że na służbie natknie się na trupa i pogłoski o tajemniczych intruzach, więc obaj czuli się teraz trochę nieswojo.

– Jak on tu się dostał? – spytał jeden z nich.

– Nie ma śladów włamania – zawtórował mu drugi.

– Pewnie wziął zapasowy klucz, który chowam w wazonie przed drzwiami – wyjaśnił Pennyroyal. – Zawsze go tam trzymam i Plover o tym wie. A raczej widział...

Funkcjonariusze gapili się na ciało u swoich stóp i nerwowo ściskali rękojeści ozdobnych mieczów.

– Zdaje mi się, że chciał się włamać do sejfu Waszej Ekscelencji – zaryzykował pierwszy.

– Właśnie. Co on tam trzyma w ręku? – spytał drugi.

– Nic takiego! – Pennyroyal wyrwał Cynową Księgę z dłoni martwego mężczyzny, włożył ją z powrotem do sejfu i zamknął drzwiczki. – To bezwartościowa rzecz. Zresztą, jej tu nie ma, a wy nic nie widzieliście.

Po schodach zadudniły czyjeś mocne kroki i do gabinetu wpadła Orla Twombly z grupką Skrzydlatych Fretek. Wymachiwały obnażonymi mieczami, a pilotka wskazała swoją bronią na Wren.

– To ta dziewczyna!

– Co? Nie może być... – Pennyroyal odwrócił się, by

popatrzeć na Wren.

– Przyszła do nas i poprosiła, żeby zatankować pański jacht!
– wyjaśniła Orla Twombley i z groźną miną ruszyła ku Wren, jakby uznała, że dla bezpieczeństwa lepiej będzie zdeptać dziewczynkę na miejscu. – Wymyśliła jakąś bajeczkę o tym, że pani burmistrzowa prosi o zatankowanie tej starej torby, bo potrzebuje rano lecieć na zakupy do Bengazi...

– Absolutna bzdura! – wykrzyknął podniecony Pennyroyal. – Ta mała planowała ucieczkę! Kto raz został włamywaczem, ten się staje nim na zawsze, prawda?

Och, bogowie... pomyślała Wren. W życiu by nie pomyślała, że jej starannie obmyślony plan może zakończyć się aż taką klęską. Co z nią teraz zrobią? Pewnie odeślą do Shkina i zażądają zwrotu pieniędzy...

Wszyscy zaczęli mówić naraz. Pennyroyal zakrzyczał resztę:

– Ploverzy przekupił ją pewnie, żeby mu pomogła w kradzieży, ale ona zamiast tego zabiła go i skradła księgę! A ten diabeł antymobilista był razem z nią! – dodał, wskazując Theo.
– Dobra robota, aniołku! Gdyby nie twój refleks, zwałiby stąd na pokładzie „Czajki” z... eee... zawartością mojego sejfu.

– Bzdura! – wykrzyknęła Boo-Boo głosem, od którego wszyscy ucichli i odwrócili się, by na nią spojrzeć. Wyprostowała się na całą wysokość, a jej twarz przybrała barwę, jaką zwykle przybierają twarze burmistrzowych, gdy ich mężowie zwracają się „aniołku” do atrakcyjnych pilotek.

– Wren powiedziała panie Twombley absolutną prawdę. Poprosiłam o zatankowanie „Czajki”, bo rzeczywiście planowałam poranne zakupy w Bengazi, choć po wydarzeniach tej nocy raczej straciłam na to ochotę. Zresztą,

Wren i Theo byli ze mną, kiedy nieszczęsny Plover zaczął krzyczeć. Żadne z nich nie mogłoby dokonać tego strasznego mordu.

Wren i Theo popatrzyli na nią zaskoczeni, że skłamała, by ich chronić.

– Ale jeśli to nie oni, to kto? – spytał Pennyroyal.

– Nie mnie o tym decydować – odparła wyniośle Boo-Boo. – Wracam do moich apartamentów. Szukajcie tego mordercy, ale po cichu. Chodź, Wren. Chodź, Theo. Przed nami pracowity dzień.

Odwróciła się i wymaszerowała z gabinetu, mijając skonfundowane pilotki. Wren dygnęła przed Pennyroyalem i pośpieszyła za Theo i swoją panią.

– Pani Pennyroyal – szepnęła, gdy zeszli ze schodów. – Dziękuję.

Boo-Boo chyba jej nie słyszała.

– Okropna, fatalna sytuacja – powiedziała. – Jestem pewna, że to mój mąż jest temu winny.

– Myśli pani, że to burmistrz go zabił? – spytał Theo. W jego głosie brzmiało niedowierzenie, ale Wren dobrze wiedziała, że profesora Pennyroyala w razie potrzeby stać nawet na morderstwo. Wystarczyło przypomnieć sobie, co zrobił tacie! Przestała się dziwić, że mieszkańcy Anchorage nie poznali się na nim przez tyle czasu. Był świetnym aktorem. Jaki był zszokowany, stojąc nad ciałem Ploverego...

– Och, te artefakty! – westchnęła Boo-Boo. – Same z nimi kłopoty. Wcale nie twierdzę, że Pennyroyal sam mu wbił ostrze w pierś, ale podejrzewam, że zastawił jakąś podstępłą pułapkę pod tym sejfem. Za wszelką cenę chce chronić tę

swoją głupią Cynową Księgę? Co w niej jest takiego wyjątkowego? Wiesz coś na ten temat, dziecko?

Wren pokręciła głową. Wiedziała tylko, że Cynowa Księga właśnie stała się przyczyną kolejnej śmierci. Gorzko żałowała, że w ogóle wzięła tę okropną rzecz z biblioteki panny Freyi.

Pod drzwiami swej sypialni Boo-Boo odesłała służbowego lokaja i odwróciła się do Wren i Theo. Przyjrzała się im obojgu z uśmiechem i ujęła dłoń Wren w swoje.

– Moje drogie dzieci – powiedziała. – Tak mi przykro, że wasza próba ucieczki źle się skończyła. Bo próbowaliście uciec, prawda, Wren? Kazałaś zatankować jacht mojego męża, żebyście mogli odlecieć razem z Theo, prawda?

– Ja... – zaczął Theo.

– Theo nie ma z tym nic wspólnego! – przerwała mu Wren. – Wpadłam na niego w korytarzu. Oboje chcieliśmy zobaczyć, co się dzieje...

Pani Pennyroyal przerwała jej uniesieniem dłoni. Nie zamierzała słuchać dalej. Zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby nie dopuścić do takich rzeczy, ale teraz, gdy mimo wszystko coś takiego się zdarzyło, stwierdziła, że jest to niezwykle emocjonujące i romantyczne.

– Nie musicie ukrywać prawdy przede mną – zadeklamowała, a do oczu nabiegły jej łzy. – Mam nadzieję, że jestem nie tylko waszą panią, ale i przyjaciółką. Gdy tylko zobaczyłam was razem, gdy śmiertelny krzyk przerwał waszą schadzki, zrozumiałam wszystko. Jakże pragnęłabym zaznać takiego żaru namiętności jak wy, zamiast wyjść za Pennyroyala, żeby zadowolić moją rodzinę...

– Ale...

– Ach, lecz wy kochacie się zakazaną miłością! Przypominacie mi księcia Osmiroida i piękną niewolnicę Mipsie w operze *Zdeptane Chwasty* Lembita Oriole’a. Jednak cierpliwości, moi drodzy. Jaką możecie mieć nadzieję na szczęście, jeśli spróbujecie ucieczki? Zbiegli niewolnicy, bez grosza i z dala od domu, ścigani na każdym kroku przez łowców nagród. Nie. Musicie tu zostać jeszcze jakiś czas i spotykać się tylko w sekrecie. Teraz, kiedy wiem, jak bardzo pragniecie uciec, zrobię wszystko co w mojej mocy i przekonam Pennyroyala, by zwrócił wam wolność.

Wren poczuła, że się czerwieni. Komu przyszłoby do głowy, że ze wszystkich ludzi na świecie zakochała się w Theo Ngonim? Spojrzała na niego z ukosa i z irytacją spostrzegła, że też miał zakłopotaną minę – jakby wstydził się, że ktoś podejrzewa go o miłość do Wren.

– Cierpliwości, gołąbki – powiedziała burmistrzowa i pocałowała każde z nich w czoło. Uśmiechnęła się i otworzyła drzwi do swojej sypialni. – Aha, tak przy okazji – mruknęła. – Nikomu ani słowa o tym, co spotkało biednego pana Ploverzy’ego. Nie pozwolę, by to okropne zdarzenie popsuło nasz Festiwal Księżycowy...

23. OLŚNIEWAJĄCE BRIGHTON!

Festiwal Księżycowy! Gdy wzeszło słońce, całe miasto szumiało z niecierpliwości. Aktorzy i artyści, którzy zwykle nawet oka nie otwierali przed południem, tego dnia wyskoczyli z łóżek na pierwszy pisk mewy i zaczęli kończyć dekoracje i karnawałowe festony, zaś sklepikarze podnieśli okiennice i otworzyli sklepy z radosnymi minami, marząc o rekordowych dochodach. Brighton nie było religijne; większość mieszkańców w najlepszym razie uważała, że religia to bajka, a w najgorszym, że sprytne oszustwo. Pierwsza pełnia jesieni, która w innych miastach była pełnym skupienia dniem, dla nich oznaczała tylko jedno: czas zabawy!

Właściwie w Brighton zabawa nigdy się nie kończyła. Kiedy Wren tu przybyła, właśnie kończył się Festiwal Letni, feeria wieczornych fajerwerków i parad barwnych przebierańców. Potem był jeszcze Festiwal Wielkich Kapeluszy, Biennale Rzeźb Serowych, Teatralny Festiwal Pustych Krzesel, Tydzień Poskitta i Dzień Dokuczania Ulicznym Mimom, kiedy to brightończycy mogli się legalnie odegrać na irytujących mimach, licznie okupujących ulice ich miasta. Ale Festiwal Księżycowy wciąż zajmował szczególne miejsce w sercach i portfelach mieszkańców, a coraz liczniejsze szeregi miast na brzegu obiecywały fantastyczny urodzaj klientów. Nawet redaktor „Palimpsesta”, który normalnie z rozkoszą

wydrukowałby zasłyszane plotki o tajemniczym nocnym zgonie w Siódmym Niebie, opisał go w maleńkiej notce na czwartej stronie, a na tytułowej dał tylko festiwalowe nowinki.

BOO-BOO I JEJ PIĘKNE DWÓRKI ZACHWYCAJĄ BRIGHTON!

Żona burmistrza Brighton, lady Pennyroyal, zapowiedziała wczoraj, że zbliżające się obchody Festiwalu Księżycowego będą najwspanialsze w historii naszego miasta. Pani Pennyroyal (39), na zdjęciu z lewej, pozowała dla „Palimpsestu” w towarzystwie swoich najpiękniejszych podręcznych, jest gospodynią balu w ratuszu, który burmistrz wydaje dla najbogatszych celebrytów z obszaru Morza Środkowego. Pawilon otworzy dla nich swoje podwoje i taneczne parkiety już dziś wieczorem!

– Każdy, kto się liczy na tym świecie, zmierza dziś do Brighton! – powiedziała pani Pennyroyal. – Czy jest lepsze miejsce, by świętować Festiwal Księżycowy, niż nasze olśniewające bielą miasto kołyszące się na lazurowych morskich falach?

Naturalnie, w rzeczywistości ani miasto nie było olśniewająco białe, ani morze nie zachwycało lazurem. Taki widok roztaczał się tylko z tarasu widokowego w Siódmym Niebie. Na dole, z poziomu pokładu, Brighton było raczej szarawe. Dachy pokryte mewimi odchodami, ulice lepkie od niedojedzonych kanapek, morze zanieczyszczone śmieciami i miejskimi nieczystościami. Ale przynajmniej pogoda była idealna: wiała lekka bryza od morza, która popychała powietrzne taksówki do Bengazi, a potem chłodziła

powracających pasażerów; słoneczny blask, który rozpałał metalowe chodniki i uwalniał skomplikowane bukiety zapachów z kałuż tłuszczu i wymiotów pozostawionych przez nocnych imprezowiczów. W miarę upływu dnia miasto osiadało coraz niżej na wodzie, przeciążone tłumami turystów tłoczących się na ulicach i sztucznych plażach, a potem z piskiem rozbryzgujących wody Morskiego Basenu. Po południu kosze na śmieci były już przepełnione, a mewy walczyły ze sobą o kawałki mięsa i ciastek, śmigając nisko nad głowami gości czekających w długich kolejkach do Koła Młyńskiego Faros i przed wejściem do Oceanarium.

Tom Natsworthy, stojący w kolejce między turystami uchylił się przed kolejną nurkującą mewą. Bał się dużych ptaków od czasu walki ze skrzydlatymi Łowcami Zielonej Burzy, jaką stoczył w Gnieździe Szerszeni. Ale pazerne mewy były najmniejszym z jego zmartwień. Był przekonany, że mundurowi woźni Oceanarium jednym spojrzeniem zorientują się, że ledwie godzinę temu przedostał się na pokład Brighton przez dziurę wywierconą przez „Śrubodźdzownicę” w kadłubie miasta. W każdej chwili mogli go przecież wyciągnąć z kolejki i zdemaskować jako intruza i pasażera na gapę.

„Śrubodźdzownica” dogoniła Brighton o poranku. Tom zbliżał się powoli, żeby nie uruchomić żadnych starożytnych artefaktów, których miasto używało do przejmowania statków Zaginionych Chłopców, ale okazało się, że czujniki zostały wyłączone, gdy ogłoszono koniec połowów. Mimo to, razem z

Hester ledwie odważyli się oddychać, kiedy magnesy przywarły do kadłuba, a wiertło dziobowe hałaśliwie przegryzało się przez poszycie pływającego miasta.

Tom chciał najpierw wysłać krab-kamery, żeby rozejrzały się za Wren, ale Hester się temu sprzeciwiła.

– Nie jesteśmy Zaginionymi Chłopcami – napomniała go. – Trzeba mieć naprawdę duże umiejętności, żeby wprowadzić te urządzenia do tutejszych rur. Takie poszukiwania mogą potrwać długie tygodnie. Sami wejdźmy na pokład. Na pewno znajdziemy jakieś ślady pająkomobili, które wyłowili tutejsi mieszkańcy.

Miała rację. Kiedy wyszli z „Dżdżownicy” na pustą uliczkę na pokładzie technicznym, niemal od razu zauważyli plakat przyklejony do rury wentylacyjnej. Przedstawiał pająkomobil otoczony dziko wyglądającymi chłopcami. Napis powyżej głosił: „Pasożytniczy piraci Atlantyku! Łodzie podwodne z wyposażeniem i jeńcami pochwyconymi podczas ostatniej ekspedycji w Grimsby, podwodnym gnieździe rabusiów! Wystawa w Oceanarium, 11–17 Burchill Square”.

– Jeńcy! – wykrzyknął Tom. – Tam może być Wren! Musimy tam iść...

Hester, która czytała wolniej od męża, była dopiero w połowie tekstu.

– Co to jest Oceanarium?

– Trzymają tam ryby. Coś w rodzaju zoo albo muzeum.

Skinęła głową.

– Muzea to twoja specjalność. Zajrzyj tam. Ja się pokręcę po porcie lotniczym. Może coś tam o niej usłyszę. Poza tym rozejrzę się za jakimś sterowcem. Nie zamierzam wracać do

domu tym starym, śmierdzącym pająkomobilem.

– Nie powinniśmy się rozdzielać – sprzeciwił się Tom.

– Tylko na chwilę. Tak będzie szybciej – odpowiedziała jego żona. To była oczywiście wymówka. W rzeczywistości, stałe przebywanie z Tomem w ciasnej przestrzeni pod wodą mocno ją rozdrażniło. Chciała pobyć przez chwilę sama. Odetchnąć i rozejrzeć się po mieście, nie słuchając ciągłego marudzenia o Wren.

Pocałowała go pośpiesznie i powiedziała:

– Spotkamy się za godzinę.

– Przy „Dżdżownicy”?

Pokręciła głową. Na poziomie technicznym zrobił się ruch, gdy do pracy zeszła nowa zmiana. Trudno byłoby im niezauważenie wsunąć się do otworu w dnie. Wskazała kolejną ulotkę, do połowy zasłoniętą plakatem Oceanarium. Reklamowała Pink Café, kawiarnię w dzielnicy Old Steine.

– Tam...

Na szczęście personel Oceanarium był zainteresowany tylko sprzedażą biletów i rozmowami o planach na wieczór. Nikt nie szukał intruzów, a nawet gdyby chciał, nie odróżniłby Toma od innych gości. Był jednym z wielu młodo wyglądających, kiepsko uczesanych i nieco łysiejących turystów – na przykład jakimś profesorkiem z Kom Ombo. Nawet jeśli miał pogniecione, staromodne ubranie zalatujące pleśnią i solanką, to nikomu to nie szkodziło. Dziewczyna przy kasie ledwie na niego spojrzała, wzięła pieniądze i gestem przepuściła go za bramkę.

W Oceanarium znudzone ryby pływały w wielkich, przyciemnionych akwariach. Mocny zapach rdzy i słonej wody przypominał Grimsby. Ale nikt ze zwiedzających nie patrzył na ryby ani na sparszywiałe lwy morskie. Wszyscy szli do głównej sali, kierując się kolorowymi znakami zapraszającymi na wystawę tematyczną *Pasożytniczy Piraci*.

Tom poszedł razem ze wszystkimi, starając się nie ulegać emocjom. Powtarzał sobie, że Wren pewnie tam nie ma. Dreptał w tłumie, oglądając krab-kamery, a potem pająkomobil „Pajęcze Dziecko”, który stał na podwyższeniu na środku sali. Dekoratorzy upozowali go w dramatycznej pozie, opartego na czterech tylnych odnóżach, z dwoma przednimi uniesionymi w powietrze, jakby chciał zaatakować widzów. Rodziny ustawiały się przed nim do zdjęć, a dzieci stroiły przerażające miny albo pokazywały język urządzeniu.

Za pająkomobilem stała klatka, w której siedzieli na słomie schwytani Zaginieni Chłopcy i gapili się na tłum. Od czasu do czasu któryś rzucał się na kraty, wykrzykując obelgi, a przestraszeni i zemocjonowani turyści odskakiwali do tyłu, patrząc, jak potężnie zbudowany strażnik traktuje dzikusa elektrycznym taserem. Tomowi było żal tych dzieciaków i niemal się ucieszył, że Wren nie ma wśród nich.

W pobliżu ładna młoda kobieta w uniformie Oceanarium pokazywała grupce dzieci jakieś szczegóły. Tom poczekał aż skończy, a potem podszedł bliżej.

– Przepraszam, może mi pani powiedzieć, ile schwytano tych pająkomobili?

Dziewczyna była naprawdę śliczna. Jej uśmiech niemal oślepił Toma.

– W sumie dziewiętnaście, proszę pana – odpowiedziała. – A trzy zostały zniszczone na morzu.

– Czy był wśród nich „Autolik”?

Uśmiech zniknął. Zbita z tropu, zaczęła kartkować notatki. Do tej pory nikt jej nie pytał o nazwy mobilii.

– Niech no sprawdzę... – zamruczała. – Zdaje mi się... O, jest! „Autolik” był jednym z pierwszych pająkomobili, które schwytaliśmy jeszcze na zachodnich morzach, daleko od gniazda tych piratów. – Uśmiech powrócił na jej twarz. – Pewnie wypłynął na jakąś bandycką wyprawę a my go pochwyciliśmy...

– Co się stało z załogą?

Kobieta wciąż się uśmiechała, ale w jej oczach błysnęła niepokój. Zaczęła się zastanawiać, czy Tom nie jest jakimś dziwakiem.

– Musi pan zapytać pana Shkina. Nabisco Shkina. Wszyscy więźniowie stanowią własność Korporacji Shkin.

– Co to jest Korporacja Shkin? – spytała Hester, która usłyszała taką samą informację od sprzedawcy używanych sterowców w porcie lotniczym.

– Handlarze niewolników – odparł, spluwając na pokład czarnym sokiem tytoniowym i puszczając oko do Hester.

– Wszyscy chłopcy i dziewczynki, których wyłowili z morza, są teraz jego niewolnikami i dobrze im tak.

Niewolnikami, pomyślała Hester, wędrując coraz bardziej zatłoczonymi ulicami. Cienie sterowców i balonów przesuwały się nad nią, gdy kolejne powietrzne łodzie lądowały w porcie,

wypuszczając na pokład rozgadane tłumy turystów. Niewolnica. Hester zepchnęła z chodnika grupkę uczniów jakiejś szkoły językowej. Jak ona to powie Tomowi? Że jego ukochana dziewczynka jest uwięziona w jakiejś szopie albo znosi tortury z rąk okrutnego właściciela...

Co gorsza, dowiedziała się, że nie uda się im kupić sterowca. Od czasu, kiedy ostatni raz była w tym mieście ceny poszły w górę, a całe złoto, które zabrała z Grimsby, nie starczyłoby na kupno zapasowego silnika na lotniczym szrocie. Wydała więc parę sztuk złota przy straganie za lotniskiem, kupując czarne okulary, które ukryły brak oka, i tiarę ze srebrnych kółek, która zasłaniała bliznę na czole. Kupiła też nową woalkę i długi do kostek, czarny płaszcz w miejsce tej szmaty, w której przyjechała z Anchorage. Im dłużej chodziła po mieście, tym bardziej poprawiał jej się nastrój. Podobało jej się słońce i tłumy, brzęk jednoręcznych bandytów i kiczowate frontony hoteli. Lubiła przebywać wśród ludzi, którzy jej nie znali i nie domyślali się, co ukrywa pod woalką. Podobali jej się przystojni młodzi piloci, którzy się uśmiechali na widok atrakcyjnej, tajemniczej, szczupłej i wysokiej kobiety z osłoniętą twarzą. I – choć niechętnie by się do tego przyznała – podobało jej się życie bez Wren. Była prawie zadowolona, że mała dała się porwać tym draniom.

Zatrzymała się, żeby spojrzeć na plan miasta. Potem przeszła przez kładkę dla pieszych nad Morskim Basenem i ruszyła w stronę Old Steine. Rozejrzała się wśród gości siedzących przy stolikach przed Pink Café, ale Toma jeszcze nie było. Miała ochotę napić się kawy i posiedzieć, czekając na niego, ale potem uznała, że brightońskie ceny nie są na jej kieszeń.

Przeszła się łagodnie zakręcając ulicą, oglądając wystawy sklepowe, aż trafiła na coś, co sprawiło, że zatrzymała się jak wryta.

W zaniedbanym budynku kiedyś mieścił się pewnie teatr. Wiśniowy neon nad drzwiami głosił, że w środku mieści się Interakcyjne Muzeum Nimroda Pennyroyala, a plakaty zachęcały: „Przeżyj przygody burmistrza Pennyroyala na pięciu kontynentach i w tysiącu miast! Pouczające atrakcje!” Na wystawie woskowa figura Pennyroyala przykuta do podłogi kartonowego lochu mechanicznie kiwała głową, spoglądając pytająco na sierpowate wahadło, które kołysało się na łańcuchu nad jej głową.

Burmistrz Pennyroyal? Hester często zastanawia się, jaki los spotkał oszukańczego odkrywcę, po tym jak postrzelił Toma i ukradł „Jenny Haniver”. Zawsze zakładała, że bogowie już dawno ukarali go za liczne podłości i kłamstwa. Mieli szesnaście lat na to, by wymyślić odpowiednią karę. Zamiast tego chyba go jednak nagrodzili. Pennyroyal żył. Ten Pennyroyal, który wiedział, czego się dopuściła. Sama mu to powiedziała, w rozbitej kuchni rodziny Aakiuq, kiedy zbierała siły, by zabić Masgarda i jego Wilki.

Podła miedziaka kasjerowi i weszła do środka.

Zdaje się, że turyści zwiedzający Brighton woleli jednak inne rozrywki i edukację, bo Interakcyjne Muzeum Nimroda Pennyroyala ziało pustką. Wnętrze wypełniał zapach muzealnego kurzu i jeszcze inna, nawet bardziej znajoma woń, kusząca i niepasująca do tego miejsca. Hester mijła nudne artefakty w szklanych gablotkach i rekonstrukcję wykopaliska, przy którym niegdyś pracował Pennyroyal. Obrazy i woskowe

dioramy przedstawiały sceny jego walki z niedźwiedziem, ucieczki ze statku powietrznych piratów i tej pamiętnej chwili, kiedy omal nie został zabity na ołtarzu wyznawczyń kultu artefaktów. Wszystkie te sceny opisał w swoich bestsellerach i wszystkie były wytworem jego wyobraźni. Tylko jeden z obrazów zrobił na Hester wrażenie.

Przedstawiał Pennyroyala z mieczem w dłoni, jak walczy z Wilczym Stadem Północy, a obok spektakularnie kona piękna młoda kobieta. Dopiero po dłuższej chwili wpatrywania się w to dzieło Hester spostrzegła, że nieszczęsna ma na oku przepaskę, a policzek przecina jej estetyczna blizna.

– Bogowie! – wykrzyknęła. – Ta cizia ma być mną?

Jej głos poniósł się głośnym echem po pustych salach.

Gdy ucichł, do uszu Hester dotarł odgłos kroków. Kasjer z kiosku wsunął głowę przez drzwi i zapytał:

– Wszystko w porządku, proszę pani?

Skinęła głową, bo ze złości odebrało jej głos.

– Wspaniały obraz, prawda? – spytał. Był przyjacielskim człowieczkiem w średnim wieku. Kilka pasm słomkowożółtych włosów zaczesał starannie na łysinkę. Podszedł do Hester i uśmiechnął się z dumą, spoglądając na obraz.

– Inspiracją do niego były końcowe rozdziały *Złota drapieżcy*, w którym Jego Ekscelencja opisuje walkę z Wilczym Stadem z Archangielska.

– Kim jest ta dziewczyna? – spytała Hester.

– Nie czytała pani *Złota drapieżcy*? – odpowiedział zdziwiony. – To Hester Shaw, pilotka, która sprzedała Anchorage Wilczemu Stadu. Biedaczka okupiła swoje przewinienie śmiercią u boku Pennyroyala. Zginęła od miecza

przywódcy Wilczego Stada, Piotra Masgarda.

Hester odwróciła się pospiesznie i weszła po zakurzonych metalowych schodach, prowadzących na piętro muzeum. Ledwie dostrzegała mijane eksponaty, bo jej głowę wypełniły rozbiegane, spanikowane myśli. Wszystko stracone! Pennyroyal nie tylko wiedział, co zrobiła, ale opisał to w książce! Namalowano to na obrazach! Nawet jeśli poprzekręcał fakty, pod nimi ukrywała się prawda, czarno na białym, na kartach jego książki. Hester Shaw sprzedała Anchorage Wilczemu Stadu. Kiedy Tom się o tym dowie...

Czy kochałby ją dalej, gdyby wiedział, jaka jest naprawdę?

Doszła na górę schodów. Znajomy zapach przybrał na sile i nagle sobie przypomniała, co tak pachniało: połączenie paliwa lotniczego i balonowego gazu. Spojrzała wyżej.

Całe górne piętro stanowiło wielką, przeszkloną salę, a na samym środku, na metalowych podporach, tkwił sterowiec. Stary, sfatygowany, z nazwą „Arktyczna Ruletka” wypisaną na burcie, ale przecież Hester wszędzie poznałaby tę zgrzewaną gondolę i naprawiane setki razy silniki Jeunet-Carot. Przeżyła dwa lata w tych ciasnych kabinach i przeleciała pół świata pod tym wiekowym, czerwonym balonem. To była „Jenny Haniver”.

– Paskudna stara wanna, nieprawdaż?

Hester nie zauważyła, że opiekun muzeum wszedł za nią po schodach. Stał tuż za nią i uśmiechał się życzliwie.

– Hester Shaw, umierając, oddała ten sterowiec profesorowi Pennyroyalowi, a on odleciał nim do Brighton przez burze polarne i roje piratów powietrznych.

Wokół gondoli zbudowano drewniany pomost dla

zwiedzających. Hester wspięła się po schodkach i zajrzała do środka przez zakurzone okna, wspominając prawdziwe losy sterowca. Tam była kabina na rufie, z wąską koją, na której sypiali razem z Tomem. A tu fotel pilota, gdzie spędziła tyle długich wacht. Na tych deskach pokładu została poczęta Wren...

Pociągnęła nosem.

– Pachnie, jakby była gotowa do startu.

– Bo tak właśnie jest, proszę pani. Jest pani pilotką?

Hester rzuciła mu zaskoczone spojrzenie, zastanawiając się, czy jej nie rozpoznał, ale po prostu chciał być miły.

– Tak – odpowiedziała, a ponieważ spojrzał, jakby chciał dowiedzieć się więcej, dodała: – Jestem kapitan Valentine ze sterowca „Freya”.

– Ach! – odpowiedział z zadowoleniem i gestem głowy wskazał „Jenny”.

– Jutro poleci na czele parady historycznych sterowców, pani Valentine.

Hester dotknęła zimnego silnika i wyobraziła sobie, jak mruczy, budząc się do życia. Zaczynała dochodzić do siebie po szoku, jaki przeżyła przed chwilą. W końcu Tom doskonale wiedział, jakim kłamcą był Pennyroyal. Dlaczego miałyby wierzyć w słowa tego starego łajdaka na jej temat. Uśmiechnęła się pod woalką swoim krzywym uśmiechem.

– To będzie piękny pokaz – powiedział mężczyzna z uśmiechem. – Odegrają jedną z najbardziej dramatycznych przygód profesora Pennyroyala: bitwę „Arktycznej Ruletki” z oddziałem starych sterowców ucharakteryzowanych na pirackie sterowce. Z prawdziwymi raketami i tak dalej...

Hester rozejrzała się po sali.

– Jak ją stąd wyprowadzicie?

– Słucham? – zapytał przewodnik. – Dach jest podnoszony. Unosi się do góry, jak w hangarze. Burmistrz po prostu uniesie się stąd w powietrze.

Hester skinęła głową i spojrzała na zegarek. Zapomniała o spotkaniu z Tomem i spóźniła się już dwadzieścia minut. Zeszła na dół, a przewodnik pośpiesznie dreptał za nią. W sklepiku z pamiątkami przy wyjściu sięgnęła po egzemplarz *Złota drapieżcy* i rzuciła mu kilka monet.

– Jeśli wolno się odważyć, pani Valentine – powiedział, szukając drobnych w kasie. – Może zechciałaby pani pójść ze mną jutro na pokaz? Potem z przyjemnością zaprosiłbym panią na kolację.

Ale kiedy podniósł wzrok, tajemnicza pilotka zniknęła; drzwi wyjściowe właśnie się za nią cicho zamykały.

Hester pomaszerowała energicznie wzdłuż Old Steine w stronę kawiarni, wciskając książkę Pennyroyala do kieszeni. Głupia, ale pochlebna prośba opiekuna wystawy sprawiła, że znowu poczuła się atrakcyjną, tajemniczą kobietą, a wcześniejsza panika kompletnie się rozwiała. Wiedziała, że wszystko będzie dobrze. Pokaże Tomowi tę książkę i będą się razem śmiać ze wszystkich kłamstw Pennyroyala. Potem ona wyrwie Wren z łap handlarzy niewolników, odzyskają „Jenny Haniver” i odlecą razem do domu.

Wszystkie stoliki przed kawiarnią były zajęte, ale Toma w dalszym ciągu nie było widać. Zaniepokoiła się i zaczęła się za nim rozglądać. Nigdy się nie spóźniał, a ona paliła się, by przedstawić mu swój plan.

– Hester? – spytała jedna z kelnerek niewolnic, podchodząc do niej ze złożoną kartką w dłoni. – Pani nazywa się Hester, prawda? Pewien dżentelmen nie mógł się na panią doczekać. Prosił, żebym to pani przekazała.

Podąła jej ulotkę Oceanarium. Na odwrocie Tom swoim starannym pismem napisał: *Najdroższa Het, zobaczymy się w D. Wren została niewolnicą. Idę do Pieprzniczki, może uda mi się ją odkupić.*

24. „ŻAŁOBNY WIR”

Flota powietrzna rozwijała dobre tempo od samego Shan Guo. Przelecieli nad turkusowymi wodami Zatoki Perskiej i teraz płynęli na zachód nad wzgórzami Jabal Hammar. Cztery niszczyciele leciały w jednej linii, a wokół nich powietrze dygotało, rozdzielane rykiem eskortujących sterowce myśliwców. Lisie Duchy Murasakiego i Jastrzębie Ćmy Zhanga przeszukiwały niebo w poszukiwaniu nieprzyjacielskich machin z wędrownych miast.

Oenone Zero spoglądała w dół, na odległą ziemię przez szczelinę w opancerzonej gondoli „Żałobnego Wiru” – flagowego sterowca Łowczyni Fang. Oprócz cieni sterowców nie widać było żadnego ruchu, tylko głębokie koleiny wyżłobione przez gąsienice i koła przejeżdżających miast. Wzgórza straszyły dziurami, wyglądającymi jak ślady po żarłocznych ugryzieniach. Były to ślady po górniczych miastach, które napychały sobie brzuchy rudami żelaza.

Oenone ucieszyła się na wieść, że będzie towarzyszyć swojej pani w tej tajemniczej wyprawie. Samotna, wysoko nad ziemią, na pokładzie sterowca Łowczyni na pewno znajdzie okazję, by posłużyć się swoją bronią. Ale świat oglądany z wysoka, zniszczony, pokryty bliznami wyoranymi przez drapieżne miasta sprawił, że znowu zaczęła mieć wątpliwości. Nienawidziła wojny, ale nienawidziła też drapieżnych miast.

Czy zabijając Fang, nie przyczyni się do ich zwycięstwa? Jeśli upadnie Zielona Burza, cały świat może się wkrótce zmienić w stosy gruzów, takie jak te w dole. Nie chciała brać tego na swoje sumienie.

– Wciąż szukasz wymówek, żeby nie robić tego, do czego dążyłaś, Oenone – skarciła się pełnym rozczarowania tonem, jakim matka zwracała się do niej, kiedy w dzieciństwie unikała odrabiania lekcji. – Straszny z ciebie tchórz!

Spojrzała przed siebie – w brązową mgłę, na którą w dużej mierze składały się spaliny wytwarzane przez miasta. Gdzieś tam w dole leżało Morze Środkowe. Pewnie było już niedaleko. Oenone próbowała odrzucić wątpliwości. Zbliżała się bitwa, a ona wiedziała już o bitwach na tyle dużo, by mieć pewność, że podczas niej zdarzy się wiele momentów chaosu i zamieszania. Wtedy będzie mogła zaatakować Łowczynię Fang, nie zwracając uwagi na siebie. Odwróciła się od otworu strzelniczego i wspięła się po schodkach, a potem poszła korytarzem, który dygotał od ryku silników. Z oficerskiej mesy dochodziły głosy. Podeszła niezauważenie i zaczęła się przysłuchiwać.

– Nakazała strzelać tylko do Brighton! – dziwiła się porucznik Zhao z oddziału artylerii pokładowej, ścisząc głos, by nie usłyszała jej Łowczyni. – Dlaczego akurat Brighton? Czytałam raporty wywiadu. To najmniejsze z miast, zwykły kurort na pontonach.

– Ona ma własnych szpiegów – odpowiedział nawigator Cheung, wpatrując się we własny kubek, jakby z herbacianych liści na dnie chciał wywróżyć, co planuje Łowczyni. – Ma supertajnych agentów, którzy kontaktują się tylko z nią.

– Tak, ale dlaczego jednego z nich posłała do Brighton?

– A kto to wie? Pewnie tam jest coś ważnego.

– Na przykład co? – Zhao pokręciła głową. – Na tych wzgórzach pod nami grasują bogate drapieżne miasta. Dlaczego muszę oszczędzać rakiety na Brighton, kiedy mogłabym nimi odstrzelić gąsienice tym tłuściochom?

– Lepiej nie kwestionować rozkazów, Zhao. To nie nasza sprawa.

To był głos zastępcy dowódcy misji, generała Nagi. Oenone zauważyła, że młodszy oficerowie prostują się instynktownie i pochylają głowę na dźwięk jego głosu. Naga był w Zielonej Burzy od samego początku. Jedno z najsłynniejszych zdjęć rebelii przedstawiało go, jak powiewa sztandarem z błyskawicą nad wrakiem Traktiongradu. Był wtedy jeszcze młody i przystojny. Kiedy Oenone była nastolatką, powiesiła na ścianie swojej sypialni plakat z generałem. Teraz Naga nie był już ani młody, ani przystojny. Posiwiał, a jego pociągłą, smagłą twarz pokrywały blizny i zmarszczki. Miał trzydzieści pięć lat, co według norm w armii Zielonej Burzy oznaczało starego człowieka. W bitwie pod Xanne-Sandansky stracił rękę, a oblężenie powietrzne Omska kosztowało go utratę władzy w nogach. Mógł walczyć dalej tylko dlatego, że Korpus Rewitalizacji zbudował dla niego elektryczny egzozkielet.

– Mnie też nie podoba się ta misja – przyznał. Segmenty mechanicznej zbroi zaskrzypiały, gdy pochylił się nad stołem. – Brighton nie jest dla nas zagrożeniem, a poza tym słyszałem, że przez całe lato polowało na tych pasożytniczych łajdaków na północnym Atlantyku. Byłem kadetem w Gnieździe Szerszeni, kiedy zaatakowali naszą bazę. Ci dranie wytlukli

moich najlepszych przyjaciół, więc cieszę się, że Brighton zrobiło z nimi porządek. Ale rozkaz to rozkaz, a jeśli w dodatku wydaje go Ognisty Kwiat...

Przerwał nagle, wyczuwając obecność Oenone, która pokazała się w drzwiach.

– Chirurgiczko Łowczyni – powitał ją szorstko, zwracając się ku niej. Mechaniczna dłoń zacisnęła się na rękojeści miecza. Egzoszkielet klekotał i syczał, gdy generał skłonił się lekko. Oenone dostrzegła lęk na twarzach młodszych oficerów. Doskonale wiedziała, o czym teraz myślą: Od kiedy tu stoi? Ile udało jej się usłyszeć? Czy powtórzy to Łowczyni? Nawet Naga się jej obawiał.

– Wybaczcie, proszę – powiedziała, składając oficjalny ukłon, najpierw generałowi, a potem oficerom przy stole. Podeszła do termosu, naląła sobie kubek jaśminowej herbaty, na którą właściwie nie miała ochoty i wypila ją szybko, w milczeniu. Wszystkie oczy skierowane były na nią. Bali jej się prawie tak samo jak Łowczyni Fang. To znaczy, że nikt nie podejrzewał jej prawdziwych motywów.

A jednak na pokładzie „Żałobnego Wiru” znajdował się ktoś, kto ją podejrzewał. Gdy wyszła z mesy i wspięła się po wewnętrznych schodkach do swojej kabiny, położonej wysoko między zbrojonymi zbiornikami na gaz, Shrike obserwował ją z cienia. I cierpliwie czekał, kiedy wykona swój ruch.

25. PIEPRZNICZKA

Nadchodził już wieczór, gdy Tom zmierzał ku Pieprzniczce ulicami pełnymi roztańczonych karnawałowych korowodów. Jedna z parad przemieszczała się powoli Bulwarem Oceanicznym. Dziewczynki i chłopcy poprzebierani za syreny baraszkowali na elektrycznych poduszkowcach, za nimi tańczyły ogromne marionetki przedstawiające bogów morza, na końcach długich tyczek powiewały papierowe latarnie w kształcie ryb i smoków, a drag queens w ogromnych kapeluszach z piór rozsypywały konfetti z pokładów nisko lecących balonów towarowych. Między białymi budynkami widać było połyskujące morze, a w pewnym momencie Tom spostrzegł patrol nieprawdopodobnych latających maszyn, które rycząc silnikami, śmigły nisko nad dachami miasta. Zasłonił uszy dłońmi i obserwował ich przelot. Gdyby był młodszy, zafascynowałyby go te maszyny, ale teraz tylko przypomniały mu o tym, jaki świat potrafi być niebezpieczny i jak bardzo się zmienił, gdy on przebywał na odludziu. Im więcej go oglądał, tym bardziej marzył o tym, by wreszcie odnaleźć Wren i wrócić do spokojnej Winlandii.

Przepychał się przez tłum, zmierzając pod adres, który dostał od dziewczyny w Oceanarium. Wiedział, że Hester go ofuknie za to, że poszedł tam bez niej, ale nie starczyło mu cierpliwości, żeby czekać na nią w Pink Café. Poza tym nie

mógł zapomnieć, co zrobiła z Gargle'em i obawiał się jej reakcji na wiadomość o losie Wren. Chciał spokojnie porozmawiać z tym całym Shkinem. Może się okazać, że to rozsądny człowiek, który odda Wren rodzicom, kiedy dowie się prawdy. Jeśli nie, to Tom ją odkupi. Tak czy owak, obędzie się bez przemocy.

Kiedy zobaczył Pieprzniczkę, jego optymizm jeszcze wzrósł. Większość targowisk niewolników wyglądała jak slumsy i mieściła się w najgorszych zakątkach najniższych poziomów obskurnych, padlinożernych miast, a nie w eleganckich białych wieżach. Przed szklanymi drzwiami portier w szykownym czarnym uniformie zatrzymał go uprzejmie i sprawdził wykrywaczem metali, a potem zaprosił do recepcji, równie wyciszonej i eleganckiej jak hotelowe lobby. Były tam wygodne fotele, odporne rośliny doniczkowe o liściach pobłyskujących metaliczną zielenią, i logo Korporacji Shkin na ścianie, z wypisanym poniżej mniejszymi literami sloganem „Inwestujemy w ludzi”. Jedynym tropem, który mógł naprowadzić na to, czym to miejsce jest w rzeczywistości, były stłumione, gniewne okrzyki i brzęk metalu, dochodzące z dołu, spod podłogi przykrytej dywanem w kolorze morskiej wody.

– Przepraszam za hałas – powiedziała elegancko ubrana kobieta siedząca za czarnym biurkiem. – To ci nieznośni Zaginiony Chłopcy. Kiedy ich sprowadziliśmy, byli bardzo pokorni, ale z każdym dniem stają się coraz bardziej kłopotliwi i głośni. Ale to drobiazg. Jesienne aukcje zaczynają się już jutro, więc wkrótce się ich pozbędziemy.

– To znaczy, że jeszcze ich nie sprzedaliście?! – wykrzyknął Tom. – Bardzo się cieszę. Szukam mojej córki, Wren Natsworthy. Była wśród Zaginionych Chłopców i być może

zabraliście ją razem z nimi przez pomyłkę.

Cieniutkie, podkreślone kredką brwi kobiety podjechały do góry ze zdziwienia.

– Proszę chwileczkę zaczekać – powiedziała i pochyliła się nad kontuarem, żeby szepnąć coś do interkomu z brązu i bakelitu, który wydał się Tomowi bardzo futurystyczny. Po chwili napłynęła równie cicha odpowiedź, kobieta spojrzała na Toma z uśmiechem, i powiedziała:

– Pan Shkin przyjmie pana osobiście. Zapraszam na górę.

Tom skierował się ku spiralnej klatce schodowej, przechodzącej przez sufit, ale kobieta przycisnęła guzik na biurku i w ścianie otworzyły się wąskie drzwi. Tom uświadomił sobie, że to winda. Wprawdzie w niczym nie przypominała ogromnych publicznych wind, jakie pamiętał z dzieciństwa w Londynie. Ta była elegancka, nieduża jak szafa i wykładana w środku macicą perłową. Udał, że go to nie dziwi i wszedł do środka. Drzwi zamknęły się bezszelestnie i żołądek opadł mu w dół.

Kiedy drzwi otworzyły się ponownie, znalazł się w cichym, luksusowym biurze. Jakiś mężczyzna siedzący za takim samym czarnym, stalowym biurkiem, wstał, żeby go powitać.

– Pan Shkin? – zapytał Tom. Drzwi za nim zamknęły się cicho i winda zamruczała, odjeżdżając w dół.

Nabisco Shkin skłonił się nisko i wyciągnął do niego dłoń w szarej rękawiczce.

– Drogi panie Natsworthy – powiedział cicho. – Panna Weems powiedziała mi, że jest pan zainteresowany jedną z naszych niewolnic, dziewczynką imieniem Wren.

Toma ogarnął gniew, gdy ten człowiek tak spokojnie nazwał

jego córkę niewolnicą, ale opanował się i uściśnął podaną mu rękę.

– Wren to moja córka – wyjaśnił. – Została porwana przez jednego z Zaginionych Chłopców. Przyszedłem tu, by ją odzyskać.

– Czyżby? – Shkin skinął głową, uważnie obserwując Toma. – Niestety, nic nie wiedziałem o jej przeszłości. Dziewczynka już została sprzedana.

– Sprzedana?! – wykrzyknął Tom. – Gdzie ona teraz jest? W dalszym ciągu w Brighton?

– Muszę sprawdzić w papierach. W tym miesiącu mieliśmy duży obrót niewolnikami.

Drzwi windy otworzyły się znowu i gabinet zaczął się wypełniać ludźmi – strażnikami w czarnej liberii. Tom zorientował się, co się dzieje, dopiero gdy jeden z nich uderzył go uchwytem pałki w bok, a dwóch pochwyciło go, gdy zgiął się z bólu, spazmatycznie łapiąc oddech.

Nabisco Shkin obszedł gabinet, zaciągając płócienne żaluzje na wysokich oknach.

– Dużo dziś widokowych sterowców – wyjaśnił pogodnie. – Nie chcielibyśmy, żeby nam tu zaglądali weseli turyści, prawda?

W gabinecie zapadł półmrok. Shkin wrócił do biurka i powiedział do interkomu:

– Monica przyślij tu chłopca. Sprawdźmy, czy ten żaloszny typ naprawdę jest tym, za kogo się podaje.

Mężczyźni, którzy pochwycili Toma, wykręcili mu boleśnie ręce za plecami i trzymali mocno, ale niepotrzebnie się tak starali. Nie był w stanie ustać na nogach, a już na pewno nie

walczyć z czterema osiłkami. Czuł, jak jego serce trzepoce i tłucze się w piersi. Ból przeszył mu bok. Shkin podszedł bliżej, podciągnął mu rękaw z lekkim niesmakiem i ściągnął ślubną bransoletę.

– To moja własność! – sapnął Tom. – Proszę to oddać!

Shkin podrzucił bransoletę i złapał ją w powietrzu.

– Ty już nie masz żadnej własności – powiedział. – Sam stałeś się własnością. Chyba że masz dokumenty potwierdzające, że jesteś wolnym człowiekiem. Ale jeśli mówiłeś prawdę, to ich nie masz.

Podniósł bransoletę i spojrzał na nią z ukosa.

– HS i TN – przeczytał. – Jakie to wzruszające...

Winda zadzwoniła znowu. Wsiadł z niej kolejny strażnik – mały chłopiec, ubrany tak jak reszta w czarny uniform i czarne czako ze srebrnym logo korporacji na froncie.

– I co, Pulpet? – spytał go Shkin. – Poznajesz naszego gościa?

Chłopiec popatrzył na Toma.

– To on, panie Shkin – powiedział. – Widziałem go na monitorach, kiedy byliśmy w Anchorage. To jest tata Wren.

– Jakim sposobem... – zaczął Tom, i nagle zrozumiał, kim jest ten dzieciak. Pulpet. To o nim mówił Wujek. To był ten nowy, który porwał Wren! Tom wiedział, że powinien być wściekły na tego dzieciaka, ale nie potrafił. Za to był wściekły na Shkina, bo zobaczył logo korporacji wypalone na chudej dłoni chłopca. Kim trzeba być, żeby zrobić dziecku coś takiego? Jakie miasto pozwala na to, żeby ktoś taki bogacił się i obrastał w zaszczyty? Powiedział więc tylko:

– Pulpet, powiedz mi tylko, jak się ma moja Wren? Czy coś jej się stało? Czy wiesz, kto ją kupił?

Pulpet już miał odpowiedzieć, ale Shkin go powstrzymał:

– Nic nie mów, chłopcze.

Jeden ze strażników znów uderzył Toma, który stęknął bez słów, bo cios pozbawił go powietrza w płucach.

– Pulpet nauczył się posłuszeństwa – powiedział Shkin. – Dobrze wie, że jeśli mi się sprzeciwi, na powrót wtrącę go do celi z niewolnikami na sprzedaż, a tam jego przyjaciele rozedrą go na strzępy, bo zdradził Grimsby.

Jednym szarpnięciem rozerwał kamizelkę Toma, podciągnął mu koszulę i palcem w szarej rękawiczce przesunął po bliznach, pozostałych po dyletanckim zabiegu chirurgicznym Windolene Pye. Na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

– Burmistrz tego miasta jest niezmiernie irytującym człowieczkiem, panie Natsworthy – powiedział. – Zdaje mi się, że mógłby mi pan pomóc w ujawnieniu jego oszustw i kłamstw. Ale najpierw pańska córka musi mi pomóc odzyskać coś, co mi ukradł. Kto wie... jeśli zechcecie współpracować, może uwolnię was oboje.

Odwrócił się do biurka, podrzucił bransoletę do góry i złapał ją znowu. Pochylił się do mosiężnej tuby interkomu i powiedział:

– Panno Weems, proszę przygotować celę na środkowym poziomie dla pana Natsworthy i samochód dla mnie na siódmą trzydzieści. Pojadę na Old Steine. Zdaje mi się, że mimo wszystko wybiorę się jednak na bal do Jego Ekscelencji.

Hester zdążyła już zajrzeć do środka eleganckiego wieżowca,

ale Toma nigdzie nie było. Szukała go wszędzie, gdzie tylko się dało, w nadziei, że postanowił wrócić do „Śrubodźdzownicy”, zanim poszedł do handlarzy niewolników, albo że zajrzał jeszcze raz do Pink Café. Potem wróciła znowu pod Pieprzniczkę, zirytowana i nieco przestraszona. Była pewna, że Tom jest w środku i że przytrafiło mu się coś złego. Okna na wyższych piętrach były pozasłaniane żaluzjami, a w hallu czekała grupa ubranych na czarno strażników, którzy gawędzili z nadętą pannicą w recepcji. Hester przez chwilę miała ochotę wejść i zacząć ich wypytywać, ale nie chciała wylądować w tej samej pułapce co Tom. Strażnik na zewnątrz spostrzegł, że zagląda do środka i zaczął się w nią wpatrywać, więc odeszła od razu, udając że jest zwyczajną turystką. Weszła do kawiarni po drugiej stronie placu, zamówiła mrożoną kawę i popijając ją przez słomkę, zaczęła się zastanawiać. Ten cały Shkin z jakiegoś powodu uwięził Toma. Może myślał, że Tom jest powiązany z Zaginionym Chłopcami. To akurat nie był wielki problem. Hester go uratuje, tak jak Tom niegdyś uratował ją, kiedy wylądowała w celi w Gnieździe Szerszeni.

Tylko jak się dostać do tej wieży? Strażnik przy drzwiach zwrócił już na nią uwagę, a w tym karnawałowym tłumie na ulicy nie da rady go zastrzelić z daleka. Och, biedny Tom! Dlaczego poszedł tam sam? Powinien już dawno zrozumieć, że sam nie upora się z człowiekiem pokroju Nabisco Shkina.

Zapłaciła za kawę i spytała kelnera:

– Czy to jest wieżowiec pana Shkina? Ta wieża? Chyba jest za mała, żeby zmieściło się tam tylu niewolników.

– Bo ta wieża niejedno ukrywa – odparł, z zadowoleniem spoglądając na suty napiwek, który położyła na stole. –

Wszystkie cele są na dolnym poziomie. Tam trzymają tych wszystkich okropnych piratów.

Hester znowu pomyślała o Gnieździe Szerszeni. Udało jej się wtedy bezpiecznie wyprowadzić Toma na zewnątrz, gdy zapanował chaos podczas ataku Zaginionych Chłopców. Potem wyszła z kawiarni i ruszyła przed siebie energicznym krokiem, sprawdzając tylko, czy spod eleganckiej kurtki nie widać rewolweru, który miała przy pasku.

26. W OCZEKIWANIU NA KSIĘŻYC

Gdy słońce zachodziło krwawo za mgłą, okrywającą Afrykę, powiał silniejszy wiatr. Brighton zaczęło się łagodnie kołysać na grzbietach długich, okrytych białą pianą fal, biegnących w stronę plaży. Niezrażone kołysaniem dzieci paradowały przez Bulwar Oceaniczny, powiewając kolorowymi proporczykami i papierowymi latarniami, a tysiące samorodnych artystów organizowało prywatne wystawy w swoich domach.

– Przynajmniej mają coś do roboty – stwierdził Nimrod Pennyroyal, przyglądając się temu wszystkiemu filozoficznie z jednego z pomostów widokowych Siódmego Nieba. – W tym mieście jest takie mnóstwo podrzędnych malarzy i artystów, że musimy co tydzień albo dwa organizować jakiś festiwal. Dzięki temu zyskują poczucie, że ich głupie życie ma w ogóle jakiś sens.

Obok niego przepłynęła chmura baniek mydlanych wypluwanych w niebo przez artystyczną instalację w Parku Królowej. Wieczorna bryza przyniosła ze sobą karnawałowe odgłosy: gitary i kakofony dźwięczące na ulicach historycznego Pasa Musli i świst fajerwerków, które zbyt wcześnie odpalano na nadmorskich bulwarach.

Na błękitno-zielonych trawnikach, w cieniu cyprysowych zagajników zaczęli gromadzić się goście. Wszyscy mężczyźni wdziali wizytowe szaty, a kobiety wyglądały cudownie w

balowych sukniach mieniących się księżycowym srebrem albo głębokim granatem nieba o północy. Papierowe lampiony rozwieszono wzdłuż wszystkich ścieżek i na kolumnadach, pod którymi muzycy stroili już instrumenty. Pojawiły się Skrzydlate Fretki, niesłychanie stylowo wyglądające w podbitych barankiem lotniczych uniformach i białych jedwabnych szalikach. Rozmawiały donośnymi głosami o „działach i bandytach którzy wykąпали się w słonym bajorze”. Orla Twombly, z polakierowanymi, zaczesanymi w tył włosami, uczepliła się ramienia Pennyroyala.

Przed tańcami podawano drinki i tartinki. Wren krążyła z tacą między gośćmi, podobnie jak jej koleżanki. Strój zaprojektowany specjalnie na festiwal był twarzowy, ale nieco przesadny: obszerne szarawary i tunika zrobione z lejącej się, srebrzystej tkaniny, której nawet nie potrafiła nazwać. Ale goście nie zwracali na nią uwagi: interesowała ich jedynie zawartość tacy, którą im podsuwała. Przeciskała się przez tłum gości i las rąk, częstujących się przysmakami i drinkami bez jednego ”dziękuję” albo „za pozwoleniem”.

Nie przeszkadzało jej to. Była wciąż zmęczona i rozdrażniona wydarzeniami z poprzedniej nocy. W Pawilonie panowała dziwna atmosfera: gwardziści kręcili się wszędzie, zaostrozono środki bezpieczeństwa. Inne niewolnice ciągle ją wypytywały, czy widziała trupa na własne oczy i czy naprawdę wszędzie było pełno krwi. Co gorsza, pani Pennyroyal uśmiechała się porozumiewawczo za każdym razem, kiedy się spotykały i szukała pretekstów, by posyłać ją do pokojów, gdzie akurat był Theo Ngoni albo wysyłała Theo w miejsca, gdzie akurat pracowała Wren. Zupełnie jakby się

spodziewała, że kiedyś ktoś napisze o tym operę, w której znajdzie się partia dla dojrzałego sopranu – roli Boo-Boo Pennyroyal, uczuciowej pani domu, dzięki której rozkwitła miłość głównych bohaterów.

O dziwo, wszystkie te uprzejmości obudziły we Wren niechęć do Boo-Boo. Mieć niewolników to jedno, a ułatwiać im romansowanie to zupełnie inna sprawa. Miała poczucie, że burmistrzowa chce ją skrzyżować z Theo jak parę rasowych pudelków.

Cieszyła się więc, że na jakiś czas stała się niewidzialna w swoim srebrzystym kostiumie, mogła przysłuchiwać się rozmowom i przyglądać gościom. Niemal wszystkie twarze naokoło były znane z rubryki towarzyskiej „Palimpsestu”. Byli tam najbardziej znani malarze, Robertson Gloom i Ariane Arai. Obok stała cudowna Davina Twisty, która niedawno triumfowała w spektaklu *Serca otwarte na oścież* w teatrze Marlborough. Ten człowiek w cylindrze to z pewnością rzeźbiarz Gormless, którego dziwaczne prace zaśmiewały parki i skwery miasta jak zapory z drutu kolczastego. A tu sam wielki P.P. Bellman, autor ateistycznych ruchomych książeczek dla modnych przedszkolaków! Ciekawe, jak by się poczuli na wieść, że niecałe dwadzieścia cztery godziny temu w Siódmym Niebie wydarzyło się morderstwo.

Spotkała Cynthię i spytała cicho:

– Są jakieś wiadomości?

– Wiadomości? – powtórzyła Cynthia, równie piękna i bezmyślna jak słońce.

– O tym biednym panu Ploverzy. Może już wiedzą, kto to zrobił?

– Och! – Złociste loki Cynthii podskoczyły, gdy potrząsnęła głową. – Nie. A pani Pennyroyal powiedziała, że nie wolno nam o tym rozmawiać. Ale co to ja słyszałam o tobie i o Theo?

– Nic takiego. Boo-Boo ma bogatą wyobraźnię.

– Zarumieniłaś się, Wren! Przecież wiem, że ci się podobał. Widziałam, jak rozmawiałaś z nim wtedy nad basenem. Pamiętasz?

Wren zostawiła rozchichotaną przyjaciółkę i zaczęła przeciskać się przez tłum, pytając:

– Czy ma pan ochotę czegoś się napić? Może kanapeczkę, Madame? – Zbierała też puste szklanki, a do uszu wpadały jej fragmenty równie pustych rozmów.

– Popatrz tylko, co ta Twisty ma na sobie!

– Koniecznie musisz poznać Glooma, jest taki zabawny!

– Czytałaś ostatnią powieść Bellmana? Genialna! Najlepsza literatura naszej ery powstaje dla czterolatków...

Robiło się coraz ciemniej. Davina Twisty namawiała przyjaciół i fanów, żeby zagłębili się wraz z nią w niesłychanie skomplikowany labirynt ze strzyżonych żywopłotów. Orkiestra grała *Złote echa* i *Księżycową kołysankę*. Wkrótce miał wzejść księżyc i wszyscy czekali na pokaz fajerwerków, żeby potem pójść na tańce do pawilonu, a po tańcach zjeść kolację. Wykończona obsługiwaniem gości Wren zatrzymała się w zacisznym kącie ogrodu, niedaleko skraju platformy. Rozkoszowała się chwilową samotnością i spoglądała przez morze na zbrojne miasta. Wyglądały melancholijnie, przycupnięte na wydmach jak świątynie ludu, który odszedł w niepamięć.

Nagle czyjaś dłoń wpełzła na jej ramię jak szary pająk.

Odwróciła się i spojrzała w nieprzeniknioną twarz Nabisco Shkina.

– Podziwiasz widoki, moja miła? – zapytał. – Mam nadzieję, że żaden z gości Jego Ekscelencji nie zauważył, że się obijasz. Korporacja Shkin ma reputację firmy, dostarczającej bardzo pracowitych niewolników.

Wren odsunęła się i chciała wrócić w gwarny, roześmiany tłum, ale Shkin zastąpił jej drogę. Czego od niej chciał? Na pewno śledził ją w ogrodach, wyczekując, aż będzie mógł porozmawiać z nią na osobności. Zrobiło jej się zimno ze strachu. Podniosła pustą tacę i zasłoniła się nią jak tarczą, ale Shkin tylko się roześmiał. Nie spodobał jej się ten śmiech. Woląла jego lodowate milczenie.

– Z jakiej racji miałbym cię skrzywdzić, dziecko? – zapytał. – Chcę tylko, żebyś zrobiła dla mnie jedną rzecz. Zupełnie prosty drobiazg. Wiesz, gdzie jest prywatny sejf twojego nowego pana?

Wren skinęła głową.

– Mądra dziewczynka. – Shkin podał jej starannie wycięty kwadracik papieru z wypisaną na nim cyfrą. – To jest szyfr. Przynieś mi Cynową Księgę. Wczoraj posłałem po nią znajomego, ale zdaje mi się, że miał jakiś wypadek.

Wren opuściła tacę i pomyślała o nieszczęsnym panu Ploverzy.

– Skąd taka chmurna mina? Przecież już ją raz ukradłaś. Pulpet mi wszystko opowiedział – dodał Shkin.

– Nie zrobię tego! – odpowiedziała. – Nie zmusi mnie pan.

– To twój ojciec ma pecha – mruknął Shkin i schował kartkę do wewnętrznej kieszeni swej grafitowej wieczorowej szaty.

Lekko wzruszył ramionami. – Jaka szkoda! Pomyśleć tylko, że przyjechał z tak daleka, żeby cię ratować!

Wren nie miała pojęcia, o co mu chodzi – do chwili, gdy sięgnął do drugiej kieszeni i wyjął z niej bransoletkę. Położył ją na tacy. W świetle lampionów wiszących na pobliskich drzewach Wren natychmiast zorientowała się, że to ślubna bransoletka taty. Widywała ją przecież co dnia – krążek z czerwonego złota, na którym wygrawerowano splecione litery HS i TH. Ale skąd się wziął ten przedmiot w Siódmym Niebie?

– To jakieś oszustwo! – powiedziała. – Pewnie Pulpet ją panu opisał, a pan kazał zrobić kopię...

– Nie sądzisz, że to raczej twój kochany tatuś przyjechał do Brighton, żeby cię zabrać do domu? – spytał Shkin. – W tej chwili jest gościem Korporacji. Jeśli nie wypełnisz zadania, które ci właśnie zleciłem, umrze. Powolną śmiercią. Więc bądź tak miła i szybciotko pobiegij do biura Pennyroyala.

W ogrodzie zapanowała cisza. Niektórzy z gości dołączyli do grupy idącej na ratunek Davinie Twisty, która zgubiła się w labiryncie. Inni uciszali hałaśliwych poszukiwaczy. Za chwilę miał wzejść księżyc. Wren zachciało się płakać na myśl o tym, że tata jest tak blisko. Jakim sposobem tu dotarł? Jak Shkin na niego natrafił? I gdzie jest mama? Wyciągnęła rękę po bransoletkę, ale prestidigitatorskie dłonie Shkina w ułamek sekundy podmieniły ją na kartkę papieru z szyfrem.

– Zrób dla mnie ten drobiazg, a wtedy się spotkacie. Potem wyślę was oboje do Winlandii moim własnym sterowcem – zamruczał kojąco.

Wren nie uwierzyła w ani jedno słowo tej obietnicy, ale w resztę jego opowieści, owszem. Ojciec był w łapach Shkina.

Jeśli ona nie spełni polecenia tego drania, tata zginie. Najgorsze, że to wszystko było jej winą: gdyby nie wzięła tej książki z biblioteki, tata dalej byłby bezpieczny w Anchorage. Więc, jeśli ponowna kradzież była jedynym sposobem, by zapewnić mu bezpieczeństwo, przynajmniej przez chwilę, to trzeba to zrobić.

– Ale dlaczego ja? – spytała. – Na pewno zna pan mnóstwo osób, które lepiej ode mnie potrafią się włamać do sejfu.

– Powinnaś mieć więcej zaufania do samej siebie – odpowiedział Shkin. – Z tego co słyszałem, jesteś utalentowaną włamywaczką. Poza tym jeśli cię przyłapią, nikt cię nie powiąże ze mną. Przecież sama przywiozłaś tu Cynową Księgę. Pennyroyal będzie przekonany, że po prostu chciałaś ją odzyskać.

Wren wzięła podaną jej kartkę. Robiło się coraz ciemniej, bo jej koledzy niewolnicy chodzili między drzewami, gasząc lampiony, ale biały prostokąt nieomalże świecił własnym blaskiem.

– Dobrze – szepnęła przez ściśnięte gardło. Opuściła tacę i spytała jeszcze: – Co jest w tej księdze? Powinnam to wiedzieć. Czym jest Cynowa Księga i dlaczego wszystkim tak na niej zależy?

– Nie twoja sprawa – odparł Shkin, wpatrując się w horyzont. – Mogę na niej zarobić. Nie potrzebujesz wiedzieć nic więcej. Idź już. Masz robotę do zrobienia.

Wren pobiegła między drzewa, gdy święty księżyc właśnie wschodził nad horyzontem. Na kilka sekund nad Brighton zapanowała idealna cisza, bo według starej tradycji, Księżycowa Bogini często spełniała marzenia wypowiedziane

w tę świętą noc o wschodzie księżyca. Naturalnie, goście Pennyroyala byli zbyt wyemancypowani, żeby wierzyć w takie bajdy, ale mimo to skłonili w ciszy głowy. Niektórzy wprawdzie wzruszali ramionami i uśmiechali się, dając do zrozumienia, że robią to z dystansem, ale stare nawyki zwyciężyły, bo wszyscy przecież pamiętali magiczne Festiwale Księżycowe z czasów dzieciństwa. Życzyli sobie miłości, szczęścia i jeszcze większego bogactwa. W dole, w mieście Brighton, artyści życzyli sobie sławy, a aktorzy ról w popularnych sztukach. Na dolnych pokładach niewolnicy i najemni robotnicy marzyli o wolności. Nagle ciszę przerwał pojedynczy wystrzał fajerwerku. Potem rozległ się kolejny, a po nim już cała kanonada rakiet i petard przy brzęku dzwonów, gongów i patelni tak donośnym, by usłyszała je Bogini podczas przechadzki po swoich porcelanowych ogrodach.

Nawet gdyby flota Zielonej Burzy nie pochwyciła wcześniej sygnału ze stacji Brighton, i tak trafiłaby tam jak po sznurku, kierując się na fontanny fajerwerków rozkwitające na nocnym niebie nad pływającym miastem. Przystawiono wiatrowskazy i statki bojowe wyostrzyły kurs na cel, rozpościerając się tyralierą na nocnym niebie. Ich załogi zaczęły przygotowywać wyrzutnie rakiet i karabiny maszynowe, bomby-wirówki i stada raptorów, a eskortujące myśliwce ruszyły przodem.

W trzewiach „Żalobnego Wiru” Shrike sprawdził, co robi Oenone Zero. Była w swojej kabinie i przymierzała stalowy hełm, w którym wyglądała jeszcze

młódziej i mniej bojowo niż zwykle. Zdumiewało go tchórzostwo tej kobiety. Był pewny, że spróbuje zaatakować Łowczynię Fang, zanim flota dotrze do celu. Czyżby zrezygnowała ze swoich planów? Może i tak. Kilkakrotnie przeszukał jej kabinę i nie znalazł tam żadnej broni.

Zawyły syreny. Korytarze i zejściówki sterowca były pełne przestraszonych śmiertelników i obojętnych bojowych Łowców śpieszących się, by zająć swoje posterunki. Shrike ruszył ku przedniej części gondoli i zastał tam swoją panią. Nie zwracając uwagi na załogę, spoglądała na olbrzymi księżyc.

– PO CO TU PRZYLECIELIŚMY? – zapytał.

Pośmiertna maska z brązu, będąca twarzą Łowczyni, odwróciła się w jego stronę. Do tej pory nie ujawniła nikomu celu tej ekspedycji i Shrike podejrzewał, że gdyby jakiś śmiertelnik, włącznie z generałem Nagą zapytał ją o to wprost, rozdarłaby mu gardło szponami za tę impertynencję.

Ale Shrike'a tylko zmierzyła spojrzeniem i szepnęła:

– Niech mi pan powie, panie Shrike, czy ma pan jakieś wspomnienia ze swojego poprzedniego życia? Z czasów gdy był pan śmiertelnikiem?

– NIE PAMIĘTAM NAWET MOJEGO ŻYCIA JAKO ŁOWCY – odpowiedział Shrike, choć prawdę mówiąc, przy tych słowach w jego myślach pojawiło się wspomnienie: zalana krwią twarz dziewczynki leżącej na kupie wodorostów i starych korkowych szaławików. Przygasił ją szybko, jak człowiek, który obcasem zdeptuje płomień. – NIE PAMIĘTAM NIC, DO CHWILI GDY DOKTOR ZERO OBUDZIŁA MNIE NA CZARNEJ WYSPIE.

Fang odwróciła się i znowu spojrzała przez lornetkę, ale widział zarys jej twarzy i dziwny błysk zielonych oczu, jak

ognik na bagnach.

– Kiedyś sobie coś przypomniałam – powiedziała. – Albo prawie. Młodego człowieka, którego spotkałam w Gnieździe Szerszeni. Nazywał się Tom. Kiedy go zobaczyłam, miałam wrażenie, że go skądś znam. Był bardzo przystojny. I bardzo dobry. Anna Fang musiała go lubić. Nie jestem Anną, ale kiedy na niego spojrzałam, pojawiło się... całe mnóstwo intrygujących odczuć.

– JESTEŚMY MARTWI – powiedział Shrike, który zaczął się czuć nieswojo. – NIE MAMY UCZUĆ. NIE MAMY WSPOMNIENÍ. ISTNIEJEMY, ŻEBY ZABIJAĆ. PO CO NAM WSPOMNIENIA?

– Kto wie, po co zbudowano pierwszych Łowców, jeszcze w Mrocznych Wiekach? – spytała Łowczyni. – To moje wspomnienia nas tu przyprowadziły, panie Shrike. Szukałam tego Toma. Chciałam się o nim dowiedzieć czegoś więcej, a raczej na powrót uchwycić te dziwne odczucia. Okazało się, że on i jego towarzysze są powiązani z lodowym miastem zwanym Anchorage. Kazałam więc wyszukać książki o tym mieście w wielkiej bibliotece w Tienjing. Mieli tylko jedną. *Historię Anchoragia Wormwolda*. Nie dowiedziałam się z niej nic o Tomie, ale za to pierwszy raz natrafiłam na informacje o Cynowej Księdze i domyśliłam się, co zawiera.

– CO JEST W TEJ KSIĄŻCE? – spytał Shrike.

– W Cynowej Księdze? – Łowczyni spojrzała na niego przekornie. Przechyliła głowę i przyłożyła palec do warg. – Cynowa Księga to cel naszej wyprawy, panie Shrike.

Hester także czekała na wzejście księżyca. Siedziała na

ławce, przy promenadzie na dolnym poziomie statku i zabijała czas, przeglądając *Złoto drapieżcy*. Uspokoila się. Wyglądało na to, że Pennyroyal ukrył prawdę wśród tylu kłamstw, że nikt jej już nie odnajdzie.

Gdy księżyc błysnął nad horyzontem, hałaśliwy tłum wyległ na pokłady, by podziwiać pokaz fajerwerków. Zaczęła przepychać się pod prąd, do dzielnicy niewolniczych slumsów i domów biedoty zwanej Mole's Combe. Zanim dotarła do wieży Shkina, na ulicach nie było już nikogo z wyjątkiem mew, które wyfrunęły z gniazd przerażone hałasem na promenadach i wzlatywały jak białe widma pomiędzy obłazającymi z farby, żelaznymi kratownicami nad pokładem.

Hester wcześniej przyjrzała się Pieprzniczce i obmyśliła, którędy się do niej dostać. Od strony rufy, między kubłami na śmieci i wiązkami przewodów przypominającymi tłuste węże, znajdowały się niewielkie, zardzewiałe tylne drzwi, nabijane ćwiekami jak luk łodzi podwodnej. Nad nimi zamocowano cynową kamerę, ale poza tym nie było innych zabezpieczeń. Tę część Pieprzniczki zaprojektowano, by zatrzymać ludzi w środku, a nie przeszkadzać im we wchodzeniu.

Ostrożnie podeszła do drzwi, trzymając się w cieniu. Jej serce biło pośpiesznie. Wyobraziła sobie, jak krew płynie przez żyły i arterie, napełniając ją chłodną siłą jej ojca. Czuła, że Wren i Tom są bardzo blisko, i że wkrótce będą razem i wszyscy będą szczęśliwi. Uśmiechnęła się do siebie pod woalką i wyciągnęła *Schadenfreude*. Potem poczekała na kolejną salwę fajerwerków i zestrzeliła kamerę znad drzwi.

Ledwie zdążyła schować rewolwer, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich ochroniarz. Oparł dłonie na biodrach i z

niesmakiem spojrział na dymiące resztki urządzenia.

– Wesołego Księżycyca! – zawołała Hester.

Odwrócił się. Wyraźnie zdziwił się na widok kobiety w woalce, która do niego podeszła. Jeszcze bardziej się zdziwił, kiedy wsadziła mu nóż między żebra.

Umarł bardzo szybko. Zaciągnęła zwłoki w cień, pomiędzy kubły ze śmieciami i weszła do budynku, cicho zamykając za sobą drzwi. Znalazła się w korytarzu. Z oświetlonego pokoiku ochroniarzy dochodziły jakieś głosy. Zajrzała przez szparę w drzwiach. W środku było jeszcze trzech mężczyzn. Jeden z irytacją dziobał palcem przycisk pod okrągłym monitorem, na którym widać było tylko śnieg. Dwaj pozostali, wyraźnie znudzeni, rozsiedli się na niewygodnych biurowych krzesłach ze szklankami napojów w dłoniach. Pewnie marzyli o tym, by spędzić święto z żonami i dziećmi.

Najpierw zastrzeliła tego przy monitorze, a potem dwóch pozostałych, kiedy skoczyli na równe nogi i próbowali wydobyć broń. Potem schowała się w cieniu, czekając, aż ktoś przyjdzie. Nikt się nie pojawił. Na zewnątrz huczały wystrzały i panował taki zgiełk, że nikt nie zwrócił uwagi na kilka cichych strzałów w korytarzu. Przeładowała swoją *Schadenfreude*, z dumą zauważając, że ręce prawie wcale jej się nie trzęsły.

Korporacja Shkin była dobrze zorganizowana i Hester całkiem się to podobało. Na ścianie pokoju strażników wisiał oprawny w ramki rozkład wszystkich pomieszczeń. Wystarczyła jej chwila, by nauczyć się go na pamięć. Potem, bezszelestnie i pewnie, zeszła do pomieszczeń niewolników. Przed solidnymi podwójnymi drzwiami stało na straży dwóch

mężczyzn. Jeden rzucił się na nią z elektryczną pałką, taką jak dla bydła, więc odsunęła się na bok i wbiła mu nóż w plecy, a potem podcięła gardło drugiemu, zanim zdążył uruchomić alarm. Ten drugi miał przy pasku pęk kluczy. Po krótkiej chwili znalazła właściwy.

Z pomieszczeń dla niewolników dochodziły tylko ciche ludzkie oddechy i szelest ciał poruszających się w zamknięciu. Gdy oczy przyzwyczyły jej się do ciemności, zaczęła odróżniać klatki stojące pod ścianami i twarze, które wpatrywały się w nią przez kraty.

– Tom? – zawołała.

Naokoło niej ludzie poruszali się w ciemności i szeptali. Więźniowie najbliżej drzwi widzieli martwych strażników na korytarzu i opowiadali o tym sąsiadom.

– Kto ty jesteś?! – krzyknął ktoś z głębi jednej z klatek.

– A ty? – odkrzyknęła.

– Nazywam się Kryl.

– Zaginiony Chłopiec? – Hester ruszyła w kierunku głosu. Po chwili spostrzegła czyjeś oczy, lśniące w smudze światła, która padała z uchylonych przez nią drzwi. Chłopak obserwował klucze w jej ręku jak głodny pies, który wpatruje się w ochłap na widelcu. Zadzwoiła nimi cicho, zachęcająco i spytała znowu:

– Czy jest tu Wren? Wren Natsworthy?

– Ta Jelenia dziewczucha, co była na „Autoliku”? – spytał Kryl.

– A kto pyta?

– Kobieta z kluczami – odpowiedziała Hester.

Zobaczyła w ciemności, jak jasna głowa chłopca pochyła się potakująco.

– Była przez chwilę w klatce obok, ale ją zabrali.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Pulpeta też zabrali, zaraz potem.

Przerwał na chwilę, bo splunął na samą myśl o swoim koledze. Z innych klatek rozległy się gniewne, pełne niechęci pomruki. Pulpet ewidentnie nie był zbyt lubiany.

– Ludzie Shkina powiedzieli nam, że zakapował. Zdradził Grimsby. Teraz chodzi w mundurze i bawi się w żołnierzyki. Nie wiem, co się stało z dziewczyną. Pewnie ją sprzedali.

– Był tu jej ojciec, Tom? Złapali go dzisiaj.

– Nic o o nim nie słyszałem. Tu nie ma Jeleni, proszę pani. Sami Zaginieni Chłopcy.

– Może jest w celi na środkowym piętrze?

– Możliwe.

Kryl poruszył się czujnie. Podobnie jak inni chłopcy w pobliskich klatkach. Nadśluchiwali uważnie, jak zwierzęta. Ci, którzy byli blisko Hester, nie spuszczaali wzroku z kluczy.

– Na górze będzie więcej strażników. Będziesz potrzebowała czegoś, co odwróci ich uwagę.

– Masz coś konkretnego na myśli? – zapytała.

Kryl uśmiechnął się chytrze. Hester też się uśmiechnęła pod woalką, bo właśnie coś takiego sobie zaplanowała. Rzuciła klucze Krylowi.

– Bawcie cię dobrze – powiedziała. Biegając ku schodom, słyszała brzęk, kiedy dobierał klucz do zamka swojej klatki. Zaginieni Chłopcy dopingowali go coraz hałaśliwiej, a ich głosy brzmiały jak zbliżający się przyływ oceanu.

27. NIEBEZPIECZNY SEJF

Burmistrz Pennyroyal kazał przed Festiwalem przebudować salę balową w Pawilonie. Frontową ścianę zastąpiono szeregiem wysokich okien, otwierających się na taras. Sączył się przez nie blask świętego księżyca. Z filarów wokół parkietu zwieszały się kaskady i kokardy ze srebrzystej tkaniny, w której odbijała się Mleczna Droga drobniutkich żarówek, wirujących pod ciemnogramatowym sklepieniem. Reflektory oświetlały podium, na którym grała niewielka orkiestra. Ściany obwieszono bezcennymi dziełami sztuki. Były wśród nich starożytne dzieła Strange'a i Niasa, sąsiadujące z najnowszymi obrazami ze smarków, autorstwa Hoovera Daleya, mistrza ekspresjonizmu kichawistycznego.

Z tyłu za główną salą postawiono sześcioboczne salki, a w każdej z nich znajdowały się przeróżne atrakcje dla gości. W jednej odtworzono nawet tak zwany „powietrzny zamek” – niezwykle przykład antycznych nadmuchiwanych fortyfikacji. Pennyroyal uważał, że była to swoista cecha starożytnej broni. Jednak budowli można też było używać jako trampoliny. W innej salce klekotał projektor, pokazując powielane setki razy fragmenty filmów, które przetrwały wojnę sześćdziesięciminutową. Rycerze w zbrojach galopowali przez płonący las, a ich długie cienie spowijał dym. Samoloty leciały w słońce, wschodzące nad tropikalnym lasem. Jakiś

dzieciak-włóczęga wędrował zakurzoną drogą. Samochody wyścigowe ścigały się jak miniaturowe miasta. Ktoś zwiślał ze zniszczonego zegara umieszczonego wysoko nad olbrzymią statyczną osadą, a łagodne, piękne zbliżenia ukazywały senne twarze bogiń ekranu.

Wren, która wbiegła do sali z ogrodu przejęta zadaniem, jakie miała wykonać dla Shkina, prawie nie zauważyła tego wszystkiego. Ale gdy przebiegała obok sali filmowej, kierując się ku kręconym schodom prowadzącym do gabinetu Pennyroyala, o mało co nie zderzyła się z Theo, który szedł w przeciwną stronę, ściskając w dłoni wachlarz ze strusich piór. Miał na sobie srebrne szarawary i srebrzyste anielskie skrzydła.

– Hej – przywitała go Wren. – Po co ci te skrzydła?

Wzruszył ramionami, a skrzydła zatrzepotały.

– Wszyscy chłopcy są tak ubrani. Boo-Boo to wymyśliła. Okropne, prawda?

– Koszmarne – zgodziła się Wren, choć w duchu pomyślała, że całkiem mu z nimi do twarzy.

– Słuchaj – powiedział. – Te pomysły Boo-Boo na nasz temat...

– Nie ma sprawy – przerwała mu Wren. – Też mi się nie podobasz.

– Świetnie.

– Tak jest.

Cieszyła się z tego spotkania i nie miała ochoty się rozstawać z Theo. Pomyślała, że łatwiej jej się będzie włamać do tego sejfu, jeśli będzie miała współnika. Szczególnie takiego jak Theo, który walczył w bitwach i pewnie miał co najmniej

dziesięć razy tyle odwagi co ona.

– Słuchaj – zaczęła. – Muszę zrobić jedną rzecz.

– Znowu chcesz uciec?

– Nie. Muszę coś zabrać z sejfu Pennyroyala.

– Żartujesz? Po tym co się przytrafiło temu antykwariuszowi?

Theo patrzył na nią, jakby chciał usłyszeć, że to tylko żart. Kiedy nie odezwała się ani słowem, powiedział:

– Chodzi o tę książkę, prawda? Tę metalową?

– O Cynową Księgę z Anchorage – sprostowała. – Shkin wysłał po nią Plover’y’ego, który zginął. Teraz chce, żebym to ja mu ją przyniosła.

– Dlaczego? – spytał Theo. – Co w niej jest takiego ważnego?

Wren wzruszyła ramionami.

– Wiem tylko, że nagle wszyscy chcą ją mieć. Myślę, że to ma coś wspólnego z łodziami podwodnymi, ale... – przerwała, zaniepokojona. Może nie powinna mu tego mówić. Był przecież żołnierzem Zielonej Burzy. Z drugiej strony była zadowolona, że mu się zwierzyła. Dotknęła jego ramienia. – Pochwylił mojego ojca i trzyma go w Pieprzniczce. Jeśli nie wykonam tego, co każe, to... nie wiem, co mu zrobi. Pomożesz mi?

Oczywiście, że wiedziała, co Shkin zrobi ojcu, tylko nie chciała tego mówić na głos. Naprawdę cieszyła się z obecności Theo.

– Twojego ojca? – spytał. – Nie wiedziałem, że Zaginione Dziewczynki mają ojców...

– Wcale nie jestem Zaginioną Dziewczynką – powiedziała. – Porwali mnie. Skłamałam Pennyroyalowi, że jestem z Grimsby,

bo... Och, Theo, to jest strasznie zawikłane. Szkoda czasu na wyjaśnienia. Po prostu muszę ratować tatę!

Widać było, że zrozumiał. Spoważniał, a na jego twarzy odbił się niepokój.

– Ale jeśli przy tym sejfie jest jakaś pułapka... – zaczął.

– Właśnie dlatego potrzebuję, żebyś stanął na straży. Proszę cię, Theo. Nie chcę tam iść sama.

– Miałem być w sali balowej.

– Boo-Boo świetnie się bawi. Nawet nie zauważy, jeśli znikniemy na pięć minut.

Theo przemyślał sprawę, a potem kiwnął głową.

– Dobrze. Jasne.

Chwycił wachlarz jak topór bojowy i ruszył śladem Wren po schodach, a potem przez drzwi do korytarza wykładanego antyczną boazerią. Drzwi zamknęły się cicho, tłumiąc odgłosy zabawy na dole. Kolejne dźwięki napłynęły, gdy mijali schody do sterowni. Dochodziły stamtąd słabe głosy mechaników gawędzących ze sobą na stanowiskach, ale nic poza tym. Wszyscy pozostali pracowali na sali balowej albo w kuchniach. W tej części Pawilonu nie było żywego ducha.

Dotarli do końca korytarza i zatrzymali się, spoglądając na drzwi do gabinetu burmistrza.

– A jeśli zmienił szyfr do sejfu po tym, co się stało w nocy? – szepnął Theo. – Albo zamek w drzwiach?

Wren nie pomyślała o tym. Mogła się tylko modlić, by to się nie stało. Szybko wymacała zapasowy klucz, wciąż ukryty w wazie. Z początku wydawało się, że nie pasuje, bo ręce trzęsły jej się jak nigdy. Po kilku chwilach majstrowania przy zamku przy wtórze przekleństw, klucz zaskoczył. Obróciła klamkę i

otworzyła drzwi. Gabinet był cichy i bezpieczny. Dziwaczny rysunek Walmarta wisiał na swoim miejscu. Wren podeszła i zdjęła go uważnie ze ściany, a potem odłożyła na biurko. Theo wszedł za nią i cicho zamknął drzwi, a potem o mało co nie rzucił z postumentu rzeźby, gdy zahaczył ją wachlarzem.

– Nie mogłeś zostawić tych durnych piór na zewnątrz? – zasyczała.

– Żeby ktoś je zobaczył na podłodze?

Odwróciła się do sejfu.

– Gotowy? – spytała.

Nie wyglądał na takiego.

– Myślisz, że ta pułapka jest w środku? – spytał.

Pokręciła głową.

– Zeszłej nocy był otwarty, pamiętasz? Nie widziałam w środku nic podejrzanego.

Mimo wszystko pilnowała się, żeby stanąć z boku, gdy sięgała ręką do tarczy.

– Pan Ploverzy otworzył sejf i wyjął książkę. Dopiero wtedy coś go dopadło. Teraz bądź cicho.

Zmarszczyła brwi, przypominając obie szyfr. 2209957...

Gdy tarcza klikała, a koła zębate w środku skrzypiały i szumiały, Theo powoli obracał się naokoło, szukając zagrożenia. W niewielkim gabinecie było niewiele miejsc, które mogłyby posłużyć do ukrycia pułapki. Przedmioty na biurku wyglądały zupełnie niewinnie – suszka, kilka piór, zdjęcie Boo-Boo w grubej, czarnej ramce. Pod przeciwną ścianą stała tekowa półka na akta. Nad nią wisiał jakiś obraz, a jeszcze wyżej ozdobne architektoniczne detale, wysoka kopuła sufitu i...

Czy wzrok go mylił, czy coś się tam poruszyło?

– Wren – powiedział.

Właśnie otworzyła drzwi, sięgnęła do środka i wyciągnęła sfatygowaną czarną oprawę.

– Mam ją.

– Wren!

Theo odepchnął ją na bok. Upuściła oprawę. Przewracając się na ziemię, miała uczucie, jakby coś białego przeleciało obok. Ostrze trafiło w otwarte drzwi sejfu. Było na tyle twarde, że aż poszły iskry. Cokolwiek to było, zawróciło i zaatakowało ją bijąc skrzydłami, kiedy leżała bezradnie na podłodze. Kątem oka dostrzegła postrzępione pióra, zakrzywiony stalowy dziób i zielone, błyszczące oczy. Wtedy wachlarz Theo trafił to stworzenie z boku i rzucił nim o ścianę. Rozległ się trzask. Trzepocący stwór upadł na podłogę i trzepotał dalej, wymachując pazurzystymi łapami, przypominającymi pęki brzytw. Theo uderzył go znowu. Roztrzęsiona Wren na ślepo macała po biurku, aż natrafiła na portret Boo-Boo i trzasnęła nim stworzenie w łeb.

Theo pomógł jej wstać.

– Nic ci nie jest? – spytał rozdygotanym głosem.

– Chyba nie. A tobie?

– Też nic.

Potem przez chwilę nie odzywali się do siebie. Theo wciąż ją obejmował, a ona opierała twarz o jego ramię. Całkiem przyjemne było to ramię. Ciepłe, o miłym zapachu. Chętnie zostałyby tak dłużej, ale zmusiła się, by się odsunąć. Mocno potrząsnęła głową, by pozbyć się myśli, które niepotrzebnie ją rozpraszały. W świetle księżycy wirowały strusie pióra.

– Co to było? – spytała, nerwowo trącając nogą nieżywe, podobne do ptaka stworzenie.

– Raptor – wyjaśnił Theo – Rewitalizowany ptak. Myślałem, że tylko Burza ich używa. Pewnie miał za zadanie pilnować sejfu.

– Jakim cudem wpadł w ręce naszego Pennyroyala? Jak myślisz?

Theo potrząsnął głową, zaniepokojony i niepewny.

– Może wcale do niego nie należy.

– To bzdura – powiedziała. – Po co ktoś inny miałby pilnować jego sejfu? – Podniosła czarną oprawę i otworzyła ją. Cynowa Księga zalśniła w blasku fajerwerków za oknem. Wyglądała nieciekawie, jak przedtem. Trudno uwierzyć, że wywołała takie zamieszanie.

Wren spojrzała na Theo.

– Idź już. Ja tu posprzątam i poszukam Shkina.

Theo przyglądał się Księdze. A potem powiedział:

– Pomogę ci.

– Nie. – Wren była mu bardzo wdzięczna i nie chciała, żeby zmitrężył więcej czasu, niż było to konieczne. Gdyby przyłapali ich tu razem i ukarali go za to, że jej pomógł, nigdy by sobie tego nie wybaczyła.

– Zejdź na dół – poleciła. – Ja przyjdę za minutę albo dwie. Znajdę cię później.

Znów chciał się sprzeciwić, ale potem dotarło do niego, że Wren ma rację. Skinął głową, przez chwilę przyglądał jej się z namysłem, a potem wziął swój sfatygowany wachlarz i wyszedł. Wren zabrała się do pracy. Ostrożnie wzięła zniszczonego ptaka i wetknęła go do szuflady biurka, razem ze

wszystkimi piórami, jakie udało jej się znaleźć. Na podłodze została plama krwi, a może oleju, ale nic z nią nie mogła teraz zrobić. Wyciągnęła Księgę z oprawy i w jej miejsce włożyła uszkodzoną fotografię Boo-Boo, która była podobnych rozmiarów i wagi.

Na korytarzu rozległ się jakiś krzyk. Wren znieruchomiała i zaczęła nasłuchiwać. Krzyki były gniewne i przerażone, ale nie mogła zrozumieć słów.

– Theo? – powiedziała na głos.

Podłoga zadygotała, jakby jakaś olbrzymia ręka potrzęsnęła Pawilonem za ramiona. Odległe odgłosy balu ucichły, bo rozmowy nagle przygasły, a orkiestra przestała grać. Wren wyobraziła sobie, jak przestraszeni muzykanci podnoszą wzrok znad partytur. Potem ludzie wybuchnęli śmiechem i znów zabrzmiała muzyka i rozmowy, szybko wracając do poprzedniego natężenia, jakby ktoś przekręcił gałkę urządzenia odtwarzającego efekty dźwiękowe przyjęcia.

– Zwykła turbulencja – mruknęła Wren. – Albo może jakaś awaria silników. Jeśli się dobrze zastanowić, te pierwsze głosy dochodziły właśnie od strony schodków prowadzących do sterowni. – Odetchnęła z ulgą i wróciła do pracy. Odłożyła oprawę do sejf, zamknęła go i powiesiła na miejscu dzieło Walmarta Strange’a. Podkasała długą tunikę i wsunęła Cynową Księgę z tyłu, za pasek od spodni. Tam będzie bezpieczna, pomyślała. Poczowała chłód metalu na plecach, a drucziana oprawka zaczęła ją drapać w gołą skórę.

Wyszła na korytarz, zamknęła drzwi i odłożyła klucz do schowka.

– Theo? – szepnęła. Nie odpowiedział. Nic dziwnego, pewnie

od dawna był już bezpieczny na sali balowej.

Nagle kątem oka pochwyciła jakiś ruch. Drzwi prowadzące na schodki do sterowni były otwarte i kołysały się na zawiasach przy każdym lekkim drgnięciu budynku. Stała i patrzyła na nie, pewna, że były zamknięte, kiedy przechodzili tamtędy z Theo w przeciwną stronę, ledwie parę minut wcześniej. Czyżby ktoś ze sterowni usłyszał, jak się rozbijali w gabinecie Pennyroyala i zszedł, żeby sprawdzić, co się dzieje?

Gwar na sali balowej znowu przybrał na sile, a potem przycichł. Ktoś wszedł przez drzwi na drugim końcu korytarza. Czyjeś pośpieszne kroki zastukały na wyfroterowanej posadzce. Na ścianie na rogu pojawił się długi cień. Spanikowana Wren chciała ukryć się ponownie w gabinecie, ale nie było czasu na szukanie klucza, więc skoczyła w otwarte drzwi do sterowni i zamknęła je za sobą.

Znalazła się w ciemnej, ciasnej klatce schodowej, przy kręconych schodkach przechodzących przez otwór w podłodze. Wiedziała, że prowadzą na niższe piętra, a potem przez szyb w platformie aż do przeszklonej sterowni. Widziała ją z kolejki linowej pierwszego dnia, kiedy Shkin przywiózł ją do Siódmego Nieba. Przytknęła ucho do drzwi i nasłuchiwała odgłosu kroków. Ten ktoś minął jej kryjówkę i poszedł dalej.

Już miała odetchnąć z ulgą, kiedy z dołu zabrzmiał czyjś okrzyk:

– Kto tam?!

Głos był znajomy, choć brzmiał w nim strach.

– Theo? – spytała. Nie bardzo rozumiała, co się stało. Co Theo robi tam w dole, w sterowni pełnej ludzi Pennyroyala? Czy cały czas był po jego stronie? Czy zszedł tam, żeby ostrzec

wszystkich, że jedna z niewolnic właśnie włamała się do sejfu ich pana?

– Wren – odpowiedział. – Stało się coś złego. Nie wiem, co mam robić...

Naprawdę się bał. Postanowiła mu zaufać i zbiegła po schodkach, czując jak Cynowa Księga przy każdym kroku dźga ją w siedzenie. Minęła wejście na parterze, a potem zeszła przewierconym przez platformę szybem o białych, metalowych ścianach nabijanych ćwiekami. Theo czekał na nią u podnóża schodów. Odsunął się, żeby przepuścić ją do sterowni.

Przez szklane ściany widać było rozpościerające się w dole Brighton, kiczowato ozdobione barwnymi festiwalowymi iluminacjami. Wszędzie naokoło na czystym niebie zakwitwały bukiety fajerwerków, barwiąc pulpity sterownicze na żółto i różowo. Widok, jaki się stąd rozpościerał, był chyba najpiękniejszy w całym Siódmym Niebie, ale dostęp mieli do niego tylko członkowie załogi – a ci leżeli martwi w swoich fotelach. Jeden z nich w dalszym ciągu miał nóż wbity w szyję. Zwykły, kuchenny nóż z Pawilonu, z herbem Pennyroyala na ręczce.

– Och, Quirke! – jęknęła Wren, żałując, że zjadła tyle kanapek. Gdy pochyliła się, by zwymiotować, myśli zawirowały jej w głowie. Żadna z nich nie była przyjemna. Kiedy spotkała Theo, nadchodził od strony kuchni, prawda? A teraz stała z nim sam na sam w sterowni pełnej ludzi pozabijanych kuchennymi nożami.

– Wszystko w porządku – powiedział, a ona pisnęła ze strachu, kiedy nieporadnie dotknął jej ramienia. Nie domyślał

się, jak bardzo zaczęła się go bać. Gdy się odsunęła, sprostował: – To znaczy, nic nie jest w porządku. Zobacz. – Pociągnął za jedną z potężnych dźwigni z brązu na pulpicie. – Nie działa. Wszystkie są zepsute. A tutaj...

Na głównym pulpicie była gruba czerwona dźwignia, zamknięta w szklanej skrzynce z mnóstwem wykrzykników i ostrzeżeń, że należy jej używać tylko w przypadku awarii. Ale ktoś jej i tak użył, tłukąc przedtem szybę.

– Do czego to służy? – spytała. Ale w tej chwili sama się zorientowała, bo Brighton z każdą chwilą stawało się coraz mniejsze, a wybuchy fajerwerków nad miastem coraz bardziej odległe.

– Do uruchomienia ładunków wybuchowych na linach łączących platformę z miastem... na wypadek gdyby tonęło. Nie czułaś szarpnięcia? Ktoś zerwał liny mocujące! Platforma dryfuje!

Spojrzała na niego z przerażeniem. W ciszy słychać było odgłosy zabawy na górze. Ona i Theo byli prawdopodobnie jedynymi ludźmi w Siódmym Niebie, którzy wiedzieli, co się dzieje.

– Theo – wymamrotała. – Weź sobie tę książkę.

– Co takiego?

Wydobyła ją ze spodni i wyciągnęła do niego. Ręce jej się trzęsły, przez co światło odbite od metalowej okładki zatańczyło na jego twarzy.

– Wren – powiedział. – Nie myślisz chyba, że to moja robota? Nawet gdybym był w stanie tego dokonać, to po co by mi to było?

– Bo chcesz zdobyć tę księgę, tak jak wszyscy inni. Jesteś

agentem Zielonej Burzy, prawda? Wiedziałaś, że jest w tobie coś dziwnego! Założę się, że specjalnie dostałeś się do niewoli, żeby znaleźć się w Pawilonie i wszystkich szpiegować. To ty zostawiłeś w gabinecie tę mewę, żeby pilnowała sejfu. A teraz odciąłeś liny i posłałeś Siódme Niebo w dryf, żeby wymordować wszystkich i uciec z Cynową Księżką! Dlatego nie chciałeś ze mną wykraść „Czajki”, prawda? Bo sam na niej zamierzasz uciec, kiedy będziesz już miał Księżkę!

– Wren! – krzyknął w odpowiedzi. – Pomyśl trochę! – Pochwylił ją, kiedy próbowała przemknąć obok i uciec na schody. Ujął jej dłonie i spojrzał szczerze w oczy.

– Gdybym chciał mieć tę księżkę, po co pomagałbym ci w kradzieży? Poczekalibyśmy, aż ta mewa zabije cię w gabinecie i spokojnie wyjąłbym księżkę z sejfu. Z tego co wiem, ty sama równie dobrze możesz być agentką. Bardzo zależy ci na Księdze. Byłaś w pobliżu, gdy zginął Plover. Raz mówisz, że jesteś Zaginioną Dziewczynką, innym razem co innego. Mogłaś to zrobić, prawda?

– Skądże! To nie ja! – sapnęła.

– Ja też nie – odpowiedział i puścił jej rękę. Odskoczyła, rozdygotana, ale nie puściła Księżki.

– Kiedy wracałem do sali balowej, usłyszałem krzyk o pomoc – zaczął opowiadać. – Otworzyłem drzwi i zapytałem, czy wszystko jest w porządku. Nikt nie odpowiedział, więc zacząłem schodzić na dół. Ale kiedy tu dotarłem, wszyscy byli już martwi. Spostrzegłem, że przecięto liny i chciałem wyjść, zaalarmować ludzi, ale bałem się, że jesteś wciąż na górze i że ktoś cię znajdzie.

Zadygotał i przesunął dłonią po twarzy.

– Na górze rzeczywiście ktoś był – stwierdziła, przypominając sobie kroki i cień w korytarzu. – Słyszałam, jak mija drzwi. Ale tam jest tylko gabinet Pennyroyala. Pewnie szukał tego samego co my. Cynowej Księgi.

Theo spojrzał na nią.

– To by się zgadzało. Najpierw zeszli na dół i zrobili to wszystko, ale kiedy chcieli dostać się do gabinetu, usłyszeli, jak schodzę na dół. Nie zabili mnie, bo myśleli że jestem gościem. Nie chcieli ryzykować, że ktoś zacznie mnie szukać. Więc wyszli przez kuchnię, a potem wrócili przez salę balową do gabinetu. Ale po co odcinali te liny? Dlaczego po prostu nie zabrali Księgi?

Wren znowu zrobiło się niedobrze, ale nic już nie miała w żołądku.

– Mało brakowało, a by mnie zobaczyli! – załkała. – Gdybym nie zdążyła się schować, zabiliby mnie, tak jak tych ludzi...

Theo wyciągnął rękę, ale zatrzymał się, niepewny, czy przyjmie tę pociechę.

– Nie boisz się już, że to ja zrobiłem, prawda? – zapytał.

Potrząsnęła głową i z ulgą przywarła do niego, kryjąc twarz na jego piersi.

– Przepraszam, Theo...

– Nie szkodzi – mruknął. – A wczorajszej nocy po prostu nie mogłem zasnąć. Poszedłem do kaplicy, żeby pomodlić się za rodziców i siostry. Uciekłem z Zagwy dokładnie rok temu, w święto księżycy. Wymknąłem się z domu, kiedy wszyscy się bawili, i zabrałem się na gapę frachtowcem lecącym do Shan Guo. Tam przystałem do Zielonej Burzy. Podczas tych wszystkich wczorajszych przygotowań stale myślałem o

rodzinie. Co teraz robią, czy rodzice mi wybaczyli, czy za mną tęsknią...

– Założę się, że tak – powiedziała. Odwróciła się do okna i przytknęła twarz do zimnego szkła. – Jak wszyscy rodzice. Wybaczają nam i tęsknią, żebyśmy nie wiem co zrobili. Weź choćby mojego ojca. Przepłynął taki kawał drogi, żeby mnie odnaleźć...

Spojrzała na Brighton i nagle zatęskniła za ojcem. W okolicach Montpelier wybuchły kolejne fajerwerki, strzelając w niebo pękiem jasnoczerwonych i złotych gwiazd. Patrzyła, jak gasną, gdy przekrzywiona platforma powoli dryfowała z wiatrem. Nagle zauważyła jakiś ruch. Odwróciła głowę. W dole było tylko morze, ruchliwe i migotliwe w blasku księżyca. Ale nie tylko. Co to za długi cień przesuwiał się po falach? Widok zasłonił jej jakiś ogromny, wyblakły kształt. Obok przepłynęły ogromne silniki, a potem ambrazury⁷ pancерnej gondoli. Zobaczyła ludzi w goglach i hełmach, stojących przy działach wystawionych na mostki, a potem wysokie pióra steru. Na każdym z nich wytrawiono zieloną błyskawicę.

– Theo! – krzyknęła.

Dwadzieścia metrów od nich przepływał olbrzymi powietrzny niszczyciel.

28. ATAK Z POWIETRZA

Tom leżał w celi ukrytej głęboko pod elegancką recepcją Pieprzniczki. Był półprzytomny, czuł, jak puchnie mu twarz od uderzeń osiłków Shina, i coraz bardziej bał się o Wren. Z początku wystarczyła mu wiadomość, że ona żyje. Nie przejmował się tym, co mu zrobiono, jak długo Wren była bezpieczna. Ale czy była? Ludzie Shkina powiedzieli mu, że sprzedano ją ni mniej, ni więcej, tylko Pennyroyalowi! Pennyroyal nie był zły, ale samolubny, bezmyślny i pozbawiony skrupułów. Przecież kiedyś postrzelił Toma w pierś. Stara rana znowu zaboląła, gdy Tom leżał na pryczy, czekając, co będzie dalej. Zakłuło go w piersi i sam nie wiedział, czy to rzeczywisty ból, czy tylko ciało przypomniało sobie o tamtym postrzale. W tej ciemnicy niemal od razu stracił poczucie czasu. Nie było tu okien, tylko argonowa lampa lśniła na beżowym suficie jak aureola. Nie wiedział, czy na zewnątrz jest dzień, czy noc, kiedy ktoś w końcu otworzył drzwi.

– Przyniosłem panu jedzenie, panie Natsworthy – odezwał się cichy głos. – I coś jeszcze.

Tom przekręcił się na bok i usiadł, przecierając dłonią posiniaczoną twarz. W progu stał Pulpet, trzymając na tacy miskę i cynowy kubek. Za nim widać było kilka metrów obskurnego, beżowego korytarza. Tomowi przeszła przez

głowę myśl o ucieczce, ale ból w piersi był zbyt silny. Patrzył, jak Pulpet podchodzi bliżej i stawia tacę na podłodze.

– Zamieniłem się z kimś na dyżury, żebym mógł tu przyjść i zobaczyć się z panem – wyznał. – To było łatwe. Wszyscy chcieli mieć wolną noc, bo dziś mamy Festiwal. Dlatego wszędzie tak strzelają.

Tom wyteżył słuch i rzeczywiście usłyszał stłumione wystrzały fajerwerków i dźwięki gongów na ulicach.

– Przykro mi, że pana złapali – dodał chłopiec. – Wren była dla mnie dobra. Więc pomyślałem sobie, że chciałby pan to zobaczyć.

Wyciągnął z kieszeni uniformu pogniecioną stronę z gazety i pokazał Tomowi. Gazeta nazywała się „Palimpsest”. A na zdjęciu tuż pod tytułem, wśród klęczących dziewcząt, otaczających postawną kobietę o niesamowicie wysokiej fryzurze była...

– To Wren, prawda? – spytał Pulpet. – Widzi pan? Pomyślałem sobie, że się pan ucieszy, że nic jej nie jest. Mówią, że niewolnikom w Siódmym Niebie dobrze się powodzi. Widzi pan, ma piękną sukienkę, nowe uczesanie i w ogóle.

– Wren jest w Siódmym Niebie? – Tom przypomniał sobie latający pałac, który unosił się nad miastem. Położył chłopcu rękę na ramieniu.

– Pulpet, czy dałbyś radę odnaleźć moją żonę i przekazać jej tę wiadomość? Powiedzieć jej, gdzie jest Wren?

– Tą kobietę z blizną? – spytał chłopiec, odsuwając się od niego z przestrawieniem i niesmakiem. – Nie ma jej tu, prawda?

– Owszem, jest w Brighton. Przyplłynęliśmy razem.

Twarz chłopca nabrała dziwnej barwy. Ręce zaczęły mu się

trząść.

– Nie zbliżę się do niej – powiedział. – To zła kobieta. Zabiła Gargle’a i Remorę. Mnie też by zabiła, gdyby mogła. Dlatego musiałem porwać Wren. Nie chciałem, ale w przeciwnym razie jej matka by mnie zastrzeliła.

– Jestem przekonany, że Hester zrobiła tylko to, co musiała – odpowiedział Tom niepewnie, bo wcale nie był tego taki pewny. – To było straszne, ale...

– To zła kobieta – stwierdził Pulpet ponuro. – Pan też jest zły, choć wydaje się panu, że nie. Kto z kim przestaje, takim się staje.

– Ale mimo to przyniosłeś mi tę gazetę – odpowiedział Tom.
– Dobry z ciebie chłopak, Pulpecie.

Uśmiechnął się do Zaginionego Chłopca, który przyglądał mu się podejrzliwie. Tomowi zrobiło się go żal. Musiał wiele wycierpieć i przeżyć wiele rozczarowań, skoro przyłgnął do pierwszego dorosłego, który okazał mu trochę życzliwości – pomimo że to był Nabisco Shkin. Tom chętnie zabrałby chłopca z tego straszego miasta, do bezpiecznej Winlandii, gdzie mógłby żyć normalnie, jak dzieci, które Freya uratowała z Grimsby.

– Pulpet, mógłbyś mnie stąd wyciągnąć? – zapytał.

– Niech pan się nie wygłupia – odparł chłopiec. – Pan Shkin chyba by mnie zabił.

– Pan Shkin już cię nie zobaczy na oczy. Zabiorę cię ze sobą, jeśli zechcesz. Odnajdziemy Wren i Hester, a potem wszyscy stąd odpłyniemy.

– Ale dokąd? Grimsby już nie ma. A ja tu mam dobrą pracę. Dokąd miałbym jechać?

– Gdzie zechcesz – odparł Tom. – Możemy cię zostawić w dowolnym miejscu. Albo zabrać ze sobą do Anchorage w Winlandii. Mógłbyś tam z nami zamieszkać.

– Zamieszkać z wami? – powtórzył Pulpet. Jego oczy wydały się Tomowi równie okrągłe i jasne jak lampa na suficie.

– Znaczy, tak jakby w rodzinie? – spytał.

– Jeśli tylko zechcesz.

Pulpet głośno przełknął ślinę. Nie miał ochoty być blisko Hester. Ona zasłużyła na śmierć, a on zamierzał tego dopilnować, gdy dorośnie. Nie zapomniał o swojej przysiędze. Ale Toma polubił, mimo to. Tom wydał mu się dobry i miły, miłszy nawet od pana Shkina. Wren też była dla niego dobra, choć nie uratowała go przed pułapką zastawioną w Brighton. Chętnie zamieszkałby z Tomem i Wren.

– Dobrze – odpowiedział i spojrział na drzwi, przestraszony, że ktoś mógłby to podsłuchać. – Dobrze. Pod warunkiem, że pan mi obieca...

Na korytarzu rozległ się przenikliwy, nieprzyjemny terkot elektrycznego dzwonka. Obaj podskoczyli ze strachu. Zaczęły trzaskać drzwi, a potem na metalowej podłodze zadźwięczały kroki strażników.

Pulpet wyrwał Tomowi gazetę i wyskoczył z celi, zatraskując za sobą drzwi. Tom wyjrzał przez okienko w drzwiach, ale nic nie było widać. Dzwonki brzęczały bez przerwy. W drugim końcu korytarza rozległy się męskie głosy. Zatupotały buty.

Nagle rozległ się strzał, a potem drugi. Ktoś krzyknął przeraźliwie.

– Pulpet! – zawołał Tom.

Kolejny strzał rozległ się z bardzo bliska, a potem rozległ się głos Hester, wołającej:

– Tom!

– Tutaj! Tu jestem! – odkrzyknął i w chwilę później w okienku pojawiła się przesłonięta welonem twarz.

– Dostałam twoją wiadomość – powiedziała. Tom odsunął się od drzwi, a ona odstrzeliła zamek i otworzyła je kopnięciem.

– Gdzie jest Pulpet? – spytał. – Nie zrobiłaś mu krzywdy, prawda? Był u mnie dosłownie przed minutą. Przyniósł mi zdjęcie z gazety. Wren jest w Siódmym Niebie!

Hester odsunęła woalkę i pocałowała go pośpiesznie. Pachniała dymem, a jej kochaną, brzydką twarz okrywał rumieniec.

– Cicho bądź. Ruszamy – powiedziała tylko.

Pobiegł za nią, nie dbając o ostrzegawcze ukłucia w piersi. Za drzwiami jego celi korytarz ostro zakręcał. Leżało tam dwóch martwych strażników, ale żaden z nich nie był Pulpetem. Tom ostrożnie przekroczył zwłoki i ruszył za żoną po schodach, mijając kolejne trupy. W powietrzu było pełno dymu. Z dołu rozlegały się krzyki i jęki.

– Co tu się dzieje? – zapytał. – Co się stało na dole?

Hester spojrzała na niego z uśmiechem.

– Ktoś wypuścił Zaginionych Chłopców. Co za beztroska, prawda? Lepiej wynośmy się stąd górą.

Nagle pogasły wszystkie światła. Tom wpadł na Hester, która go podtrzymała i powiedziała spokojnie:

– O nic się nie martw.

Atramentowa ciemność trwała jakieś pięć nierównych uderzeń jego serca, a potem zapłonęło przyćmione, czerwone

światło.

– Generator awaryjny – stwierdziła Hester.

Tom szedł za nią przez amfiladę opuszczonych biurowych pokoi, gdzie krwawe światło odbijało się od metalowych uchwytów szaf na akta i białych klawiszy maszyn do pisania. Ciekaw był, skąd Hester wzięła nową kurtkę, i co się stało ze starą. Właśnie się nad tym zastanawiał, kiedy wpadli na grupę pracowników korporacji, biegnących w przeciwnym kierunku.

– Padnij! – krzyknęła Hester i przewróciła go na podłogę.

– Nie wy! – dodała, kiedy strażnicy też zaczęli kryć się pod biurkami.

Biuro wypełnił dym, pojawiły się płomienie i rozległy okropne odgłosy. Nie wszyscy z nich mieli broń, ale ci uzbrojeni zaczęli strzelać na oślep. Kule odbijały się od ścian. Kilka trafiło w automat z wodą do picia, inne wydarły strony z terminarza na jakimś biurku. Tom schował się za szafką na akta i patrzył, jak Hester metodycznie zabija strażników, jednego po drugim. Nie widział jej walki z Wilczym Stadem. Zawsze wyobrażał sobie, że była wtedy pełna gniewu i strachu. Teraz był w niej przerażający spokój. Kiedy skończyły jej się naboje, odłożyła rewolwer i zabiła ostatniego strażnika maszyną do pisania. Dzwonek na karetkę zadzwieczał pogodnie, kiedy roztrzaskała mężczyźnie głowę. Potem z uśmiechem wzięła rewolwer, żeby go przeładować. Tom pomyślał, że nigdy przedtem nie była tak pełna energii.

– Wszystko w porządku? – spytała, stawiając go na nogi.

Nic nie było w porządku, ale tak dygotał, że nie był w stanie jej tego powiedzieć. Po prostu poszedł za nią dalej, znowu w górę po schodach. Znaleźli się w tej samej eleganckiej recepcji,

w której rozmawiał z panną Weems. Ale jej krzesło było puste, na drzwiach paliła się lampka z napisem ZAMKNIĘTE, a strażnik przy drzwiach zniknął. Nad dachami wybuchały fajerwerki, a przez żaluzje wpadały smugi różowego i szmaragdowego światła. Hester przestrelila zamek na drzwiach i otworzyła je na oścież. Gdy Tom przechodził przez pokój, usłyszał przyspieszony ze strachu oddech, a potem szloch. Opadł na kolana i zajrzał pod biurko panny Weems.

Spod blatu spojrzała na niego blada, przerażona buzia Pulpeta.

– Pulpet, wszystko będzie dobrze! – obiecał mu, gdy chłopiec schował się głębiej w cień. Machnął ręką na Hester, żeby się odsunęła. – To tylko Pulpet – powiedział, rozglądając się naokoło.

– To zostaw go w spokoju i chodź – odparła.

– Nie możemy – odpowiedział. – Jest samotny i przerażony, poza tym pracował dla Shkina. Jeśli inni Zaginieni Chłopcy go tu znajdą, rozedrą go na strzępy. Tak tylko żartowałem – powiedział do chłopca, który zapiszczał ze strachu.

– To jego wina – odpowiedziała Hester, stając przy wyjściu. – Zostaw go tu.

– Ale on mi powiedział, gdzie jest Wren.

– No i dobrze – odparła ze złością. – Powiedział ci to, więc go już nie potrzebujemy. Zostaw go.

– Nie! – odparł Tom ostrzej, niż zamierzał. Wziął Pulpeta za rękę i wyciągnął spod biurka. – Idzie z nami. Dałem mu słowo.

Hester popatrzyła na chłopca, a ten odpowiedział jej spojrzeniem. Przez chwilę Tom myślał, że jego żona zastrzeli Pulpeta na miejscu, ale wtedy z trzewi Pieprzniczki wydobył

się straszliwy ryk gniewu i buntu. To krzyczeli Zaginieni Chłopcy na wojennej ścieżce. Hester zatknęła broń za pas i wyszła, zostawiając otwarte drzwi, żeby Tom mógł wyciągnąć przerażone, dygocące dziecko z recepcji i sprowadzić je po schodach na plac. Ściany otaczających wieżowców rozbrzmiewały echem potężnych wystrzałów, a niebo rozbłysło oślepiającymi błyskawicami. Za moich czasów fajerwerki były o wiele cichsze, pomyślał Tom. Spojrzał w niebo i zobaczył przerażające, białe statki powietrzne, lecące tuż nad samymi dachami i zasypujące miasto gradem rakiet, wystrzeliwanych z opancerzonych gondol.

– Na wszystkich bogów i boginie! – wykrzyknęła Hester. – Tego nam było potrzeba!

– Co się dzieje? – zaskomlał Pulpet, trzymając się kurczowo Toma. – Co to takiego?

Była to Eskadra Lisich Duchów, która oddzieliła się od głównego korpusu floty Zielonej Burzy, by uciszyć obronę przeciwlotniczą Brighton. Obchody Festiwalu Księżycowego zmieniły się w paniczną ucieczkę, bo piloci wzięli pokazy fajerwerków w Queen's Parku i w Black Rock za wystrzały z dział i zaczęli je ostrzeliwać. Gdy karnawałowe pochody wiły się konwulsyjnie po Bulwarze Oceanicznym jak węże bez głów, „Żałobny Wir” przebił się przez chmurę dymu nad nimi i ruszył za Siódmym Niebem. Na brzegu morza wznosiły się opancerzone góry, czyli Kom Ombo i Bengazi, oraz mniejsze miasta, które kryły się w ich cieniu jak dzieci pod matczyną spódnicą.

– Cała gromada! – wykrzyknął generał Naga, rozradowany jak myśliwy, który wypatrzył lisa. – To duże miasto pożarło

parę lat temu nasze osiedle Palmira! – Mechaniczna zbroja generała syczała i skrzypiała, obracając go ku Łowczyni Fang i podnosząc mu rękę w mechanicznym salucie. – Więc dlatego Wasza Ekscelencja przywiodła nas na zachód! Wiedziałem, że nie może chodzić o to zmurszałe pływające miasto! Proszę o pozwolenie na atak...

– Cisza! – szepnęła Łowczyni. Światła Brighton tańczyły na jej odlanej z brązu twarzy. – Te miasta są nieważne. Inne statki zneutralizują ich baterie i myśliwce oraz postarają się, by brightończycy nie ruszyli na pomoc swojemu burmistrzowi. Naszym celem jest latający pałac. Przygotować się do abordażu.

Naga od szesnastu lat słuchał Łowczyni bez zastrzeżeń, ale ten rozkaz trudno mu było znieść. Gdy jego podwładni zaczęli przekazywać dalej jej rozkazy, przywdziewać zbroje bojowe i przypinać broń, generał stał, jakby go uderzono w twarz. Potem przypomniał sobie, co się działo z oficerami, którzy kwestionowali rozkazy Łowczyni i pośpieszył je wykonać.

Wren i Theo przebiegli na drugą stronę pałacu, akurat na czas, żeby zobaczyć, jak na niebie między Brighton a wybrzeżem zakwitają barwne serie ostrzału obrony przeciwlotniczej z Bengazi. Wędrujące słupy światła przesunęły się po komorach gazowych czterech potężnych, bojowych sterowców i po niezliczonych, mniejszych jednostkach bojowych.

– Flota Powietrzna Zielonej Burzy – powiedział Theo.

– Och, Quirke! – szepnęła Wren, myśląc o ojcu. – Myślisz, że

zatopią Brighton? Tam jest przecież mój tata! Theo, jeśli on zginie, to będzie moja wina!

– Nie chodzi im o Brighton, tylko o tę książkę – odpowiedział i wziął ją za rękę. – Prawdopodobnie ten, kto postawił mewę na straży i pozabijał tych wszystkich ludzi, wezwał tu całą flotę. Odcięli nas od miasta, żeby łatwiej się dostać na platformę.

Z zewnątrz rozległ się jazgot alarmów przeciwlotniczych, jakby ktoś przeciągnął paznokciami po czarnej tablicy nieba.

– Musimy stąd uciec – odpowiedziała.

– Ale jak? – spytał Theo.

– „Czajką”, to chyba oczywiste. Nie sądzę, żeby ktokolwiek miał czas, żeby ściągnąć jej paliwo z baku po ostatniej nocy.

Theo potrząsnął głową.

– Nawet gdyby udało nam się dobiec do hangaru, Burza zestrzeli nas, zanim wydostaniemy się z przestrzeni powietrznej Siódmego Nieba.

– Ale „Czajka” to jacht, a nie sterowiec bojowy!

– Burzy nie interesują takie drobiazgi.

– Znasz chyba ich kody, hasła i inne takie? Mógłbyś nadać je przez radio, żeby wiedzieli, że do nich należysz!

– Wren, ja do nich nie należę – odpowiedział. – Już nie. Zawiodłem. Gdyby mnie złapali, zabiliby mnie na miejscu, a trupa posłali do Batmunkh Tsaka.

Wren nie zrozumiała ostatniego zdania, ale widziała, że Theo jest równie przerażony jak ona. Sterownia zadygotała, gdy coś uderzyło w platformę nad ich głowami. Po chwili w deszczu iskier spadł płonący sterowiec. Spojrzała w oczy Theo i zmusiła się, by jej głos brzmiał odważnie.

– Theo, w Brighton czeka na mnie tata. Twoi rodzice czekają na ciebie w Zagwie i oni wszyscy będą wściekli, jeśli będziemy tu biernie czekać na śmierć. Rusz się. Musimy spróbować!

Trzymając się za ręce, pobiegli po schodach do wyjścia na parter. Pewnie tymi drzwiami wyszedł morderca. Za nimi był korytarz kuchenny, zupełnie pusty. Nad głową słyszeli przeraźliwe okrzyki i wołania, a potem tupot, gdy goście wybiegali z sali balowej. Wybuchy na niebie rzucały żółte, diamentowe błyski na podłogę pod kuchennymi oknami, a ich światło odbijało się od patelni i tac ze słodyczami, które porzucili uciekający niewolnicy.

Pobiegli do najbliższego wyjścia, i po chwili byli już w ogrodach przed Pawilonem. Przez trawniki pędził tłum gości, jak stado przestraszonych owiec. Z Siódmego Nieba nie było ucieczki, ale chcieli się jak najbardziej oddalić od Pawilonu w obawie, że Zielona Burza go zbombarduje. Poza tym to byli bogaci ludzie, przyzwyczajeni, że dostają wszystko, czego zapragną. Nawet jeśli kolejka linowa nie działała, na pewno przy stacji czekał jakiś sterowiec albo taksówka powietrzna... albo jacyś sprytni brightończycy zorganizowali już akcję ratunkową na pedałowych riksach powietrznych albo jachtach, nieprawdaż?

Nie chcąc, żeby porwała ich fala uciekinierów, Theo popchnął Wren ku jednej z abstrakcyjnych rzeźb Pennyroyala, która zapewniała niezgorsze schronienie. Przytulili się do siebie i patrzyli na osrebrzone księżycem nitki spalin, podobne do babiego lata na wietrze. To Skrzydlate Fretki atakowały sterowce Burzy. Wyglądało to, jakby każdy ze sterowców miał w sobie ogniste nasionko, a Fretki cierpliwie próbowały się do

niego dostać, wystrzeliwując serię zapalnych pocisków. Kiedy im się udało, sterowiec zaczął świecić od wewnątrz jak festiwalowy lampion. Potem po powierzchni balonu zaczęły przebiegać zygzaki błyskawic, a w końcu cały statek zmieniał się w oślepiający bielą stos pogrzebowy, który niesiony wiatrem żeglował nieopodal Siódmego Nieba, rzucając niesamowite blaski na cyprysowe zagajniki.

Ale statki powietrzne odpowiadały ogniem. Do walki stanęły też otaczające je stada rewitalizowanych kondorów i orłów. Ptaki opadały czarnymi, skrzydlatymi hordami na latające maszyny Frettek, rozdzierały na strzępy skrzydła, konstrukcje i bezbronnych pilotów, a gdy Fretki manewrowały, by przed nimi uciec, stawały się łatwym celem dla rakiet i karabinów maszynowych na sterowcach. Skrzydła rozpadały się na kawałki, baki z paliwem eksplodowały, śmigła spadały i toczyły się w podskokach po trawnikach Pawilonu jak kawałki rozerwanych wybuchem żaluzji. Płonący „Rozczochniec”, któremu urwało skrzydła, staranował stację kolejki linowej. „Komandor Mandragora” wpadł bokiem na „Bojowego Cheddar” i niemal natychmiast obydwie maszyny przebiły się przez burtę niszczyciela Zielonej Burzy, a potem spadły razem z nim do morza, jak ognista gwiazda z wdziękiem zagłębiająca się w fale.

Na skraju parku krążył większy statek, czekając, aż bojowe maszyny uporają się z Fretkami. W tle widać było górne piętra Kom Ombo, wznoszące się nad morzem dymu jak opancerzona wyspa. Nad miastem wisiał potężnych rozmiarów sterowiec, zrzucając na nie chmury wirujących w powietrzu, srebrzystych przedmiotów. Wyglądały jak strąki jakiejś

rośliny, do momentu kiedy uderzyły w fortecę pełną działobitni. Wtedy wybuchły białymi rozbłyskami, posyłając w nocne niebo szczątki dział i gruzy. Wren poczuła, jak jej serce wibruje od wybuchu, niby od uderzenia gigantycznego bębna.

– Wirówki – mruknął Theo.

– Te srebrne kule? – spytała Wren. – To są przecież bomby. Słysząc, jak wybuchają. A ty mi mówiłeś, że pilotowałeś wirówki.

Skinął głową.

– Chcesz powiedzieć, że w nich siedzą piloci? Przecież wybuch rozerwałby ich na strzępy!

Kolejne skinienie.

– Więc jakim cudem...?

– Jakim cudem nie zginąłem? – Theo potrząsnął głową, nie patrząc na nią. – Bo jestem tchórzem – powiedział. – Nie zginąłem, bo jestem tchórzem.

„Żałobny Wir” przebijał się przez chmury dymu i popiołu, które zawisły nad wybrzeżem. Miasta i miasteczka były w panice. Wszystkie myślały, że flota Zielonej Burzy ma na nie apetyt. Niektóre uciekały w głąb pustyni; inne nadmuchały poduszki powietrzne i wypłynęły na morze. Jeszcze inne w zamieszaniu próbowały pożreć swoich sąsiadów. Z lotnisk Bengazi i Kom Ombo poderwały się chmury bojowych sterowców, ale zostały błyskawicznie rozdarte na strzępy przez szybsze i bardziej ofensywne Lisie Duchy i przez stada raptorów.

Nad rufą „Żałobnego Wiru” wybuchły

komory gazowe i teraz na pancerzu roily się mechanopajaki Mark IV z gaśnicami, by opanować pożar. Stery także zostały uszkodzone, a podenerwowane głosy z interkomu powtarzały, że zniszczono tylną gondolę.

Śmiertelnicy na mostku byli bladzi i pełni napięcia. W piekielnej poświacie, wpadającej przez okna, Shrike widział ich spocone twarze. Oenone Zero płakała ze strachu pod swoim bojowym hełmem. Radio nadawało wezwania o pomoc i raporty o uszkodzeniach nadchodzące z innych pancerników: „Miecz Dobyty w Przypływie Irytacji” został staranowany i spadał do morza w płomieniach. „Jesienny Deszcz z Niebiańskich Gór” stracił ster i dryfował prosto na Bengazi. Ktoś na pokładzie skazanej na zagładę korwety krzyczał i krzyczał, aż w końcu urwał się sygnał radiowy.

Łowczyni Fang nie zwracała na to uwagi. Stała spokojnie przy sterniku i obserwowała Siódme Niebo, które powoli oddalało się od swego macierzystego miasta.

– Kurs na tę konstrukcję – powiedziała w końcu.

Statki atakujące Brighton pośpiesznie zwróciły się ku nowemu celowi, ale kłopoty pływającego miasta jeszcze się nie skończyły. Maszynownia płonęła, a połowa kół napędowych została roztrzaskana. Miasto wybrało kotwice, gdy zaczął się atak, i teraz płynęło z prądem, otoczone chmurą dymu i szafranowych płomieni. Wyciekały z niego płonące smugi ropy. Nie było nikogo, kto mógłby zapanować nad sytuacją – wszyscy miejscowi dygnitarze albo zginęli, albo bawili się na balu u burmistrza.

W tym zamęcie nikt nie zwracał uwagi na alarmy, które rozdzwoniły się w Pieprzniczce – przynajmniej do chwili, gdy Zaginieni Chłopcy pokonali ostatnich strażników i ruszyli tłumnie na miasto, by przyłączyć się do zabawy. Brightonscy niewolnicy z maszynowni i farm utylizacyjnych na najniższym poziomie, i ze śmierdzących filtrów pod poziomem morza dostrzegli swoją szansę i przyłączyli się do Chłopców. Uzbrojeni w klucze francuskie, grabie do basenów i tłuczki do mięsa wyroili się na ulice miasta, rabując antykwariaty i podpalając galerie. Życzliwie nastawieni do życia artyści i aktorzy, którzy spędzili niejedną kolację, basując sobie nawzajem, że życie niewolników jest takie okropne, i organizowali dobroczynne wydarzenia artystyczne dla mieszkańców, żeby pokazać, jak łączą się w bólu z biedotą, teraz powiadali do przeciążonych miejskich sterowców, żeby znaleźć się jak najdalej od Brighton.

Wydarzenia następowały po sobie w szalonym tempie, a nad zniszczonym miastem unosiła się gęsta zasłona dymu. W tym zamęcie mało kto zauważył, że Siódme Niebo nie jest już zakotwiczone nad Brighton.

29. CHŁOPIEC NIEWYBUCH

Wren i Theo, czekając na koniec walk, przysiedli w cieniu sporego pomnika, oparci plecami o cokół. Stało tam kilka niedopitych szklanek z ponczem, które zostały po wieczornym przyjęciu, więc Wren wypła jedną. Od jak dawna trwał ten koszmar? Od pięciu minut? Od dziesięciu? A wydawało się, że całe życie... Już nauczyła się odróżniać piskliwy jazgot karabinów maszynowych Fretek od gardłowego pomruku broni Zielonej Burzy. Rakiety trudniej było rozpoznać, ale od razu wiedziała, kiedy sterowce zrzucają bomby-wirówki. Wtedy Theo podskakiwał do góry, a potem zamykał oczy i kulił się w sobie.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć? – spytała. – O tych wirówkach?

– Nie.

– W sumie mógłbyś. I tak nie mamy nic do roboty.

Theo skrzywił się, słysząc odległe wybuchy kolejnej salwy wirówek, zrzucanych na obwarowania Kom Ombo. Potem cichym, ledwie słyszalnym w hałasie głosem opowiedział jej o swojej krótkiej karierze żywej bomby.

– To było na samym początku bitwy o Rdzawe Mokradła – zaczął. – Wrogie miasta przerwały całą linię frontu i flota powietrzna zaczęła się wycofywać ku zachodnim granicom Shan Guo. Nikt z nas nie spodziewał się, że nas rzucą do ataku.

Ale przysły rozkazy, że Czarną Wyspę trzeba utrzymać jeszcze przez kilka godzin, bo jakiś chirurgik z Korpusu Rewitalizacji wykopuje tam cenny artefakt i ta rzecz nie może wpaść w łapy mieszczuchów...

Theo znowu przeżywał przerażające, przyprawiające o mdłości szarpnięcia bombowca, którym lecieli i panikę, jaka zapanowała na korytarzach, gdy piloci wirówek przeciskali się do swoich pojazdów.

– Najgorsze było oczekiwanie – mówił. – Byliśmy już przypięci do obudowy, i wisieliśmy na rurach w luku wirówek, patrząc w dół przez otwarte drzwi. Widzieliśmy wystrzały z dział przeciwlotniczych. Potem ktoś krzyknął rozkaz: „Wirówki zrzucić!” i poleciliśmy.

Polecili. Puścili szczęki mocujące i zaczął się długi upadek, slalomem między pięknymi i śmiercionośnymi wybuchami wrogich rakiet. Pierwsze wirówki były automatyczne, wyposażone w mózgi Łowców, ale nie radziły sobie z zygzakowaniem między salwami z dział przeciwlotniczych tak dobrze jak żywi piloci. Poza tym po co marnować Łowców, kiedy pełno było młodych mężczyzn, takich jak Theo, którzy chętnie szli na śmierć, żeby świat zazielenił się na nowo.

– Naszym celem było miasto Jagdstadt Magdeburg – opowiadał. – Spadłem na jeden ze środkowych poziomów. Myślałem, że trafiłem w opancerzony fort, ale okazało się, że wylądowałem na cienkim plastikowym dachu nad jakąś farmą. Na wielkim stosie bali sianokiszonki. Pewnie dlatego nie zginąłem, tylko na kilka minut straciłem przytomność. I pewnie dlatego wirówka nie wybuchła. Eksplodują automatycznie w momencie zderzenia, ale jest też ręczna

kontrolka na wypadek takich awarii jak moja. Sięgnąłem do niej, ale nie mogłem... nie mogłem się zmusić, żeby...

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała cicho Wren. – Nie trafiłeś w cel. Nie mogłeś przecież pozabijać robotników. Cywilów. To byłoby morderstwo.

– To prawda – przyznał. – Ale nie to mnie powstrzymało. Po prostu chciałem żyć.

– Trochę późno na to wpadłeś, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Siedziałem tam i płakałem. Po chwili pojawili się ludzie, rozbroili moją wirówkę, wyciągnęli mnie stamtąd i wyprowadzili na zewnątrz. Myślałem, że mnie zabiją. Nie miałbym do nich o to pretensji. Ale nie zrobili tego.

– Przez całe życie słuchałem opowieści o okrucieństwie barbarzyńców. O tym, jak torturują jeńców. Może i są wśród nich tacy ludzie, ale ci, którzy mnie znaleźli, troszczyli się o mnie jak o własnego syna. Dali mi jeść i wytłumaczyli, że jest im bardzo przykro, ale muszą mnie sprzedać w niewolę. Nie stać ich było na utrzymywanie w mieście jeńców z Zielonej Burzy. Przede wszystkim bali się, że połączą siły i się zbuntują. Dzięki nim zrozumiałem, że Burza się myli, i to bardzo. I że cała ta wojna jest po prostu głupia.

Popatrzył na Wren.

– Dlatego zdradziłem Zieloną Burzę. Więc jeśli mnie złapią, zorientują się, kim jestem i co zrobiłem, to mnie zabiją.

– Na pewno nie! – obiecała mu Wren. – Nie pozwolimy im na to! Uciekniemy stąd jakoś...

Jej słowa zagłuszył ryk silników. Wyprostowała się ostrożnie, i spojrzała ponad park. Ogromny bojowy pancernik,

poznaczony śladami powietrznych potyczek, szukał drogi w dół między stalowymi linami Siódmego Nieba.

– Wielcy bogowie! – wykrzyknął Theo, spoglądając jej przez ramię. – To „?a?obny Wir?!Żałobny Wir”! Jej statek flagowy!

Zadartonose działka zamontowane na obudowach silników sterowca obracały się we wszystkie strony, z łatwością zestrzeliwując wszystkie Skrzydlate Fretki, które znalazły się w zasięgu. „Kawałek Tyłka na Widoku” i „Majteczki w Kropeczki Łohohoho” zostały roztrzaskane rakietami. W powietrzu fruwały kawałki drewna balsy i przypalonego płótna, opadając na tłum, który kłębił się na trawniku. Ornitopter „Czy Dalej Nie Ma Już Nic?” krążył wokół sterowca jak komar dokuczający dinozaurowi, ale nie dał rady przebić pancernych płyt. Po kilku sekundach otoczyło go stado skrzydlatych Łowców i rozdarło na strzępy. „Do Diabła z Grawitacją!” w desperacji śmignął ku gondoli, by ją staranować, ale zdmuchnęła go seria rakiet. Spadając, przebił powłokę jednego z balonów podtrzymujących Siódme Niebo w powietrzu. Pawilon zadygotał, goście na trawniku zaczęli krzyczeć jeszcze głośniej i cała platforma przechyliła się na bok, gdy gaz zaczął się z sykiem ulatniać w noc. „Bojowy Wombat” Orli Twombley i pozostałe przy życiu Fretki zrozumiały, że nic nie działają, zawróciły i odleciały w dal.

Wren osłoniła ręką twarz od kurzu i dymu, gdy „?a?obny Wir?Żałobny Wir” ustawił silniki w pozycji do lądowania i znalazł się na trawniku Siódmego Nieba. Goście, którzy jeszcze przed chwilą uciekali z Pawilonu, zaczęli biec w drugą stronę, mijając kryjówkę Wren i Theo, albo czekali pokornie, wymachując białymi flagami, zrobionymi naprędce z koszul i

serwetek. Gwardziści w czerwonych uniformach skakali przez krzaki jak zajęce, porzuciwszy broń, i starali się jak najprędzej rzucić swoje fantazyjne mundury. Wśród ozdobnych palm zagrzechotały karabiny maszynowe. Z otwartych luków gondoli pancernika wychylały się kanciaste, opancerzone postaci.

– Łowcy! – jęknęła Wren. Nigdy nie widziała żadnego z nich, i właściwie nie wierzyła w ich istnienie, ale w tych ciężkozbrojnych postaciach było coś, co mówiło, że to nie ludzie, i że lepiej znaleźć się jak najdalej od nich. Ruszyła biegiem, wołając do Theo:

– Szybko! Przez Pawilon i do hangaru!

Na pałacowych schodach nie było już nikogo. Wbiegli na nie pospiesznie, potykając się o porzucone festiwalowe czapeczki i zmasakrowane ciała. Na tarasie, gdzie niegdyś Shkin sprzedał ją Pennyroyalowi, Wren pośliznęła się na rozdeptanym deserze i przewróciła na ziemię. Cynowa Księga za pasem podrapała jej plecy i boleśnie wbiła się w siedzenie. Kiedy Theo pomagał jej wstać, Wren miała wrażenie, że czuje płynącą po plecach krew. Pomyślała, że może lepiej byłoby się pozbyć tej Księgi albo oddać ją ludziom Burzy i błagać ich o litość. Ale oni nie znali litości, prawda? W Brighton czytała ulotki, plakaty i tytuły w „Palimpseście”, które mówiły o „Kolejnych okrucieństwach statyków” i „Nowych potwornościach Zielonej Burzy”. Gdyby się dowiedzieli, że Wren ma Księgę...

Stojąc w drzwiach sali balowej, spojrzeli na parkowe trawniki. Bitwa już się skończyła, a Łowcy pędzili przed sobą gości jak stada pokornych owieczek.

– Ciekawe, czy Shkin jest wśród nich – powiedziała Wren.

– A Boo-Boo? I Pennyroyal? – dodał Theo, gdy ruszyli dalej przez salę, tonącą w ciemnościach po awarii oświetlenia. Potłuczone szkło chrzęściło im pod nogami.

– Och, Pennyroyal na pewno sobie poradzi – odparła Wren. – Założę się, że to on ich tu sprowadził. Shkin wspominał, że nasz burmistrz szuka kupca na Cynową Księgę. To jest dokładnie w jego stylu – sprzedać dla zarobku swoje własne miasto.

Minęli salę kinową, w której wciąż terkotał projektor. W jego błysku Wren pochwyciła jakiś ruch na spiralnych schodach.

– Cynthia! – zawołał Theo.

Ich niedawna koleżanka zbiegła po schodach. Świąteczna tunika miękko odbijała kolory kliszy filmowej. Wren nie miała pojęcia, co robiła tam na górze. Może coś jej się pomyliło ze strachu i pobiegła w przeciwnym kierunku niż wszyscy uciekinierzy. A może pani Pennyroyal po coś ją posłała. Rzeczywiście, miała w ręku jakiś błyszczący przedmiot.

– Cynthia – powiedziała Wren. – Nic się nie bój. Chcemy stąd uciec. Zabierzemy cię ze sobą. Prawda, Theo?

– Gdzie ona jest, Wren? – warknęła Cynthia.

– Co masz na myśli? – spytała Wren.

– Cynową Księgę. To oczywiste. – Twarz Cynthii przybrała wyraz, jakiego Wren nigdy przedtem na niej nie widziała. Stała się zimna, twarda i inteligentna, jakby w środku siedziała zupełnie inna osoba.

– Sprawdziłam przed chwilą sejf Pennyroyala – powiedziała.

– Wiem, że to ty ją zabrałaś. Od razu, gdy się tu pojawiłaś, wiedziałam, że coś knujesz. Dla kogo pracujesz? Dla

Traktionstadts-gesellschaft? Dla Afrykanów?

– Nie pracuję dla nikogo – odpowiedziała Wren.

– W odróżnieniu od ciebie, Cynthio Twite – włączył się Theo.

– Jesteś z Zielonej Burzy, prawda? To ty zabiłaś Ploverego i tamtych ludzi. I ty odciąłeś liny kotwiczne Siódmego Nieba!

Cynthia wybuchnęła śmiechem.

– Szybki jesteś, Afrykańczyku! – Dygnęła z przesadną grzecznością. – Agent 28, prywatna grupa wywiadowcza Łowczyni Fang. Niezła byłam, co? Biedna, przygłupia Cynthia. Jak wy się ze mnie śmialiście! Wy, Boo-Boo i cała reszta. A ja przez cały czas pracowałam dla innej pani. Dla tej, która sprawi, że świat zazieleni się na nowo.

Wyciągnęła ku Wren rękę. Okazało się, że błyszczący przedmiot, który trzymała w dłoni, był pistoletem.

Oszołomiona Wren wyjęła Cynową Księgę spod tuniki i podała ją Cynthii, która złapała ją i odsunęła się kilka kroków w tył.

– Dziękuję ci – powiedziała dawnym, słodkim głosem. – Łowczyni Fang będzie zachwycona.

– Przysłała cię tu po nią? – spytała Wren, kompletnie zbita z tropu. – Ale skąd wiedziała...

Cynthia uśmiechnęła się szeroko.

– Wcale nie. Była przekonana, że księga jest w Anchorage. Wysłała ekspedycję w miejsce, gdzie według Pennyroyala miasto poszło na dno, ale nic tam nie znaleziono. Więc zostałam wysłana do Siódmego Nieba na przeszpiegi, bo może jednak wiedział, co się stało z miastem. Nie wierzyłam w swoje szczęście, kiedy usłyszałam, że przywiozłaś tu Cynową Księgę! Natychmiast wysłałam wiadomość do Nefrytowej Pagody.

Dostałam rozkaz, żeby zostawić ją w spokoju w sejfie Pennyroyala, do chwili nadejścia pomocy. Księga jest ważna. Może być kluczem do naszego ostatecznego zwycięstwa. Moja pani nie życzyła sobie, by ktoś ją skopiował, albo żebym ją wysłała zwykłymi kanałami. Przybywa po nią osobiście. Na trawniku wylądował jej statek flagowy. – Cynthia z zadowoleniem popatrzyła na Księgę. – Sowiec mnie nagrodzi, gdy ją dostanie.

Strzały w ogrodach ucichły. Na tarasie ktoś zaczął wykrzykiwać rozkazy w nieznanym języku. Wren podeszła do Cynthii, czujnie spoglądając na pistolet, który tamta trzymała w dłoni.

– Proszę cię – powiedziała. – Masz już przecież Księgę. Nie mogłabyś nas puścić wolno? Jeśli ludzie Burzy pochwycają Theo...

– Zabiją go za tchórzostwo, i dobrze mu tak – odparła spokojnie Cynthia. – Sama bym to zrobiła, ale jestem pewna, że moja pani będzie was najpierw chciała przepytac, i dowiedziec się, ile wiecie o Księdze.

– Zupełnie nic! – krzyknął Theo.

– Teraz tak twierdzisz, Afrykańczyku. Ale może zmienisz zdanie, kiedy zabiorą się za ciebie nasze maszyny śledcze.

– Ale Cynthio... – Wren pokręciła głową, wciąż wstrząśnięta zdradą niedawnej przyjaciółki. – To pewnie nawet nie jest twoje prawdziwe imię, prawda?

Tamta wyraźnie się zdziwiła.

– Oczywiście, że jest prawdziwe. Dlaczego nie?

– Nie brzmi jak imię szpiega – odparła Wren.

– Naprawdę? Jak to?

– Och, nieważne. Ja tylko...

Z galerii nad nimi spadła w dół potężna, ciężka waliza, trafiła Cynthię w głowę i otworzyła się od uderzenia, rozsypując po podłodze monety, klejnoty i wartościowe starożytne artefakty.

– Och... – jęknęła dziewczyna i upadła na podłogę. Pistolet wypalił, a kula trafiła w sufit nad głową Wren. Theo szarpnął Wren w tył, obawiając się, że z góry spadnie coś jeszcze, ale kiedy spojrzeli na galerię, zobaczyli tam tylko okrągłą, bladą twarz Nimroda Pennyroyala, który wyglądał zza poręczy.

– Nie żyje? – spytał nerwowo.

Wren pochyliła się nad dziewczyną. Cynthia miała krew we włosach, a na szyi nie czuć było pulsu, ale Wren nie była pewna, czy dotknęła ją we właściwym miejscu.

– Chyba nie żyje – odpowiedziała.

Pennyroyal zbiegł po schodach.

– Bzdura. To było tylko lekkie stuknięcie, tak dla żartu. Zresztą, to była agentka nieprzyjaciela, prawda? Pewnie by was zabiła, gdybym nie zadziałał tak błyskawicznie. Byłem na górze, bo chciałem zabrać parę drobiazgów i usłyszałem waszą rozmowę. – Zaśmiał się, wyjmując Księgę z martwej dłoni Cynthii. – Co za fantastyczny zbieg okoliczności! Już myślałem, że ją straciłem. Chodźcie, pomożecie mi zebrać resztę tych rzeczy.

Wren i Theo, wciąż oszołomieni, spełnili jego polecenie. Pennyroyal chyba się bał, że go obrabują, bo wziął pistolet Cynthii, i trzymał go w gotowości, wpychając monety, figurki i starożytne artefakty z powrotem do walizki. Musiał usiąść na wieku, by ją domknąć.

Krzyki na zewnątrz rozbrzmiewały już całkiem blisko, bo żołnierze Zielonej Burzy usłyszeli strzał i przeszukiwali salę balową.

– Gotowe! – powiedział Pennyroyal. – Ruszajmy do hangaru. Powiem wam coś. Jeśli pomożecie mi to nieść, zabiorę was oboje ze sobą. Tylko szybko!

– Nie może pan tak po prostu odlecieć – zaprotestowała Wren, idąc w ślad za nim przez puste korytarze. Theo taszczył walizkę. – Co się stanie z pana ludźmi?

– Mało mnie to obchodzi – powiedział obojętnie.

– A z pana żoną? Pewnie jest w niewoli..

– Tak... Biedna Boo-Boo... – Pennyroyal otworzył drzwi do ogrodów na tyłach Pawilonu. – Naturalnie, będzie mi jej brakowało. To straszna strata. Ale czas leczy wszystkie rany. Poza tym nie mogę ryzykować głową, żeby ją ratować. Muszę troszczyć się o własne życie, mając na uwadze czytelników. Świat będzie chciał usłyszeć opowieść o bitwie o Brighton i mojej heroicznej walce z Zieloną Burzą...

Szybko przeszli przez park. Pennyroyal prowadził, a Wren i Theo na zmianę dźwigali walizę. Oddziały Burzy nie dotarły jeszcze do tej części Siódmego Nieba. W cyprysowych zagajnikach i pod pergolami nie było nikogo. Nad ruinami lądowiska Skrzydlatych Fretek unosił się dym, ale sterowce nieprzyjaciela chyba uznały hangar Pennyroyala za cel niegodny uwagi, bo stał nietknięty wśród drzew, niezgrabny aż do przesady. W gładkich miedzianych powierzchniach odbijał się blask pożarów.

– Słyszę silniki – powiedział Theo, gdy przedzierali się przez zagajnik w stronę pasa startowego hangaru. – Ktoś otworzył

drzwi...

– Na wielkiego Poskitta! – wykrzyknął Pennyroyal.

„Czajka” stała gotowa do startu, w otwartych drzwiach hangaru. Silniki właśnie się rozgrzewały. Gondola była oświetlona, więc Wren widziała, kto siedzi przy sterach. To był Nabisco Shkin. Zrezygnował z oczekiwania, aż Wren przyniesie mu Księgę i postanowił uratować własną skórę, a przy okazji zmniejszyć straty biznesowe. Zwolniła, przestraszona, ale Pennyroyal zaszarżował w stronę jachtu, krzycząc:

– Shkin! To ja! Twój stary druh Pennyroyal!

Shkin wychylił się z otwartych drzwi eleganckiego jachtu i posłał Pennyroyalowi dwie kule z pistoletu, który miał ukryty pod szatą. Wren zobaczyła, jak w powietrzu zakwitł krwawy wykrzyknik, podświetlony reflektorami jachtu. Pennyroyal zrobił niezgrabne salto w powietrzu, upadł na zwój lin i znieruchomiał.

– Bogowie mili... – szepnęła Wren. Pennyroyal był częścią jej życia. Po tym, co usłyszała o nim w Anchorage, wydawał jej się niezniszczalny.

Shkin wysiadł z gondoli i podszedł do nich, z bronią gotową do strzału.

– Macie moją Księgę? – zapytał.

– Nie – odparł Theo, zanim Wren zdążyła się odezwać. – Ludzie Burzy ją zabrali.

– Więc co jest w tej walizce? – zapytał Shkin. Theo otworzył ją i pokazał zawartość. Handlarz uśmiechnął się swym zimnym, szarym uśmiechem.

– Zawsze to coś, prawda? – powiedział. – Zamknij. I podaj mi

ją.

Theo spełnił jego polecenie. Zimne oczy Shkina skierowały się znowu ku Wren.

– I co teraz? – spytała. – Pewnie nas pan zastrzeli?

– Skądże znowu, na bogów! – Shkin był autentycznie wstrząśnięty. – Nie jestem mordercą, dziecko. Tylko biznesmenem. Jaki miałbym zysk z waszej śmierci? Owszem, udało ci się mnie rozgniewać, ale zdaje się, że już za chwilę będą tu nasi przyjaciele z Zielonej Burzy i udzielą ci lekcji dobrych manier.

Wren wyteńczyła słuch. Rzeczywiście, z ogrodów napłynęły szorstkie okrzyki w obcym języku. Między drzewami zatańczyły światła latarek. Zbliżały się do hangaru. Chciała spytać Shkina o ojca, ale on już załadował walizę Pennyroyala na pokład „Czajki” i sam wsiadł do sterowca. Ryknęły silniki.

– Nie! – krzyknęła. Nie mogła uwierzyć, że bogowie naprawdę zamierzają pozwolić, by niegodziwy Shkin uciekł z platformy, cały i zdrowy. Ale szczęknęły uchwyty, trzymające „Czajkę” przy ziemi, i sterowiec z wdziękiem uniósł się nad posadzką hangaru. Silniki ustawiły się w położeniu do startu.

– To niesprawiedliwe! – zawyła Wren. – Mamy Księżę! Theo cię okłamał! Zabierz nas ze sobą, a ci ją oddamy!

Shkin usłyszał tylko jej głos. Słowa już do niego nie dotarły. Spojrzał w dół ze swym nikłym uśmieszkiem, a potem przeniósł uwagę na pulpit sterowniczy. Jacht pomknął po pasie startowym, minął dwie kępy drzew, które rozchyliły się, by go przepuścić i lekko wzleciał w niebo.

– To niesprawiedliwe! – powtórzyła Wren. Miała dość Shkina i dość strachu. Teraz już rozumiała, dlaczego rodzice nie

chcieli jej opowiadać o swoich przygodach. Jeśli to przeżyje, też nie będzie chciała wspominać tej koszmarnej nocy, ani nawet o niej myśleć.

– Dlaczego mu nakłamałeś o tej Księdze? – spytała Theo. – Może by nas zabrał ze sobą, gdybyśmy mu ją oddali.

– Nie zabrałby – odpowiedział. – Poza tym jeśli wszystkim tak na niej zależy, z pewnością jest niebezpieczna. Nie można pozwolić, by wpadła w łapy takiego człowieka jak Shkin.

– Ani w żadne inne – uzupełniła Wren, pociągając nosem. Ostrożnie podeszła do Pennyroyala i wyjęła księgę spod podartej szaty burmistrza. Jedna z kul Shkina zrobiła w niej spore wgłębienie, ale nic jej się poza tym nie stało. Już samo dotknięcie metalu napełniło ją niesmakiem. Wszystko przez tę Księgę! – Wyrzucę ją do morza – powiedziała i pobiegła z nią przez dymiący, poznaczony wybuchami pas startowy, prosto na skraj platformy.

Ale kiedy wyjrzała przez poręcz, wcale nie zobaczyła morza. Przez ten krótki czas Siódme Niebo przemieściło się dalej i szybciej, niż się spodziewała. Grzywy fal przy plaży bieleły się na horyzoncie na północy, a światła i pożary miast rozciągały się wzdłuż wybrzeża jak perły nanizane na sznurek. Pod nią leżały wzgórza Afryki, w martwym blasku księżyca.

Kiedy stała, wpatrując się w nie i zaciskając w dłoniach Cynową Księgę, usłyszała z tyłu tupot nóg. Odwróciła się, i w blasku pochodni zobaczyła wymierzone w siebie lufy wojskowych pistoletów. Oprócz żołnierzy w oddziale byli też Łowcy. Dwóch z nich pochwyciło Theo, a człowiek, który z wyglądu niemal przypominał Łowcę – człowiek o jastrzębiej twarzy, odziany w mechaniczną zbroję, dzierżący miecz w

stalowej dłoni, wyszedł przed szereg i krzyknął:

– Nie ruszać się! Jesteście więźniami Zielonej Burzy!

Gdy „Czajka” prześliznęła się między stalową konstrukcją Siódmego Nieba i wydostała się na otwartą przestrzeń, Nabisco Shkin pozwolił sobie na uśmiezek zadowolenia. Większość sterowców Zielonej Burzy była odległa o wiele mil – w dalszym ciągu toczyły napowietrzne pojedynki nad Bengazi i Kom Ombo, a oddziały, które wylądowały w ogrodach Pennyroyala, miały większe zmartwienia niż handlarz niewolników, który samotnie umykał z platformy.

Rozgościł się na wygodnych siedzeniach jachtu i poklepał leżącą na pokładzie walizkę. Daleko przed sobą widział światła mniejszych miast, mrugające w ciemnościach pustynnej nocy. Zatrzyma się w jednym z nich i poczeka, aż Burza skończy już swoje porachunki z Brighton; potem wróci do miasta i oceni szkody, jakie poniosła jego firma. Pieprzniczka jest na pewno zniszczona, a obsługa i towar pewnie nie żyją. Nieważne. Wszystko było ubezpieczone. Miał tylko nadzieję, że mały Pulpet przeżył. Ale nawet bez niego na pewno uda się odnaleźć to całe Anchorage i napełnić ładownie niewolniczego statku. Może nawet dwóch...

Gdy tak marzył o Winlandii, odnalazły go raptory. Należały do patrolowego stada, wysłanego, by pilnować otoczenia Siódmego Nieba. Z początku Shkin myślał, że to chmura, która opada w jego stronę, zasłaniając księżycowe światło. Potem spostrzegł trzepotanie skrzydeł. Moment później ptaki zaczęły obijać się o szyby z elastoszkła, atakować gondolę, rozdzierać

pazurami i dziobami delikatną tkaninę komory gazowej. Oderwane pióra sterowe poleciały z wiatrem. Śmigła pocięły dziesiątki ptaków na kawałki, ale wciąż pojawiały się nowe, aż silniki „Czajki” zadławiły się śluzem i piórami. Shkin sięgnął do radia, otworzył wszystkie kanały i krzyknął:

– Zatrzymajcie atak! Jestem uczciwym biznesmenem! Zachowuję pełną neutralność!

Ale wojenne sterowce Zielonej Floty, do których dotarł ten sygnał, nie wiedziały nawet, kto go nadał, a ptaki niczego nie rozumiały. Dziobały, cięły pazurami, zdzierały tkaninę z metalowego szkieletu komory, aż w końcu Nabisco Shkin, spoglądając w górę, widział tylko kształty ptasich ciał, zmieniające się jak w kalejdoskopie na tle świętego księżyca. Gdy wrak zaczął opadać na ziemię, ptaki przebiły dach gondoli i dostały się do środka.

Nabisco Shkin rzadko kiedy okazywał emocje, ale ptaków było naprawdę dużo, a do ziemi bardzo daleko. Krzyczał przeraźliwie przez całą drogę w dół.

30. WIĘŹNIOWIE BURZY

Mężczyzna w mechanicznej zbroi nazywał się Naga. Tak zwracali się do niego żołnierze, kiedy zabrali Wren Cynową Księgę i poprowadzili ją z powrotem do Pawilonu. To było przerażające imię. Sam generał też wyglądał przerażająco, gdy kroczył wewnątrz swojego syczącego, skrzypiącego egzoszkieletu, ale sprawiał wrażenie cywilizowanego człowieka. Skarcił żołnierzy, którzy zaczęli kłuć Wren lufami strzelb, żeby szła szybciej. Zdziwiło ją to i dało cię nadziei. Słyszała przecież niejedną historię o tym, jak żołnierze Burzy zabijają jeńców na miejscu. Chciała spytać Nagę, co zamierza z nią zrobić, ale jednak zabrakło jej na to odwagi. Spojrzała na Theo, w nadziei, że powie jej, o czym rozmawiają żołnierze w tym swoim dziwnym języku, ale szedł ze spuszczone głową, nie patrząc na nią.

Weszli do Pawilonu po zewnętrznych schodach, mijając ogrodzony murem ogród, gdzie spędzono tłum schwytych niewolników i gości. Na straży stali Łowcy. Była tam również Boo-Boo Pennyroyal, która starała się poprawić morale swoich ludzi grmiącą pieśnią, ale chyba bezskutecznie.

Wren z początku myślała, że zostaną wraz z Theo dołączeni do tych więźniów, ale żołnierze prowadzili ich dalej, mijając basen Pennyroyala, z którego po przechyle platformy wylała się woda, tworząc ogromną, mokrą plamę na trawniku. Przed

salą balową stał Łowca o wiele bardziej przerażający niż bezmyślne maszyny bez twarzy, które otaczały Wren do tej pory. Był potężny, lśniący, a jego opancerzona czaszka nie ukrywała twarzy tak jak u zwykłych Łowców. Widać było spod niej martwą, białą skórę i ciemny otwór ust, które zadrgały lekko, gdy zielone oczy spojrzały na Wren. Pośpiesznie odwróciła wzrok, przestraszona, że zwróciła na siebie uwagę tej istoty. Czy się do niej odezwie? A może ją zaatakuje? Ale Łowca tylko zasalutował w odpowiedzi na pozdrowienie generała Nagi i odsunął się na bok, przepuszczając Łowców i ich więźniów do sali balowej.

Ktoś zdążył już naprawić światło. Medycy wynosili właśnie Cynthię na noszach. Wren dosłyszała jej jęk i ucieszyła się, że jej przyjaciółka żyje. Potem przypomniała sobie, że to była fałszywa przyjaciółka, i już sama nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy nie.

Na podium, gdzie jeszcze niedawno grała orkiestra, zebrała się grupa oficerów. Naga podszedł do nich i zasalutował energicznie, składając raport. Najwyższy z wojskowych odwrócił się, by popatrzeć na jeńców. Okazało się, że to kobieta. Jej twarz była pośmiertną maską odlaną z brązu, a zamiast oczu świeciły dwa szmaragdowe ogniki.

– Och! – wykrzyknął Theo.

Wren natychmiast zorientowała się, że to Łowczyni Fang. Kto inny mógłby tak wyglądać? Postać dosłownie emanowała energią, która elektryzowała powietrze wokół niej – do tego stopnia, że włoski na szyi Wren stanęły na sztorc. Czuła, że stojący obok niej Theo dygoce, jakby znalazł się w bliskości bogini.

Naga dodał coś jeszcze i Łowczyni z wdziękiem zstąpiła z podium. Jej oczy zaślniły jaśniej, gdy wyciągnęła Cynową Księgę ze schowka w jego zbroi. Chwyciła ją, przejrzała kilka symboli i wydała długie westchnienie zadowolenia. Naga wskazał na Wren i Theo, a potem coś powiedział, ale Łowczyni zbyła go machnięciem ręki. Usiadła po turecku na stosie gruzu, otworzyła Księgę i zagłębiła się w lekturze.

– Co teraz? – spytał Theo. – Myślałem, że będzie chciała nas przepytac...

– Naga też pewnie tak myślał – odpowiedziała Wren.

Wyglądało na to, że Łowczyni o nich zapomniała. Jej podwładni spoglądali na nią, jakby czekali na rozkazy, ale ona była pochłonięta czytaniem. Naga mruknął coś do swoich towarzyszy.

Wtedy jakaś kobieta, młoda i ładna, ubrana w czarny uniform podobny do wojskowego, powiedziała coś do generała, skłoniła się, zeskoczyła z podium i podeszła do dwójki jeńców.

– Chodźcie ze mną, proszę – powiedziała po angielsku.

Wren odetchnęła z ulgą. Kobieta wyglądała znacznie mniej agresywnie niż reszta korpusu ekspedycyjnego Zielonej Burzy. Na drukowanej naszywce na jej mundurze widniało nazwisko „Dr Zero”, obok kilku krzaczkowatych znaków, które pewnie znaczyły to samo po shanguońsku. Wyglądała o wiele za młodo jak na lekarza. Skośne oczy i wysokie kości policzkowe przypominały Wren jej przyjaciół – Inuitów w Anchorage, a krótko obcięte, zielone włosy zaskakująco dobrze pasowały do elfiej twarzy. Wzięła pistolet od jednego ze strażników i wycelowała nim w jeńców.

– Na zewnątrz, proszę. Już!

Spełnili jej polecenie. Kiedy wyprowadzała ich na taras, Wren podniosła wzrok. Ten olbrzymi Łowca znowu jej się przyglądał. Dlaczego tak się nią interesował? Pośpiesznie odwróciła głowę, ale w dalszym ciągu czuła na sobie spojrzenie jego zielonych oczu.

Doktor Zero wskazała im lufą pistoletu, żeby przeszli przez taras i zeszli po schodach do ogrodu. Myśleli, że chciała ich zaprowadzić do reszty jeńców w ogrodzonym murem ogrodzie. Ale u podnóża schodów, na tarasie w kształcie półksiężyca, którego nie było widać z sali balowej, zatrzymała ich nagle i zapytała po angielsku, z miękkim, wyraźnym akcentem:

– Co Łowczyni wam odebrała? Co to była za rzecz?

– Cynowa Księga z Anchorage – odpowiedziała Wren.

Doktor Zero zmarszczyła brwi, jakby nigdy przedtem nie słyszała tej nazwy.

– Przecież to po nią tu przylecieliście, prawda? – spytał Theo.

– Na to wygląda. Kto to wie... – Doktor Zero wzruszyła ramionami i spojrzała ku sali balowej, a potem powiedziała cicho, jakby się bała, że jej pani ją podsłucha: – Jej Wysokość nie uważa za stosowne ujawniać powodów, dla których zaatakowała wasze miasto. Co to jest ta Cynowa Księga? Dlaczego jest aż tak ważna, że Łowczyni sama po nią przybyła, z całą flotą wojenną?

– Cynthia powiedziała, że w Księdze może być klucz do wygrania tej wojny – odpowiedziała Wren.

Starła się pomóc, ale doktor Zero zapatrzyła się na nią bez słowa. Czy to księżyc tak oświetlił jej twarz, czy nagle

odpłynęła z niej cała krew? Otworzyła szeroko oczy, jakby nie widziała dziewczynki, tylko jakąś straszliwą wizję przyszłości.

– Ach! – szepnęła. – Naturalnie! Rozumiem! W księdze jest klucz do jakiejś broni z czasów Starożytnych. Może do czegoś w rodzaju MEDUSY, do czegoś, co ma moc zdolną unicestwić całe miasta. A wy oddaliście ją Łowczyńni! Wy głupcy!

– To niesprawiedliwe! – sprzeciwiła się Wren. – To nie nasza wina...

Doktor Zero zaśmiała się, ale w tym śmiechu nie było ani śladu wesołości. Tylko strach.

– Teraz wszystko jest w moich rękach, prawda? – zapytała. – Tylko ja mogę ją zatrzymać!

Odwróciła się i ruszyła biegiem po schodach, z powrotem do sali balowej, odrzucając na bok swój pistolet.

31. CHWILA RÓŻY

General Naga, wciąż zirytowany, że nie miał okazji zaatakować Bengazi i pozostałych miast, poprowadził swoją jednostkę uderzeniową przez niższe piętra pałacu, w nadziei, że natrafi gdzieś na gniazdo mieszcuchów – wojowników, którzy stawią mu porządny opór. W sali balowej kilku bojowych Łowców zostało na straży przy zaczytanej Łowczyni Fang. Metalowe stronice Księgi lśniły w zielonym blasku jej oczu. Stalowe palce przesuwwały się po wiekowych stronicach z ledwie słyszalnym pobrząkiwaniem.

Shrike stał przy oknie, obserwując swoją panią, choć w rzeczywistości na nią nie patrzył. Zamiast tego skupił się na twarzy, którą zatrzymał w pamięci. Była to twarz dziewczynki, którą Oenone Zero właśnie wyprowadziła z sali. Był pewny, albo prawie pewny, że widział tę twarz już przedtem. Te szare jak morze oczy, pociągłą szczękę i miedziane włosy. Przez jego umysł przebiegały iskry wspomnień. A jednak, gdy próbował dopasować tę twarz do innych, zapisanych w pamięci, nie potrafił znaleźć podobieństw.

Na tarasie rozległy się pośpieszne kroki. Odwrócił się i wyczuł, że pozostali Łowcy również na nie zareagowali, obnażając szpony. Ale do sali wbiegła tylko doktor Zero.

– Panie Shrike!

Ruszyła ku niemu, omijając ciała leżące na tarasie.

Próbowała się uśmiechnąć, ale nie wyszło jej to. Zamiast uśmiechu, jej twarz wykrzywił grymas. Shrike wyczuł jej urywany oddech, przyspieszone bicie serca, ostry, ostrzegawczy zapach potu i wiedział, że zaraz coś się wydarzy. Z niewiadomego powodu Oenone Zero uznała, że nadszedł właściwy moment, by użyć swej tajemniczej broni przeciwko Łowczyni Fang.

Ale gdzie była ta broń? Ręce miała puste. Obcisły, czarny uniform nie pozwalał na ukrycie żadnego urządzenia o mocy wystarczającej do zniszczenia Łowcy. Szybko przestawiał widzenie, przechodząc przez całe pasmo widma, ale na próżno szukał ukrytego pistoletu albo chemicznego promieniowania środków wybuchowych.

– Panie Shrike – powiedziała, zatrzymując się przy nim i patrząc mu prosto w oczy. – Muszę panu powiedzieć coś ważnego.

Na jej twarzy perliły się kropelki potu. Shrike odwrócił głowę i przeskanował całą salę balową, zastanawiając się, czy przypadkiem nie przyniosła czegoś ze sobą z „?a?obnego Wiru?Żalobnego Wiru” i nie zainstalowała tego zaraz po wylądowaniu. Sprawdził także taras, szukając urządzeń ukrytych za rzeźbami na balustradach. Nic tam nie było. Zupełnie nic.

Ktoś dotknął jego dłoni. Spojrzał w dół. Palce doktor Zero lekko dotykały pancernej pięści. Teraz uśmiechała się jak należy. Za grubymi szklami okularów jej oczy były pełne łez.

Powiedziała tylko:

– Chwila róży i chwila cisu trwają tak samo długo.

Shrike zrozumiał.

Odwrócił się i szybkim krokiem ruszył do sali balowej. Wcale nie chciał tego zrobić. Nie wydał polecenia nogom, by go tam niosły, ale i tak to zrobiły. To on był bronią doktor Zero. Od samego początku.

– ZATRZYMAJCIE MNIE! – udało mu się wykrztusić, gdy był tuż obok Łowczyni Fang. Dwóch bojowych Łowców skoczyło, by zagrozić mu drogę, ale odrzucił ich dwoma uderzeniami, urywając im głowy, i zostawiając za sobą oślepe, ogłupiałe ciała, które dreptały w kółko, strzelając iskrami i sikając krwią.

Przynajmniej udało mu się ostrzec Łowczynię Fang.

Odwróciła się i wstała. Cynowa Księga lśniła w jej długich rękach.

– Co pan wyprawia, panie Shrike?

Shrike nie był w stanie odpowiedzieć. Czuł się jak więzień w swoim własnym ciele, nie potrafił opanować nagłych, celowych ruchów. Ramiona uniosły się same, ręce zgięły się, a z palców wysunęły się lśniące pazury, dłuższe i mocniejsze niż jego dawne szpony. Niby pasażer w pozbawionym sterowania czołgu, patrzył, jak jego ciało samo z siebie rzuca się na Łowczynię.

Fang również obnażyła szpony i wyszła mu na spotkanie. Zderzyli się ze sobą ze zgrzytem zbroi, wśród strzelających iskiei. Zza pośmiertnej maski wydobył się gniewny syk. Zardzewiała okładka zamknęła się sama, Cynowa Księga upadła na podłogę i potoczyła się z dala od nich. To dlatego nie mogłem wykryć zagrożenia, pomyślał Shrike. Przypomniawsobnie, jak mądre palce Oenone Zero pracowały przy jego mózgu podczas tych samotnych, długich nocnych zmian w Fabryce Łowców. Dlaczego się nie domyślił, co mu zrobiła?

Szukał morderczej broni wszędzie, ale nigdy nie podejrzewał samego siebie. Przez ten cały czas nakaz zabicia jego nowej pani drzemał głęboko w jego umyśle, czekając, aż Oenone Zero wypowie słowa, które go obudzą...

Słyszał ją w dalszym ciągu z tyłu, jak gramoli się wśród gruzów balowej sali i krzyczy jeszcze raz, jakby zagrzewała go do boju:

– Chwila róży i chwila cisu trwają tak samo długo!

Uwolnił się, wbił szpony prawej ręki w pierś Fang, wywołując fontannę iskier. Smar prysnął na wszystkie strony. Łowczyni znowu zasyczała. Jej szara szata była w strzępach a w zbroi ziała dziura, zlane strumieniami płynu, który zastępował jej krew. Oenone Zero stanęła za nią, krzycząc:

– Nie dasz rady go zniszczyć! Zbudowałam go tak, żeby cię zabił! Szpony ze stopu tungstenu! Moc, o jakiej ty możesz tylko pomarzyć!

Rozdrażniona Łowczyni zamachnęła się w tył i wymierzyła doktor Zero cios, który posłał ją na posadzkę sali balowej. Shrike podbiegł i zadał Fang potężne uderzenie. Impet odrzucił ją od kobiety aż na oświetlony blaskiem księżyca taras. Zaatakowało go kilku Łowców, ale kopniakami zbił ich z nóg, a szponami poprzecinał kable na szyjach. Szyje były słabym punktem Łowców Popjoya. Poodrywane głowy zabrzęczały po bruku jak patelnie, zielone oczy pociemniały. Shrike kopniakami odrzucił z drogi targane przedśmiertnym dreszczem zwłoki. Jeden z korpusów zaplątał się w podartą zasłonę przy rozbitym oknie, a iskry tryskające z szyi podpaliły tkaninę. Ogień pobiegł w górę po zasłonie i sufit sali balowej w jednej chwili stanął w płomieniach. Blask płomieni odbijał się

w zbroi Łowczyni, która z trudem kuśtykała po tarasie, ciągnąc za sobą jedną nogę, z ręką wiszącą na pęku przewodów, pogiętą i śliską od ciekącego smaru jak rozdeptany owad.

Shrike chciał skończyć tę walkę. Chciał wrócić do płonącej sali i zaopiekować się doktor Zero. Ale jego zbuntowane ciało miało inne pomysły. Podszedł do Łowczyni, a kiedy rzuciła się ku niemu, był gotów. Chwycił ją za głowę i przebił szponami jej oczy. Ich zielone światło zgasło. Poczuł, jak szpony rozrywają mechanizm zamknięty w czaszce.

Syczała, skrzeczała i kopała go, rozdzierając zbroję na jego piersi, bo przy palcach u stóp także miała szpony. Tego nie przewidział. Uderzył nią mocno w balustradę na skraju platformy, roztrzaskując kamienną poręcz. Kawałki słupków i ozdobnych belek eksplodowały bielą w blasku księżyca i iskier tryskających z ciała Łowczyni Fang, która wypadła na zewnątrz. Shrike, czując, jak dzika radość walki wibruje we wszystkich jego nerwach, wyskoczył za nią.

A Wren? I Theo? Pozostawieni sami sobie przez ludzi Zielonej Burzy stali na pustym podeście, przyglądając się sobie bez słowa, nie mogąc uwierzyć, że o nich zapomniano. Przerażeni odgłosami straszliwej walki, dochodzącymi z góry, bali się zaryzykować ucieczkę. Nagle posypały się na nich fragmenty balustrady, a potem na dół spadła Łowczyni Fang i atakujący ją Łowca, jak dwie ostrokończaste komety. Wren przytuliła się do Theo i obserwowała walkę szeroko otwartymi oczyma. Od wieków nikt nie oglądał takich scen. Tylko w czasach, gdy Imperia Nomadów z północy wysyłały armie

nieumarłych, by walczyły ze sobą, ludzie byli świadkami walk Łowców. Ale to działo się, zanim zaświtała era ruchomych miast. Wtedy ludzie byli jeszcze ludźmi a miasta tkwiły na ziemi, i ani w głowie im było podróżować.

– Myślałam, że jest po jej stronie – zdziwiła się Wren.

– Cśś! – syknął Theo karcąco, bojąc się, by Łowcy nie odkryli ich obecności.

Ale Łowcy byli zajęci czym innym. Fang kopniakiem odrzuciła Shrike'a w tył, ale zabrakło jej sił, żeby zaatakować. Zamiast tego zaczęła szukać drogi ucieczki, wołając szeptem o pomoc. Chwyciła poręcz tarasu i w chwili, gdy Shrike doszedł do siebie po uderzeniu, i wymierzył potężny cios w jej plecy, przedostała się na drugą stronę i wylądowała w ogrodzie.

Shrike skoczył za nią. Słyszał za sobą krzyki przerażonych śmiertelników. Spojrzał w tamtą stronę i zobaczył, jak Naga z żołnierzami pędzi ku zniszczonej balustradzie, a potem patrzą w dół. Pobiegł dalej, tam gdzie ziemię znaczyły plamy oleju i śluzu, pozostawione przez ranną Łowczynię. Najpierw zaczęła się kierować w stronę „Żałobnego Wiru”, ale była przecież ślepa. Inne jej zmysły też mogły być zniszczone. Shrike poszedł za zapachem zniszczonej maszyny, przez gęste krzewy, zielone korytarze ozdobnego labiryntu, a potem w dół, po stromiźnie parkowego wzgórza. Zatrzymała się przy wysokiej balustradzie na skraju platformy i odwróciła się ku niemu. Jedno ramię zwisało bezwładnie. Ledwie starczyło jej sił, żeby unieść drugie. Szpony ślizgały się po kamieniu, zgrzytając jak połamane nożyczki.

– PRZEPRASZAM – wykrztusił Shrike, przepełniony litością.

– To ta Zero – zasyczała Łowczyni. – Zdradziła, a ty jesteś jej

tworem. Powinnam być mądrzejsza i nie wierzyć żadnym śmiertelnikom...

Jednym brutalnym uderzeniem Shrike zerwał pośmiertną maskę z jej twarzy. Głowa opadła w tył na porwanych przewodach, a blask księżyca oświetlił rysy zmarłej pilotki. Pociągła, szara twarz, czarne wargi obnażające żółte zęby, rozbite zielone lampki zamiast oczu. Podniosła okaleczoną rękę, by się zasłonić, a ten znajomy gest zaskoczył Shrike'a. Widział go gdzieś przedtem, ale gdzie?

Odwróciła się pośpiesznie, niezgrabna i pokaleczona, spoglądając w niebo ślepymi oczyma.

– Widzisz ją? – spytała. – Tę jasną gwiazdę na wschodzie? To ODIN; ostatnia z potężnych orbitalnych broni, które Starożytni umieścili w kosmosie. Czeka tam, uśpiona od czasów wojny sześćdziesięciminutowej. Jest potężna. Na tyle potężna, by zniszczyć niezliczone miasta. A w Cynowej Księdze z Anchorage zapisano kod, który ją obudzi. Niech mi pan pomoże, panie Shrike. Obudzimy razem ODINA i sprawimy, że świat zazieleni się na nowo.

Shrike pozbawił ją głowy trzema potężnymi uderzeniami. Umierając, wydała przenikliwy, długi okrzyk. Przerzucił jej ciało przez poręcz, potem wziął głowę i pośmiertną maskę, i wyrzucił je w ślad za nim. Maska zabłysła w świetle księżyca, i nagle poczuł, jak opuszcza go furia i cała siła.

Przez jego umysł przebiegły błyskawice interferencji, gdy ukryte instynkty zainstalowane przez Oenone Zero wyłączały się jeden po drugim. Wspomnienia napłynęły jak nietoperze. Uniósł ręce, by je odegnąć, ale nie ustawały. Nie te spokojne, smutne, ludzkie wspomnienia, które przepełniały jego umysł,

gdy umierał na Czarnej Wyspie, ale wspomnienia wszystkich strasznych uczynków, które popełnił, od kiedy został Łowcą: bitew, zabójstw, mordowania złodziejasków, by zabrać im łupy, tego małego żebraka, którego kiedyś zabił w Airhaven bez powodu, tylko dla przyjemności. Jak on mógł robić takie rzeczy? Jakim cudem omijało go poczucie winy i wstydu, które teraz go ogarnęło?

Nagle w jego pamięci pojawiła się przecięta blizną twarz, jak coś wynurzającego się z głębi wody. Tak wyraźna, że niemal potrafił nadać jej imię:

– H... HES...

– Tu jest! – krzyknął jakiś głos za nim i z krzaków wychynął oddział śmiertelników-żołnierzy. – Zatrzymać go!

– Stój, Łowco! W imię Zielonej Burzy! – Śmiertelnicy pod wodzą generała Nagi w skrzypiącej bojowej zbroi zbliżali się ostrożnie, celując w niego z potężnej, ręcznej wyrzutni rakiet i parowych karabinów maszynowych.

– Gdzie ona jest? – zapytał Naga. – Co pan zrobił naszej Łowczyni Fang?

– ZABIŁEM JĄ – odpowiedział Shrike. Ledwie widział żołnierzy, bo jego umysł wypełniał wizerunek przeciętej blizną twarzy. – ŁOWCZYNI FANG NIE ŻYJE. JEST DWAKROĆ MARTWA. ZNISZCZYŁEM JĄ.

Naga mówił coś jeszcze, ale Shrike go nie słuchał. Miał wrażenie, że rozpada się na kawałki, rozsypuje się w rdzę, i tylko to jedno wspomnienie utrzymuje go w całości. Ta twarz. Była dzieckiem, kiedy ją uratował. To był jedyny dobry uczynek w jego długim życiu.

– HES... HEST...

Ruszył biegiem, zapominając o żołnierzach. Łowcy ruszyli jego śladem, ale kilkoma ciosami odrzucił ich na boki. Kule odskakiwały od jego zbroi, ale ledwie je zauważał. Przed oczami błyskały mu sygnały ostrzegawcze, ale ich nie widział.

– HESTER! – zawył. I zniknął w gęstwinie ogrodów.

32. LOT „ARKTYCZNEJ RULETKI”

Na Bulwarze Oceanicznym, pod kopułą z dymu, wały się papierowe czapeczki i serpentyny, jak fale na spadzistym trotuarze. Pozostały po ulicznej zabawie, przerwanej napowietrznym atakiem. Tom, Hester i Pulpet czujnie szli ulicą. Kryli się w cieniu, by nie natknąć się na gangi szabrowników i zbuntowanych niewolników, którzy rabowali porozbijane galerie handlowe. Płomienie tańczyły swój balet na scenie ulicznego teatru, a pokładem co kilka minut wstrząsały wybuchy, gdy eksplodował kolejny zbiornik gazu na lotnisku, wysyłając w powietrze fontanny metalowych części, które spadały na dachy i rozbryzgiwały wody Morskiego Basenu. Wykwintne, podarte kostiumy martwych karnawałowych tancerzy łagodnie trzepotały na nocnym wietrze jak pióra pomordowanych ptaków.

– Na dolnych poziomach wciąż trwają walki – powiedział Tom, nad słuchując odgłosów, dochodzących z klatek schodowych. – Jak tu teraz dostać się do „Dżdżownicy”?

Hester wybuchnęła śmiechem. Wciąż była szczęśliwa i dumna, że udało jej się uwolnić Toma z wieży Shkina. Nawet jego upór, by zabrać ze sobą Pulpeta, nie zepsuł jej nastroju. W każdym razie nie na długo.

– Zupełnie zapomniałam! – powiedziała. – Nie do wiary! W tym całym zamęcie zupełnie mi to wyleciało z głowy. Tom,

„Śrubodźdzownica” nie jest nam już potrzebna. Zresztą i tak byśmy się nie dostali do Siódmego Nieba pająkomobilem, prawda?

– Myślisz o jakimś sterowcu? – spytał z powątpiewaniem. – Ale jakie mamy szanse, by zdobyć sterowiec? Gdy wybuchły walki, wszystkie odleciały. Sądząc po odgłosach, były mocno przeciążone.

Hester zatrzymała się i spojrzała na niego rozpromieniona. Pulpet schował się za Tomem.

– „Jenny Haniver” jest tutaj – powiedziała. – W tym głupim muzeum Pennyroyala. Czeka na nas, Tom. Ukradniemy ją. Kiedyś byliśmy w tym świetni.

Szybko opowiedziała mu o wszystkim, a potem pośpiesznie ruszyli do Old Steine. Zza kurtyny dymu dochodziły krzyki, brzęk rozbijanego szkła, a od czasu do czasu strzały. Ciała pomniejszych urzędników Rady i obiecujących artystów wisiały na latarniach. Hester szła z bronią gotową do strzału. Pulpet obserwował ją bacznie, nie zapominając o przysiędze, że ją kiedyś zabije. Żałował, że brak mu odwagi, by to zrobić. Hester naprawdę go przerażała. Z drugiej strony, patrzyła na Toma z taką czułością, że zbijało to Pulpeta z tropu. W pewnym momencie przyszło mu do głowy, że ta kobieta nie jest chyba taka całkiem zła, i może rzeczywiście dobrze byłoby z nimi zamieszkać. Nieśmiało ujął Toma za rękę.

– Czy pan serio mówił o tym, że mógłbym się zabrać z wami? Naprawdę chcecie zawieźć mnie do siebie, do Winlandii?

Tom skinął głową i spróbował uśmiechnąć się zachęcająco.

– Zatrzymamy się tylko na chwilę w Siódmym Niebie, i zaraz wyruszymy...

Ale gdy dotarli do Old Steine, zobaczył zerwane liny, rozrzucone wokół stacji kolejki linowej. Siódme Niebo zniknęło.

– Och, Quirke! – wykrzyknął. – Gdzie ono się podziało?!

Nigdy w życiu nie przyszłoby mu do głowy, że platforma może zniknąć. Spodziewał się, że będzie zniszczona, podobnie jak reszta miasta, i że Wren będzie gdzieś tam wysoko pod niebem, czekając na ratunek. Dopiero teraz zrozumiał, jakie to było naiwne. Ten latający pałac, ze swoją chmurą gazowych komór, musiał posłużyć Zielonej Burzy jako lądowisko.

– Wren... – szepnął. Nie mógł uwierzyć, że bogowie doprowadzili go tak blisko córki tylko po to, by wyrwać ją z jego zasięgu.

Hester wzięła go za rękę, i mocno ją uścisnęła.

– Nie poddawaj się, Tom. Gdy odlecimy z tej kupy gruzów, bez trudu znajdziemy tę głupią platformę. Pewnie tkwi w morzu albo gdzieś dryfuje. Nie zapominaj, że tam rządzi Pennyroyal. Nie będzie z nimi walczył, podda się od razu.

Pokazała mu palcem brudnobiałą fasadę Interakcyjnego Muzeum Nimroda Pennyroyala. Ścianę znaczyło kilka paskudnych pęknięć, i pochylała się niebezpiecznie nad chodnikiem. Drzwi były wyrwane z zawiasów. Gdy wprowadziła Toma i Pulpeta do środka, ogarnęło ją przerażające uczucie, że może jest już za późno. Może jakiś inny zdesperowany uciekinier przyszedł przed nimi, i zabrał „Jenny” z jej stanowiska, Ale kiedy wbiegła na schody, zobaczyła, że ich stary sterowiec czeka tam, gdzie go zostawiła. Szklana kopuła była zniszczona, odłamki zaścielały podłogę i komorę gazową „Jenny”, ale sterowiec w ogóle nie był

uszkodzony. Był nawet czyściejszy niż przedtem, a na boku wymalowano wielką jedynekę, przygotowując go do powietrznej parady. W zewnętrznych olstrach zamocowano nowe rakiety.

Idący za nią Tom wspiął się na schody i stanął jak wryty.

– Het – powiedział tylko. – Och, Het...

Po jego twarzy popłynęły łzy. Zaśmiał się, ocierając policzki.

– Przecież to nasz sterowiec!

– Stary rupieć! – wykrzyknął Pulpet, naciągając kurtkę, którą ukradł jednej z woskowych figur na dole.

– Pulpet, zobacz, czy uda ci się zapalić światło – polecił Tom i wsiadł do gondoli. Sterowiec pachniał muzealnym kurzem. Zanurkował pod wiszącymi przewodami i przesunął dłońmi po pulpicie sterowniczym, rozpoznając znajomy układ przyrządów. Na zewnątrz zapłonęły lampy. Ich blask wpadł przez świeżo umyte szyby, i rozjaśnił wnętrze gondoli.

– Pamiętasz, jak to działa? – spytała Hester z tyłu, nabożnym szeptem jak w świątyni.

– Och, tak – odpowiedział. – Takich rzeczy się nie zapomina.

Z namaszczeniem przesunął drążek. Ze schowka na suficie wypadł dmuchany ponton i uderzył go w głowę. Wepchnął go pod stół nawigacyjny i pociągnął za kolejny drążek. Tym razem „Jenny” zadygotała i się przesunęła, a muzeum wypełnił ryk bliźniaczych silników Jeunet-Carot. Stojący na zewnątrz Pulpet zakrył uszy dłońmi i rozkaszał się w chmurze spalin, a potem krzyknął:

– Jak chcecie wyprowadzić ją na zewnątrz?

– Dach się otwiera – odkrzyknęła Hester, wskazując w górę.

Pulpet potrząsnął głową.

– Obawiam się, że nic z tego...

Tom wyłączył siniki. W świetle reflektorów zobaczyli wyraźnie, dlaczego nikt nie zawracał sobie głowy starą „Jenny”. Potężna lina kotwiczna, jedna z tych, które jeszcze niedawno utrzymywały Siódme Niebo nad Brighton, spadła na muzeum, rozbijając szklany dach i niszcząc delikatną konstrukcję, która go podnosiła.

– Och, wszechmocny Quirke’u! – wykrzyknął Tom. Był coraz bardziej przekonany, że jego bóg igra sobie z nim do woli. Jeżeli wyjdzie z tego żywy, będzie musiał na serio poszukać protekcji innego niebianina.

Wyszedł na podest i zawołał do Hester:

– Dach jest zniszczony. Nie uda nam się wystartować.

– Idą tu jacyś ludzie! – krzyknął Pulpet, wyglądając z okna. – Cała banda. To chyba Zaginiony Chłopcy. Pewnie chcą sprawdzić, co to były za hałasy!

Hester spojrzała na dach przez przednie okna gondoli.

– Damy radę to usunąć, prawda?

Tom potrząsnął głową.

– Ta lina jest grubsza niż my oboje razem wzięci. Jesteśmy w pułapce!

– Nie martw się – odpowiedziała. – Zaraz coś wymyślimy.

Zamknęła oko w skupieniu, Pulpet biegał od okna do okna, wykrzykując coś o Zaginionych Chłopcach. Potem spojrzała na Toma z uśmiechem.

– Już wymyśliłam – powiedziała, i zaczęła włączać przyciski na długim, zakurczonym pulpicie sterowniczym. „Jenny Haniver” skoczyła do przodu. Tomem szarpnęło wstecz. W hałasie startujących silników i zwalnianych zaczepów z

początku nie zrozumiał, co Hester zamierza zrobić. Potem, gdy okna budynku wyrzuciły się od fali uderzeniowej, a „Jenny” uniosła się i ruszyła przed siebie, zobaczył, że Hester odpaliła rakiety prosto w zniszczoną ścianę muzeum, która zawaliła się na ulicę. Otwór był wystarczająco duży, by niewielki sterowiec przedostał się przezeń i uniósł w niebo.

– Zapomniałaś o Pulpecie! – zawołał, przekrzykując przenikliwy zgrzyt obudowy silników o mur muzeum.

– Ojej! – odkrzyknęła.

– Zawróć!

– Nie jest nam potrzebny, Tom. *Persona non grata* na pokładzie.

Tom podbiegł do otwartego luku i wychylił się, wołając chłopca po imieniu. Pulpet ruszył biegiem w stronę startującej gondoli. Wyciągnął ręce, a jego blada twarz pod cyrkową maską z białego tynku wykrzywiła się z przerażenia. Tomowi wciąż dzwoniło w uszach od niedawnego wybuchu, a silniki ryczały już pełną mocą, więc nie słyszał słów chłopca, ale nie było to potrzebne.

– Zawróćcie! – krzyczał Pulpet, gdy „Jenny Haniver” wzniosła się ponad chmurę dymu i kurzu, przelatując nad dzielnicą Old Steine i zdumionymi, uniesionymi do góry twarzami Zaginionych Chłopców i szabrowników, w niebo, które było jej domem.

– Nie zostawiajcie mnie! Panie Natsworthy! Błagam! Wracajcie! Wracajcie! Wracajcie!

„Jenny Haniver” leciała dalej, niezgrabnie przewalając się z

boku na bok, bo Tom i Hester toczyli walkę w sterówce.

– Na Quirke’a! – krzyczał Tom. – Musimy zawrócić! Nie możemy go tak zostawić!

Hester oderwała jego ręce od drążków sterowych i odepchnęła go na bok. Uderzył w stół nawigacyjny i ciężko upadł na pokład, krzycząc z bólu.

– Zapomnij o nim, Tom! – wrzasnęła. – Nie moglibyśmy mu zaufać. Poza tym powiedział, że „Jenny” to rupieć! Ma szczęście, że nie dostał ode mnie nożem!

– Ale to jeszcze dziecko! Nie możemy go zostawić! Co się z nim stanie?

– A kogo to obchodzi? Jest Zaginionym Chłopcem! Zapomniałeś już, co oni zrobili Wren?

„Jenny” nagle wleciała w czystą przestrzeń pod jasnym księżycem. Kilkadziesiąt metrów pod nimi rozciągał się dym, jak pole brudnego śniegu, a rozjaśnione ogniem górne piętra Kom Ombo i Bengazi wystawały z niego o kilka kilometrów od nich. Kręciło się koło nich sporo sterowców, ale żaden nie zainteresował się „Jenny Haniver”.

Hester rozglądała się po niebie. Daleko na południu dostrzegła uszkodzone komory gazowe Siódmego Nieba. Skierowała nos „Jenny” w tamtą stronę, zablokowała stery i uklękła obok Toma. Spojrzał na nią z dziwną miną i nagle uświadomiła sobie, że się jej boi. Rozbawiło ją to. Ujęła jego twarz w dłonie, pocałowała go i zlizwała słone łzy, które zebrały się w kąciku jego ust, ale odwrócił głowę. Teraz i ona się przestraszyła. Czyżby tym razem posunęła się za daleko?

– Przykro mi – powiedziała, choć wcale się tak nie czuła. – Słuchaj, Tom, naprawdę mi przykro. Popełniłam błąd. Możemy

zawrócić, jeśli chcesz.

Odsunął się od niej i niezgrabnie stanął na nogi. Nie mógł zapomnieć tego niesamowitego uśmiešku na jej twarzy, gdy wyprowadzała go z Pieprzniczki.

– Spodobało ci się – wykrztusił. – Prawda? Kiedy zabijałaś tych wszystkich ludzi w wieży Shkina, sprawiało ci to frajdę...

– To byli handlarze niewolników, Tom – odpowiedziała. – Przestępcy. To oni sprzedali Wren w niewolę. Bez nich świat będzie lepszym miejscem.

– Ale...

Potrząsnęła głową i aż krzyknęła ze złości. Dlaczego on nic nie rozumiał?

– Słuchaj – powiedziała. – My jesteśmy mali, zwykli ludzie, prawda? Zawsze tak było. Małe, pokorne ludziki, które próbują spokojnie żyć i zawsze są na łasce takich jak Wujek, Shkin, Masgard, Pennyroyal i... i Valentine. Więc owszem, dobrze jest czasem poczuć się równie silną jak oni. Dobrze jest zawałczyć o swoje i choć trochę wyrównać rachunki.

Nie odezwał się ani słowem. W świetle kontrolki widziała, jak na jego głowie tworzy się nowy siniak, tam gdzie uderzył się o stół.

– Biedny Tom – mruknęła i pochyliła się, żeby go pocałować, ale znowu się odsunął. Popatrzył na wskaźniki paliwa.

– Zbiorniki mamy napełnione tylko do połowy – odpowiedział. – Wiedziałaś o tym, kiedy wystartowaliśmy. Jeśli zawrócimy, nie uda nam się odnaleźć Wren. Poza tym niewolnicy na pewno już dawno złapali biednego Pulpeta.

Hester niezgrabnie wzruszyła ramionami. Szkoda, że nie pozwolił się objąć. Irytowała ją jego obsesja na punkcie tego

chłopaka. Dlaczego Tom cały czas musiał się martwić o innych? Opanowała się jednak.

– Pulpet sam sobie poradzi – pocieszyła go.

Tom spojrział na nią z nadzieją. Bardzo chciał w to uwierzyć.

– Tak myślisz? Jest taki mały...

– Na pewno ma ze dwanaście lat. Radziłam sobie sama na Rubieżach, gdy byłam niewiele starsza, i dobrze mi szło. I nie miałam takiego przeszkolenia w Kleptorium jak on.

Dotknęła twarzy Toma.

– Znajdziemy Wren – obiecała. – Potem jakoś zatankujemy, wrócimy do Brighton i odnajdziemy Pulpeta, gdy zapanuje tam względny spokój.

Objęła go. Tym razem nie odsunął się, choć nie oddał jej uścisku. Pocałowała go, przeczesła palcami rzednące włosy. Nienawidziła się z nim kłócić. I nienawidziła Pulpeta, bo stał się powodem ich kłótni. Miała szczerą nadzieję, że Zaginieni Chłopcy już dawno grają sobie w futbol tą jego zawieszoną, jasną głowiną.

33. CZAS ODLOTÓW

Theo i Wren nie czekali, aż żołnierze Zielonej Burzy pochwycą ich na nowo. Biegnąc przez park, usłyszeli przedśmiertny krzyk Łowczyni Fang, odbijający się echem wśród drzew.

– Co to było? – spytała Wren i zatrzymała się, przestraszona tym strasznym, przepełnionym samotnością jękiem.

– Nie mam pojęcia – odparł Theo. – Pewnie coś złego.

Schowali się w krzakach, gdy minął ich biegiem kolejny oddział Zielonej Burzy. Hełmy żołnierzy lśniły pomarańczowym blaskiem. Wren obejrzała się i spostrzegła, że Pawilon zajął się ogniem.

– Theo! Tam się pali!

– Wiem – odpowiedział. Stał tuż obok niej. Tak blisko, że w blasku ognia widziała gęsią skórę na jego nagiej skórze. Dygotał z zimna. Nagle objął ją ramionami.

– Lepiej byłoby, gdybyś została więźniem Burzy, Wren – powiedział. – Siódme Niebo opada na ziemię. Chyba byłabyś z nimi bezpieczniejsza. Ja nie mogę do nich dołączyć, ale ty owszem. Naga i ta cała doktor Zero wyglądali na przyzwoitych ludzi. Powinnaś tam wrócić.

– A co z tobą? – spytała. – Nie mogę cię tak zostawić.

– Poradzę sobie – odpowiedział, a potem powtórzył to jeszcze raz, jakby chciał przekonać samego siebie: – Poradzę sobie. Ta

platforma powoli opada na ziemię. Wylądujemy na pustyni i wtedy ruszę na południe. W górach Tibesti jest statyczne osiedle, na południe od tego morza piasku. Może uda mi się tam dotrzeć na piechotę.

– Nie – odpowiedziała. Odsunęła się od niego, bo kiedy ją obejmował, jej mózg przestawał pracować i miała ochotę zgodzić się ze wszystkim, co powiedział. Ale w głębi duszy wiedziała, że Theo opowiada bzdury. Nawet gdyby przeżył upadek Siódmego Nieba, marsz pieszo przez pustynię równał się samobójstwu. – Zostaję z tobą – powiedziała. – Znajdziemy jakąś drogę ucieczki. To moja ostateczna decyzja. Może jest tu jakiś sterowiec, który jeszcze nadaje się do użytku...

Ruszyła przez owiany dymem park, nie wiedząc czemu pełna nadziei i bardzo zadowolona z siebie. Niestety, kiedy dotarli do lądowiska, okazało się że jest bardziej zniszczone, niż się spodziewali. Prowizoryczne hangary i koszary Fretek leżały w gruzach, a z maszyn, które nie zdążyły wystartować, zostały tylko zgłiszcza. Ale w ruinach letniego pawilonu, gdzie poprzedniej nocy rozmawiała z Orlą Twombly, znalazła dwie podszyte barankiem tuniki, które jakimś cudem przetrwały bombardowanie, i wisiały na nieuszkodzonym wieszaku wśród ruin. Trochę ją to pocieszyło. Rzuciła jedną Theo, który włożył ją z wdzięcznością, odkładając na bok srebrne skrzydła niby anioł wygnany z nieba.

Wren naciągnęła na siebie drugą tunikę i zaczęła obmyślać nowy plan.

– Trudno – powiedziała. – Może rzeczywiście ruszymy na pustynię. Będą nam potrzebne woda i jedzenie. Przydałby się też kompas...

Theo jej nie słuchał. Jego uwagę zwrócił szelest w zaroślach nieopodal ruin. Nakazał Wren gestem, by była cicho.

– Och, bogowie! – szepnęła. – Czyżby znowu Burza?

Ale to był tylko Nimrod Pennyroyal. Pierwszy strzał Shkina odbił się od Cynowej Księgi ukrytej na piersiach burmistrza i złamał mu kilka żeber, a drugi musnął go w skroń, pozbawił przytomności i rozciął skórę na głowie, powodując krwotok. Kiedy Pennyroyal odzyskał przytomność, powłókł się w kierunku lotniska, tak samo jak Wren i Theo. Miał nadzieję, że znajdzie jakąś drogę ucieczki z Siódmego Nieba. Spoglądając na nich błagalnie z krzaków, wyszeptał:

– Pomocy!

– Zostaw go tu – powiedział Theo, gdy Wren podeszła do burmistrza.

– Nie mogę – odpowiedziała. Bardzo chciałyby odejść. Nie zasługiwał na pomoc po tym wszystkim, co uczynił, ale nie udzielając jej, stałaby się równie złym człowiekiem jak on. Uklękła przy nim, i oddarła pasek ze swojej tuniki, żeby obandażować mu głowę.

– Dobra dziewczynka – jęknął, gdy się nim zajmowała. – Zdaje mi się, że złamałem też nogę, kiedy upadłem... Ten diabelski Shkin! Ten potwór! Postrzelił mnie! Postrzelił i odleciał!

– Teraz pan wie, jak czuł się biedny Tom Natsworthy – odpowiedziała Wren. Krew przesączyła się przez prowizoryczny bandaż, gdy tylko go założyła. Pożałowała, że tak mało uwagi zwracała na zajęcia z pierwszej pomocy prowadzone przez panią Scabious w Winlandii.

– To była zupełnie inna sprawa – odpowiedział. – To było...

Na wielkiego Poskitta! Skąd ty wiesz o Tomie Natsworthym?

– Jestem jego córką – powiedziała. – Shkin powiedział wtedy prawdę. Tom to mój tata, a Hester to moja mama.

Pennyroyal wydał bulgocący odgłos, a w jego oczach błysnęły przerażenie i ból. Patrzył, jak Wren odrywa od tuniki kolejny pasek. Wyglądał, jakby spodziewał się, że zaraz go nim udusi.

– Czy na tym cholernym spodku jest choć jedna osoba, która nie udaje kogoś innego? – spytał słabym głosem i nagle stał się ciężki i bezwładny.

– Umarł? – spytał Theo, stając tuż za nią.

Pokręciła głową.

– To tylko powierzchowna rana. Zemdłał. Musimy mu pomóc, Theo. Uratował nas przed Cynthią.

– Tak, ale tylko dlatego, że chciał położyć łapę na Cynowej Księdze – odpowiedział. – Zostaw go tu. Może znajdą go ludzie Zielonej Burzy i zabiorą ze sobą przy odlocie...

Ale z tyłu za nimi już rozległ się ryk silników. To Jastrzębie Cmy i Lisie Duchy startowały z za drzew, rzucając długie cienie na smugi dymu, gdy kluczyły między żelaznymi linami Siódmego Nieba. Zielona Burza rozpoczęła odwrót.

Oenone Zero wyrwał ze snu smród płonącej zasłony. Bolała ją głowa, a kiedy wciągnęła powietrze w płuca, piekący dym ścisnął jej gardło, aż zaczęła się dławić i krztusić. Przetoczyła się na plecy.

Po ozdobnym suficie sali balowej nad jej głową tańczyły płomienie, zalewając go ognistymi, płynnymi falami. Zaczęła

macać wokół siebie, szukając okularów, ale i tak były rozbite. Płomienie już ją otaczały. Widziała, jak rozrzucone na podłodze stronicie Cynowej Księgi zaczynają w niej czernieć. Rzuciła się przed siebie, prosto w rozedrganą kurtynę ognia, i wypadła na taras. Pełno tam było dymu. Oświetleni płomieniami ludzie biegali we wszystkie strony, a ona przeciskała się przez ten tłum jak pijana, szukając schodów. Nagle drogę zagroził jej generał Naga. Rzuciła się w tył, potknęła o poległego Łowcę i usiadła przed nim bezradnie.

– Doktor Zero? – zapytał. – Czy to pani spowodowała ten... ten atak?

Oenone wiedziała, że zaraz zginie. Była przepełniona strachem, który zaczął się wydobywać przez jej usta cichym, przenikliwym piskiem. Zacisnęła powieki i zmówiła modlitwę do boga z tamtej zrujnowanej kaplicy w Tienjingu. Choć nigdy nie miała czasu dla bogów, wiedziała, że on na pewno wiedział, co to są lęk, cierpienie i śmierć. Nagle strach ją opuścił. Otworzyła oczy i zobaczyła, jak spoza chmury dymu wyłania się księżyc, okrągły i biały. Pomyślała, że nigdy w życiu nie widziała czegoś tak pięknego.

Uśmiechnęła się do generała Nagi i powiedziała:

– Tak. To ja. Zainstalowałam w mózgu Łowcy Shrike'a sekretne instrukcje. Zmusiłam go, żeby ją zniszczył. To było konieczne.

Naga ukląkł i objął jej głowę wielkimi, metalowymi dłońmi. Potem pochylił się i złożył niezgrabny pocałunek między jej brwiami.

– Genialny pomysł! – powiedział, pomagając jej wstać. – Genialny! Nasłać jednego Łowcę, by zabił drugiego!

Poprowadził ją daleko od ognia, między wpatrzonymi w nich, oświetlonymi płomieniami grupami żołnierzy i pilotów, do miejsca, gdzie na trawniku zakotwiczone „Żałobny Wir? Żałobny Wir”. Wziął od kogoś płaszcz i okrył jej dygocące ramiona.

– Nie wyobraża sobie pani, jak długo czekałem na ten dzień!
– wykrzyknął. – Och, przez kilka pierwszych lat była dobrym wodzem, ale wojna przeciągała się coraz bardziej, a ona marnowała ludzi i statki, jakby byli pionkami w jakiejś grze. Tak długo próbowałem znaleźć jakiś sposób... A pani to po prostu zrobiła! Uwolniła nas pani od niej. Tak przy okazji: pani przyjaciel Shrike gdzieś zniknął. Czy jest niebezpieczny?

Oenone potrząsnęła głową. Wyobraziła sobie, co Shrike musi właśnie przechodzić.

– Trudno powiedzieć. Przytłumiłam niektóre jego wspomnienia, bo potrzebowałam miejsca na moje własne, tajemne programy. Teraz, gdy wypełnił swój obowiązek, te wspomnienia zaczną się wydobywać na powierzchnię. Będzie oszołomiony... może nawet zwariuje. Biedny pan Shrike.

– To tylko maszyna, pani doktor.

– Nie, on jest kimś więcej. Niech pan poleci swoim ludziom, by go odnaleźli.

Naga machnięciem ręki przywołał kilku gwardzistów i wszedł na pokład „Żałobnego Wiru”. Potem wskazał Oenone krzesło. Była potwornie zmęczona. Widziała w jego zbroi odbicie swojej twarzy, brudnej od krwi i popiołu, nagiej bez okularów. Naga poklepał ją po ramieniu i mruknął szorstko:

– Spokojnie, dziewczyno. Spokojnie – jakby uspokajał spłoszone zwierzę. To był dotyk żołnierza, niezgrabny i

nienawykły do delikatności. – Jesteś bardzo odważną młodą kobietą.

– Wcale nie. Bałam się. Bardzo się bałam.

– Na tym polega prawdziwe bohaterstwo, moja droga. Trzeba pokonać własny strach. Jeśli się nie boisz, to się nie liczy. – Wyciągnął manierkę ze schowka w swojej zbroi. – Proszę, pociągnij łyk brandy. To cię uspokoi. Oczywiście nikt się nie dowie, że to była twoja robota. Ogłosimy oficjalną żałobę z powodu śmierci Łowczyni Fang. Obwinimy o to mieszczuchów. To rozpali naszych żołnierzy, będą waleczni jak nigdy! Zaatakujemy na wszystkich frontach. Pomścimy upadek naszej przywódczyni...

Oenone zakrztusiła się mocną brandy i odsunęła od siebie manierkę. Powiedziała:

– Nie! Wojna musi się skończyć...

Naga roześmiał się, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

– Burza w dalszym ciągu będzie wygrywać bitwy, nie potrzebujemy rad tej żelaznej damulki! Proszę się nie martwić, doktor Zero. Bez niej będziemy sobie lepiej radzić. Rozniesiemy te barbarzyńskie miasta w puch! A kiedy zostanę przywódcą Burzy, wynagrodzę panią sownie. Będzie pani miała pałace, pieniądze i taką pracę, jakiej sobie pani zażyczy....

Oszołomiona Oenone potrząsnęła głową. Patrząc na tego ciężkozbrojnego wojownika na pokładzie sfatygowanego bojowego sterowca zrozumiała, że nie doceniała Zielonej Burzy. Ci ludzie są dziećmi wojny, więc zrobią wszystko, by walka trwała w nieskończoność.

– Nie – sprzeciwiła się. – Ja nie dlatego chciałam..

Ale generał Naga zapomniał o niej w chwili, gdy zaczął wydawać rozkazy podwładnym.

– Nadajcie na wszystkich częstotliwościach komunikat: Łowczyni Fang poległa w bitwie. W tej tragicznej chwili potrzebne nam spokój, stabilizacja, i tak dalej. Aby kontynuować naszą chwalebną walkę z barbarzyńskimi mobilistami, obejmuję stanowisko naczelnego dowódcy. I przygotujcie „Żałobny Wir” do startu. Chcę znaleźć się w Tienjing, zanim któryś z naszych towarzyszy zechce zagarnąć władzę dla siebie.

– A jeńcy, generale?

Naga zawahał się, spojrzął na doktor Zero i odpowiedział:

– Nie chcę rozpoczynać mego panowania od masakry. Zabierzcie ich na pokład. Tylko błagam, powiedzcie tej kobiecie Pennyroyala, żeby przestała śpiewać.

Łowca Shrike patrzył z ukrycia w zaroślach, jak oddziały piechoty desantowej wracają na pokład „Żałobnego Wiru”. Ktoś krzyczał przez megafon:

– Panie Shrike! Panie Shrike! Prosimy na pokład! Odlatujemy!

Shrike wiedział, że doktor Zero wydała im polecenie, by go odnaleźli i był jej za to wdzięczny, ale nie pokazał się żołnierzom. Musiał zostać w Siódmym Niebie. Dziewczynki, którą widział przed salą balową, nie było wśród jeńców, zaganianych do powietrznego niszczyciela. Jeśli ona została na platformie, to i Shrike tu zostanie. Z niepojętych dla siebie powodów zakładał, że ta mała jest w jakiś sposób powiązana z

Hester. Jeśli zostanie blisko niej, może uda mu się odnaleźć
Hester.

34. ZNALEZIONE, NIEKRADZONE

Pulpet leżał na wydmach przy plaży. Ogłuszony zimnem i rozpaczą patrzył, jak Brighton odpala uszkodzone silniki i niezgrabnie odpływa, przechylone na bok. Wiatr przyniósł przez wodę dym i radosne okrzyki zwycięskich Zaginionych Chłopców.

Ledwie udało mu się ujść z życiem. Gdy Zaginieni Chłopcy wpadli do muzeum, popędził jak przestraszony szarak przez płonące ulice, łkając bezradnie przez drogę: „Panie Natsworthy, niech pan zawróci... niech pan zawróci...” W końcu dotarł na rufę i rzucił się na oślep do wody z pomostu widokowego, szukając bezpieczeństwa w morskich falach.

Resztką sił dopłynął do brzegu. O mało nie utonął w przybrzeżnej kipieli. Teraz, śmiertelnie zmęczony i zmarznięty, musiał znowu się ruszyć. Głodne pustynne miasta przetaczały się po wydmach tuż obok, a żarłoczne ziemnowodne miasteczka parły ku niemu, plując parą z kotłów, by pożywić się wrakami sterowców i latających machin, które zaścielały plażę i kołysały się na falach przypływu. Przejeżdżały obok, w chmurach gęstego dymu. Pulpet, który nigdy przedtem nie widział ruchomego miasta, nie mógł uwierzyć, że ich wieże są aż tak wysokie, i że ziemia może aż tak dygotać pod ich gąsienicami. Dławiąc się spalinami, obsypany fontannami piasku, pokuśtykał jak

najdalej od nich, prosto na pustynię.

Teraz naprawdę stał się Zaginionym Chłopcem. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje ani dokąd zmierza. Biegł przed siebie, byle dalej, godzina za godziną. Zsuwał się z wydm, potykał na kamienistych połaciach żwiru i stosach jałowych skał. Bał się ciemności i głębokich cieni, które stawały się coraz mroczniejsze, gdy księżyc chował się za zachodni horyzont. W końcu padł na ziemię na brzegu wyschniętego strumienia. Przycisnął mokre kolana do chudej piersi, żeby się choć trochę rozgrzać i zawołał na cały głos:

– Co się teraz stanie z biednym, małym Pulpetem?

Nikt mu nie odpowiedział i to przeraziło go jeszcze bardziej. Wszyscy go opuścili: Gargle, Remora i Wren, potem fałszywi rodzice, którzy go na dobitkę oszukali. Pan Shkin go zawiódł, a Tom Natsworthy porzucił. Ale Pulpet wolałby być z nimi, wszystko jedno z kim, niż zupełnie sam na tym pustkowiu.

Coś błysnęło w świetle księżyca. Pulpet, którego nauczono zbierać błyszczące przedmioty, instynktownie poszedł w tamtą stronę.

Z piasku spojrzała jakaś twarz. Wziął ją w ręce. Była z brązu. Strasznie pocięta. Zamiast oczu miała otwory. Usta rozchyłał lekki uśmiezek, który dziwnie uspokoił chłopca. Była bardzo piękna. Pulpet przyłożył maskę do swojej twarzy i spojrzał przez otwory na księżyc. Potem wsadził ją do kieszeni kurtki i ruszył dalej, nieco bardziej pewny siebie i ciekaw, czy ta pustynia kryje jeszcze jakieś skarby.

Kilkanaście metrów dalej jego bystre oczy dostrzegły jakiś ruch na dnie wyschniętego koryta strumienia. Przypadł do ziemi, w odruchu zwierzęcego strachu, ale podszedł bliżej. Po

żwirze pełzła urwana dłoń. Wyglądała, jakby zrobiono ją z metalu. Poruszała się jak kulawy krab, podciągając się na palcach. Z nadgarstka wystawały jakieś druty, kawałki maszynerii i coś, co przypominało kość. Pulpet zaczął ją obserwować, a potem, zaintrygowany celowymi ruchami, poszedł jej śladem.

Wkrótce natrafił na inne, mniej ruchliwe części ciała. Na wielkim głazie leżała metalowa noga, wygięta w niewłaściwą stronę. Nieopodal spoczywał pogięty korpus. Kilkadziesiąt metrów dalej znalazł drugą rękę, przyczepioną do ramienia. Macała żwir i kamienie u podnóża akacjowych drzew.

Potem znalazł głowę – czaszkę obciążoną szarą skórą twarzy, otoczoną plątaniną kabli, przewodów i rurek. Wyglądała jak martwa, ale chyba go wyczuła, kiedy się nad nią pochylił. Soczewki szklanych oczu były potłuczone, ale pajęcza maszyneria w środku dygotała i postukiwała, poruszając niewidzącymi gałkami ocznymi. Martwe usta drgnęły i rozległ się z nich ledwie słyszalny szept. Głowa przemówiła.

– Jestem uszkodzona.

– Tylko trochę – pocieszył ją Pulpet. Żal mu się zrobiło tej biednej, starej głowy. – Jak masz na imię? – zapytał.

– Anna – szepnęła głowa. Potem poprawiła się: – Nie, nie. Anna nie żyje. Ja jestem Łowczyni Fang.

Zupełnie jakby miała dwa głosy. Jeden szorstki i rozkazujący, drugi pełen wahania, jakby zdziwiony.

– Archangielsk wziął nas do niewoli – powiedział ten drugi. Mam siedemnaście lat, i jestem niewolnicą czwartej grupy Pracuję w dokach Stiltona Kaela, ale buduję swój własny sterowiec i... – Nagle przewał jej drugi głos. – Nie! To było

dawno temu, w czasach Anny, a Anna nie żyje. Sathya, kochanie. Czy to ty? Wszystko mi się myli...

– Ja nazywam się Pulpet – powiedział chłopiec, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

– Chyba jestem uszkodzona – odparła głowa. – Valentine mnie oszukał... wbił mi miecz w pierś... Tak mi zimno. Tak bardzo zimno... Nie. Tak. Teraz pamiętam. Pamiętam wszystko. Tę maszynę podsuniętą przez Oenone Zero. A generał Naga stał tuż obok i biernie patrzył... Zdradzili mnie.

– Mnie też – powiedział Pulpet. Na czaszce były połamane uchwyty, z których wyrwano maskę. Wyjął ją z pazuchy i umocował na miejscu, najlepiej jak potrafił.

– Pomóż jej, proszę – szepnęła głowa. Potem dodała: – Musisz mnie naprawić.

– Ale ja nie wiem jak.

– Ona... Ja ci powiem.

Pulpet rozejrzał się naokoło. Kawałki ciała Łowczyni pełzły ku niemu przez piaski, jak przyciągane przez głowę. Palce poruszały się jak krab-kamery, które naprawiał dla Gargle'a.

– Może mi się uda – powiedział. – Ale nie tutaj. Będę potrzebował narzędzi... i w ogóle. Najpierw trzeba zebrać wszystkie twoje części, a potem poszukać jakiegoś miasta... albo czegoś w tym rodzaju.

– Bierz się do roboty – poleciała głowa. – Potem ruszę na wschód. Do Shan Guo. Do mojego domu w Erdene Tezh. Zemszczę się na tej śmiertelniczce. Tak, och tak...

– Pójdę z tobą – powiedział Pulpet, nie chcąc, żeby znowu go ktoś porzucił. – Pomogę ci. Jestem ci potrzebny.

– Znam tajemnice Cynowej Księgi – szepnęła głowa do siebie.

– Kody są bezpieczne w mojej pamięci. Wrócę do Erdene Tezh i obudzę ODINA.

Pulpet nie miał pojęcia, co to znaczy, ale ucieszył się, że znowu jest ktoś, kto będzie nim rządził, nawet jeśli to tylko czyjaś głowa. Wstał. Na gałęzi krzaka łopotał kawałek szarej szaty. Zdjął go, związał na supeł i zrobił z niego coś w rodzaju torby. Potem, gdy głowa Łowczyni Fang szeptała coś do siebie o tym, że trzeba zazielenić świat na nowo, zaczął zbierać porozrzucone wokół kawałki jej ciała.

35. PORZUCENI W PRZESTWORZACH

Po odlocie desantu Burzy w Siódmym Niebie zapanowała głucha cisza. Wiatr wciąż śpiewał w poluzowanych stalowych linach, komory gazowe, które nie uległy zniszczeniu, ocierały się o siebie. Od czasu do czasu z płonącego Pawilonu dochodził trzask zapadających się stropów, ale to nie były odgłosy ludzi, więc nie miały żadnego znaczenia.

Theo i Wren zaciągnęli nieprzytomnego Pennyroyala do kryjówki w cyprysowym zagajniku, między hangarem a ozdobnym żywopłotem. W środku zagajnika była fontanna. Ułożyli go obok, zapewniając mu możliwie jak największą wygodę. Potem Theo usiadł, oparł głowę na ramionach i natychmiast zasnął. Wren to zdziwiło. Choć była śmiertelnie zmęczona, strach i napięcie nie pozwoliły jej zasnąć. Theo był pewnie inny. Przecież walczył na froncie. Pewnie przyzwyczał się tam do tej straszliwej niepewności.

– Boo-Boo, gołąbeczko ty moja, wszystko ci wytłumaczę – mruknął Pennyroyal. Poruszył się i spojrzał spod przymkniętych powiek. Na widok Wren wymamrotał: – Och, to ty.

– Niech pan śpi dalej – odpowiedziała.

– Nie lubisz mnie – odparł. – Słuchaj, przykro mi z powodu twojego ojca. Serio. Pechowiec z tego Toma. Nie chciałem zrobić mu krzywdy. To był wypadek. Przysięgam.

Wren poprawiła mu bandaż.

– Nie chodzi mi tylko o to. O tę pana książkę – odpowiedziała. – Tyle w niej kłamstw! O pannie Freyi, o Anchorage i o tym, jak moja mama dogadała się z Wilczym Stadem...

– To akurat jest prawda – odpowiedział. – Przyznaję, że może podkoloryzowałem fakty tu i ówdzie, głównie dla płynności akcji, ale prawda jest taka, że to Hester Shaw naprowadziła Archangielsk na nasz trop. Sama mi to powiedziała. „To ja nasłaałam na Anchorage Wilcze Stado. Z powodu Toma. Chciałam go odzyskać. Miał być moim złotem drapieńczy”. Poza tym kilka miesięcy później natrafiłem wśród uciekinierów z Archangielska na uroczą młodą damę imieniem Julianna. Była niewolnicą w domostwie tego łajdaka Piotra Masgarda i powiedziała mi, że na własne oczy widziała, jak dobijali targu. Do jej pana przyjechała jakaś pilotka i podała mu pozycję Anchorage. Młoda pilotka, właściwie jeszcze dziecko, z potworną blizną, która dzieliła jej twarz na pół...

– Nie wierzę panu – odpowiedziała Wren ponuro i odeszła w głąb parku. To nie mogła być prawda. Pennyroyal znowu zaczął swoje sztuczki, naciągając fakty na swoją korzyść. Tylko dlaczego upierał się przy tej wersji? Zaniepokoiło ją to. Może sam w nią wierzył. Może mama mu to powiedziała, żeby go nastraszyć. Co do tej niewolnicy Masgarda to owszem, może i widziała pilotkę z blizną, ale to wcale nie musiała być mama. Pilotowanie statków do wynajęcia to niebezpieczna praca. Na pewno wiele z tych kobiet ma blizny na twarzach...

Potrząsnęła głową, by przepędzić niepokojące myśli. Miała poważniejsze zmartwienia niż głupie gadki Pennyroyala.

Siódme Niebo chwiało się pod jej stopami, a w powietrzu rozlegał się jęk przeciążonych lin. Po przechylonej płaszczyźnie trawnika snuł się dym, przesłaniając ciała zabitych i poprzewracane stoły. Wren pozbierała kilka tartinek, które upadły na ziemię i zjadła je, przyglądając się Pawilonowi. Trudno uwierzyć, że ta ruina jeszcze niedawno była pięknym budynkiem. Teraz zapadał się w sobie, pokryty ciemnymi smugami, a zamiast jasnego światła lamp jego okna rozjaśniała czerwona łuna pożaru. Wspaniała centralna kopuła zapadła się jak zgnieciona beza. Gazowe komory tuż nad nią chyba się jeszcze trzymały, ale były czarne od dymu. Od czasu do czasu płomienie pochłaniające skrzydło dla gości rosły w górę i niebezpiecznie się do nich zbliżały.

Zapatrzona w pożar Wren nagle uświadomiła sobie, że obok niej ktoś stoi, i się w nią wpatruje.

– Theo? – spytała, odwracając się w tamtą stronę.

Ale to nie był Theo.

Przestraszona, straciła równowagę na stromym trawniku i upadła, jęcząc z przerażenia. Łowca nawet nie drgnął, tylko zaparł się w ziemię, żeby utrzymać się na krzywiźnie. Wpatrywał się we Wren. Zresztą błysk tych zielonych lampek nie potrafił chyba wyrażać innych uczuć. Blask ognia wydobył z mroku jego pogiętą zbroję i zakrwawione szpony. Głowa lekko dygotała. Z ran sączyły się olej i jakiś smar.

– NIE JESTEŚ NIĄ – powiedział.

– Nie – zgodziła się ochoczo przenikliwym jak mysi pisk głosem. Nie miała pojęcia, o kim mówi ta okropna, wiekowa maszyna, ale nie zamierzała się z nią kłócić. Przesunęła się na siedząco po trawie, byle dalej od niego.

Łowca zbliżył się do niej powoli, ale zaraz zatrzymał się znowu. Wydawało jej się, że słyszy, jak w jego czaszce pracują jakieś dziwaczne mechanizmy.

– JESTEŚ DO NIEJ PODOBNA – powiedział. – ALE NIE JESTEŚ NIĄ.

– Wiem. Wiele osób myli nas ze sobą – odpowiedziała, zastanawiając się o kogo mu chodzi. Ucieczka nie ma sensu, napomniała się, w duchu, ale jej ciało, pchane instynktem samozachowawczym, nie usłuchało. Poderwała się z ziemi i pobiegła. Pośliznęła się na mokrej trawie i potoczyła po stromiźnie trawnika.

– WRÓĆ! – błagał ją Shrike. – POMÓŻ MI! MUSZĘ JĄ ODNALEŹĆ!

Zaczął za nią biec, ale potem się zatrzymał. Pościg dodatkowo przeraziłby dziewczynkę, która już i tak bała się go i brzydziła. Widział to na jej dziwnie znajomej twarzy. Patrzył, jak znika w kłębach dymu. Z tyłu główna kopuła Pawilonu zapadła się w fontannie iskier. Płonące, zrujnowane młyńskie koła potoczyły się po trawniku, rozbijając fontanny i niszcząc kwatery kwiatów, a potem spadły z krawędzi platformy i roztrzaskały się na pustyni.

Shrike nie zwrócił na nie uwagi, tylko pytająco przechylił głowę. Jego czułe uszy wychwyciły pomruk silników sterowca.

Zdyszana Wren dobiegła do zagajnika. Serce biło jej jak młotem. Pennyroyal znowu spał albo może był nieprzytomny, ale Theo skoczył na równe nogi.

– Wren, co się dzieje?

– Łowca! – wykrztusiła z trudem. – Zielona Burza zostawiła tu Łowcę. Tego wielkiego, ohydneho, który walczył z tym drugim...

Pennyroyal jęknął i poruszył się przez sen. Theo odciągnął Wren na bok.

– Słuchaj, gdyby ten Łowca chciał nas pozabijać, to już dawno by nas znalazł, prawda? Ścigałby cię i już by tu był.

Zastanowiła się nad tym.

– Chyba był zepsuty – odpowiedziała.

– A widzisz.

– Myślę, że zwariował – dodała, przypominając sobie jego dziwne słowa. Zaśmiała się nerwowo. – Może chciał po prostu pogawędzić o pogodzie. Albo zrobić mi sweterek na drutach.

Theo zaśmiał się cicho.

– Wszystko i tak będzie dobrze. Tracimy gaz w takim tempie, że za jakieś pół godziny wylądujemy na pustyni.

– I to ma być niby dobra wiadomość?

– To jest dobra wiadomość – odpowiedział. – Chodź, zobacz sama.

Poszli razem na drugą stronę zagajnika. Tylko wąski pasek pochylonego trawnika dzielił ich od skraju platformy. Za poręczą widać było ziemię i nagie kamienne płyty. Wszędzie wokół kłębiły się tumany kurzu i błyskały światła. To małe drapieżne miasteczka i wioski śpieszyły ku miejscu, gdzie spodziewały się upadku Siódmego Nieba.

– Drapieżne miasta! – jęknęła. – Zjedzą nas!

– Zjedzą Siódme Niebo – poprawił ją Theo. – Ale nas nie ruszą. Zeskoczymy na pustynię, zanim je dogonią, i wsiądziemy do jednego z nich jako podróżni, a nie jako ofiary.

Weźmiemy z Pawilonu trochę złota albo artefaktów, żeby zapłacić za podróż. Wszystko będzie dobrze.

Wren uspokoiła się. Takie przygody połączyły tatę i mamę, pomyślała. Trudne przeżycia budzą poczucie wspólnoty, wystarczająco silne, by pokonać wszystko inne: nieufność, brzydotę... naprawdę wszystko. Zresztą Theo bynajmniej nie był brzydki. Wręcz przeciwnie. Spojrzała na niego. Ich twarze były tak blisko siebie, że dotykała nosem jego policzka.

Właśnie wtedy – dokładnie w momencie, kiedy mieli się pocałować i Wren z jednej strony bardzo tego pragnęła, a z drugiej bała się pocałunku bardziej niż wszystkich drapieżnych miast – właśnie wtedy trawnik, jak pokład łączy na wzburzonym morzu, nagle wysunął jej się spod nóg. Impet rzucił ją na Theo, a Theo oparł się o drzewo.

– Psiakrew! – zaklęła.

W koronie gazowych komór Siódmego Nieba źle się działo. Centralna komora, nadwątlona płomieniami buchającymi z Pawilonu pękła w końcu, a wydobywający się z niej gaz rozjarzył się błękitnym płomieniem. Kilka mniejszych komór jeszcze się trzymało, ale widać było, że nie dadzą rady dźwigać platformy przez dłuższy czas. Siódme Niebo przechyliło się jeszcze bardziej, a woda z fontann i basenów zaczęła się przelewać przez krawędź, tworząc spienione wodospady. Odłamki i gruz też poleciały w dół. Rzeźby i altany, palmy w donicach i ogrodowe meble, markizy i instrumenty muzyczne sypały się na wydmy jak manna z nieba.

Zakurzone pustynne miasta zwiększyły szybkość, przepychając się między sobą, żeby jak najprędzej dopaść miejsca upadku.

„Jenny Haniver” przelatowała przez chmury dymu i kurzu, aż dotarła w cień rzucany przez Siódme Niebo. Widziany z okien spód platformy przypominał olbrzymią, zrujnowaną ścianę poznaczoną kraterami po wybuchach i osmaloną pożarami. Hester włączyła reflektor i obserwowała przesuwane się obok nich pomosty techniczne, a potem ogromny, biały napis: ZAKAZ PALENIA. Na zerwanych linach huśtał się wagonik kolejki linowej. Z potłuczonych okien zwisały zakrwawione kawałki balowych sukien i wieczorowych fraków.

– Przylecieliśmy za późno – powiedziała Hester. – Tam nie ma już żywych ludzi.

– Nie mów takich rzeczy! – ofuknął ją ostro Tom. Wciąż był rozdrażniony i roztrzęsiony ich niedawną kłótnią. Nie zamierzał spierać się z nią dłużej, bo najważniejsze było teraz odnalezienie Wren. Zrozumiał jednak, że coś się zmieniło między nim i Hester, i nie był wcale pewny, czy da się to naprawić.

Na myśl o jej twardości i o spokoju, z jakim zostawiła Pulpeta na pewną zgubę, skręcały mu się wnętrzności.

Gniewnie szarpnął drążek sterowy i poprowadził „Jenny” w górę, na drugą stronę platformy, uważnie wybierając drogę pośród stalowych lin. Nagle pożałował, że zamiast Hester nie siedzi z nim Freya. Ona nie zostawiłaby biednego Pulpeta. Znalazłaby drogę ucieczki z wieży Shkina bez potrzeby mordowania tych wszystkich nieszczęśników. I nie porzuciłaby tak szybko nadziei, że odnajdą Wren.

– Pamiętasz Londyn? – zapytał. – Pamiętasz noc MEDUSY, kiedy przyleciałem zabrać cię z tego miasta? Wtedy to dopiero było beznadziejnie. Ale znalazłem cię, prawda? Tak jak teraz odnajdziemy Wren.

Siódme Niebo pod nimi kołysało się jak kadzielnica. Hester skierowała reflektor na zniszczony park.

Taszcząc między sobą Pennyroyala, Wren i Theo gramolili się po przechylonej płaszczyźnie trawników, szukając, gdzie by tu się ukryć gdy platforma zderzy się z ziemią.

– Dobra robota! – pochwalił ich burmistrz, na krótko odzyskując przytomność. – Doskonale wam idzie! Dopilnuję, żeby was uwolnić za ten trud...

Po chwili zemdlął znowu, a jego ciało stało się niewypowiedzianie ciężkie. Położyli go. Wren usiadła obok. Ziemia była odległa o jakieś sto metrów, może mniej. Można już było odróżnić poszczególne krzaki, wyrastające między kamieniami rozrzuconymi wśród pustynnych piasków, oraz okna i drzwi na górnych pokładach miasta, które pędziło równoległe do nich, poruszając się na ogromnych, baryłkowatych kołach. Powietrze dygotało od jęku przeciążonych lin. Ale do tego hałasu dołączył się jeszcze jeden dźwięk. Wren podniosła wzrok.

Z płątaniny rozkołysanych nad parkiem lin błysnął jasny promień reflektora. Oślepił ją i przesunął się dalej, jak długi palec przesuwający się po trawniku. Za nim dostrzegła niewielki sterowiec.

– Patrz! – krzyknęła.

– Padliniarze – jęknął Theo. – Albo piraci powietrzni!

Ludzie z miast w dole pomyśleli chyba to samo, bo nagle w powietrzu za niewielkim sterowcem wybuchła rakietka. Impet rzucił go do tyłu, ale stateczek zaraz powrócił, poruszając sterem jak płetwą zaciekawionej ryby. W oknie gondoli pojawiała się czyjaś twarz. Pióra steru znów się przesunęły, obudowy silników przestawiły się nieco i sterowiec wylądował na metalowym tarasie, w pewnej odległości od Wren i Theo. Znalazł się jednak na tyle blisko, że Wren bez trudu rozpoznała twarze ludzi, którzy z niego wysiedli i ruszyli ku niej po stromiźnie trawnika.

Z początku nie mogła uwierzyć własnym oczom. Nagłe pojawienie się rodziców wydało jej się tak nieprawdopodobne, że zamknęła oczy, żeby przepędzić fatamorganę, która sprawiała jej taki ból. To nie mogli być oni. To niemożliwe. Jej głupie oczy ją oszukują... Pewnie te wszystkie przeżycia pomieszały jej w głowie i zaczęła mieć jakieś widzenia.

Ale wtedy ktoś krzyknął:

– Wren!

Czyjeś ramiona objęły ją mocno i to był jej tata. Obejmował ją ze śmiechem i bez końca powtarzał jej imię, a łzy złości białe linie na jego twarzy, brudnej od kurzu i popiołu.

36. NIEZWYKŁE SPOTKANIA

Tak mi przykro – załkała. – Tak mi przykro... byłam taka głupia.

A potem wcale już nie mogła mówić. Nie przychodziło jej do głowy ani jedno słowo.

– Wszystko już dobrze – powtarzał tata. – To nieważne. Jesteś bezpieczna i tylko to się teraz liczy...

Wtedy tata odsunął się na bok, robiąc miejsce mamie. Jej uścisk był mocniejszy i twardszy. Wren wtuliła twarz w kościste ramię i usłyszała znajomy głos, który pytał:

– Nic ci się nie stało? Jesteś cała i zdrowa?

– Wszystko dobrze – pociągnęła nosem Wren.

Hester odsunęła się o krok i ujęła twarz Wren w dłonie, zdziwiona, że ogarnęła ją tak wielka miłość. Płakała ze szczęścia, a ona przecież prawie nigdy nie płakała. Nie chcąc, żeby Tom z Wren spostrzegli, że się maże, odwróciła wzrok i zobaczyła stojącego za Wren chłopaka, który obserwował tę scenę.

– Mamo, tato – powiedziała Wren, przyciągając go bliżej. – To jest Theo Ngoni. Uratował mi życie.

– Uratowaliśmy się nawzajem – odpowiedział Theo nieśmiało. On także płakał, wyobrażając sobie, jak wyglądałoby jego powitanie z rodzicami, gdyby dotarł do domu, do Zagwy.

Hester spojrzała podejrzliwie na przystojnego młodego

pilota, ale Tom podał mu rękę i stwierdził:

– Czas wsiadać.

Ruszył w stronę czekającego na nich sterowca. Theo poszedł za nim, ale kiedy Hester właśnie się odwracała, Wren powiedziała:

– Nie, poczekajcie. A Pennyroyal?

Tom i Theo byli już za daleko. Tylko Hester to usłyszała.

Wren ruszyła biegiem w kierunku fontanny. Pennyroyal, w którego wstąpiły nowe siły, gdy usłyszał silniki sterowca, próbował podnieść się na nogi. Uśmiechnął się na widok Wren i powiedział słabym głosem:

– No i co, mała? Mówiłem, że jeszcze nie czas umierać!

W chwilę później, gdy rozpoznał postać, która podążała za dziewczynką dodał:

– Och, wszechmocny Poskitcie!

Kiedy Hester widziała Pennyroyala po raz ostatni, uciekał przez śniegi i ciemność Anchorage tej nocy, kiedy pozabijała członków Wilczego Stada. Rozmawiała z nim chwilę przedtem, w splądrowanej kuchni państwa Aakiuq. Opowiedziała mu wtedy, jakim sposobem Wilcze Stado trafiło do miasta.

Pennyroyal resztką sił szarpnął się w tył. Jego twarz pobladła jak śmierć pod zakrzepłą krwią. Hester dopadła go dwoma susami, przewróciła na ziemię i wyciągnęła nóż. Leżał u jej stóp, czepiając się ich rękami.

– Błagam, daruj mi życie! – skamlał. – Dam ci wszystko, co zechcesz.

– Zamknij się – warknęła Hester i obnażyła jego szyję,

ustawiając ją tak, by krew nie zbryzgała jej nowej kurtki.

Wren odepchnęła ją na bok.

– Mamo, nie! – krzyknęła.

– Nie mieszaj się do tego – warknęła Hester, zirytowana i napięta.

Ale Wren nie zamierzała trzymać się z dala. Widziała błysk w oku matki, kiedy tamta dostrzegła Pennyroyala. To nie były nienawiść, gniew ani pragnienie zemsty. To był strach. Dlaczego matka miałaby się go bać? Chyba tylko dlatego, że to, co o niej powiedział, było prawdą. Gdy Hester znowu się nad nim pochylała, Wren jednym skokiem znalazła się pomiędzy nimi i rozłożyła ramiona, żeby zasłonić mężczyznę.

– Ja też to wiem! – krzyknęła. – Wiem, co zrobiłaś! Więc jeśli chcesz go uciszyć, to się spóźniłaś! A jeśli chcesz zachować to w tajemnicy, mnie także będziesz musiała zabić.

– Ciebie? – Hester złapała Wren za kołnierz tuniki i mocno pchnęła ją na drzewo. – Żałuję, że się w ogóle urodziłaś!

Zmieniła położenie noża, inaczej chwytając wytartą, kościaną rękojeść. Ostrze błysnęło ognisćie. Odblask prześliznął się po przerażonej, zbuntowanej twarzy dziewczynki. Jej rysy nagle wydały się Hester podobne do twarzy jej przyrodniej siostry, Katherine Valentine, która zginęła, broniąc ją przed mieczem ich ojca.

– Mamusiu? – spytała Wren cichym, wstrząśniętym głosem.

Hester opuściła nóż.

Za drzew nadbiegli Tom i Theo, ślizgając się po przechylonym na bok trawniku.

– Co tu się dzieje? – zawołał Theo, który biegł przodem. – Wren? Wszystko w porządku?

– Ona chce go zabić!

Wren osunęła się na kolana. Płakała tak strasznie, że ledwie rozumieli jej słowa, ale powtarzała je bez przerwy, więc w końcu zrozumieli.

– Ona chce zabić Pennyroyala!

Tom popatrzył na burmistrza, który podniósł w górę drżącą dłoń.

– Tom, mój drogi, po co ten pośpiech...

Tom przez chwilę nie odpowiadał. Przypominał sobie, jak czuł się dawno temu, leżąc na plecach w śniegu Anchorage, pewny, że to już koniec. Jak wyczuwał dziurę w piersi, jak czuł smak krwi. Wciąż miał w uszach cichnący pomruk silników „Jenny”, gdy Pennyroyal odlatywał z miasta. Przez chwilę ogarnął go taki sam gniew jak Hester, i gotów był sam złapać nóż, żeby wykończyć tego podłego łajdaka. Ale to uczucie szybko minęło. Ujął dłoń żony.

– Het, popatrz na niego. Jest stary, bezradny, a jego pałac rozpada się w płomieniach. Czy to nie wystarczająca zemsta? Wsadźmy go szybko na pokład „Jenny”, zanim ta platforma wyląduje na ziemi.

– Nie! – krzyknęła Hester. – Zapomniałeś już, co się stało ostatnim razem, kiedy zabraliśmy go ze sobą? Zapomniałeś, co ci zrobił? Mało brakowało, a by cię zabił! Nie możesz mu tak po prostu wybaczyć!

– Owszem, mogę – odpowiedział stanowczo. Ukląkł przy Pennyroyalu i skinieniem głowy polecił Theo, żeby pomógł mu podnieść burmistrza. – Co innego mogę zrobić? Zamordować go? Co bym przez to osiągnął? To by przecież nic nie zmieniło...

– Zmieniliby – odezwała się Wren. W jej głosie zabrzmiała tak niezwykła nuta, że Tom spojrział w jej twarz. Trzęsła się cała od głośnego płaczu, a twarz miała brudną od łez i smarków. Odsunęła się z przerażeniem, kiedy matka odwróciła się w jej stronę. Potem krzyknęła: – Gdyby go zabiła, nie mógłby wam opowiedzieć o tym, jak sprzedała Anchorage Wilczemu Stadu!

Hester poderwała głowę, jakby córka ją uderzyła.

– To kłamstwa! – odpowiedziała, próbując się roześmiać. – Pennyroyal omotał ją swoimi kłamstwami!

– Nie – odpowiedziała Wren. – To jest prawda. Przez te wszystkie lata wszyscy byli jej tacy wdzięczni, że ocaliła nas przed Wilczym Stadem, a to właśnie ona ich na nas sprowadziła! Bardzo chciałam, żeby to nie była prawda. Wmawiałam sobie, że to niemożliwe. Ale tak właśnie było.

Tom popatrzył na Hester, oczekując zaprzeczenia.

– Zrobiłam to dla ciebie – powiedziała.

– Więc to prawda?

Cofnęła się o krok, odsuwając się od niego.

– Oczywiście, że tak! A jak myślisz, dokąd poleciałam tej nocy, gdy zabrałam „Jenny”? Prosto do Archangielska. Powiedziałam Masgardowi, gdzie jest Anchorage. W przeciwnym razie bym cię straciła, a ja nie mogłam... nie zniosłabym tego! Och, Tom, na litość boską, to było szesnaście lat temu. Teraz to już nie ma znaczenia, prawda? Prawda? Przecież rozwiązałam problem. Zlikwidowałam Masgarda i jego ludzi. Zrobiłam to wszystko dla ciebie...

Ale to już nie był ten sam Tom Natsworthy, którego kochała tak mocno, że mogła z tej miłości niszczyć całe miasta. Tamten

Tom był odważny, przystojny i namiętny. On może by jej wybaczył. Ale nie ten nowy Tom, strachliwy historyk z Anchorage, który patrzył na nią teraz ze zgorszeniem, szeroko otwierając swoją głupią gębę. Ani on, ani ta jego głupia zaryczana córka nigdy nie zrozumieją, dlaczego to zrobiła. Ani Tom, ani ona. Hester była zupełnie inna niż oni. I była głupia, bo uwierzyła, że nauczy się żyć w ich świecie.

– Przez te wszystkie lata... – powiedziała i odrzuciła nóż. – Przez te wszystkie lata w Winlandii... – powtórzyła, patrząc, jak błysnął ogień i zarył się w trawniku Pennyroyala. – Przez te wszystkie lata przeżyte z wami obojgiem.... Bogowie, jakże ja się strasznie nudziłam!

Trzęsa się na całym ciele. Przypomniała jej się noc MEDUSY, kiedy pierwszy raz odważyła się pocałować Toma. Wtedy trzęsa się tak samo, bo to był początek ich życia. Teraz trzęsa się, bo wszystko dobiegało końca. Odwróciła się i odeszła od niego pospiesznie przez zdewastowany park. Między chmurami dymu dostrzegła jakiś niewysoki, podłużny kształt. Z początku myślała, że to budynek, a potem zrozumiała, że to jakiś głupi labirynt. Uznała, że się nada. Szybkim krokiem ruszyła do wejścia.

– Hester! – zawołał Tom z tyłu.

– Idź stąd! – Obejrzała się. Kuśtykał za nią. Widziała tylko jego niezgrabną sylwetkę na tle pożaru Pawilonu.

Wren stała za nim, razem z tym swoim afrykańskim chłopakiem.

– Idźcie stąd! – krzyknęła, odwracając się ku nim. Nie zatrzymała się, tylko przeszła tyłem krok czy dwa. Wskazała na „Jenny Haniver”.

– Wsadź Wren na pokład i zmykajcie stąd, zanim Pennyroyal znowu podpieprzy wam ten cholerny samolot...

Ale Tom znowu krzyknął:

– Hester!

– Nie jadę z wami, Tom – odpowiedziała, zalana łzami.

Obok niej snuł się dym. Z góry opadały tłące się kawałki tkaniny komór gazowych, a gorący wiatr podwiewał poły jej kurtki jak czarne skrzydła. Wyglądała jak przerażający anioł.

– Wracajcie do Winlandii. Bądźcie szczęśliwi. Ale beze mnie. Ja zostaję tutaj.

– Hester, nie wygłupiaj się! To miejsce rozpada się na kawałki.

– Ono tylko opada w dół – odpowiedziała. – Dam sobie radę. Są tam miasta. Twarde, pustynne miasta. Padliniarze. W sam raz dla mnie.

Mało brakowało, a by ją dogonił. Widziała jego twarz, lśniącą od łez, w której odbijały się łuny pożarów. Tak bardzo chciała do niego podejść, pocałować go i objąć, ale wiedziała, że już nigdy się do niego nie przytuli, bo jej uczynki rozdzieliły ich na zawsze.

– Kocham cię – powiedziała tylko. Odwróciła się i biegiem wpadła w labirynt. Płyty podkładu przechylały się coraz bardziej, poruszały się i cofały. Łkała i śmiała się zarazem, ale robiła to zupełnie bezwolnie. Z daleka słyszała cichnący głos Toma, który wołał ją po imieniu. Nad głową komory gazowe Siódmego Nieba zapalały się jedna po drugiej, wypełniając labirynt dziwaczными, rozbieganymi cieniami. Łkała i potykała się, gałęzie krzewów raniły jej twarz, gdy wpadała na nie na oślep.

Właśnie zaczynało do niej docierać, że jest w nieodpowiednim miejscu i potrzebuje lepszego schronienia, kiedy platforma opadła na ziemię. Była w samym sercu labiryntu. Coś się tam czaiło, jakby czekało na nią od dawna.

Zatrzymała się, ślizgając się po trawie. Postać, która na nią czekała wyprostowała się i wstała, wznosząc się nad nią jak wieża. Z początku myślała, że to coś jest utkane z ognia. Ale tylko tak jej się wydawało. To płonące komory gazowe odbijały się w pogiętej, osmalonej zbroi. Martwa twarz rozciągnęła się w uśmiechu. Hester знаła tę twarz. Sama przykryła ją ziemią osiemnaście lat temu, na Czarnej Wyspie. Pochowała starego Łowcę głęboko, i przykryła jego grób kamieniami. Ale zdaje się, że tylko marnowała czas. Poczula znajomy zapach kwasu mrówkowego i rozgrzanego metalu.

– Hester? – odezwał się ledwie słyszalny głos Toma, gdzieś z parku. Teraz już stracony na wieki.

A Shrike wyciągnął do niej straszliwe, metalowe ręce i powiedział tylko:

– HESTER SHAW.

Kolejna komora eksplodowała z rykiem, a gejzer ognia strzelił w niebo. W chwili, gdy platforma opadła na ziemię, impet wyrzucił Toma w powietrze. Upadł na trawę, przetoczył się i zatrzymał na posągu Poskitta.

– Hester! – zawołał, wstając na nogi, ale głos łamał mu się z wysiłku. A potem jego serce też się chyba złamało. Ucisnął sobie pierś, ale nie przyniosło to ulgi. Ukląkł, a potem upadł na twarz. Ból przygniótł go do trawnika. Stracił przytomność, a

kiedy doszedł do siebie, nie był już sam.

– Hester? – wymamrotał.

– Tato... – To była Wren. Położyła dłonie na jego plecach i patrzyła na niego z góry, przestraszona i zapłakana.

– Nic mi nie jest – uspokoił ją, zgodnie z prawdą. Ból już minął, choć teraz czuł się słaby i półprzytomny. – Zdarzało mi się to nie raz... to nic takiego.

Próbował wstać, ale przyjaciel Wren, ten Theo, podszedł i wziął go na ręce, prawie bez wysiłku. Chyba znowu stracił przytomność, gdy Theo niósł go przez park, bo zdawało mu się, że Hester jest z nim. Ale kiedy otworzył oczy, nie było jej nigdzie, a oni stali już przy otwartych drzwiach „Jenny”. Z okna gondoli patrzył na nich Pennyroyal. Dziwne było to wszystko, tym bardziej, że cały ogród chwiał się i kołysał. Jediną ostoją w tym chaosie była Wren, która mocno trzymała go za rękę i próbowała się do niego uśmiechać, choć cały czas płakała.

– Wren – powiedział. – Nie możemy stąd odlecieć. Musimy odnaleźć twoją matkę...

Wren potrząsnęła głową, i razem z Theo wciągnęli go na pokład.

– Zabierzemy cię z tego straszego miejsca, zanim będzie za późno – powiedziała.

Drzwi się zamknęły i Theo poszedł na dziób pomóc Pennyroyalowi uruchomić silniki. Wren uklękła przy ojcu, i objęła ją tak, jak on ją kiedyś obejmował w dzieciństwie, kiedy była chora albo czegoś się bała.

– Już dobrze. Już dobrze – szeptał do niej wtedy, więc teraz wyszeptała do niego to samo. Pogłaskała go po włosach i

pocałowała, aż w końcu się uspokoił. A potem starała się nie myśleć o matce, o tym wszystkim, co zrobiła, i o tym migotliwym świetle odbijającym się od ostrza jej noża. Próbowwała wbić sobie do głowy, że już nie ma matki.

Ależ ona się zestarzała!

Shrike myślał, że rozumie śmiertelników i to, co robi z nimi czas, ale mimo wszystko był wstrząśnięty widokiem pomarszczonej, wysmaganej wiatrem twarzy tego dziecka. I jej włosów, niegdyś pięknych i rudych, które teraz wyschły i posiwiały. Wyciągnął do niej rękę, chowając szpony, a ona zareagowała tak jak większość śmiertelników, kiedy pościg się skończył i nie było już przed nim ucieczki. Jękiem bez słów i smrodem, gdy puściły jej zwieracze. Zrobiło mu się przykro, że tak się go boi. Przytulił ją najłagodniej, jak potrafił i powiedział:

– TAK BARDZO ZA TOBĄ TĘSKNIŁEM.

A Hester, wciśnięta w jego pogiętą zbroję, mogła tylko dygotać, płakać i słuchać najsmutniejszego dźwięku w jej życiu: cichnącego pomruku bliźniaczych silników Jeunet-Carot, gdy „Jenny Haniver” odlatywała w dal bez niej.

Siódme Niebo w końcu opadło na ziemię. Najpierw wagonik kolejki wrył się w piasek jak dryfkotwa, potem skraj platformy zaczepił o skalny występ. Od dolnej płyty oderwały się pomosty, orząc piasek. Wraki samolotów i wyrwane z korzeniami drzewa spadały na pustynię. Trzasnęła stalowa

lina. Oklapnięta komora gazowa uwolniła się i odleciała z wiatrem przez chmury dymu i kurzu.

Ściany Pawilonu zaczęły się rozpadać, sypiąc na oślep dziełami sztuki i antykami, jak po wybuchu szrapnela. Schody obracały się w ruinę, tarasy stawały dęba, a baseny z wodą zapadały się w dół. Siódme Niebo podskoczyło, ścinając wierzchołek olbrzymiej wydmy. Cukierkowe kopuły pałacu potoczyły się przez pustynię, ścigane przez chciwe miasteczka. Wrak znowu opadł na ziemię, plując ogniem, ciągnąc za sobą liny i opadające komory gazowe. Uderzył w nią mocno, przejechał jeszcze kawałek, obrócił się, przesunął, zadygotał i wreszcie się zatrzymał.

Zapanowała cisza, przerywana jedynie mineralnymi westchnieniami miliardów ziarenek piasku, które powoli osuwały się w dół. I w tej ciszy, zanim jeszcze nadjechały z rykiem padlinożerne miasteczka, Łowca Shrike wstał, wziął Hester w ramiona i odszedł z nią w ciemność, na pustynię.

- 1) *Schadenfreude* (niem.) – radość z cudzego nieszczęścia. ↵
- 2) Wręcz przeciwnie (fr.). ↵
- 3) Rękopis spisany na używanym wcześniej papierze, z którego usunięto poprzedni tekst, najczęściej w celu zmniejszenia kosztów nowego materiału. ↵
- 4) Thomas Stearns Eliot *Little Gidding*. (T.S. Eliot *Szepty Nieśmiertelności. Poezje wybrane*, przekład Krzysztof Boczkowski 2013). ↵
- 5) Kiosk – wodoszczelna nadbudówka na kadłubie okrętu podwodnego. ↵
- 6) Parafraza słynnego pierwszego zdania *Dumy i uprzedzenia* Jane Austen. Do spolszczenia tej parafrazy wykorzystano przekład Anny Przedpełskiej-Trzeciakowskiej. ↵
- 7) Ambrazura – otwór strzelniczy, przez który wystawia się lufę działa schowanego wewnątrz jednostki. ↵